

Siergiej Łukjanienko

Brudnopis

Kirył 1

Przełożyła Ewa Skórska

Tytuł oryginału:

Черновик

ISBN 978-83-7480-076-1

Wydanie I

WARSZAWA 2008

1.

Są takie dni, gdy nic ci się nie układa. Wstajesz z łóżka i noga zamiast na kapeć trafia na grzbiet ukochanego psa, który ze strachu gryzie cię w łydkę; nalewasz kawę, ale zamiast do filiżanki lejesz prosto na świeżą koszulę; dochodzisz do metra i stwierdzasz, że zostawiłeś w domu wszystkie dokumenty i pieniądze, a po powrocie do domu odkrywasz, że wcale nie zostawiłeś, tylko zgubiłeś. Razem z kluczami.

Ale czasami wszystko dzieje się na odwrót. Wstajesz wypoczęty, z przyjemnym wspomnieniem o miłym śnie. Wczorajszy katar minął bez śladu, jajka ugotowały się idealnie, twoja dziewczyna, z którą wczoraj się pokłóciłeś, sama do ciebie dzwoni i przeprosza, trolejbusy i autobusy podjeżdżają, gdy tylko zdążysz podejść na przystanek, przełożony wzywa cię do siebie i oznajmia, że postanowił dać ci podwyżkę i wypłacić premię.

Takich dni boję się najbardziej. Starożytni mieli rację – nie należy kusić losu nadmiernym szczęściem. Król Polikrat nie na darmo rzucił pierścień do morza, a gdy morze odrzuciło jego ofiarę, król powinien był odciąć sobie palec, może by nie przyrósł... Jeśli nie jesteś w czepku urodzony, jeśli nie idziesz przez życie lekkim krokiem próżniaka, strzeż się szczęśliwych dni! Życie przypomina pasiasty strój więźnia – jeśli dzisiaj miałeś pecha, jutro nadejdzie sukces.

Zwykle ta myśl mnie uspokaja. Ale nie dzisiaj.

Stałem przed drzwiami swojego mieszkania. Drzwi jak drzwi, nic ciekawego. Stalowe, na skutek obecnych kryminalnych czasów, i tanie, z powodu braku bogatego wujka w Ameryce.

Za to uchylone.

Chyba nie muszę tłumaczyć, co to znaczy.

Jak na razie nie mam jeszcze sklerozy, swoje klucze Anka ze wzdargą cisnęła na podłogę tydzień temu – zanim odeszła. Jest jeszcze zapasowy komplet u rodziców, oczywiście nie po to, żeby mogli robić inspekcje, lecz na wypadek, gdybym zgubił swoje. Problem w tym, że rodzice od tygodnia są na urlopie w Turcji i absolutnie nie mogli mnie odwiedzić.

Stałem i myślałem o Keszju. O to, dlaczego mój skye terier nazywa się Keszju, należałoby zapytać panią hodowcę. Może ona lubi te orzeszki? A może nie wie, co to jest keszju? Ja w każdym razie krępowiałem się zapytać.

Co robi złodziej, gdy zobaczy w mieszkaniu małego, lecz dzielnego teriera? Dobrze będzie, jeśli tylko kopnie.

Oczywiście miałem w domu pewne cenne rzeczy. Notebook. Wieża. Telewizor, całkiem niezły, odtwarzacz DVD, zupełnie nowy. No i każdy doświadczony złodziej znajdzie przyklejoną do „pleców” szafy skrytkę – tysiąc euro w kopercie.

Ale ja myślałem tylko o Keszju. Być może stałbym na klatce jeszcze dłużej, nie mogąc się zdecydować, czy otworzyć drzwi, czy nie, gdybym nie usłyszał dobiegającego z mieszkania cichego metalicznego brzęku.

Złodziej ciągle był w środku!

Nie mam postury mołojca ani natury bohatera. Cała moja znajomość sztuk walk ogranicza się do sześciu miesięcy kursu karate (przed dziesięcioma laty), a bojowe doświadczenie do kilku bójek w mniej więcej tym okresie życia. Ale do mieszkania wpadłem z entuzjazmem Bruce’a Lee, któremu ktoś nadepnął na ulubione kimono.

Czy mieliście kiedyś okazję czuć się jak kompletny kretyn?

Stałem w ciasnym mrocznym przedpokoju swojej kawalerki, która wyglądała... obco. Zamiast przymocowanych do ściany haczyków, na których samotnie wisiała niesprzątnięta od wiosny kurtka, ujrzałem rosochaty drewniany wieszak z beżowym płaszczkiem i parasolem. Na podłodze leżał kolorowy dywanik. W kuchni – z tego, co zdążyłem zobaczyć – też wszystko było nie tak. Na przykład, zniknęła lodówka. Zamiast niej stała z rondelkiem w ręku młoda nieładna dziewczyna w podomce. Na mój widok wrzasnęła i upuściła rondelek.

– Mam cię, łachudro! – krzyknąłem.

Dlaczego łachudro? Skąd mi się wzięło to słówko? Nie miałem pojęcia.

– Na co pan sobie pozwala?! – zawołała dziewczyna. – Proszę stąd wyjść, bo wezwę milicję!

Wziąwszy pod uwagę, że telefon wisiał przy drzwiach, jej obietnica była nie tylko bezczelna, ale w dodatku zbyt pochopna. Zajrzałem do pokoju – żadnych pomocników dziewczyny tam nie było. Był za to Keszju na kanapie – na nie mojej kanapie! Keszju głośno czekał – chwala Bogu, cały i zdrowy!

No nie, wynieśli wszystkie meble? Jak długo nie było mnie w domu, pięć, sześć godzin? A oni nie tylko zdążyli wynieść moje, ale i przynieść inne...

– Milicję? – powtórzyłem. – O, milicję to ja wezwę!

Podniosłem słuchawkę i wykręciłem zero-jeden. Dziewczyna przestała krzyczeć, teraz patrzyła na mnie w milczeniu. Keszju nie przestawał czekać.

– Straż pożarna, słucham – rozległo się w słuchawce.

Nacisnąłem widełki i wykręciłem zero-dwa. No co, każdemu się może zdarzyć. Nie co dzień człowieka okradają, w dodatku tak wymyślnie.

– Milicja? Zostałem okradziony – powiedziałem szybko. – Proszę przyjechać jak najszybciej. Studienyj przejazd...

– Co pan, chory? – zapytała dziewczyna. Chyba już się uspokoiła. – A może pijany?

– Pijany, naćpany, upalony – potwierdziłem złośliwie, odkładając słuchawkę. – Jasna sprawa.

– Kirył? – usłyszałem za plecami.

Odwróciłem się i z radością spostrzegłem na schodach sąsiadkę. Kłótliva kobieta o imieniu Galina kochała plotki i nienawidziła sąsiadów. Ale teraz w przedsmaku nowego tematu do rozmów jej twarz wyrażała autentyczną ciekawość i sympatię.

– No, niech pani tylko popatrzy, Galino, co się wyprawia! – powiedziałem. – Przychodzę do domu, a tu złodziejka!

Na twarzy sąsiadki pojawił się zachwyty połączony z lekkim niepokojem.

– To może by milicję wezwać, Kiryłuszka, co?

– Już wezwałem – uspokoiłem ją. – Będzie pani świadkiem?

Sąsiadka skinęła głową i udała, że robi zamach w stronę dziewczyny.

– Uch ty, łachudro jedna! W zeszłym roku mi taka portmonetkę z torby ukradła na targu!

– Ludzie, czy wyście powariowali? – powiedziała spokojnie dziewczyna. Wyjęła paczkę papierosów, zapaliła. W pokoju nadal czekał dzielny Keszju.
– Keszju, cicho bądź! – zawołała dziewczyna i pies natychmiast zamilkł.

Ostępiałem. Sąsiadka popatrzyła czujnie na dziewczynę. Nienawidziła mojego psa, podobnie jak każdej żywej istoty w tym domu, ale...

– To twoja dziewczyna?

– Co takiego? Ta? – Aż się zakrztusiłem urażony. Wiedziałem, że w oczach sąsiadki każdy młody mężczyzna to samiec, a już kawaler to mieszanka Casanovy z Kaligulą. Ale żeby podejrzewać mnie, że przyprowadziłem do domu tę bezbarwną istotę z rudymi włoskami i piegowatą gębą? – Pierwszy raz ją na oczy widzę!

– To ja pana widzę po raz pierwszy – wtrąciła nie wiadomo po co dziewczyna. – Nie wiem, co chce pan osiągnąć, ale lepiej niech się pan wynosi z mojego mieszkania.

– Kirył tu czwarty rok mieszka. – Sąsiadka od razu stanęła w mojej obronie. W tej chwili byłem gotów powiedzieć, że stara plotkarka jest godna najwyższego szacunku. – Rodziców ma bogatych, to i kupili synkowi mieszkanie, wyremontowali, urządzili. Inni przez całe życie cudze kąty wycierają, a tu taki młody i już ma mieszkanie.

Nie, chyba jednak pośpieszyłem się z tym chwaleniem sąsiadki. Co ją to obchodzi, kto mi kupił mieszkanie? Sama dostała od państwa trzypokojowe, za nie wiadomo jakie zasługi na niwie robót.

– Powariowali – skomentowała dziewczyna. – Albo jedna szajka.

Galina klasnęła w ręce w niemym oburzeniu i zaczęła dzwonić do sąsiednich drzwi. Ja i dziewczyna mierzyliśmy się złym i podejrzliwym wzrokiem. Ani ona, ani ja nie ruszaliśmy się z miejsca, dziewczyna paliła już drugiego papierosa, a ja obracałem na palcu kółko z kluczami.

– Mamy nie ma – poinformowała Galinę córka sąsiadów z za uchylonych drzwi. – A tata śpi po pracy.

– Obudź tatę, tu sąsiada okradają! – zadysponowała Galina.

Dziewczyna wyjrzała, pisnęła „dzień dobry” i schowała się w mieszkaniu, nie zapominając zamknąć drzwi. Galina od razu skomentowała:

– Już my znamy tę pracę... Uchlał się jak świnia, to teraz śpi.

Drzwi znowu się otworzyły. Wyszedł sąsiad – w bokserkach, podkoszulce i boso. Ma pod czterdziestkę, ale wielki z niego chłop i chyba w tej chwili miał wielką ochotę komuś przyłożyć.

– Dzień dobry, Piotrze Aleksiejewczu! – wypaliła sąsiadka. – Widział pan, co tu się wyrabia?! Okradają naszego chłopca w biały dzień!

– Już wieczór – burknął Piotr, odsuwając sąsiadkę. Podszedł, zajrzał mi przez ramię i zapytał: – Potrzebna pomoc?

– Zaraz przyjedzie milicja.

Sąsiad skinął głową i powiedział ze smutkiem:

– Szkoda, że to kobita. Chłopu byśmy zaraz w mordę dali, na początek.

Dziewczyna zbladła.

– A może by jednak dać? – zastanawiał się Piotr.

Ale wtedy zahuczała winda i sąsiad zamilkł. Kilka sekund później na piętrze pojawiło się trzech milicjantów. Dwóch miało automaty, ale widocznie doszli do wniosku, że na razie nie ma do kogo strzelać, i zastygli niczym warta honorowa. Trzeci, widocznie najstarszy stopniem, zwrócił się do mnie:

– Kto wzywał milicję?

– Ja.

– To pańskie mieszkanie? – spytał, wskazując głową drzwi.

– Tak.

Dziewczyna w środku zaśmiała się histerycznie.

– Jego, jego – potwierdziła Galina. – Jesteśmy sąsiadami. I świadkami!

– Starszy sierżant Dawydow. Poproszę dokumenty – polecił, nie próbując na razie wejść do mieszkania. – Od wszystkich!

Sąsiedzi pobiegli do swoich mieszkań. Nawet ospały Piotr Aleksiejewicz przyśpieszył kroku. Wyjąłem dowód i podałem milicjantowi, wyjaśniając urywanie:

– Wracam z pracy, drzwi otwarte... Bałem się o psa, przecież takie bydlaki mogłyby go zabić...

– Psa należy trzymać takiego, żeby przestępca moczył się w spodnie, kiedy usłyszy jego szczekanie – powiedział milicjant i zerknął na dziewczynę. – Albo pod spódnicę... Taak. Kirył Daniłowicz Maksimow. Zameldowany w Moskwie, Studienyj projezd, dom numer trzydzieści siedem, mieszkania osiemnaście. Tak. No cóż, wszystko jasne.

Wyszli sąsiedzi z dowodami.

– Będziecie państwo świadkami – powiadomił ich Dawydow. – Wchodzimy do mieszkania?

– Wchodzimy – powiedziałem ze złośliwą radością. – Wyobraża pan sobie, wynieśli moje meble i przynieśli swoje.

– Bezprawne zajęcie mieszkania – wtrącił milicjant z automatem.

– Wnioski pozostaw sędziom – przerwał mu starszy sierżant.

Weszliśmy do mieszkania. Keszju znów zaczął ujadać. Dawydow popatrzył na niego i pokręcił głową. A potem powiedział uprzejmym tonem:

– Pani dokumenty.

– Są w torebce, na wieszaku. – Dziewczyna skinęła głową.

– Proszę wyjąć.

Dziewczyna wyjęła dokumenty. Teraz patrzyła na mnie jakoś dziwnie.

Starszy sierżant oglądał jej dowód dobrą minutę. Potem podszedł do okna i kolejną minutę oglądał go przy słabym świetle kończącego się dnia. W końcu gwizdnął przeciągle i popatrzył na mnie z zagadkowym uśmiechem.

– Tak, trzecia ulica Budowniczych, obywatelu Maksimow.

* * *

Dziewczyna nazywała się Natalia Iwanowa. Lat dwadzieścia jeden, pięć lat młodsza ode mnie. Zameldowana w moim mieszkaniu.

Teraz siedzieliśmy w kuchni przy stole – ja, Natalia i starszy sierżant.

Przez chwilę Dawydow oglądał dowód, potem zapytał:

– I naprawdę się nie znacie?

Nawet nie odpowiedziałem. Dziewczyna też nie.

– Kto tu mieszka? – zapytał sierżant sąsiadów.

– On! – zawołała Galina. – On tu mieszka. Od trzech lat!

Jednak jest w niej coś ludzkiego.

– Kirył tu mieszka – potwierdził Piotr Aleksiejewicz. – Może pan nie wątpić. A tę... pierwszy raz widzę.

Sierżant popatrzył na Natalię i zapytał z wyrzutem:

– I po co wam to, obywatelko? Fałszerstwo dokumentów, kradzież...

– Wnioski niech pan zostawi sędziom – odcięła się dziewczyna. – Ja tu mieszkam! Trzy lata temu kupiłam mieszkanie. A tych – nieokreślony ruch głowy może w moją stronę, a może w stronę sąsiadów – pierwszy raz na oczy widzę! To przecież jedna szajka! Jak może pan tego nie rozumieć?!

Słuchałem jej i patrzyłem na kafelki. Zwykły pasek glazury nad kuchenką i zlewem. Moja glazura była ładna, bordowa, w zasadzie droga, ale kupiona za bezcen jako „końcówka”. No bo ile tam było tej glazury, dwa metry?

Natalia miała inną glazurę. Banalną, błękitną.

W ciągu jednego dnia można wynieść z mieszkania wszystkie meble i skoro już się na to poszło, to nawet nakleić nowe tapety. Ale skuć starą glazurę i położyć nową? I to tak dokładnie?

A może jednak można?

Popatrzyłem na podłogę. Linoleum. Nie to, które było u mnie. Inne.

– To pana mieszkanie? – zapytał mnie jeszcze raz Dawydow. – Mieszka pan tu?

– Nie wiem...

– Jak to pan nie wie? – Sierżant się stropił. – Przecież...

– Mieszkam. To moi sąsiedzi. – Skinąłem na świadków. – Ale... tu się wszystko zmieniło. Meble są inne. Linoleum na podłodze... ja miałem jaśniejsze i takie miękkie, na podkładce.

Natalia prychnęła.

– I glazura na ścianach inna – dokończyłem, czując, że moje szanse na otrzymanie wsparcia milicji spadają.

– Glazura? – zainteresował się sierżant. – Glazura jest inna?

Podszedł do ściany. Poskrobał paznokciem fugę i zwrócił się do jednego z milicjantów:

– Pracowałeś na budowie, prawda? Można w ciągu jednego dnia zmienić glazurę na ścianie?

Milicjant się zawahał.

– Teoretycznie wszystko można. Dobry klej, szybko schnąca fuga... ale w praktyce nie.

– Chodźmy do łazienki – zdecydował Dawydow.

W łazience suszyła się bielizna. Damska. Natalia pośpiesznie zdejmowała ze sznurków majteczki i staniki.

– To pańska łazienka? – spytał Dawydow. – Pana glazura?

Ale się czepił tej glazury. Chociaż z drugiej strony rozumiałem, do czego zmierza. Co innego zmienić dwa metry glazury w kuchni, a co innego zrobić całkowity remont w łazience.

– Niby moja – odparłem smętnie. – Taka, jaka była, nie zmieniałem.

– Jakieś cechy szczególne? Obita wanna, pęknięta płytką?

Uczciwie próbowałem coś sobie przypomnieć. Tak bardzo chciałem znaleźć w tym mieszkaniu coś swojego.

– Na kranie była rysa, kupiłem wybrakowany – przyznałem się. – Ale ten jest inny, stary.

– Jak to stary?! – oburzyła się Natalia. – Nie zmieniałam kranu, jest taki, jaki był!

Pisnął radiotelefon sierżanta. Milicjant burknął coś do mikrofonu i w zadumie pomacał kran.

– Taak... Kto ma dokumenty na to mieszkanie?

– Ja! – zawołała Natalia. – Zaraz...

Pobiegła do pokoju.

– Ja też miałem – powiedziałem beznadziejnym tonem. – W biurku. Tylko że nie ma go w pokoju, już zaglądałem. To znaczy, biurka nie ma.

– Takie dokumenty należy trzymać w sejfie w banku – powiedział poważnie sierżant.

Wtedy nie wytrzymałem i wybuchnąłem:

– Co ty pleciesz, stróżu porządku?! Jaki znowu sejf? Co ja jestem, nowy Rosjanin, żeby w banku sejf wynajmować? A ty gdzie trzymasz swoje dokumenty?

Nawet się nie obraził i to mnie chyba najbardziej przeraziło.

– Pod materacem. Niech pan ochłonie, Kiryle Daniłowiczu, bo powie pan coś niepotrzebnie i będziemy musieli pana zatrzymać.

Wróciła Natalia z dokumentami – zawiadomienia o czynszu, dowody zapłaty za elektryczność, umowa kupna mieszkania. Milczałem. Sierżant przejrzał dokumenty, oddał i powiedział:

– No cóż, panie i panowie, nie widzę możliwości udzielenia wam pomocy. Pan, Kiryle Daniłowiczu, musi się zwrócić do sądu. Jeśli mieszkanie rzeczywiście jest pańskie.

– Jak to „rzeczywiście”?! – zawołałem.

Dawydow skrzywił się i dokończył:

– Kopie dokumentów są u notariusza, w organach rejestracji aktów sprzedaży mieszkań, a wreszcie w spółdzielni. Podmienić te wszystkie dokumenty... – Zawahał się. – Zapewne można, ale to proces tak złożony i drogi, że gra nie byłaby warta świeczki. Nikt nie będzie robił czegoś takiego dla kawalerki w domu z wielkiej płyty!

Natalia prychnęła tak triumfująco, że nie było wątpliwości – ona ma pewność, że odpowiednie dokumenty tam właśnie są – i w administracji i u notariusza.

– A pani, obywatelko Iwanowa, radziłbym nawiązać jako takie stosunki z sąsiadami. Czy ktoś może potwierdzić, że pani tu mieszka? Przyjaciółki, krewni?

– Krewni mieszkają w Pskowie, nie odwiedzali mnie tu – odparła Natalia. – Z przyjaciółkami chodzę do parku i do kina, i nie piję w domu, jak mężczyźni. A z takimi sąsiadami, bez wstydu i sumienia – popatrzyła gniewnie na świadków – nie życzę sobie nawiązywać żadnych stosunków.

– Spokojnie, spokojnie. – Dawydow ruchem ręki powstrzymał Piotra Aleksiejewicza, który już zrobił krok w stronę Natalii. – Sytuacja jest skomplikowana, ale prawda zawsze triumfuje. Wyjdźmy z mieszkania obywatelki.

Zrozumiałem, że przegrałem. I nie mogłem nic zrobić ani powiedzieć. Chociaż...

– Keszju ci nie zostawię, suko! – Złapałem kręcącego się u nóg Natalii skye teriera – Ał!

Keszju ugryzł mnie w palec, wywinął się, upadł na podłogę i zaczął szczeekać. Na mnie.

– No, tylko mi psa skrzywdź, bydlaku! – wrzasnęła Natalia. – Keszju, malutki...

– Niech pokaże dokumenty na psa! – zawołałem. – To mój pies!

Keszju siedział u Natalii na rękach i obszczekiwał mnie oburzony. Palec bolał, ale krew nie leciała; Keszju nie ugryzł bardzo mocno.

– Chodźmy, Kirył. – Dawydow poklepał mnie po ramieniu. – Chodźmy. Pies najwyraźniej się z panem nie zgadza.

– Zaraz pokażę dokumenty! – krzyczała za mną Natalia. – A to drań! To po to żeś wszystko wymyślił, tak? Żeby mi psa odebrać?

Gdy wyszliśmy na klatkę – Dawydow trochę mnie popychał, a trochę wypychał – drzwi zatrzasnęły się za nami z hukiem. Szczęknęły zamki, brzęknął łańcuch.

– A to ci chryja – powiedział wstrząśnięty sierżant.

Popatrzyłem na sąsiadów. Galina, w końcu przypomniałem sobie jej imię odojcowskie, Romanowna, parzyła na mnie z autentycznym zachwytem. No pewnie! Taki temat do rozmów!

– Będzie się pani uśmiechać, jak kiedyś wróci pani z piekarni i zastanie w swoim mieszkaniu obcego faceta – powiedziałem zgryźliwie.

Oczy Galiny Romanowny się zaokrągliły.

– Ach ty! – wrzasnęła, w panice cofając się do swojego mieszkania. – W ogóle cię nie znam! I nie mieszkałeś tu nigdy!

Dawydow westchnął.

– I po co to panu? Przed panem długa sprawa w sądzie, po co nastawiać świadków przeciwko sobie?

– A pan mi wierzy? – zapytałem.

Nigdy nie lubiłem milicji, zbyt często spotykały mnie kłopoty zamiast pomocy. Ale ten sierżant mi się spodobał. On... jakby to powiedzieć... wyglądał na prawidłowego milicjanta, takiego, jaki powinien być. Nawet mnie nie uraziło to, że spasował przed dokumentami Natalii.

– Wierzę. Nie wygląda na to, żeby pan kłamał, zresztą, po co miałby pan to robić. I pańskim sąsiadom wierzę. – Dawydow wyjął paczkę „Jawy”,

podsunął mi, ale odmówiłem. Sierżant zapalił i mówił dalej: – Gdyby to ode mnie zależało, to jedno słowo tej wściekniętej baby znaczyłoby więcej niż wszystkie papiery.

– No, skoro już ona się wstawiła... – burknął Piotr Aleksiejewicz. – Nie poczęstowałby pan?

Dawydow zerknął w paczkę.

– Ostatniego nawet gliniarz nie zabiera... za to może poczęstować. Pał, mam w samochodzie.

Chyba nie chcieli się rozchodzić – do tego stopnia zszokowało ich to wydarzenie.

– Co ja mam zrobić? – zapytałem.

– Żadnych dokumentów, oprócz dowodu, pan nie ma?

Pokręciłem głową.

– Niech pan idzie do administracji. Niech pan chodzi po wszystkich biurach, w których mogą być jakiegokolwiek dokumenty potwierdzające pańskie prawo do mieszkania. Bez dokumentów człowiek jest...

– Nikim – mruknąłem.

– Właśnie. Nawet gdybyś przyprowadził stu świadków, którzy z tobą w mieszkaniu pili wódkę, kładli tapety, robili parapetówkę, to bez papierka jesteś nikim i nie pomoże ci żaden sąd. Jeśli masz znajomych pismaków, to się do nich zwróć. Może coś doradzą, albo napiszą artykuł.

– To tylko kiedyś artykuły miały jakieś znaczenie – burknął Piotr Aleksiejewicz. – A teraz to tylko się podetrzeć.

– Z psem dziwnie wyszło – zauważył Dawydow. – Wszystko dopuszczam – i że dokumenty podmienili i że tapety położyli i że glazurę skuli. Ale żeby pies swojego pana nie poznał? Dorosłego pan brał?

– Dwumiesięcznego szczeniaka.

– Nic nie rozumiem. – Dawydow pokręcił głową. – To znaczy, że to inny pies.

– Mój! Co, ja swojego psa nie poznam? To tylko dla obcego one wszystkie są takie same.

Radiotelefon Dawydowa znów zapiszczał.

– Powodzenia – burknął sucho sierżant, jakby doszedł do wniosku, że za bardzo się spoufalił. Nacisnął guzik windy. – Prawda zawsze wyjdzie na jaw.

– Do zobaczenia – powiedział bez sensu gliniarz, który kiedyś pracował na budowie.

Weszli do windy, zaczepiając się lufami automatów i zupełnie tego nie zauważając. Tak właśnie dochodzi do nieszczęśliwych wypadków.

– Kirył, może wejdiesz, wypijesz setkę? – zapytał Piotr Aleksiejewicz. – Wyglądasz jak trup.

Pokręciłem głową.

– Upić to ja się dzisiaj na pewno upiję, ale jeszcze nie teraz.

– Masz gdzie przenocować?

– Mam... chyba. Jeśli u rodziców nie są teraz zameldowani jacyś tadżyccy uchodźcy.

Piotr nawet się nie uśmiechnął.

Ja też pomyślałem, że w moich słowach nie ma nic śmiesznego. Uścisnąłem dłoń sąsiada i ściągnąłem windę.

– Jakby co, to zawsze powiem, że tu mieszkałeś – powiedział jeszcze Piotr. – I córka potwierdzi, i żona...

Zarejestrowałem to „mieszkałeś”, chociaż sąsiad pewnie nie przydał temu żadnego znaczenia.

2.

W mieszkaniu rodziców nie było ani tadżyckich uchodźców, ani bezczelnych brzydkich kobiet. Wyjąłem z lodówki paczkę zamrożonych parówek i kiedy się gotowały, podlałem kwiaty. Kwiatki miały szczęście: wprawdzie obiecałem rodzicom, że będę przyjeżdżać, ale ciągle nie mogłem się zebrać.

A może to wszystko wina kwiatów? Przecież posiadają wspólny roślinny rozum, władają pradawną magią...

Zachichotałem i poszedłem zjeść parówki. O dziwo, nastrój nie siadł mi ostatecznie, przeciwnie, poprawiał się z każdą minutą.

Odebrali mieszkanie? A guzik. Nikt mi go nie odbierze. Znajdą się papiery, świadkowie, odpowiedni ludzie w prokuraturze, żeby „wziąć sprawę pod kontrolę”. W końcu mój ojciec całe życie pracował jako ginekolog, i to całkiem niezły, przeszło przez niego sporo kobiet-sędziów i żon sędziów. Pomogą. W naszym kraju rację ma nie ten, kto ma rację, lecz ten, kto ma więcej przyjaciół. A ja i rację mam, i kontakty się znajdą.

Za to potem będzie co wspominać!

Uspokajając się w ten sposób, wyjąłem z lodówki butelkę wódki, wypilem setkę pod parówki i schowałem butelkę z powrotem. Nie miałam zamiaru upijać się w samotności. Ale za to pogadać przy butelce z mądrym człowiekiem, odprężyć się... o, to chętnie.

Wziąłem telefon i uwalilem się na kanapę. Do kogo by się tu wprosić albo, jeszcze lepiej, kogo zaprosić do siebie? Kogoś takiego, żeby rozmowa nie zamieniła się w pijacki bełkot o niczym.

I wtedy zadzwonił telefon.

– Halo? – spytałem czujnie. Nie daj Boże rodzice wpadli na pomysł, żeby zadzwonić do mnie do domu i natknęli się na tę... łachudrę.

– Kirył? – rozległ się radosny głos. – Wreszcie cię znalazłem! Komórka wyłączona, w twoim mieszkaniu Anka się drze, że ty tam nie mieszkasz... Co ty, zwariowałeś, mieszkanie jej zostawiłeś i odszedłeś?

– Anka? – zapytałem, wyjmując komórkę. Cholera, faktycznie padła, a ładowarka została w mieszkaniu.

– No a kto? Jakaś baba...

Wszystkie kobiety na świecie Kotia dzielił na baby i damę. Baby to wszystkie osoby płci żeńskiej. Dama to ta baba, w której w danej chwili był zakochany.

– Kotia, nie pleć – poprosiłem. – Tu się takie rzeczy dzieją... Potrzebuję twojej rady.

– A ja twojej! – zawołał radośnie Kotia.

Kotowate były mu zupełnie obojętne, ale nie darząc sympatią swojego zapisanego w metryce imienia „Konstanty” chętnie reagował na Kotię albo Kotka. Zwykle takie przydomki przyklejają się do wielkich, niezgrabnych chłopów, traktujących je z ironią – ale Kotia był wyjątkiem. Niewysoki, szczupły i zwinny, nie Quasimodo i nie Apollo, Kotia miał po prostu urok i wdzięk. Wielu amantów, którzy próbowali razem z nim poderwać jakieś dziewczyny, ze zdumieniem spostrzegano, że najładniejsza niezmiennie wybierała Kotię. „Można po prostu Kotek” – mówił z uśmiechem podczas zawierania znajomości i wcale nie brzmiało to manierycznie czy fałszywie.

– Przyjeżdżaj – powiedziałem. – Do rodziców. Adres jeszcze pamiętasz?

– Pamiętam. – Kotia skłęśł. – Słuchaj, ja tu mam pilną robotę, muszę artykuł wykończyć, to jakieś dwie godziny pracy. Przyjedź ty, co?

– A twoja dama nie będzie miała nic przeciwko? – zapytałem.

– Wszystkie baby to suki – powiedział z przygnębieniem Kotia.

Jasne. Kolejna dama przeszła do kategorii bab, nie zdolawszy zaobrączkować mojego ruchliwego przyjaciela. A nowa jeszcze się nie pojawiła.

– To przyjadę – westchnąłem. – Ale żebyś wiedział, jak mi się nie chce odrywać od kanapy...

– Mam dobry koniaczek – zatrajkotał Kotia. – Ważki argument, co?
– Do licha z twoim koniaczkiem... Dobra, zaraz przyjadę. Co zabrać?
– No przecież na pewno sam najlepiej wiesz – powiedział Kotia. –
Wszystko, co chcesz, oprócz bab!

I tak się stało, że pozbawiony mieszkania pojechałem pić z przyjacielem. Typowy rosyjski wariant rozwoju wydarzeń, nie należało się spodziewać niczego innego.

* * *

Kotia mieszkał w sporym dwupokojowym mieszkaniu w starym stalinowskim domu, w północno-zachodniej części miasta. Czasem w jego mieszkaniu panowała wzorowa czystość, ale teraz, pod nieobecność damy do domu stopniowo zakradał się charakterystyczny dla gospodarza bajzel. Sądząc po kurzu na parapecie i nieumytej kuchence, z kolejną swoją pasją Kotia rozstał się co najmniej tydzień temu.

Gdy przyszedłem, oderwał się od komputera, postawił na stole butelkę koniaku – porządnego pięcioletniego „Araratu” – i zadowolony zatarł ręce.

– No, teraz to już pójdzie jak z płatka. Bez setki nie mogę napisać opowiadania, a w samotności nie piję.

To był jego standardowy tekst. Bez setki nie przeżyłby odejścia kolejnej damy, nie dokończył opowiadania, nie dałby mądrej rady. A w samotności faktycznie nigdy nie pił.

Rozlaliśmy koniak do kieliszków. Kotia popatrzył na mnie pytająco. W mojej głowie wirowały dziesiątki pytań, ale zadałem najbardziej idiotyczne:

– Kotia, co to jest łachudra?

– To właśnie jest to, o co chciałeś mnie zapytać? – Kotia poprawił okulary. Ma umiarkowaną krótkowzroczność, ale ktoś mu powiedział, że w okularach mu do twarzy. Prawdę mówiąc, tak właśnie było, a poza tym, w okularach Kotia wyglądał na inteligentnego europejskiego chłopca, pracującego „w sferze kultury”, czyli na samego siebie. – Łachudra, mój naiwny przyjacielu, to prostytutka najniższych lotów. Dworcowa, tirówka...

– Tirówka?

– No, ta, co z kierowcami tirów... – Kotia się skrzywił. – I powiem ci szczerze, że w każdej babie siedzi taka właśnie łachudra.

– O, za to pił nie będę – uprzedziłem.

– W taki razie wypijmy po prostu za baby.

Wypiliśmy.

– Jeśli z rozpaczy postanowiłeś zamówić prostytutkę... – zaczął Kotia.

– Nie. A ty o co chciałeś mnie zapytać?

– Słuchaj, twój ojczulek to przecież ginekolog?

– Owszem, no i co?

– Jakie mogą być choroby weneryczne? Egzotyczne?

– A co, masz problem z postawieniem diagnozy? – nie wytrzymałem. – AIDS, syfilis...

– Ograne – westchnął Kotia. – Piszę dla jednej gazetki list, niby taka spowiedź faceta, który prowadził bujne życie seksualne i w efekcie ucierpiał. No przecież nie zaraził się syfilisem! I nie AIDS... Ograne i nudne.

– Wstaw coś z własnego doświadczenia – poradziłem złośliwie. – Nie wiem, stary. W domu mógłbym zajrzeć do jakiejś książki, ale z pamięci... Nie jestem lekarzem.

Kotia zarabiał na życie w dość oryginalny sposób – pisał opowiadania dla prasy brukowej. Rzekomo dokumentalne. Różne wyznania matek, które zgrzeszyły z synami, rozterki gejów zakochanych w facetach o orientacji hetero, zapiski zoofilów, którzy zapałali miłością do jeżozwierz, wyznania nastolatek, które uwiódł sąsiad czy nauczyciel. Całe to gówno pisał kilometrami, kiedy rzucała go kolejna kobieta. A gdy życie płciowe Kotii się stabilizowało, przerzucał się na sensację o latających talerzach, duchach i zjawach, życiu osobistym sławnych ludzi, masońskich spiskach, żydowskich intrygach i komunistycznych tajemnicach. W zasadzie było mu wszystko jedno, o czym pisze, miał tylko dwie grupy tematyczne: o seksie i nie o seksie.

– No dobra. – Kotia się skrzywił. – Niech będzie AIDS. W końcu...

Podszedłem do komputera, zerknąłem na ekran i pokręciłem głową.

– Kotia, czy ty chociaż rozumiesz, co piszesz?

– A co? – spytał czujnie.

– Co to za zdanie? „Miała zaledwie szesnaście lat, ale była rozwinięta jak siedemnastolatka”.

– Co ci się nie podoba? – Kotia się nadał.

– Chcesz powiedzieć, że jesteś w stanie odróżnić szesnastolatkę od siedemnastolatki? Po stopniu rozwoju fizycznego?

Kotia mruknął coś niezrozumiałego i w końcu powiedział:

– To zamień „siedemnastolatka” na „dwudziestolatka”.

– Sam sobie zamień. – Wróciłem do stołu. – Jak długo można pisać te bzdury? Napisz wreszcie jakąś powieść erotyczną, dużą, poważną. To przynajmniej będzie literatura. Może Nobla dostaniesz albo Bukera?

Kotia spuścił wzrok i ze zdumieniem zrozumiałem, że trafiłem w dziesiątkę. Chyba już coś takiego pisze... albo ma zamiar.

W zasadzie wystarczyłoby, żeby Kotia opisał swoje życie – wyszłoby interesujące czytadło o moralności moskiewskiej bohemy i okolicach. Ale tego już mu nie mówiłem – zdaje się, że limit przyjacielskich złośliwości wyczerpałem.

– Mam poważny problem, Kotia – powiedziałem i sam się zdziwiłem, jak prawdziwie to zabrzmiało. – Zupełnie wariacka historia...

Słowa płynęły same z siebie. Podczas mojej opowieści prawie dopiliśmy koniak, Kotia kilka razy zdejmował i przecierał okulary, w końcu odłożył je na telewizor. Kilka razy zadawał pytania, a raz nie wytrzymał i zapytał: „Nie bujasz?”.

Gdy skończyłem, dochodziła dwunasta.

– Aleś wdepnął – oznajmił tonem lekarza ogłaszającego wstępną, acz nieprzyjemną dla pacjenta diagnozę. – I żadnych papierów?

– Żadnych.

– A nie zgubiłeś czasem dowodu... no, dokumentów? Może potajemnie sprzedali twoje mieszkanie i zameldowali tę łajzę.

– Kotia! Ona twierdzi, że mieszka tam od trzech lat! I dokumenty to potwierdzają!

Kotia skinął głową.

– Na pierwszy rzut oka zwykle mieszkaniowe oszustwo. Ale... żeby w ciągu jednego dnia zmienić tapety, glazurę i... co tam jeszcze?

– Linoleum.

– Właśnie. A także kran, potem wynieść meble, wstawić nowe. I jeszcze sprawić, by wyglądało na zamieszkane, rozrzucić kapcie, porozwieszać staniki. Kirył, jedyna rozsądna wersja to taka, że kłamiesz.

– Dziękuję.

– Poczekaj. Mówię, że to rozsądna wersja. A teraz inne. Pierwsza: zwariowałeś. Albo jesteś w alkoholowym ciągu. Mieszkanie sprzedałeś tydzień temu, jak cię Anka rzuciła, i zupełnie o tym zapomniałeś.

– A także sfalszowałem dokumenty, żeby mieszkanie wyglądało na sprzedane trzy lata temu.

– Poczekaj, na początek upewnijmy się, że jeszcze wczoraj wszystko było w porządku. Był ktoś u ciebie?

– Nie. – Pokręciłem głową. – Chociaż nie, zaczekaj, był! Igorek wieczorem podskoczył, chciał film pożyczyć.

– Jaki?

– Nie pornola – burknąłem złośliwie. – Japoński, animowany.

– A co to za Igorek.

– Nie pamiętam nazwiska, Igorek to Igorek. Bystry taki chłopaczek, pracował w naszej firmie, a potem przeszedł do konkurencji. E, znasz go! Składał ci komputer!

– A, ten, co ciągle przed wojem ucieka? – Kotia się uśmiechnął. – Pamiętam. Masz jego numer?

– Telefon mi padł.

– Ale masz nokię, nie? Weź moją ładowarkę, one są standardowe. Potem ci wystawię rachunek za prąd. – Zachichotał.

Wyjąłem telefon, podłączyłem – faktycznie, duża wygoda, że w różnych modelach jest to samo wejście – i zacząłem szukać w „kontaktach”.

– O, mam. No i co?

– Wybierz.

Kotia zabrał mi telefon, niebezpiecznie odchylił się na taborecie, sprytnie oparł o ścianę i dziarsko zawołał:

– Igorek! Siemasz, tu Kotia. No, ten, któremu rok temu komputer składałeś. Przyjaciel Kiryła.

Mrugnął do mnie. Zacząłem otwierać butelkę, którą przyniosłem.

– No wiem, wiem, że późno, przepraszam. Ale mamy ważną i pilną sprawę. Byłeś wczoraj u Kiryła? Jaka znowu „Służba dostawy Kiki”? Nie, nie interesuję się. Mam inne pytanie: Kirył ciągle mieszka w Miedwiedkowie? Tak? Kawalerkę ma, nie? Aha. A mieszkanie wyglądało normalnie, nie było śladów rozgardiaszu, remontu, przeprowadzki? Tak, strasznie mi potrzebne. Aha. A ma psa? Fajnego, mówisz? A przypadkiem nie ugryzł wczoraj Kiryła? Nie, prawie trzeźwy. Posłuchaj, powiedz swojej babie, że jak mężczyźni rozmawiają, to nie należy przeszkadzać. Nawet, jeśli czeka na ciebie w łóżku... Że co?

Kotia oddał mi telefon i pokręcił głową.

– Uczysz, człowieku, tę młodzież, uczysz, oświecasz seksualnie... A oni swoich bab wychować nie potrafią! Tak. Ale jak rozumiem, masz świadka. Jeszcze wczoraj tam mieszkalesz, a twój pies uważał cię za swojego pana, a nie za obcego kmiota.

– Kotia, ja ci mogę znaleźć jeszcze z dziesięciu świadków, i co z tego? Romka Litwinow trzy dni temu zajrzał, piwo piliśmy, on w ogóle często bywa; jeszcze ktoś... Zrozum, nie oszalałem! W moim mieszkaniu mieszka obca kobieta i wszystko wskazuje na to, że mieszka tam od dawna!

– Mówisz, że nieładna? – rzucił niedbale Kotia.

– Na damę nie wygląda na pewno.

– Czego się nie robi dla przyjaciela – stwierdził Kotia. – Gdzie pracuje?

– Gliniarzowi mówiła, że handluje butami na bazarku Czerkizowskim.

– O Jezu... – westchnął Kotia. – Co za koszmar. Dawno już nie uwodziłem sprzedawczyń. Ale nowe buty by mi się przydały.

– Ale kombinujesz – powiedziałem. – Tylko co mi to pomoże?

– Przynajmniej dowiemy się, co to za jedna.

Nie wątpiłem, że Kotia jest w stanie poderwać wyblakłą Natalię Iwanową. I nie czułem żadnej litości do tej aferzystki. Ale to mi nie wystarczało.

– Dobra, dzięki. Ale co ja jeszcze mogę zrobić? Poradź! Może zwrócić się do prasy?

Kotia prychnął wzgardliwie, o prasie miał bardzo niskie mniemanie.

– Jutro rano nie idziesz do pracy. Dzwonisz do szefa, usprawiedliwiasz się. I zasuwasz po trasie administracja-notariusz.

– No i co?

– Idziesz wszędzie tam, gdzie mogą być dokumenty świadczące o twoim prawie do byłego mieszkania.

– Jak jeszcze raz powiesz „byłego”, to dostaniesz – powiedziałem ponuro.

– Wybacz. Do przyszłego. – Kotia zwinnie uchylił się od mojego zamarkowanego ciosu. – No dobrze, terazniejszego, terazniejszego. Jednym słowem, zagładasz wszędzie, nie zapominając o operatorze telefonicznym.

– O, właśnie! – ożywiłem się.

– A potem, gdy się okaże, że nigdzie nie ma twoich dokumentów...

– Dlaczego nigdzie? – Natychmiast przetrzeźwiałem.

– Kirył... Sądząc z rozmachu afery, wzięli się za ciebie na poważnie. Nie rozumiem, kto i po co to robi, ale głupotą byłoby zrobienie w mieszkaniu błyskawicznego remontu, sfalszowanie dokumentów i nieusunięcie prawdziwych. A twoi nieznani nam wrogowie głupcami nie są. A więc, dokumentów nie znajdujesz. Wtedy idziesz do prawnika. Dobrego. Do bardzo dobrego, jeśli masz pieniądze, a nie na jakąś tam prawniczą konsultację. Jeśli nie masz forsy, mogę ci pożyczyć... No, pół tysiąca mogę na pewno.

– Dzięki, mam forszę. Na karcie mam prawie tysiąc, a rodzice... Generalnie wiem, gdzie trzymają pieniądze.

– Dobrze. Prawnik udzieli ci mądrych porad, a ja spróbuję zawrzeć znajomość z tą ba... – Kotia przemógł się i dokończył: – Z damą. Nie sądzę, żeby się spodziewali takiego ruchu.

– Oni?

– A co, ta kobieta przypomina Sziwę? Jedną parą rąk kładła glazurę, drugą tapety, trzecią linoleum? No, naprawdę muszę poznać tę spryciarę. Właśnie, a propos remontu! Pójdiesz do jakiejś firmy budowlanej, takiej poważnej i będziesz udawał bogatego świra. Dręcz ich pytaniami, czy można w ciągu ośmiu godzin zrobić remont w kawalerce – wylicz im to, co zmienili u ciebie w mieszkaniu. Powiedz, że chcesz zrobić niespodziankę żonie. Chociaż nie, nie masz obrączki... przyjaciółce. Albo wymyśl coś innego. Ale

przyjaciółka będzie najbardziej prawdopodobna. To bardzo ważne, co oni powiedzą.

Kotia się ożywił. Najwyraźniej ekscytowała go sytuacja, w której się znalazłem. I tak to właśnie zawsze jest – twoje problemy stają się rozrywką nawet dla najlepszych przyjaciół.

– W zeszłym roku wymieniałem sedes – zaczął Kotia. – Stary rozbiłem... przez głupotę... I znalazłem takiego porządnego majstra, niepijącego, w podeszłym wieku... No bo wiesz, jak to jest z sanitariatami?

Na wszelki wypadek skinałem głową.

– Tu trzeba mieć doświadczenie! Doświadczenie jest najważniejsze – oznajmił Kotia. – No i ten stary doświadczony majster cały dzień instalował sedes, od ósmej rano do dziesiątej wieczór. Ja się umęczyłem i on cierpiał. Bo dobrzy majstrowie mają taki przesąd: dopóki nie skończysz instalować sedesu, nie wolno wejść do toalety. Ale potem „oblać” go to już ich święte prawo i obowiązek. Czternaście godzin na jeden sedes! A u ciebie cały remont zrobili w osiem!

Z szafki w kuchni Kotia wyjął papierosy i popielniczkę. Skinałem głową, chociaż paliłem tak samo rzadko jak on. Zapalek Kotia nie znalazł, przypaliliśmy od kuchenki z zapalaczem.

– A jak ci się udało rozwalić sedes? – zapytałem.

– No, przecież ci mówię, że z głupoty. Wiesz, są takie chińskie petardy, takie małe jak zapalki. Pocierasz, rzucasz, a ona wybucha. Przed Nowym Rokiem dzieciaki się takimi bawią.

– No i?

– W lecie chodziliśmy się z przyjaciółmi kąpać. Miałem akurat pudełko takich petard i razem zaczęliśmy wrzucać do wody. Petardy nie gasły i wybuchały w wodzie. Super wyglądało, strasznie śmiesznie. A potem przyjechałem do domu i chciałem pokazać... jednej damie... że te petardy palą się w wodzie. No przecież nie będę nalewał wody do wanny! Wrzuciłem jedną do sedesu... dobrze chociaż, że drzwi przymknałem. Huk, łomot – i cały sedes na kawałki... tylko rura sterczała i ostre krawędzie.

– Uderzenie hydrodynamiczne – oznajmiłem. – Wybuch w ciekłym środowisku, w zamkniętej przestrzeni. Trzeba było myśleć!

Kotia się nie spierał. Westchnął, zaciągnął się papierosem i powiedział:

– Wiesz co... Najbardziej niepokoi mnie twój pies. Naprawdę.

– Gliniarz mówił to samo.

– I miał rację. Ściany można przemalować. Ludzie mogą skłamać. Pies nie zdradzi nigdy. – Przez chwilę palił w milczeniu, a potem z przyjemnością powtórzył: – Ludzie mogą oszukać. Pies nie zdradzi nigdy. Trzeba będzie wstawić do opowiadania o zoofilu...

– Ty draniu – mruknąłem. – Jak nic zostaniesz pisarzem! Z ludzkiego nieszczęścia będziesz opowiadanie robił!

– Nie z ludzkiego nieszczęścia, tylko z własnego dobrego sformułowania – poprawił Kotia. – No, to by było wszystko. Będę jeszcze myślał, ale na razie nic więcej nie mogę ci doradzić. Powiedz lepiej, co tam z Anką?

– A nic. Marzy jej się stabilizacja, pewność, jednym słowem obrączka na palcu.

– A co, masz coś przeciwko temu? Najwyższy czas, żeby się ustatkować! Ćwierć wieku przeżyłeś i ciągle pracujesz jako menadżer w firmie handlowej, sprzedajesz części zamienne do kompów. To ma być praca? To tak, jakbyś powiedział: „Moja praca w OTK – nadmuchuję prezerwatywy”! Potrzebna ci dobra praca, wierna żona, małe dziecko...

Wytrzeszczyłem oczy.

– Żartuję, żartuję – wymruczał Kotia. – Nie ja cię będę uczył. Ale mimo wszystko szkoda, że rozstałeś się z Anką, podobała mi się.

Chyba mówił poważnie. Zastanowiłem się i nalałem koniaku do kieliszków.

– Mnie też szkoda, Kotia. Ale tak wyszło.

– W razie czego Anka będzie świadkiem?

– Będzie – powiedziałem z przekonaniem. – Właściwie to nawet się nie pokłóciliśmy, rozstaliśmy się jak kulturalni ludzie.

– Jak się rozstają kulturalni ludzie, to dopiero wtedy zaczyna się masakra. Żaden hydraulik by czegoś takiego nie wymyślił!

– Aleś się czepił tych hydraulików – mruknąłem. – Lepiej nalej.

Posiedzieliśmy jeszcze dwie godziny. Do trzeciej butelki, chwała Bogu, nie doszło, ale i tak pod koniec drugiej było nam już bardzo wesoło. Całą tę

historię z moim mieszkaniem zaczęliśmy traktować jak przygodę. Kotia opowiedział mi przypadek swojego dalekiego krewnego, który na drodze chytrych zamian, rozwodów i połączeń zamienił dwa mieszkania jednopokojowe na przeciwległych krańcach miasta na jedno czteropokojowe prawie w centrum. Ta historia z niewiadomego powodu wydała nam się strasznie śmieszna, rechotaliśmy na cały głos. I nawet kiedy Kotia oznajmił, że w efekcie nadmiernego napięcia krewny dostał zawału, zostawiła go żona i teraz jak głupi siedzi sam w wielkim mieszkaniu, chory i nikomu niepotrzebny, wcale nas to nie zmartwiło.

Kotia zauważył, że najważniejsza rzecz w życiu każdego człowieka to spełnić swoje przeznaczenie, o czym pisał wielki myśliciel Coelho. Widocznie przeznaczenie krewnego polegało na dokonaniu tej Wielkiej Zamiany. W porównaniu z tym spełnionym przeznaczeniem utrata zdrowia i żony to już drobiazgi.

Potem Kotia pościelił mi na kanapie i wrócił do swojego niedokończonego opowiadania. A ja przyłożyłem głowę do poduszki, powiedziałem, że na pewno nie zasnę, i natychmiast usnąłem wsłuchany w miarowy stuk klawiszy.

3.

Wstałem rano zaskakująco rześki i wyspany. Przypomni mi się stary dowcip o tym, że jak masz dwadzieścia lat i całą noc pijesz, to rano wstajesz wypoczęty i radosny. Jak masz trzydzieści lat i całą noc pijesz, to rano wstajesz i czujesz, że całą noc piłeś, a w wieku lat czterdziestu całą noc spokojnie śpisz, a rano czujesz się tak, jakbyś całą noc pił. Ponieważ byłem między dwudziestką a trzydziestką, to zdarzało mi się raz tak, raz tak.

Tym razem się udało.

Kotia jeszcze spał. Wziąłem prysznic, wyczyściłem zęby palcem wymazanym pastą, pogrzebałem w lodówce i zrobiłem sobie dwie kanapki z kiełbasą. Nie miałem zamiaru czekać, aż pracownik umysłowy wolnego zawodu się obudzi; chciałem szukać i znajdować, walczyć i zdobywać. Zajrzałem do sypialni.

Kotia spał na szerokim łóżku przyciśnięty sieroco do ściany. Potrząsnąłem go za ramię.

– Wstawajcie, hrabio!

Kotia zamruczał coś, otworzył oczy i popatrzył na mnie zdumiony.

– Idę szukać prawdy. Do administracji, notariuszy i innych adwokatów. Zamknij za mną drzwi.

– A... Kiria... – Kotia potarł nos. – Aleśmy wczoraj dali w palnik...

– Jedziesz na Czerkizowski?

– Żeby damę obejrzyć? Pamiętam, pamiętam. – Kotia stęknął i usiadł na łóżku. – Dobra, jedź... Zaraz wstanę...

– Skończyłeś opowiadanie?

– A jakże... „Dziewczyna i jej pies”. – Kotia wstał i poszedł za mną do przedpokoju. – Wspaniała historia wyszła, rozdzierająca... W dzieciństwie dziewczynkę uwiódł rodzony wujek, potem zgwałcili wszyscy koledzy z klasy po kolei, potem pracowała w burdelu na Malcie, a potem wróciła do Rosji i zajęła się hodowlą maltańskich owczarków. I wtedy właśnie znalazła swoją miłość.

– Głupku! – nie wytrzymałem. – Nie ma na świecie maltańskich owczarków! Są maltańskie bolończyki!

– Ty musisz to wiedzieć, bo jesteś znawcą psów. – Kotia się wcale nie speszył. – A przeciętnemu czytelnikowi wszystko jedno, czy to maltański bolończyk, czy yorkshire terier. Za to jakie wyszło finałowe zdanie: „Ludzie mogą skłamać. Pies nie zdradzi nigdy!”.

– No, no. Bukera masz w kieszeni – powiedziałem, wychodząc. Przypomniałem sobie Keszju i zepsuł mi się humor.

* * *

Następne cztery godziny spędziłem „w trasie”. Złapałem „okazję” z kierowcą-Kaukazem, jak to teraz zwykle bywa w Moskwie. Kierowca był sympatyczny, rydwan miał całkiem niezły i od razu dogadaliśmy się co do czasu i ceny, i zaczęliśmy jeździć po mieście. Administracja, notariusz... Wszystkie te miejsca, dokąd się człowiek nie pcha, jeśli nie musi. Ale dziś miałem szczęście, niemal wszędzie wchodziłem bez kolejki, niemal wszyscy biurokraci wczuwali się w moją sytuację.

Kotia miał rację.

Wszystkie dokumenty na mieszkanie były wypisane na Natalię Stiepanowną Iwanową.

Nie urządzałem skandalów, nie robiłem awantur. Na Natalię, to na Natalię. Po co nastawiać przeciwko sobie drobnych urzędników? Przede wszystkim trzeba uzyskać pełny obraz sytuacji.

Ostatnim punktem była Ostankinowska telekomunikacja. Telefon również należał do obywatelki Iwanowej.

I wtedy przyszła mi do głowy nieprzyjemna myśl. Poprosiłem kierowcę, żeby zatrzymał się przy biurze MTS na Prospekcie Mira, podszedłem do okienka kasy i podałem swój numer telefonu.

– Nazwisko – rzuciła dziewczyna.

– Maksimow.

– Nie zgadza się – odparła chłodno. – Proszę powtórzyć numer.

– Nazwisko: Iwanowa – zasugerowałem. – Na śmierć zapomniałem, przecież umowa jest na żonę.

– Ile chce pan wpłacić?

– Sto rubli – powiedziałem ponuro.

Wychodziło na to, że pozbawili mnie nawet komórki. Można by pomyśleć: żadna strata, w każdym kiosku można kupić zestaw „Bi+” albo „Jeans”, albo zawrzeć nową umowę. Ile miałem na rachunku? Z pięćset rubli, nie więcej.

Przeraziło mnie coś innego. Przewidzieli wszystko! Nie przegapili nawet takiego drobiazgu jak umowa na telefon komórkowy!

Czy naprawdę nie przegapili absolutnie niczego?

– Pojedźmy do przychodni – poleciłem kierowcy. – To tuż obok.

To była zwykła stara przychodnia, wiecznie w remoncie, z wielkimi kolejkami kaszłającej młodzieży i wzdychających staruszek. Młodzież przychodziła po zwolnienia, staruszki – dla towarzystwa. Żeby się tutaj leczyć, trzeba było mieć końskie zdrowie. Ja byłem tu zarejestrowany wyłącznie w celu rzadkich zwolnień „z powodu grypy”.

Mojej chudej karty nie było. Była za to karta obywatelki Iwanowej – gruba, podniszczona, widocznie Natalia lubiła się leczyć.

Wyszedłem z przychodni i stanąłem, patrząc na czekającego cierpliwie kierowcę. Dokąd może pójść bezdomny? Zresztą nie było aż tak źle. Mogę pójść do rodziców, mogę do przyjaciół, mogę do pracy.

– Czwarta godzina dobiega końca – uprzedził mnie kierowca.

– Dalej pójde piechotą – powiedziałem. – To niedaleko.

Zapłaciłem osiemset rubli – całkiem przyzwoita suma, jak na moskiewskie ceny.

– Ech, podrzucę cię – powiedział kierowca. – Co tam.

Zapewne gdybym opowiedział mu swoją historię, on by mnie zrozumiał. Kierowca był Mingrelem, który uciekł z Abchazji w czasie wojny. On też miał gdzieś tam dom, który teraz do niego nie należał. I nawet nie mógł go zobaczyć – „w Abchazji od razu by mnie zabili”.

A ja mogłem popatrzeć na swój były dom.

– Dziękuję – powiedziałem. – Przejdę się. Mieszkam niedaleko stąd.

Kierowca pojechał, a ja poszedłem w stronę bloku. Po drodze kupiłem paczkę papierosów – nerwy dawały o sobie znać. Do licha ze zdrowiem, gdy życie się wali!

Przez jakiś czas włóczyłem się wokół domu, paliłem i oglądałem zasłonki. Obce zasłonki. Ja nie wiesziałem zasłon, wołałem żaluzje.

Potem wszedłem do klatki, wjechałem na swoje piętro, postąłem przed drzwiami. Cisza. Keszju pewnie wyleguje się na kanapie...

Wyjąłem pęk kluczy i otworzyłem pierwszy zamek.

Ale drugiego już nie zdołałem. Przyjrzałem się i zobaczyłem, że zamek wygląda na nowy.

– Co tu się dzieje? – usłyszałem za plecami.

Odwróciłem się – po schodach wchodził sąsiad.

– Piotrze Aleksiejewiczu, to przecież ja, Kirył! – zawołałem.

– Aa. – Skinął głową i zatrzymał się przed swoimi drzwiami. – Zmieniła zamek, rano. Sama zmieniła, zreżna dama.

Słowo „dama” od razu przypomniało mi Kotię.

– Co tu jest grane? – zapytałem. – Zabrali mi mieszkanie. Wyobraża pan sobie, wszystkie dokumenty są wystawione na nią! Wszędzie!

Piotr pokiwał głową. Wyjął klucze, zaczął otwierać swoje drzwi i powiedział:

– Szczerze mówiąc, sąsiedzie, ja tych twoich dokumentów nigdy nie widziałem.

To było jak cios w plecy! Nawet nie wiedziałem co odpowiedzieć. A tu szczęknęły drugie drzwi i z mieszkania wysunęła się Galina.

– A co to za jeden tu łązi? – zapytała Piotra Aleksiejewicza, kompletnie mnie ignorując.

– To przecież Kirył, sąsiad... były... – burknął Piotr.

– Jaki znowu Kirył? Jaki sąsiad? Tu Natalia Iwanowa mieszka! – powiedziała ze złością Galina.

– Ty stara cholero... – nie wytrzymałem. – Sumienia nie masz, o Bogu częściej myśl, bo wkrótce przed nim staniesz!

– Zaraz po milicję zadzwonię! – zawołała Galina, wskoczyła do swojego mieszkania i teraz już szalała za drzwiami.

– Milicja to ci teraz niepotrzebna – powiedział Piotr, wchodząc do swojego mieszkania. – Napijesz się?

Zacząłem w milczeniu schodzić po schodach. Nie byłem w stanie czekać na windę, we krwi buzowała adrenalina.

Dokąd teraz? Biuro budowlane... i kynolog. Zaczniemy od kynologa.

Wyjąłem telefon i odszukałem numer hodowcy, do której nie dzwoniłem już dwa lata. Odebrała po dłuższej chwili, zdaje się, że oderwałem ją od zajęć, zresztą, do hodowców rasowych psów ludzie dzwonią bez przerwy.

– Polina Jewgienijewna? – zapytałem sztucznie ożywionym głosem. – Mówi Kirył Maksimow, pamięta mnie pani? Kupowałem od pani Keszju.

– Keszju... Keszju... – mamrotała Polina Jewgienijewna. Jak wszyscy hodowcy, lepiej pamiętała psy niż ich właścicieli. – Pamiętam, wspaniały pies... Chce go pan połączyć z jakąś suką? A może zachorował?

– Ależ nie, wszystko w porządku – skłamałem. – Chciałbym się z panią skonsultować, jeśli można. Mój przyjaciel ma problem z psem.

– Tylko krótko – ustawiła mnie od razu Polina Jewgienijewna. Rzecz jasna, udzielanie konsultacji przyjaciółom byłych klientów nie należało do jej obowiązków.

– On też ma skye teriera, takiego fajnego młodego psiaka – powiedziałem. – Rzecz w tym, że pies nagle przestał uznawać swojego pana. Absolutnie przypadkową dziewczynę traktuje jak swoją panią, a na mojego przyjaciela warczy, szczeka, gotów ugryźć. Jak coś takiego mogło się stać?

– Zupełnie przestał go uznawać? – zapytała Polina.

– Zupełnie! Patrzy jak na obcego! A dziewczyny słucha jak złoto!

– Nie karał pan psa? – spytała Polina Jewgienijewna, dając mi do zrozumienia, że nie kupiła mojej żalösnej bajeczki o przyjacielu.

– Ależ nie, co też pani – wymruczałem.

– Nie kastrował go pan, prawda? Może dziewczyna ma teraz... no, trudne dni... – Polina Jewgienijewna się zawahała. – A pies jest młody, aktywny, to się do niej łąsi. Ale że przestał uważać pana za swojego pana...

– Mojego przyjaciela!

– Dobrze, dobrze, pańskiego przyjaciela. No więc proszę przekazać swojemu przyjacielowi, że skye to bardzo wrażliwa, inteligentna rasa. W odpowiedzi na brutalne traktowanie pies mógł się obrazić, nawet na swojego pana. Teraz należy traktować go z większą serdecznością, może nawet przeprosić. One wszystko rozumieją, zupełnie jak ludzie! Nie uwierzy pan, miałam taki przypadek...

– Czyli coś takiego jest możliwe? – przerwałem Polinie Jewgienijewnie.

– Osobiście nigdy się z tym nie zetknęłam – odparła sucho – ale wszystko kiedyś zdarza się po raz pierwszy. Dobroć i troska, niech pan zapamięta! Dobrocią i troską można od psa uzyskać wszystko, dobrocią, a nie siłą czy władczym tonem! Psy są jak ludzie, tylko jeszcze lepsze. W odróżnieniu od ludzi one nie zdradzają!

– Dziękuję bardzo – mruknąłem. – Przekażę przyjacielowi.

– No właśnie. I proszę przekazać żonie serdeczne pozdrowienia. Ma na imię Natasza, prawda?

Zrobiło mi się zimno. Odniosłem wrażenie, że słyszę w słuchawce szelest papierów.

– Myli się pani, nie jestem żonaty.

– No jak to nie jest pan żonaty?! Przecież mam tu wszystko zapisane: Keszju von Archibald, samiec, właścicielka: Natalia Iwanowa...

– Tak, tak, ma pani rację. Przepraszam, że panią niepokoiłem. Do widzenia.

Nie przegapili niczego. Podmienili dokumenty nawet w mieszkaniu hodowcy!

I po co? Żeby zdobyć kawalerkę w domu z wielkiej płyty?

Bzdura, nonsens!

Usiadłem na ławce. Wyjąłem jeszcze jednego papierosa. Popatrzyłem na trzymany w ręku telefon. Cudzy telefon, cudze mieszkanie, cudzy pies. A jeśli to wszystko to dopiero początek? Czego jeszcze mogą mnie pozbawić?

Rodziny. Przyjaciół. Pracy.

Wybrałem numer działu sprzedaży w swojej firmie. Zajęte. Normalka, dzwonią różne losie, szukają jak najtańszej debeściarkiej karty graficznej. Dobra, numer szefa.

– Słucham.

– Walentynie Romanowiczu, dzień dobry!

– Dobry.

– Mówi Kirył Maksimow, menadżer do spraw sprzedaży detalicznej.

– Z jakiej firmy?

Omal nie upuściłem telefonu.

– Z waszej! Z „Bit i bajt”!

Przerwa. Szepty, zasłanianie mikrofonu ręką. Szef nie ma pojęcia o technice i nigdy nie mógł nauczyć się korzystać z przycisku wyłączania mikrofonu. Miałem wrażenie, że słyszę: „Pracuje u nas Kirył Maksimow? W detalicznej?”. A potem szef tym samym uprzejmym tonem zapytał:

– Tak?

– Nie mogę przyjść dzisiaj do pracy, Walentynie Romanowiczu. Zaszły takie okoliczności...

Znowu przerwa i szept zza dłoni.

– Ee... Kirył Maksimow?

– Tak jest – powiedziałem tonem skazańca.

– Mówi pan, że gdzie pan pracuje?

– W dziale sprzedaży detalicznej. Menadżer do spraw sprzedaży. Niech pan zapyta Andrieja Isaakowicza!

– Andrieju Isaakowiczu – zapytał szef specjalnie głośno – czy pracuje u nas Kirył Maksimow?

– Nie – usłyszałem głos starszego menadżera do spraw detalicznych. – Walentynie Romanowiczu, przecież ciągle panu tłumaczę, że brakuje nam jednego człowieka! Trzy osoby nie radzą sobie przy naszych obrotach, to po prostu niemożliwe!

– Ee... Kiryle Maksimowiczu... – powiedział szef.

– Maksimow!

– Oczywiście. Niezupełnie zrozumiałem sens pańskiego żartu, ale jeśli chce pan pracować w naszej firmie i ma pan doświadczenie...

– Mam. Trzy lata pracy.

– Gdzie?

– W „Bicie i bajcie”! – krzyknąłem i się rozłączyłem.

Trząsałem się jak w gorączce. To już nie „papierki”. To, że nie poznał mnie Walentyn Romanowicz, to jeszcze nic takiego, w końcu nieczęsto się widzimy. Ale Andriuszka Liwanow, z którym wypiliśmy razem tyle spirytusu i przelaliśmy tyle potu w czasie pracy...

Skoro już zdecydowali się zabrać mi mieszkanie, mogli podmienić papierki.

Mogli przekupić... albo zastraszyć ludzi – jeśli chcą mnie zaszczuć.

Ale skąd u szefa i Andriuszki takie zdolności aktorskie? Przecież Andriej w żaden sposób nie mógłby wygłosić tej pełnej goryczy przemowy o braku jeszcze jednego menadżera!

Ręce mi się trzęsły, i to wcale nie z powodu wczorajszego pijaństwa. Rozejrzałem się. Moje podwórko. Moje, rozumiecie? Moje! Te ławki i karuzele na placu zabaw, odmalowane na dzień miasta, są moje! Ten dozorca, grabiący mokre jesienne liście jest mój! Ten sklepik na rogu, w którym kupuję chleb, kiełbasę i pielmienie, też jest mój! Wszystko wokół jest takie znane i moje, nawet kałuża w wąskim przejściu między blokami jest moja, sto razy przemoczyłem w niej nogi, raz nawet się pośliznąłem i klapnąłem w nią – wymachując rękami jak klaun, próbując utrzymać równowagę i w efekcie lądując na tyłku. Anka śmiała się wtedy jak wariatka, a ja, patrząc na nią, też zacząłem się śmiać, siedząc w kałuży. Przechodząca obok babcia powiedziała wtedy dobitnie, co myśli o dzisiejszej młodzieży.

Wybrałem numer Ani.

– Kirył, nie dzwoń do mnie, dobrze? – usłyszałem w słuchawce. – Nie chcę się z tobą kontaktować. Naprawdę nie chcę.

I rozłączyła się.

To już chyba faktycznie koniec. Ale wcale się nie zmartwiłem – przeciwnie, ucieszyłem! Anka poznała mój numer telefonu, pamiętała mnie!

Co się dzieje?

Usiadłem wygodnie, skinałem głową dozorczy, który mnie nie poznał i nie odpowiedział na skinienie, i zacząłem dzwonić do przyjaciół, znajomych i kontrahentów – do wszystkich, których numery telefonu miałem w komórce, poczynając od menadżera Aszimowa, od którego czasem kupowałem hardware dla firmy, a kończąc na znajomym ojca, stomatologu Jabłońskim, który pół roku temu zakładał mi kolejną plombę.

Pół godziny później, z prawie wyladowaną baterią telefonu, zakończyłem obdzwanianie bliższych i dalszych znajomych.

Układał się dziwny obraz. Chociaż nie, dziwny byłby wtedy, gdyby nie było w nim żadnych prawidłowości, a prawidłowości jednak były.

Przypadkowi znajomi, w rodzaju Jabłońskiego czy menadżerów dużych hurtowni, zapomnieli o mnie zupełnie. Kumple, z którymi wiązały mnie jakieś osobiste wspomnienia, przypominali sobie nie od razu, ale po tekstach w rodzaju: „Aloszka, powaliło cię? Przecież w zeszłym tygodniu siedzieliśmy przy piwie w pubie!” zaczynali tłumaczyć się i przeproszać, kładąc wszystko na karb odmóżdżającej pracy albo konsekwencje wczorajszego pijaństwa. Pięciu przypomniało mi sobie od razu – Kotia, ale to pewnie dlatego, że dopiero co się widzieliśmy, trzy dziewczyny, z którymi łączyły mnie bardzo serdeczne stosunki, i zupełnie niespodziewanie chłopaczek z konkurencyjnej firmy. Z nim kontaktowałem się niezbyt często... ale było w nim coś takiego... jakby gejowskiego...

Aż stęknąłem. A to dopiero! Historia rodem z opowiadań Kotii! Chyba rzeczywiście chłopak jest gejem, ja mu się pewnie podobam i dlatego mnie zapamiętał.

Myśl o tym, że jestem obiektem fantazji seksualnych geja, wstrząsnęła mną bardziej niż skleroza, która dotknęła moich znajomych. Wstałem, poszedłem do sklepiku i kupiłem piwo. Sprzedawczynie mnie nie poznały. Wróciłem na ławkę, próbowałem się skupić. Do licha z chłopaczkiem, któremu wpadłem w oko. Do wieczora nawet on kompletnie o mnie zapomniał. Brzyyydal.

Potem pewnie zapomną o mnie te dziewczyny, z którymi coś mnie łączyło.

Co dalej?

Bez mieszkania. Bez pracy. Bez przyjaciół.

Dowód? Co z tego! Fałszywy. Kupiony na bazarze.

A rodzice?

Czy nie wezwą milicji, kiedy zobaczą mnie w swoim mieszkaniu?

Wybrałem numer ojca. Wsłuchałem się w pstrykanie i trzaski światowego eteru.

– Tak?! – zawołał wesoło tata.

– Cześć, mówi Kirył.

– Kto, kto?

– Kirył! Co, rodzzonego syna nie poznajesz?!

– Słabo cię słyhać, Kiryłka – powiedział dobrodusznie ojciec. – Nie łączność komórkowa, tylko poczta polowa... Co słyhać? Pracujesz?

– W pocie czoła – powiedziałem, upijając łyk piwa.

– Matka pyta, czy jesteś zdrowy.

– Jak koń.

– Wszystko w porządku? Nic się nie stało?

Kusiło mnie, żeby wypalić: straciłem pracę i mieszkanie, a przyjaciele o mnie zapomnieli.

– Wszystko cool. Jak tam urlop?

– Dobrze. Turcy nas obskakują, trzeba się mocno trzymać za kieszeń – odpowiedział wesoło ojciec. – Szkoda, że nie pojechałeś z nami.

– O, a jak ja żałuję! – przyznałem.

– Tak tylko dzwonisz? Stęskniłeś się?

– Tak.

– Za trzy... za cztery dni wracamy. Matka ci tu prezentów nakupiła...

Skinałem głową. Ze dwa T-shirty z napisem „Turcja – kraj wesołych dziewcząt”, muszla, rytualnie przywożona znad morza, butelka jakiejś anyżowej tureckiej nalewki.

– To na razie, Kirył – powiedział ojciec. – Na koncie mam niewiele, a roaming ciągnie jak dziki.

– Wpłacić ci? – zapytałem.

– Daj spokój, nie trzeba. Na razie!

– Na razie, tato.

Czułem się okropnie. Niby mnie poznali i nawet prezenty przywożą...

Rzecz w tym, że nie miałem żadnej pewności. Skoro wystarczył jeden dzień, żeby zapomnieli o mnie przyjaciele, to rodzicom po prostu zajmie to więcej czasu. Dużo więcej. Może nawet cały tydzień. Ale wcześniej czy później, tego byłem pewien, zapomną mnie również oni. Będą ze zdumieniem natrafiać na moje zdjęcia... Zresztą, skąd pewność, że zdjęcia nie znikną? A może zamiast nich pojawią się jakieś inne?

Co robić?

– Potrzebuję specjalisty – wymruczałem i skinałem głową.

Tak, potrzebuję specjalisty. Człowieka, który by coś zrozumiał z tego, co się dzieje. Milicjant? Raczej nie. Adwokat? Nigdy w życiu. Parapsycholog? Już prędzej. Dzieje się coś niesamowitego. Parapsycholog... A może kapłan?

Stropiony dotknąłem krzyżyka, który wisiał na mojej szyi. Formalnie jestem prawosławny, ochrzczony nie w dzieciństwie, lecz w całkiem świadomym wieku, czyli prawosławny z wyboru. I do cerkwi chodzę... czasami... raz do roku idę do spowiedzi. Może rzeczywiście nadeszła pora zwrócić się do Boga?

Tylko że z Bogiem to nie jest taka prosta sprawa, nie ma co liczyć na osobistą audiencję. Trzeba by pójść do jego ziemskich przedstawicieli. A co sobie pomyśli rozsądny kapłan – a przecież oni są bardzo rozsądni – gdy opowiem mu swoją historię?

Zgadza się. Pomyśli: chory człowiek. A w każdym razie: opętany. Na pewno zacząłby mnie pocieszać. Radzić, żebym się modlił. Może nawet pomodliłby się razem ze mną.

Ale oczywiście nikt by mi nie uwierzył. Najwyżej niezbyt rozsądny kapłan, a takiej pomocy mi nie trzeba.

Na wszelki wypadek pomodliłem się. Poczułem się odrobinę lepiej, jak zawsze, gdy człowiek próbuje przerzucić problem na cudze ramiona, gdy ma wrażenie, że mu się udaje.

Mimo wszystko potrzebowałem prawdziwej rady, i to w tym życiu.

Znowu wybrałem numer Kotii.

– Tak? – odezwał się bohater frontu literackiego.

– Cześć, mówi Kirył.

– Ee... Jaki Kirył?

Aha, czyli zapomniano mnie w postępie geometrycznym.

– Kotia, dzwoniłem do ciebie pół godziny temu. Pamiętasz?

– No... – zaczął niepewnie Kotia.

– Kirył. Menadżer z firmy „Bit i bajt”. Znamy się od pięciu lat. Byłem u ciebie wczoraj wieczorem, obciągnęliśmy dwie butelki koniaku!

Długa cisza.

– Kirył, możesz teraz przyjechać? – spytał Kotia.

– Tak – odparłem z ulgą.

– Przyjedź... Tylko szybko. Dzieje się coś dziwnego.

– A wiesz, że ja też to zauważyłem? – powiedziałem złośliwie, wstając z ławki.

4.

Miałem szczęście do komunikacji i do Kotii dotarłem czterdzieści minut później.

Zadzwoiłem do drzwi. Kiedy Kotia otworzył, popatrzył na mnie z nieukrywanym zainteresowaniem.

– Kotia, to ja Kirył – powiedziałem. – Pamiętasz? Wczoraj żeśmy...

– Pili... – wymruczał Kotia. – Na razie pamiętam. Wejdz.

A jednak patrzył na mnie jakoś tak dziwnie. Nie jak na obcego, ale jak na bardzo, bardzo dziwnego znajomego.

– Czyli pamiętasz? – uściśliłem. – Słuchaj, dzieje się coś nieprawdopodobnego. Zacząłem dzwonić do znajomych...

– Chodź do komputera – powiedział Kotia. – Przeczytaj, co tu jest napisane.

Podszedłem, na ekranie był jakiś tekst; zerknąłem pytająco na Kotię.

– Czytaj od początku – powiedział, siadając na kanapie.

Przewinąłem tekst do początku i posłusznie zacząłem czytać.

ZAJĘCIA INDYWIDUALNE

Siemion Makarowicz, czterdziestoletni nauczyciel wuefu, z uwagą przyglądał się rozwiniętym ósmoklasistkom ćwiczącym na sali gimnastycznej. W pewnej chwili podeszła do niego Jula i powiedziała:

– Zupełnie nie wychodzi mi szpagat.

– Czyli na semestr będzie trójka – oznajmił Siemion Makarowicz.

– Brak ci giętkości.

Jula, szkolna prymuska, aż zbladła.

– *Tylko nie trójka, Siemionie Makarowiczu! Naprawdę nie można z tym nic zrobić?*

– *Dlaczego nie? Można. Przyjdź do mnie po zajęciach, przeprowadzimy indywidualne zajęcia rozwijające giętkość...*

Popatrzyłem na Kotię. Skrzywił się.

– Kiedy zadzwoniłeś, robiłem właśnie jedną chałturkę. Czytaj dalej.

Zajmująca historia czterdziestoletniego nauczyciela urwała się w pół zdania i nie dowiedziałem się, jakimi metodami stary erotoman miał zamiar rozwijać i tak już nad wiek rozwiniętą uczennicę. Dalsza część tekstu dotyczyła bezpośrednio mnie.

„Właśnie zadzwonił do mnie stary przyjaciel Kirył Maksimow. Dziwna rzecz – nie poznałem go. A przecież poprzedniego wieczoru siedzieliśmy przy butelce koniaku...”

– Przy dwóch – sprecyzowałem.

– „...Dopiero kiedy zaczął mi przypominać, to sobie przypominałem. Ale przypominałem sobie jakoś tak dziwnie. W zasadzie pamiętam cały wczorajszy dzień. Pamiętam, że pracowałem, pamiętam, że z kimś piłem wieczorem, ale z kim – zupełnie wyleciało mi z głowy, dopóki nie zadzwonił Kirył. Jego twarz też sobie z trudem przypominałem. I w ogóle, wszystko, co jest z nim związane, mi się miesza. Jedno pamiętam, a drugiego nie”.

– Za dużo „przypomniałem” – zauważyłem. – Co z twoją stylistyką, literacie?

– Daj spokój, nie miałem głowy do stylistyki – odciął się Kotia. – Czytaj.

Dalej Kotia szczegółowo opisał naszą wczorajszą rozmowę i moje podsumowanie. Tekst kończył się zdaniem: „Podejrzewam, że gdyby Kirył zadzwonił pół godziny później, a ja nie zdążyłbym zapisać tego tekstu, już bym go nie poznał”.

Westchnąłem i razem z fotelem odwróciłem się do Kotii.

– Dopóki o tobie myślę – mówił Kotia beznadziejnym tonem – to wszystko jest w porządku. Pamiętam i ciebie, i wszystko, co jest z tobą związane. Ale wystarczy, że zajmę się czymś innym... No, na przykład, odszedłem potem od kompa, zrobiłem sobie kawę i wróciłem. Siadam, już mam pisać dalej

o nauczycielu wuefu, patrzę, a na ekranie jest jakiś „lewy” tekst. Zacząłem czytać i znowu sobie przypominałem. To tak... jakby we mgle.

– Kotia, co się dzieje? – zapytałem.

– A ty wszystko pamiętasz? – zapytał z nadzieją Kotia.

– Wszystko. To mnie zapominają. Rodzice jeszcze pamiętają, Anka... jeszcze kilka dziewczyn...

– Czyli ludzie, z którymi masz najsilniejszy kontakt emocjonalny – stwierdził Kotia.

– W sensie?

– Ci, którzy często o tobie myślą. To nie pozwala im zapomnieć... w każdym razie nie tak szybko. Przecież ludzie ciągle coś zapominają, to normalne. Jeśli jakieś informacje są zbędne, jeśli z nich nie korzystasz, mózg usuwa je albo spycha na dno. Mam w komputerze taki system, który co jakiś czas pyta: „Z tego programu korzystałeś pół roku temu. Jest ci nadal potrzebny czy można go usunąć?”. To normalne zjawisko, tylko w twoim przypadku zachodzi z zastraszającą szybkością. To tak, jakbyś miał sklerozę.

– Dlaczego ja? Ja wszystko pamiętam. To moi przyjaciele mają sklerozę.

– Tak się nie dzieje – powiedział ponuro Kotia. – Słuchaj, Kiryń, jesteś porządny facet i lubię cię, ale nie mam zamiaru stale o tobie myśleć. Weź to pod uwagę! A jeśli nie będę myśleć, to zapomnę raz-dwa. I nie pomogą mi żadne notatki.

– Przecież nie wymagam od ciebie heroicznych czynów – mruknąłem. – Chcesz, to skasuję tę twoją pisaninę i sobie pójdę.

Kotia przez jakiś czas się zastanawiał, chyba tylko po to, żeby mi pograć na nerwach.

– Nie, poczekaj. To mnie zaciekało. Co dzisiaj robiłeś?

– Obszedłem tłum biurokratów – powiedziałem i zacząłem wymieniać wszystkie miejsca, w których byłem.

Kotia słuchał uważnie, kiwał głową, potem zapytał:

– Nie myślałeś o tym, żeby pójść do cerkwi?

Wytrzeszczyłem oczy. Kotia nie był wojującym ateistą, ale w Boga nie wierzył.

– No coś ty?

– No co? Nie jestem ateistą, tylko agnostykiem. A każdy agnostyk teoretycznie dopuszcza istnienie sił wyższych. Skoro już zaczęła się taka mistyka...

– Nie, nie poszedłem. Tylko tak... sam się pomodliłem – wyznałem zawstydzony.

– Powinieneś pójść – zdecydował Kotia.

– Tak myślisz?

– Tak myślę. Innego wyjścia nie widzę.

Zamilkliśmy.

– Kotia, potrzebuję pomocy – powiedziałem w końcu. – Może to rzeczywiście mistyka? Masz jakichś znajomych jasnowidzów?

– Skąd miałbym mieć?

– No, przecież kiedy nie piszesz o seksie, to piszesz o różnych tam... I kontaktujesz się...

– Coś ty! Kontaktuję się z takimi samymi oszołomami jak ja! Myślisz, że chodzę po różnych szarlatanach, parapsychologach, a potem o nich piszę? Jeszcze mi powiedz, że rżnę owczarki i potem to opisuję. Wszystko wymyślam, Kiry! Wszystko to brednie dla czytelników! Nie ma żadnych prawdziwych jasnowidzów. A przynajmniej ja żadnego nie znam.

– No to faktycznie nie pozostało mi nic innego, jak pójść do cerkwi.

– Poczekaj. Już wiem, do kogo pójdziemy.

Popatrzyłem na Kotię pytająco.

– Do Dymitra Mielnikowa. No i co? Dobrze wymyśliłem?

– A co, znasz go? – zdumiałem się.

– Oho! I ciebie tknęła skleroza. – Kotia zachichotał. – Znam! Niezbyt dobrze, ale Mielnikow to człowiek towarzyski. Tylko trzeba będzie wziąć butelkę koniaku.

* * *

Dmitrij Mielnikow był człowiekiem rzadkiego zawodu – od dwudziestu lat pisał fantastykę i najwyraźniej odnosił na tym polu sukcesy. W każdym razie znawca kosmicznych potworów i rodzimych wampirów mieszkał w wieżowcu

na Kutuzowskim, w którym była czysta klatka schodowa, dziarski dziadek-ochroniarz, sądząc z wyglądu i czujnego spojrzenia – były wartownik w obozach.

Mieszkanie Mielnikow miał ogromne i pięknie urządzone, a on sam wyglądał na zadowolonego z życia. Zawsze sądziłem, że autor, którego bohaterowie zginają zębami rury, a jednym kopnięciem przebijają betonowe ściany, jest cherlakiem, ale Mielnikow był człowiekiem w średnim wieku, średniego wzrostu, średnio barczystym, za to z widocznym brzuszkiem.

Kotię jednak przyjął bardzo serdecznie, a ja zostałem zaszczycony uściskiem dłoni władcy dusz nastolatków i romantycznych dziewcząt.

– Proszę, wejdźcie do gabinetu, chłopaki – zaproponował demokratycznie Mielnikow. – Jeśli chcecie, to włożcie kapcie.

Gdzieś w głębi mieszkania dźwięczały naczynia, marudził dziecięcy głos, szcekał pies, ale za masywnymi drzwiami gabinetu od razu zapanowała cisza. Mruczał jakiś szpanerski odtwarzacz, przezroczysty, było widać, jak w środku wiruje dysk i mrugają diody, zapewne absolutnie zbędne, umieszczone tam „zupełnie po nic”.

– A w środku neonówka – wymruczałem.

Mielnikow popatrzył na mnie ucieszony.

– O! Jak przyjemnie spotkać czytanego człowieka! Do czego to doszło, nikt nie pamięta klasyki! Zacytowałem w swojej książce Strugackich bez cudzysłowu, popełniłem, że się tak wyrażę, literacki komplement, a czytelnicy zaczęli chwalić to zdanie jako moje.

Nastrój i tak miałem podły.

– Przynajmniej czytelnicy mają dobry gust.

Mielnikow zamilkł. Może się zastanawiał, czy się obrazić i wystawić mnie i Kotię za drzwi. Nie wystawił. Wymruczał tylko:

– Żeby tak do tego gustu jeszcze ogólne wyrobienie... No bo jak można ucześcić się jednego autora i czytać tylko jego? Niechby nawet mnie!

Kotia zachichotał. Wyjął z torby, na którą Mielnikow już zdążył zerknąć, butelkę koniaku.

– Jasne – oznajmił pisarz. Otworzył szafkę, w której, jak się okazało, był barek, i to nie pusty, wyjął kieliszki, postawił na szklanym stoliku obok

kanapy. Zastanowił się i zapytał: – Rozumiem, że przyszliście nie tylko po to, żeby się napić?

– Bardzo potrzebujemy twojej pomocy – powiedział Kotia. – Kirył znalazł się w takiej dziwnej sytuacji...

– Nie jestem wydawcą – odparł szybko Mielnikow. – Mogę jedynie podpowiedzieć, do kogo udać się z powieścią.

– Nie, nie, Kirył nie pisze. – Kotia zamachał rękami.

Na twarzy Mielnikowa odmalował się wyraz ulgi.

– W takim razie, jak mogę panu pomóc? – zapytał. – Jedyne, na czym się naprawdę znam, to literatura, a konkretnie: fantastyka.

– No więc właśnie Kiryłowi przydarzyła się taka fantastyczna historia – zaczął Kotia. – Ale co ja... Niech Kirył sam opowie.

– Wróciłem wczoraj do domu po pracy. Mieszkam sam... no, prawie sam, bo mam psa.

Przez pierwsze pięć minut pisarz wyraźnie się nudził. Potem na jego twarzy pojawiło się lekkie zainteresowanie.

Dziwne, opowieść o dniu obfitującym w wydarzenia zajęła mi zaledwie kwadrans.

– Dobra historia. – Mielnikow dolał sobie koniaku. – Czyli to jest pomysł pańskiego...

– To się wydarzyło naprawdę – oznajmiłem ponuro.

Tak myślałem, że fantasta nie będzie najlepszym doradcą. Fantaści jeszcze mniej wierzą w cuda, niż prostytutki w miłość.

– Dymitrze Siergiejewiczu, to wszystko prawda – potwierdził Kotia.

– Niech mi pan pokaże swój dowód – poprosił Mielnikow.

Wzruszyłem ramionami – co mu dadzą moje dokumenty? – ale mimo to wyjąłem i podałem.

– Niech mi pan powie, Kiryle Daniłowiczu – zaczął Mielnikow, oglądając dowód – jak udało się panu doprowadzić dokument do takiego stanu? W pańskiej sytuacji...

Zabrałem mu dowód i popatrzyłem na stronę ze zdjęciem. Dowód jak dowód... Tylko... tylko bardzo blade napisy. I zdjęcie jakby wyblakłe. I strony takie pożółkłe i kruche.

– Jeszcze wczoraj wyglądał normalnie – powiedziałem. – Spójrz.

Podaliśmy dowód Kotii. Ten z przerażeniem popatrzył na wyblakłe linijki.

– Ciekawe – powiedział Mielnikow z nieukrywaną przyjemnością. – Dajcie mi go.

Jeszcze raz uważnie przejrzał dowód. Przekartkował. Prychnął.

– Coś jeszcze? – zapytałem.

– Wie pan, Kiryle, że nie jest pan nigdzie zameldowany?

Kartka z meldunkiem faktycznie była pusta. Oglądałem ją pod jasnym światłem lampy, przy oknie, pod kątem i pod światło, i nie znalazłem żadnych śladów stempla.

– W Moskwie człowiekowi ciężko bez meldunku. – Kotia westchnął. – Może powinieneś postarać się o tymczasowy? Żartuję, żartuję, uspokój się.

Ja nie miałem ochoty na żarty. Schowałem dowód do kieszeni i popatrzyłem na Mielnikowa.

– A więc należy przyjąć, że pańska opowieść jest prawdziwa? – zapytał pisarz.

Skinałem głową.

– I chce pan mojej rady jako człowieka wymyślającego różne nieprawdopodobne historie?

Znowu skinałem głową.

Mielnikow odchylił się na oparcie fotela, wsparł łokcie na skórzanej poduszce. W zadumie obrócił w rękę kieliszek z koniakiem.

– Gdybym był braćmi Strugackimi – zaczął – to wymyśliłbym... wymyśliłbym, że jest pan człowiekiem niepotrzebnym, nikczemnym... Przepraszam pana bardzo, ja tylko tak dla przykładu.

– To nic, niech pan mówi dalej – poprosiłem.

– I oto samo życie, sama rzeczywistość zaczęła pana usuwać ze świata. Stopniowo zacierają się pańskie ślady: najpierw dokumenty, potem wspomnienia przypadkowych znajomych, potem wspomnienia przyjaciół i krewnych. A skończyłoby się to... – Zawahał się, a potem skinał głową. – Skończyłoby się tym, że stałby się pan zapomnianym przez wszystkich widmem. Mniej więcej.

– Dziękuję – powiedziałem, czując dziwną suchość w ustach. – A jakieś inne warianty?

– Oczywiście! – zawołał radośnie Mielnikow. – Gdybym był Głobaczowem, wymyśliłbym, że Ziemię atakują kosmici. W ten właśnie sprytny sposób przygotowują sobie placówkę: usuwają człowieka z życia, usuwają pamięć o nim, zamieniają papierki i pańskie miejsce zajmuje agent wrogiej cywilizacji. Wszystko skończyłoby się tym, że my, Ziemianie, zaczęlibyśmy z nimi walczyć, wdarlibyśmy się na ich planetę i dali im łupnia.

Ta wersja brzmiała bardziej optymistycznie, ale nie bardzo wierzyłem we własne możliwości zastraszenia kosmicznych najeźdźców.

– Gdybym nazywał się Zarow – kontynuował Mielnikow – to byłby pan małym chłopcem albo naiwnym młodzieńcem i w ten sposób obca cywilizacja testowałaby pańską odporność. Ta cywilizacja nie byłaby tak wredna jak u Głobaczowa, ale równie mało sympatyczna. Zmęźniałby pan, zahartował się w walce, dał wszystkim łupnia i przy okazji zyskał wszechpotęgę, ale zrezygnował z niej z niewiadomych powodów.

– No, tu już mój wiek mnie ogranicza – powiedziałem. – A dalej?

– Gdybym nazywał się Welesow – rzekł w zadumie Mielnikow – to w ten sposób przygotowałby się pan do przejścia do innego świata: z którego przybył pan w niemowlęctwie. Byłby to świat pełen różnych bogów, potworów i magów. Pan byłby pewnie bogiem albo bohaterem i...

– Dałbym wszystkim łupnia – domyśliłem się. – I zajął należne mi miejsce.

– Tak jest. Ale potem doszedłby pan do wniosku, że istnieją jeszcze więksi bogowie, i zacząłby pan z nimi walczyć.

– A jakieś inne wyjście? – zapytał Kotia. Zdaje się, że lubił fantastykę, dlatego uśmiechał się zadowolony, patrząc na Mielnikowa.

– Gdybym nazywał się Ochotnikow, niczego bym nie wyjaśniał. – Mielnikow uśmiechnął się złośliwie. – Obrywałby pan od wszystkich, którzy tylko mieliby ochotę panu przyłożyć. Długo by pan cierpiał, aż w końcu zrozumiałby, że trzeba zacząć życie od czystej karty. Zacząłby pan od początku zdobywać wszystko w życiu, na nowo zdobywałby pan miłość kobiety, która o panu zapomniała.

– Nie bardzo mi się to podoba – przyznałem.

Kotia zachichotał.

– Gdybym nazywał się Czudow – Mielnikow zmrużył oczy – to byłby pan macho. Inteligentem o wnikliwej znajomości otoczenia i z manierami sierżanta. Zła dziewczyna wylałaby na pana zawartość nocnika, gliniarze długo biliby pana pałkami, ale pańska siła ducha przewyciężyłaby wszystko.

Kotia parsknął śmiechem.

– Gdybym był małżeństwem Inoczenko... – Mielnikow zastanawiał się chwilę – ...to podobne rzeczy działałyby się z ludźmi regularnie, wszyscy by na nie czekali i przygotowywali się do nich. Ale najprawdopodobniej wtedy byłby pan dziewczynką albo młodą dziewczyną. Wszystko skończyłoby się smutno, ale optymistycznie.

Kotia rżał na cały głos. Mimo woli uśmiechnąłem się.

– Gdybym był młodym i ambitnym autorem Wasią Pupkinem, to pobawiłbym się z religią – kontynuował Mielnikow. – Na przykład, uczyniłbym z pana współczesnego Hioba, którego Bóg doświadcza, zasypując go nieszczęściami. Będąc na pana miejscu, spodziewałbym się jeszcze problemów ze zdrowiem, milicją i światem przestępczym.

– To również mi się nie podoba.

– Gdybym nazywał się Dromow, to epidemia usuwania ludzi z rzeczywistości rozpoczęłaby się nagle i na całym świecie. Pan pracowałby w służbach specjalnych i badał tę sprawę, dopóki z panem nie zaczęłoby się dziać to samo. Jakieś wyjaśnienia jednak bym przedstawił, ale niezbyt przekonujące, bo nie o wyjaśnienia tu chodzi.

– A gdyby się pan nazywał Mielnikow? – nie wytrzymałem.

Mielnikow westchnął.

– Gdybym nazywał się Mielnikow... a właśnie tak się nazywam... To śmiało mógłbym napisać każdą z tych powieści. Niech pan zrozumie, ja teraz fantazjuję, przedstawiam różne warianty... dla żartu przeprowadzam paralele.

– Ale proszę mi jednak powiedzieć, co pańskim zdaniem jest najbardziej prawdopodobne?

– Ależ nic! – Mielnikow jednym haustem wypił koniak. – Nie wierzę w żadnych kosmitów, bogów i bohaterów, w tajemnicze prawa wszechświata,

w cierpienie i całą resztę. Welesow, Dromow, Inoczenko – oni też w to nie wierzą! Wszyscy pisarze fantastyki to ludzie trzeźwo myślący, którzy po prostu dają ludziom rozrywkę. I jeszcze odrobinę ekstrapolują rzeczywiste problemy na fantastyczne sytuacje, żeby ciekawiej się czytało. Wszystkie warianty są możliwe i wszystkie są nierealne.

– Ale ze mną naprawdę coś się dzieje – powiedziałem. – Rozumiem, że nie chce mi pan uwierzyć. Nie może pan. Że uważa pan to za żart... bredzenie człowieka chorego. Ale niech pan założy, choć na chwilę, że naprawdę tak właśnie jest! Co ja mam robić?

Mielnikow zastanowił się.

– No, na początek... Iść na milicję już za późno, aresztują pana na wszelki wypadek, i to wszystko. Niech się pan trzyma tych, którzy pana pamiętają. Bliskich ludzi – zerknął na Kotię – rodziców, przyjaciół. Niech pan nie pozwoli im zapomnieć. Niech pan gra na czas, może jeszcze wszystko się zmieni. Co jeszcze...? Niech pan spróbuje znaleźć jakieś swoje dokumenty, metrykę urodzin... Informacje w zupełnie przypadkowych instytucjach. Nie grał pan w jakimś filmie? Nie występował w telewizji? Domowe wideo, zdjęcia. Niech pan idzie do lekarza, założy tam sobie kartę. Prywatne kliniki nie będą prosić o dowód. Niech pan idzie do cerkwi! Pomodli się!

– Chyba już tylko to ostatnie mi zostało – mruknąłem. – Modlić się.

– Kirył – zaczął Mielnikow – jestem gotów panu uwierzyć. I powiem szczerze, że robi mi się zimno na myśl, że pan nie żartuje. Przecież jeśli coś takiego stało się z panem, to może się przydarzyć również mnie. Ale ja nie znam odpowiedzi. Nie jestem wyrocznią! Jestem jedynie pisarzem fantastyki. Mogę coś poradzić, mogę się z panem napić, i to wszystko!

– Przepraszamy, że tak wtargnęliśmy – powiedział Kotia, który chyba wyczuł, że audycja skończona.

Mielnikow wstał, rozlał do kieliszków resztę koniaku i zapytał:

– Strzeżniennego?

Wypiłem bez przyjemności. Dziwna rzecz – choć nie spodziewałem się żadnych cudów, to zrobiło mi się przykro.

– Informujcie mnie na bieżąco – powiedział Mielnikow. – A ja, jeśli coś wymyślę, to zadzwonię... ee... do Kotii.

– Mam komórkę – odezwałem się, nie wiem po co. – Niech pan zapisze...

– Tak, tak, oczywiście. – Mielnikow zakrzętnął się, wziął ze stołu kawałek papieru i nabazgrał na nim mój numer. Pewnie za pół godziny ten strzęp wyląduje w koszu na śmieci.

Pożegnaliśmy się. Być może w innych okolicznościach Mielników okazałby się interesującym rozmówcą i siedzielibyśmy u niego nie godzinę, tylko cały wieczór. To była nasza, moja i Kotii, wina – przyszliśmy do człowieka, który dawno temu przestał wierzyć w cuda, i żądamy, żeby teraz w te cuda uwierzył.

Wielokrotnie powtarzając, że będziemy się nawzajem informować, podreptaliśmy chwilę przy drzwiach, a potem Mielników jakoś tak zwinnie i niepostrzeżenie otworzył zamki i nie pozostało nam nic innego jak wyjść na schody. Z głębi mieszkania pachniało świeżo usmażonymi kotletami i pisarz wyraźnie się niecierpliwił.

– Jeszcze zadzwonimy – rzucił Kotia w szczelinę zamykających się drzwi. Usłyszał w odpowiedzi nieokreślone „mhm” i popatrzył na mnie przeprasząco.

Wzruszyłem ramionami.

– Tak w ogóle to całkiem w porządku gość – wymamrotał Kotia. – I bardzo towarzyski. Myślałem, że dłużej posiedzimy.

– prostytutki wierzą w miłość – powiedziałem.

– Słucham? – Kotia wcisnął guzik, przywołując windę. – Jakie prostytutki? To znaczy, nie mam nic przeciwko...

– Pisarze fantastyki wierzą w cuda jeszcze mniej, niż prostytutki w miłość, tak sobie pomyślałem, gdy szliśmy do Mielnikowa. Ale prostytutki wierzą w miłość. Po cichutku, nic nikomu nie mówiąc, ale wierzą. Marzą, że jest coś jeszcze oprócz spoconych grubasów, którzy chcą seksu za pieniądze. Marzą i boją się uwierzyć w te marzenia. Podobnie twój Mielnikow. Tak naprawdę on chce, żeby to wszystko istniało – cuda, kosmici, światy równoległe. Żeby to był nie tylko paperek od cukierka, lecz sam cukierek, kolorowa landrynka w pudełeczku. I jednocześnie boi się w to uwierzyć! Znacznie łatwiej jest myśleć, że jestem aferzystą albo świrem. Chlapnie sobie kieliszeczek pod kotlety, podrapie się po karku i pójdzie pisać o krwawych kosmitach.

– Aleś pojechał! – zachwycił się Kotia i zabębnił palcami w przycisk windy.
– To o prostytutkach – super!

– Wstaw do opowiadania – poradziłem. – Chodźmy po schodach, winda nie działa.

– Jak to nie działa? Przecież lina się rusza.

Machnąłem ręką i ruszyłem w dół po schodach.

– Z dwunastego na piechotę? – oburzył się Kotia. – No dobra, zobaczymy, kto będzie pierwszy!

Doszedłem do siódmego, gdy widna pojechała w górę. Potem druga. Przyspieszyłem kroku, ale na czwartym wyprzedziła mnie zjeżdżająca winda.

Jednak lenistwo bardziej się opląca.

Przeskakując po dwa stopnie, wyskoczyłem na sam dół. Kotia już otwierał drzwi wyjściowe.

– Poczekaj! – zawołałem. – Gdzieś się tak rozpędził?

Kotia zastygł w drzwiach i zerknął na czytającego gazetę strażnika. Zrobiłem jeszcze kilka kroków i zatrzymałem się. Kotia popatrzył na mnie pustym, obcym spojrzeniem.

– Kotia? – zapytałem.

Kotia odkaslnął.

– Tak?

– Coś ty, nie poznajesz mnie?

– Ee... – wymruczał Kotia i znów popatrzył na strażnika.

Strażnik zapytał podejrzliwie:

– Jakieś problemy, panowie?

– Nie, żadnych – odpowiedziałem, mijając Kotię i wychodząc na dwór. – Wszystko w porządku.

– Od kogo wyszliście?! – krzyknął za mną strażnik.

Nie odpowiedziałem. Stałem i czekałem, aż Kotia wyjdzie z klatki. Nie spanikował, ale stał się czujny.

– Kotia? – Po chwili powtórzyłem: – Kotia?

– Naprawdę, nie mogę sobie przypomnieć – odpowiedział szczerze Kotia, lekko się rozluźniając. – Jest pan... znajomym Mielnikowa?

– Tak – odparłem. – Znajomym. Nie pamiętasz?

Kotia pokręcił głową.

– Coś się stało?

– Wyszedłeś... Wyszedł pan od Mielnikowa? – wykrztusiłem.

Kotia skinął głową.

– Jest w domu?

– Tak, oczywiście. – Kotia dreptał w miejscu. – Więc idzie pan do Mielnikowa? Przepraszam, twarz jakby znajoma, ale nie mogę sobie przypomnieć.

– Wszystko w porządku – powiedziałem. – Taki mam wygląd, ciężko zapamiętać.

– To ja już pójdę. – Kotia zrobił krok, zerknął na mnie, chyba chciał coś powiedzieć, ale pokręcił głową i poszedł.

Wyjąłem papierosy, zapaliłem. Dym był słodki i gorzki zarazem. Za szklanym okienkiem w drzwiach mignęła mi twarz strażnika – dzielny dziadek był czujny. Żeby tylko nie wezwał milicji.

Znowu wsunąłem rękę do kieszeni, wyjąłem dowód i otworzyłem: kruche strony rozpadły mi się w rękach. Zdjęcie odskoczyło z pstryknięciem i upadło na asfalt. Podniosłem je – na szarym kwadraciku nie dało się już dojrzeć twarzy.

Zimno... Jesień... A zima ma być mroźna...

– A więc tak... – mruknąłem, jakbym komuś groził, albo tworzył jakiś plan. – A więc tak? A więc tak!

Po pierwsze, cudów nie ma. Po drugie, mogą być wyjątki, ale wyłącznie dla złych cudów. A skoro nastał czas złych cudów, to pozostawanie dobrym nie ma sensu.

5.

Okna mojego mieszkania były ciemne. Nie przypuszczałem jednak, żeby Natalia Iwanowa kładła się spać o ósmej wieczorem.

Wjechałem na swoje piąte piętro, zadzwoniłem do drzwi. Keszju szczerknął i ucichł, a jaostałem kilka minut, wzruszyłem ramionami i wsiadłem do windy. Jeśli ktoś obserwował mnie przez wizjer, to teraz ten ktoś podrepcze sobie szurającym starczym krokiem z powrotem do telewizora, rejestrując w pamięci, że do sąsiadki przychodził kawaler. Nie wątpiłem, że Galina Romanowna kompletnie o mnie zapomniała. Swoją drogą to ciekawe, jak tym przygłuchym staruszkom, wpatrzonym w niekończące się opery mydlane, udaje się usłyszeć, co się dzieje przy drzwiach sąsiadów? Przecież własne drzwi wyciszają dermą! A potem wysiadują w przychodniach i skarżą się lekarzom na problemy ze słuchem!

W windzie nacisnąłem przycisk ósmego piętra. Nie chciałem czekać na Natalię na piątym obok zsypu, to byłoby niebezpieczne, mogę się założyć, że zaraz ktoś wyszedłby wynieść śmieci albo zapalić. Ale ostatnie piętro było idealne – w jednym mieszkaniu mieszkał stary dziadek, który nigdy sam nie wychodził, a dwa następne wynajmowały wieloosobowe rodziny wschodnich gasterbeiterów, którzy nigdy w życiu nie zadzwoniliby na milicję. Kiedyś drażnili mnie owi cisi ludzie ze Wschodu, może Tadzycy, a może Uzbekcy, mieszkający po dziesięć osób w jednym mieszkaniu. Przemykali do siebie błyskawicznie i niezauważalnie, uciekając niczym karaluchy przed światłem. Niby nic do nich nie miałem... Zwykły bytowy szowinizm.

Teraz cieszyłem się, że to oni tam mieszkają. Siedziałem na ostatnim piętrze przy zsypie, paliłem, patrzyłem przez okno w dół, na wejście do klatki.

Ściemniało się, ale nad wejściem była jasna żarówka, zdążę zobaczyć Natalię zawczasu.

Kilku Tadżyków wjechało na górę i zanurkowało do swoich mieszkań, udając, że mnie nie widzą. Powoli wykańczałem paczkę papierosów.

Zaczął padać drobny, cichy deszcz; lubię go jesienią, przypomina, że lato już się skończyło. I wtedy, niemal od razu, przed wejściem do klatki mignął kolorowy parasol.

Może widziałem go wczoraj w swoim mieszkaniu, wśród innych cudzych rzeczy, a może nie widziałem, w każdym razie od razu wyczułem, że to Natalia.

Zrobiło mi się zimno, nogi zdrętwiały. Z trudem udało mi się dojść do windy i nacisnąć przycisk. Na dole trzasnęły drzwi, winda jechała już na ostatnie piętro. Wsiadłem, ale nie naciskałem przycisku parteru.

Zrobiła to za mnie Natalia – winda posłusznie zjechała na dół.

Ciężko stać się bandytą, gdy ma się za sobą ćwierć wieku uczciwego, porządnego życia.

Poza tym nie miałem najmniejszej ochoty trafić do więzienia za bandytyzm.

Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjąłem nóż, kupiony dwie godziny temu w metrze. Tania chińska podróbka znanej marki, ale najważniejsze, że wyglądał przerażająco – wąskie długie ostrze z drapieżnymi zębami i zboczem. Gdyby sprzedawano wiarygodne atrapy pistoletów, kupiłbym taką.

Naprawdę bardzo nie chciałem wylądować w więzieniu.

Drzwi otworzyły się z sykiem i brzydka Natalia weszła do windy. A właściwie zrobiła krok do przodu, zobaczyła mnie, zachwiała się, wytrzeszczyła oczy i próbowała się wycofać.

Chwyciłem ją za ramię i wciągnąłem do środka. Przystawiłem jej nóż do gardła – ten ruch wypadł tak naturalnie, jakbym całe życie napadał w windach samotne dziewczyny w charakterze psychopaty-gwałciciela.

– Będę krzyczeć – powiedziała Natalia, patrząc na nóż.

– To dlaczego tego nie robisz? – spytałem.

Złożony parasol wbijał mi się w nogę, Natalia uparcie go nie odsuwała. W drugiej ręce miała torbę z zakupami.

– Proszę mnie puścić, ja pana nie znam! – powiedziała głośno. – Proszę mnie puścić!

Nacisnąłem guzik piątego piętra.

– Kłamiesz. Pamiętasz mnie. A to znaczy...

Przebiegła wzrokiem po mojej twarzy. Oblizła wargi i ostrożnie pokręciła głową.

– Pan zwariował. Zgnije pan w więzieniu. Wie pan, co się robi w obozie z gwałcicielami?

– Natalio, jest pani zbyt spokojna – powiedziałem i wtedy uświadomiłem sobie, że trafiłem w sedno. Jest zbyt spokojna jak na kobietę, którą zaatakował z nożem... nieważne kto, psychopata czy oszukany frajer.

– Nie jest pan mordercą. Nic mi pan nie zrobi.

– Sprawdźmy? Pozbawiliście mnie wszystkiego. Mieszkania, pracy, dokumentów. Nie mam nic do stracenia!

– Życie – odpowiedziała krótko.

– To nie jest takie ważne. – Ująłem nóż tak, żeby ostrze wbijało się w szyję w okolicy arterii. – Jeśli tylko piśniesz, pchnę.

Winda się zatrzymała, drzwi się otworzyły.

– Proponuję zachowywać się tak, jakbyśmy byli dobrymi przyjaciółmi – powiedziałem, obejmując Natalię. – Spokojnie otworzysz drzwi i wejdziemy do mieszkania. Umowa stoi?

Jeśli wszystko dobrze przewidziałem, jeśli Natalia nie zacznie się wrywać i krzyczeć, to wszystko powinno pójść dobrze. Przez wizjer nie da się dojrzeć noża. Dziewczyna idzie z chłopakiem, obejmują się, nie mogą się doczekać, kiedy wskoczą do łóżka, co w tym dziwnego? A właśnie taki obrazek chce zobaczyć stara sąsiadka.

Natalia się nie wrywała.

Szczęknięły zamki, weszliśmy do mieszkania. Zamykając nogą drzwi, pomacałem ręką ścianę w poszukiwaniu włącznika. Prostokąt kuchennego okna sączył umierający zmierzch. W pokoju niespokojnie szczeknął Keszju. Było zimno. Czy naprawdę do tej pory nie zaczęli grzać?

– Włącznik jest niżej – powiedziała pogardliwie Natalia. – Na wysokości opuszczonej ręki.

– No tak, jak mogłem zapomnieć – wymruczałem. Zapłonęło światło. Zajrzałem do pokoju – pies leżał na kanapie, nikogo więcej nie było.

– Co dalej? – zapytała Natalia. Lekko przechyliła głowę, odsuwając się od ostrza noża. – Od razu mnie zabijesz czy najpierw będziesz torturował?

Keszju zeskokczył z kanapy. Pobiegł do przedpokoju. Zamachał ogonem i zastygł na granicy między ucieczką i ujadaniem.

– Jesteś zbyt spokojna – powtórzyłem jak zakłęcie. To było jedyne, co mogłem przedstawić w charakterze dowodu, stojąc w tym obcym mieszkaniu.

– Natalio, nie mogę ci niczego udowodnić, ale jestem pewien, że siedzisz w tym po uszy.

Dziewczyna prychnęła.

– I co, będziemy tak stać?

– Do kuchni – poleciłem.

Poszliśmy do kuchni. Opuściłem rolety. Keszju pobiegł za nami, nadal czujny, ale cichy.

– Siadaj. – Pchnąłem Natalię na taboret i wyjąłem z kieszeni taśmę klejącą.

– Naoglądałeś się filmów sensacyjnych – powiedziała pogardliwie Natalia.

Nie stawiała oporu, nawet sama podała mi rękę – związałem je taśmą. Potem przymocowałem ją do stołka. Panowała straszna, martwa cisza, na ulicy nie było słuchać szumu przejeżdżających samochodów, okrzyków podpitych przechodniów, czy choćby trzaśnięcia drzwi klatki schodowej.

– Uspokoileś się? – zapytała zimno Natalia, gdy odłożyłem rolkę taśmy i usiadłem na drugim stołku. – No to wyjaśnij teraz, czego chcesz? Żeby przepisać na ciebie mieszkanie? Ciężko będzie.

Nie słuchałem jej, przyglądałem się kuchni. Siedem metrów kwadratowych. Pokój dwanaście i jeszcze dziesięć na łazienkę, toaletę i przedpokój. Żaden pałac. Gdyby włożyć w to dużo sił i środków, to całe mieszkanie można przerobić nie do poznania w ciągu kilku godzin.

Przerobić tak, ale nie zrobić na nowo.

Cudów nie ma.

Muszę znaleźć ślady swojego mieszkania w tym obcym domu.

Od czego zacząć?

Glazura.

Podważyłem nożem płytkę – zgadza się, glazura, a nie naklejona na wierzch kolorowa folia. Potarłem fugę – sucha. Może stara. A może szybkoschnąca.

Natalia się zaśmiała.

– Zakleić ci usta? – zapytałem.

– Dłub sobie, dłub – powiedziała dobrotliwie. – Potem zmuszę cię do zrobienia remontu.

Tapety. Tuż przy podłodze, w niewidocznym miejscu, naciąłem kawałeczek i oderwałem. Pod spodem była ściana, żadnych śladów poprzedniej tapety. Zerwali? Możliwe.

– Jesteś głupi – oznajmiła Natalia.

Usiadłem na podłodze, rozciąłem linoleum – na krzyż – brutalnie, na środku kuchni. Podeszedł Keszju, obwąchał dziurę w podłodze – starego linoleum tam nie było – warknął na mnie i się wycofał.

– No, zastanów się. Jeśli dokumenty rzeczywiście zostały zamienione w jakiś magiczny sposób, jeśli przyjaciele o tobie zapomnieli, to co mógłbyś tu znaleźć? – Natalia zachichotała. – Ślady remontu?

Wyciągnąłem rękę do Keszju, pies się jednak uchylił.

– Nie wiem. Ale o przyjaciółach nic ci nie mówiłem.

Natalia zamilkła.

Popatrzyłem jej w oczy i pokręciłem głową.

– Niepotrzebnie to powiedziałaś. Teraz mam granitową pewność, że jesteś w to zamieszana. Tylko nie wiem jak.

– Co dalej? – Jej głos był nadal absolutnie spokojny. – Będziesz mnie torturował? Zabijesz? To nie tajga, kochany. Dla wszystkich jesteś świrem, bez dokumentów, bez przeszłości. Wpadłeś do obcego mieszkania, zabiłeś gospodynię. Karę śmierci u nas znieśli, czy co?

– Zdaje się, że znieśli.

– Piętnaście lat w obozie to również nic przyjemnego. No? – Natalia uśmiechnęła się zwycięsko. – Uwolnij mnie, Kirył. Usiądziemy jak ludzie, zaparzemy herbatę, porozmawiamy.

Miałem ogromną ochotę ją uderzyć. I proszę mi nie mówić, że nie wolno bić kobiet! Takie trzeba!

Tylko że to nie miałyby sensu. Natalia nie wpadnie w histerię i nie przyzna się do swoich podstępnych planów.

Mógłbym jej splunąć w twarz. I wyjść, niech się sama uwalnia, niech przegryza taśmę, niech wtedy chichocze do woli.

Mogę też spróbować porozmawiać.

Wstałem i podszedłem do niej. Natalia wyciągnęła z uśmiechem rękę, a ja przysunąłem do niej nóż, żeby przeciąć taśmę.

– Ciele! – powiedziała Natalia. I nagle zaczęła przeraźliwie wrzeszczeć: – Ratunku! Na pomoc! Mordują! Mordu...

Nie zdążyłem nic zrobić! Ani opuścić ręki z nożem, ani zasłonić jej ust – ciągle krzycząc, Natalia wstała z przyklejonym do pośladków taboretom i skoczyła do przodu. Prosto na nóż.

I ostrze idiotycznego chińskiego noża weszło pod jej lewą pierś. Na moją rękę popłynęła krew. Dziewczyna przestała krzyczeć, jakby się zakrztusiła własnym głosem. Podniosła głowę i szepnęła:

– A co wymyślisz teraz, Kiriusza?

Odsunąłem się, odruchowo wyciągając nóż z rany. Natalia, skulona, upadła na podłogę. Spod niej płynęła krew, zbierając się w rozciętym linoleum. Keszju zawarczał, przywarł do podłogi i zaczął się czołgać do Natalii.

Nigdy w życiu tak się nie bałem.

Zawsze uważałem, że „omdlące ręce”, „zimny pot”, „uginające się nogi” to wymysł powieściopisarzy. Na mnie stresująca sytuacja działała dokładnie na odwrót, pobudzała mnie do działania. Ojciec zawsze mówił, że to adrenalina, reakcja organizmu na stres.

A teraz właśnie ugięły się przede mną nogi – nie upadłem tylko dlatego, że oparłem się o futrynę. Nogi drżały, byłem mokry od potu. Nóż trzymałem

w wyciągniętej ręce, palce zacisnęły się kurczowo na rękojeści, nie mogłem ich rozchylić.

Chociaż, po co miałbym wyrzucać nóż? Żeby milicja miała uciechę? Już lepiej się zarżnąć. Niech sobie potem gliny tworzą wersję o nieszczęśliwej miłości. Jednym kindżalem zabił ich oboje...

Ktoś zadzwonił do drzwi.

Jaasne...

– Sąsiadko! – usłyszałem głos Piotra Aleksiejewicza. – Hej, wszystko w porządku? Natasza!

Gdy Natalia upadła, mignęła mi nadzieja, że razem z jej śmiercią rozwieje się ten miraż. Przypomną sobie o mnie sąsiedzi, przyjaciele, współpracownicy.

Niestety, nie zadziało.

Nadal byłem człowiekiem bez przeszłości, za to z nożem w ręku i trupem u stóp. I nikt mi nie uwierzy, że Natalia sama wbiła się na nóż.

Do drzwi ktoś się dobijał.

Keszju zawył, leżąc przy ciele Natalii. Zawył przejmująco – nie przypuszczałem, że może tak wyć, nawet oplakując swoją panią.

Cholera, jaką panią?! Aferzystkę, samobójczynię!

Keszju zawył szczególnie żałośnie i zrobiłem ruch w jego stronę, żeby go wziąć na ręce i uspokoić (wszyscy hodowcy mówią, żeby tego nie robić, ale czy słyszeliście kiedyś taki psi płacz?). Keszju od razu się wyszczerzył.

Nawet pies mi nie wierzy.

I nikt mi nie uwierzy.

Wsadzą mnie. I dobrze, nie trzeba było przyłazić z nożem do cudzego mieszkania!

– Milicja już jedzie! – rozległ się za drzwiami piskliwy głos sąsiadki. – Zaraz tu będą!

W jej głosie była żądza krwi, niekoniecznie mojej, czyjejkolwiek, byle tylko była krew, byle było o czym plotkować z przyjaciółkami przez telefon. Spojrzałem na nóż. A może by tak wyjść i zabić tę starą cholere? Zrobić na koniec dobry uczynek dla ludzkości? Czy zadrży mi ręka?

Chyba jednak tak. Nie zabiję jej. Natalii też nie zrobiłbym krzywdy, miała rację.

Jak długo nasza milicja jedzie na wezwanie?

Co za różnica. Przez okno nie ucieknę, piąte piętro. Przy drzwiach stoi Piotr Aleksiejewicz, chłop, mimo pijaństwa i chamstwa, całkiem porządny. Da mi w mordę i padnę na plecy.

– Już po mnie, Keszju – powiedziałem. – Nawet ty mnie zdradziłeś!

Keszju zawarczał.

Z jego punktu widzenia on nikogo nie zdradzał, przeciwnie, bronił swojej pani jak umiał.

Ominąłem psa i poszedłem do pokoju. Wyjrzałem przez okno – skoro świat zwariował, to może za oknem pojawiła się drabinka przeciwpożarowa?

Nie pojawiła się. Za to na podwórko nieśpiesznie wjeżdżał samochód milicyjny. Syrena była wyłączona, ale niebieski kogut migał.

Już po wszystkim. Milicja zawsze spóźnia się na miejsce prawdziwych przestępstw, ale w moim przypadku...

Ktoś zadzwonił do drzwi. Nacisnął dzwonek i nie puszczał. Przypomniałem sobie naszą szczenięcą zabawę z kolegami – biegaliśmy po klatce i dzwoniliśmy do cudzych drzwi. Najwyższym osiągnięciem było dzwonić długo, ale jednak zdażyć uciec, gdy drzwi się otworzą. Aż w końcu natknęliśmy się na faceta w typie Piotra Aleksiejewicza, który po mieszkaniu chodził bardzo cicho, po schodach biegał bardzo szybko, a przyłanie pasem rozrabiającemu pętałkowi uważał za najlepszą metodę wychowawczą.

Podszedłem do drzwi. Zaczepiłem ramieniem o ścianę, popatrzyłem na ściskany w ręku nóż. Rzuciłem go na podłogę. Jaki sens ma ścieranie odcisków palców, skoro jest tyle innych dowodów?

Dzwonek dzwonił bez przerwy i teraz rzeczą najważniejszą wydawało mi się przerwanie tego dzwonienia.

Jak we śnie, przekręciłem zamek i otworzyłem drzwi.

Piotr Aleksiejewicz i Galina Romanowna stali w progu i patrzyli na mnie osłupiali. Chyba nie spodziewali się, że drzwi się otworzą. Może nawet mógłbym teraz przemknąć obok nich, pobiec na dół... prosto w ręce milicji.

Piotr Aleksiejewicz nadal trzymał palec na dzwonku.

– Aaa! – wrzasnęła sąsiadka, patrząc na moje ręce. – Krew, krew! Morderca! – zawołała i, czego się zupełnie nie spodziewałem, przewróciła oczami i straciła przytomność.

Za to Piotr Aleksiejewicz zareagował zgodnie z moimi oczekiwaniami. W stronę mojej twarzy pomknęła wielka pięść, świat zawirował i upadłem obok sąsiadki.

Ale nawet wtedy, gdy już leżałem na podłodze, sąsiad dzwonił dalej. A może to mnie dzwoniło w uszach? Potrząsnąłem głową, próbując dojść do siebie. Przed moimi oczami pojawiły się dwie pary sznurowanych buciorów, cała reszta świata rozpływała się, wirowała. Zza uporczywego dzwonięcia dobiegł czyjś surowy głos:

– Niech pan przestanie dzwonić! Co to za samowola, co za rękoczyn, co?...

Przeszli przeze mnie, zajrzeli do mieszkania i ten sam głos, teraz już zmieniony, dodał:

– Od tego w kraju jest milicja...

Buty wróciły i jeden z nich z rozmachu kopnął mnie w żebra. Z niespodziewaną ulgą zamknęłam oczy i straciłem przytomność.

* * *

W małej zakratowanej „klatce” milicyjnego UAZ-a śmierdziało chlorem. Ostry zapach kojarzył się ze starą kamienicą, szpitalem i tymi miejscami, w których trzeba zabić zapach nieczystości i zmniejszyć ilość mikrobów.

Dochodząc do siebie, stwierdziłem, że leżę na metalowej podłodze, zwinięty w „chińskie osiem”. Ręce miałem skute za plecami.

Ku mojemu zdumieniu samochód stał. Niejasno pamiętałem, jak ciągnęli mnie po schodach, jak założyli kajdanki i wrzucili do klatki. Widocznie chcieli zawieźć mnie na komendę... czy gdzie tam się wozi morderców złapanych na gorącym uczynku.

Ale samochód nadal stał – i tego byłem pewien – obok mojego domu. Mojego byłego domu.

Wstałem z trudem i wyjrzałem przez zakratowane okienko w drzwiach. Szyby za kratą nie było, powietrze wolności pachniało świeżością – po deszczu. W świetle latarni połyskiwały małe kałuże.

Tak, zgadza się. Łazik stał przed klatką, obok niego milicyjna wołga. Zbierają dowody, a mnie na chwilę zostawili w spokoju?

Coś tu było nie tak. Powinni mnie albo zawieźć na komendę, albo przesłuchać nad świeżym trupem. Po co półśrodki?

Z bloku wyszło dwóch mężczyzn: jeden to chyba był zwykły „krawężnik”, pewnie ten, co mnie kopał. A drugi – gość po cywilnemu. Śledczy, zerwany z łóżka?

– ...Normalna rzecz – usłyszałem. – Handlarka z rynku przyprowadziła sobie chłopca...

– To się jeszcze okaże – powiedział ponuro cywil. – Dobrze, sierżancie, dziękuję. Możecie jechać. A właśnie! Kogo tam macie? Wskazał głową łazik.

– Tam? – Milicjant chyba się zastanowił. – Jakiegoś pijaka.

– Gdzie go zatrzymaliście?

– Przed metrem – powiedział bez przekonania gliniarz. – Dawno... To na pewno nie wasz klient.

Cywil wrócił do bloku, a „krawężnik” podszedł do łazika. Przysiadłem na podłodze. Serce zaczęło mi bić mocniej. Czyżby...? Ale nie, to niemożliwe!

Gdzieś obok pstryknęła zapalniczka, zapachniało papierosowym dymem. Potem trzasnęły drzwi samochodu i ktoś powiedział:

– No co tam? Zdrzemnąłem się...

– Nóż znaleźli, zdjęli odciski palców. Psiaka wziął sąsiad. Zapalisz?

– Daj.

Znów pstryknięcie zapalniczki. Zapach dymu stał się mocniejszy. Nie wytrzymałem i poprosiłem:

– Dacie papierosa?

Przez chwilę nikt nie reagował na moje słowa, w końcu sierżant zwrócił się do swojego kolegi:

– Słuchaj, skąd żeśmy go zgarnęli? Wszystko mi z głowy wyleciało.

– Spod metra chyba – odpowiedział po chwili zastanowienia kierowca. – A może z podwórka, z placu zabaw?

– Chyba trzeba go było pouczyć – mówił dalej sierżant. – Ech, do licha z tą robotą.

Drzwi otworzyły się z hukiem i dwaj milicjanci popatrzyli na mnie nieprzyjaźnie, ale bez nienawiści.

– Dalibyście zapalić – powtórzyłem.

– Wypałeś się? – zapytał sierżant.

Skinałem pokornie głową.

– Masz, pal.

Wsunęli mi w zęby pomięte marlboro, przypalili. Zaciągnąłem się chciwie i, upijając się nikotyną i własną bezczelnością, zapytałem:

– Długo będziemy tak jeździć? Jeszcze trochę i mnie na wytrzeźwiałkę nie przyjmą.

– A co, tak ci pilno?

– Wcale mi nie pilno – odparłem. – Żona mnie zabije. I tak będzie awantura, zazdrosna strasznie, a jak jeszcze trafię na wytrzeźwiałkę...

– Odwróć się – polecił sierżant, zdeptując niedopałek.

Odwróciłem się. Dostanę pałką po łbie czy...

Zdjęli mi kajdanki.

– Idź do domu, pijaczyno – powiedział bez złości sierżant. – Dziewczyne tu zarżnęli... nie mamy do ciebie głowy. Jednemu nieszczęście, drugiemu fart.

Wyskoczyłem z samochodu. Zacząłem rozcierać zdrętwiałe ręce; zauważyłem plamę krwi na rękawie i schowałem dłonie do kieszeni.

– Wielkie dzięki – powiedziałem. – Już nigdy więcej tak się nie nawalę.

– No, no – mruknął sceptycznie sierżant. Mimo wszystko w jego spojrzeniu była nieufność. Coś go niepokoiło... odrobinę, ale jednak. – Pamiętasz, gdzieśmy cię zgarnęli?

– Przy metrze, na podwórku – powiedziałem i zacząłem przestępować z nogi na nogę, jak człowiek, który marzy tylko o tym, żeby się odlać. Zresztą nie musiałem za bardzo udawać.

– Sam trafisz?

– Jesteśmy w Miedwiedkowie? – Zacząłem się rozglądać. – A, no faktycznie! Dziękuję!

– Czekaj no, czyś ty czasem tam nie nabrudził? – zaniepokoił się kierowca. Obejrzał czujnie klatkę i złagodniał. – Dobra, leć do tej swojej zazdrośnicy.

Gdy odchodziłem, milicjanci patrzyli na mnie zupełnie obojętnie. Po co się mieli szarpać z jakimś moczymordą i wieźć go na wytrzeźwialkę, skoro już sam doszedł do siebie.

Kurczę, więc wychodzi na to, że jestem nikim?

Że już zupełnie mnie nie ma?

Mogę zabić, a godzinę później... (zaraz, zaraz, a zegarek jest? Jest i to nawet cały!), a dwie godziny później gliniarze, którzy mnie zatrzymają, nie będą pamiętać, gdzie i kiedy mnie zatrzymali.

Nogi same wyniosły mnie na podwórko. Stałem w rogu, rozpiąłem rozporek. Co się teraz przejmować po tym wszystkim.

Stałem się idealnym przestępcą. Mogę kraść, napadać, zabijać. Nie zapamiętają mnie żadni świadkowie. Jeśli nie zabiją mnie podczas zatrzymania, to wypuszczą.

Żebra jednak bolały. Złamań pewnie nie ma, ale pęknięcia czy stłuczenia są na pewno.

W kieszeniach miałem pieniądze i klucze od mieszkania rodziców, na rękę zegarek, na pasku komórkę. Wszystko w porządku. Wpół do pierwszej w nocy. Jeszcze zdążę dojechać do rodziców metrem. Umyję się, zjem coś i zastanowię się, co dalej.

Nie chcę być przestępcą. Nawet idealnym.

Tylko co mogę zrobić? Natalia nie żyje i nic mnie już nie wiąże z przeszłością.

Jedynie klucze od mieszkania rodziców.

Wychodząc z podwórka na ulicę, obracałem klucze w rękę. A gdy metalowy klucz złamał się w moich palcach, nawet się nie zdziwiłem.

Niczego innego nie należało się spodziewać.

6.

Supermarkety wymyślono dla rodzin wielodzietnych.

Całodobowe supermarkety – dla mizantropów.

Normalny człowiek nie pójdzie w środku nocy po zakupy do ogromnego multipleksu; butelkę wódki w środku imprezy prościej kupić w sklepiku przy stacji metra. Robienie całotygodniowych zakupów o drugiej w nocy to coś dla ludzi marzących o tym, żeby zamieszkać na bezludnej wyspie.

Stałem przed lodówkami w dziale nabiałowym i patrzyłem na niekończące się rzędy jogurtów. Nie byłem głodny, nie mówiąc już o tym, że nie miałem dokąd zanieść zakupów. Ale musiałem znaleźć się w środku cywilizacji, w jej najbardziej wulgarnym, konsumpcyjnym przejawie. Żarcie, alkohol, elektronika, tanie szmatki. Dyskretna muzyka z niewidocznych głośników. Nieliczni klienci snujący się po sklepie.

Młody chłopak wkłada do wózka kolejne kartony mleka i opakowania jajek. Kto to? Zwariowany miłośnik omletów? Menadżer restauracji „Mlikojajki”? Wynalazca nowej diety-cud?

A ten skromnie ubrany mężczyzna, w skupieniu oglądający czasopisma o luksusowych domach? Ekscentryczny milioner, szukający willi na Rublówce? Biedny architekt, który śledzi nowe trendy? Masochista, pragnący zobaczyć, jak mieszkają możni tego świata?

Za to z parą, która wzięła dwie butelki szampana, pudełko czekoladek, a przy kasie paczkę prezerwatyw, wszystko jest jasne. Tylko papier toaletowy, leżący w koszyku obok szampana, wygląda śmiesznie i nie na miejscu.

Ja przede wszystkim wzięłem ładowarkę do telefonu – ciekawe po co, skoro nie mam do niej gniazdka. Włożyłem do wózka butelkę taniego dagestańskiego koniaku, zastanowiłem się i dorzuciłem tabliczkę czekolady i butelkę wody mineralnej. Właściwie mógłbym spędzić w tym markecie całą noc, ochrona pewnie nie zwróciłaby na mnie uwagi. Przed małą kawiarenką jest toaleta, już w niej byłem, długo zmywając z rąk ślady krwi. Ale jaki sens

tu tkwić? Już lepiej usiąść na ławce przed marketem i wydać walnęę wszystkim problemom w tradycyjny rosyjski sposób.

Nie mam dokąd pójść. Nie mam dokąd zadzwonić. Nawet rodzice... Jestem pewien, że nie mają już syna o imieniu Kirył.

Powoli ruszyłem do kasy. Karta kredytowa jest, ale bez dowodu mi się nie przyda. Za to gotówka nie miała zamiaru rozpadać się w proch. Jakie to przykre, wbrew wszystkim przysłowiom pieniądze okazały się pewniejsze od ludzi.

Właśnie liczyłem banknoty, gdy zadzwonił mój telefon.

Teraz, gdy komórki dzwonią Beethovenem czy piosenkami grupy Umaturman, najbardziej oryginalny dzwonek to zwykle „drryń-drryń”; takie, jak w starych telefonach, gdy nie było jeszcze żadnych mikroukładów, tylko w czaszeczki dzwonek walił mały młoteczek.

Wyjąłem komórkę i popatrzyłem na napis „numer zastrzeżony”.

Taki napis jeszcze o niczym nie świadczy. Wcale nie musi dzwonić do ciebie prezydent czy inna szych, której numeru nie powinni znać zwykli śmiertelnicy. To może być każdy, kto nie chce, żeby wyświetlał się jego numer.

– Halo? – powiedziałem.

– Kirył.

Nie pytanie, lecz stwierdzenie. Mocny męski głos, dość władczy i raczej serdeczny.

– Tak.

– Zapamiętaj drogę. Metro Aleksiejewska. Od razu od metra w lewo. W dół po schodach. Idziesz ścieżką między domami...

– Kto mówi?! – zawołałem. – Czego pan chce?

– Zapamiętaj drogę.

– Nie mam zamiaru nigdzie...

– Jak sobie życzysz.

Niewidoczny rozmówca umilkł.

– Halo? – zapytałem ostrożnie.

– Zapamiętaj drogę. Metro Aleksiejewska...

Poddałem się.

– Niech pan po prostu poda adres!

– Zapamiętaj drogę.

Nie wiem, czym skończyłaby się ta rozmowa, gdybym stał w hali. Może bym się zaparł, odmówił jechania nie wiadomo dokąd. Ale ja szedłem, pchając wózek i zorientowałem się, że mijam kasjerkę. Dziewczyna patrzyła obojętnie, jakby przeze mnie.

Zrobiłem jeszcze krok, wsuwając wózek przez bramkę sygnalizacji. Rozległ się brzęczyk alarmu, dziewczyna drgnęła i jej spojrzenie skoncentrowało się na mnie.

– Niech pani nie śpi – powiedziałem, cofając wózek i wykładając na taśmę zakupy. I dodałem już do słuchawki: – Niech pan chwilę zaczeka. Włączę dyktafon.

* * *

Okazję udało mi się złapać dopiero po dłuższym czasie. Albo nikt nie chciał brać pasażera w środku nocy w zimnym deszczu, albo ludzie przestali mnie zauważać. Wnioskując z zachowania kasjerki z marketu, raczej to drugie.

W końcu zatrzymało się stare żiguli (kierowca był dla odmiany Rosjaninem). Pomyślałem, że w tym wypadku chęć zarobku przewyciężyła mistykę.

Za ostatnie sto pięćdziesiąt rubli dojechałem do Aleksiejewskiej. Przeszedłem Prospekt Mira – nawet o drugiej w nocy było tu sporo ludzi, stały jaskrawo ubrane, mocno wymalowane kobiety, śpieszyli do domów pasażerowie ostatnich pociągów. Podszedłem do metra, wejście na stację już nie działało, ale ludzie jeszcze wychodzili.

„W dół po schodach i między domami”. Im dalej od metra, tym okolica stawała się bardziej bezludna. Nawet latem niewiele osób spaceruje o drugiej w nocy, a co dopiero mówić o zimnej, dżdżystej, jesiennej nocy!

Szedłem, od czasu do czasu wyjmując telefon i słuchając nagrania na dyktafonie. Nigdy nie uważałem się za mistrza orientacji w mieście, ale

otrzymałem wyjątkowo dokładne informacje. „Po lewej budynek milicji, mijamy, skręcamy...”. Co za szalony dzień!

Rano jeszcze wierzyłem, że to zwyczajne nieprzyjemności. Pod wieczór stało się jasne, że sytuacji nie da się wytłumaczyć banalnym bandytyzmem.

Potem domniemana aferzystka popełniła samobójstwo. Później bili mnie słusznie wzburzeni obywatele i stróże porządku – a następnie mnie wypuścili. Na koniec zadzwonił do mnie nie wiadomo kto i poszedłem w noc, nie wiadomo dokąd. Czy nie jestem idiotą?

Kolejna porcja punktów orientacyjnych doprowadziła mnie do długiego stalinowskiego domu. Jeśli wszystko dobrze zrozumiałem, to za nim powinna być jakaś stacyjka dogorywającej linii kolejowej. Ostatni punkt orientacyjny.

Dziwne, ale teraz w ogóle się nie bałem. Bić, już mnie dzisiaj bili, a zabić, po tym co się stało, to już by była głupota. Rzecz jasna, osobiście bardzo siebie lubię, ale doskonale rozumiem, że moje życie i mój „majątek” nie są warte takiego zachodu. To wszystko zaczęło mnie ciekawić.

Poza tym drażnił mnie deszcz, znacznie teraz zimniejszy, który zaatakował z nową siłą.

Gdy minąłem dom i wyszedłem na stację, buty miałem przemoczone, kurtkę moką i ciężką, a dzinsy przywarły do nóg niczym zimne kompresy.

No, jest tu coś ciekawego? Nie ma. To nawet nie stacja, tylko peron. Maleńka budka kasy zamknięta, nad drzwiami mży żarówka. Dwa pawiloniki sklepów jasno oświetlone, na jednym dumny napis „Całodobowy”, ale drzwi również zamknięte, przez szybę widać tabliczkę z napisem: „Przerwa 15 minut”.

Ostatni raz włączyłem dyktafon, przycisnąłem komórkę do ucha.

„Stań twarzą do sklepu. Skręć w prawo. Przejdź trzydzieści kroków” – oznajmił uprzejmy głos.

Stanąłem, skręciłem i przeszedłem – przez pas lasku ciągnącego się wzdłuż nasypu kolejowego. Do podeszew kleiła się rozmiękła glina, z nagich gałęzi spadały kaskady deszczowych kropli. Z ciemności wychyła przysadzista ceglana wieża. Wzdłuż torów stoi sporo takich starych wież wodociągowych. Pewnie stawiali je za czasów parowozów, żeby napełniać wodą ogromne kotły.

Ale ta wieża była stosunkowo nowa, białymi cegłami wyłożono rok: „1978”. Parowozów już w tym czasie nie było. Chociaż przyjaciel opowiadał mi, że do dziś stoją zakonserwowane w parowozowniach – w razie wojny czy innego kataklizmu nie ma pewniejszego środka komunikacji.

– Hop, hop! – zawołałem. – Kto mnie wołał?

Cisza. Z nieba leci zimny deszcz, porządni obywatele śpią w swoich łóżkach, w kuchniach piją alkoholicy i inteligenci, a w piwnicach i na strychach bezdomni przytulili się do swoich psów.

Wszyscy ludzie zachowują się normalnie, tylko ja łażę w mokrych spodniach i szukam przygód.

Nikt nie odpowiedział. Nikt nie miał zamiaru wyjaśniać mi, co się właściwie dzieje. Ani przyłożyć mi pałką.

Podszedłem do wieży. W ścianie z czerwonej cegły umieszczono niewielkie żelazne drzwi. To w takich wieżach są drzwi? Nigdy się nie przyglądałem. W dodatku nie ma żadnej kłódki, zwyczajne drzwi z metalową klamką. Przez chwilę patrzyłem na nie, wyobrażając sobie, jak naciskam klamkę, otwieram i widzę...

Co?

Cokolwiek!

Czego to nie umieszczali za takimi drzwiami koledzy pisarza Mielnikowa! Rajski ogród. Światy, gdzie dma w rogi bojowe muskularni bohaterowie, opędzający się mieczami przed straszliwymi stworami. Prowincjonalne miasteczko, okupowane przez obojętnych kosmitów. Wejście do tajnego laboratorium służb specjalnych. Pradawna Ruś w różnym stopniu sielanki, w zależności od tego, czy autor zna historię. Niemal słyszałem dziarski głos Mielnikowa: „Gdybym nazywał się Chłopow, trafiłby pan do katakumb...”.

W moich butach zachlupotała woda. Położyłem dłoń na klamce.

I znieruchomiałem.

Co czuje człowiek, ujmując metalową klamkę drzwi opuszczonego budynku w zimnym jesiennym deszczu?

Właśnie. Wilgotną rdzę, zimny metal i ogólny dyskomfort. Ja również to poczułem.

A jednocześnie...

Jednocześnie poczułem się tak, jakbym wszedł zmarznięty do domu, przebrał się w wygodne ubranie – znoszoną koszulę i „niewyjściowe” spodnie, w których jest wygodnie i komfortowo, nalał sobie duży kubek gorącej herbaty i otworzył nową książkę ulubionego pisarza. Potem przeczytał kilka stron i z przyjemnością popatrzył, jak dużo książki jeszcze mi zostało.

Ciepło, spokój i przedsmak czegoś przyjemnego.

Oderwałem rękę od klamki. Palce miałem pokryte mokrą rdzą.

Wrażenie ciepła pozostało.

Przedsmak święta również.

Pociągnąłem drzwi – otworzyły się lekko, jakby ktoś niedawno nasmarował zawiasy. Wszedłem w ciemność i się zawahałem.

W środku nikogo nie było. Wiedziałem to tak dokładnie, jakbym starannie obejrzał całe pomieszczenie.

Zupełnie odruchowo, jakbym wszedł do własnego domu, pomacałem ścianę lewą ręką, znalazłem włącznik i nacisnąłem go. Zapaliło się światło.

Duże pięciokątne pomieszczenie. Jak się okazało, drzwi znajdowały się na każdej ścianie. Bardzo czysto. Żadnych śladów noclegów bezdomnych czy imprez małych lat. Ceglane, nieotynkowane ściany, równa betonowa podłoga. Z niskiego sufitu zwisało na kablach kilka żarówek bez abażurów. Pośrodku znajdowała się metalowa drabina, wiodąca do wjazdu w suficie.

Wyraźnie nie było to pomieszczenie mieszkalne, przypominało raczej hangar albo garaż, na pewno nie wieżę wodociagową.

Nic z tego nie rozumiałem!

Zamknąłem za sobą drzwi. Znalazłem i zasunąłem zasuwę. Przeszedłem wzdłuż ścian, dotykając pozostałych drzwi, wszystkie były zamknięte na zasuwę od środka i najwidoczniej również z zewnątrz.

Gdy ma się dziesięć lat, takie pomieszczenia budzą zachwyty. Dzieci uwielbiają bawić się na budowach – ku przerażeniu rodziców i niezadowoleniu robotników. Dorosły człowiek nie widzi w takich miejscach nic ciekawego.

Ale wrażenie przytulności, jakiejś prawidłowości tego miejsca nie mijało. Przyłapałem się na tym, że z gospodarskim niezadowoleniem patrzę na ślady błota, jakie zostawiłem na podłodze.

Dobra, obejrzyjmy sobie pierwsze piętro.

Wdrapałem się po drabinie – podeszwy ślizgały się na niewygodnych, zespawanych z rurek szczeblach. Nie kończyła się na piętrze, ale włąz na drugie nie chciał się otworzyć. Pierwsze piętro stanowiło mniejszą kopię parteru – tyle że zamiast drzwi w ścianach były okna, zamknięte żelaznymi okiennicami. Gdy znalazłem włącznik i zapaliłem światło, odkryłem, że są tu również meble – dwa krzesła, stół, drewniana prycza z materacem, poduszką i kołdrą, ale bez powłoczek. Wszystko czyste i nowe, jakby prosto ze sklepu. Meble bardzo proste, jakby zrobione chałupniczo, gładko oheblowane deski, mocno wkręcone wkręty. Niezbyt ładne, za to mocne i trwałe.

– Czego wy od mnie chcecie? – spytałem głośno.

Jeśli nawet ktoś mnie obserwował, to najwyraźniej nie miał zamiaru odpowiadać.

Obok włącznika było gniazdko, podłączyłem telefon do ładowarki, ustawiłem budzik na ósmą rano. Torbę z zakupami z supermarketu rzuciłem na stół. Zszedłem na dół, wyłączyłem światło, wszedłem na piętro, i tu również zgasilem światło. Zdumiewająco szybko znalazłem łóżko w kompletnych ciemnościach, z rozkoszą zdjąłem mokre buty, rozebrałem się, rozwiesiłem przemoczone ubranie na krzesłach i się położyłem.

Wszystko zacznie się rano. Nie wiem co dokładnie, ale noc mam do swojej dyspozycji.

Przez jakiś czas leżałem, słuchając deszczu za oknem. A potem, o niczym nie myśląc, zasnąłem. Jeśli coś mi się śniło, to nie zapamiętałem.

* * *

Rano obudził mnie nie budzik, lecz stukanie, które wdarło się w mój sen. Przez kilka błogich sekund nie pamiętałem, gdzie jestem i co się ze mną stało. A potem przypomniałem sobie od razu wszystko. Szczekający Keszju, gadatliwy Mielnikow, rozpadający się dowód, krew na moich rękach, głos w telefonie...

Otworzyłem oczy i usiadłem na łóżku. Okazało się, że okiennice w jednym z okien były niedokładnie zamknięte i do pokoju wpadało słabe światło

poranka. Niespodziewanie jasne... jak zimą. Przeszedł mnie dreszcz, było chłodno, podszedłem do okna. Wieczorem nie próbowałem otwierać okiennic, teraz okazało się, że to niespodziewanie łatwe. Najpierw otworzyłem okna, potem podniosłem zasuwę z błyszczących, jakby polakierowanych okiennic i otworzyłem je na oścież.

Do pokoju wpadło świeże, chłodne powietrze i światło – dużo białego światła. Okno wychodziło nie na tory, lecz na jakiś zaułek, zabudowany starymi domami bez okien. Cały świat był przyprószony czystym śniegiem, delikatnie różowym w promieniach wschodzącego słońca i jeszcze niezadeptanym. Cień wieży padał na śnieg i podnosił się na ścianę sąsiedniego budynku. Budynek przypominały dziewiętnastowieczną fabrykę, jeszcze nie przerobioną przez przedsiębiorczych ludzi na dyskotekę czy klub nocny.

Przez kilka chwil z przyjemnością wdychałem powietrze, mrużąc oczy przed jasnym światłem. Skąd się tu wzięła ta fabryczna okolica? W Zamoskworieczje pełno takich budynków, w okolicy Izmańskiego też ich nie brakuje. Ale nigdy nie przypuszczałem, że coś takiego jest między Ryżką i Aleksiejewską, w pobliżu Prospektu Mira.

Zamknąłem okno – zrobiło się zimno – zacząłem się ubierać. Dżinsy wyschły, koszula też, ale buty były wilgotne. Tak, w tym roku wcześniej przyszła zima. A ja nie mam nic ciepłego.

Z dołu dobiegło pukanie. Drgnąłem, przypominając sobie, co mnie obudziło. Kto stuka do moich drzwi? Na pewno nie listonosz.

Skończyłem się ubierać, wsunąłem telefon do kieszeni i zbiegłem na dół po kręconych schodach.

Prawie zbiegłem. Zatrzymałem się na ostatnim stopniu i chwyciłem za drewnianą poręcz. Poczulem, że drzę, ale chłodne powietrze nie miało tu nic do rzeczy.

Jakie, do licha, kręcone schody?!

Wczoraj wieczorem była to zwykła metalowa drabina, w rodzaju pożarowej, niewygodna jak diabli.

A teraz to są spiralne schody. Drewniana poręcz, stopnie i słup. Bardzo rozsądnie zrobione – stopnie chropowate, żeby się nie pośliznąć, poręcz na odpowiedniej wysokości, sama podsuwa się pod rękę.

Przypomniałem sobie, jak szukałem śladów remontu w swoim byłym mieszkaniu. Naiwny! Tu w czasie jednej nocy zamieniono całe schody!

I nie tylko schody! Wczoraj wieczorem podłoga na parterze była betonowa, dziś jest drewniana. Szerokie deski, nie lakierowane, lecz jakby nasączone ciemnym olejem. Bardzo szlachetnie to wygląda, nie ma co.

Lampy na suficie osłaniały teraz metalowe abażury. Trochę przypominały latarnie, ale generalnie wyglądały całkiem nieźle.

Można powiedzieć, że moje warunki mieszkaniowe – po drastycznym upadku – ulegały błyskawicznej poprawie. Przedwczoraj byłem posiadaczem małego jednopokojowego mieszkania, wczorajszy wieczór powitałem jako bezdomny, a noc spędziłem w opuszczonej wieży obok torów. A teraz miałem piętrowy apartament, dość luksusowo wyposażony.

Stukanie się powtórzyło i teraz miałem już pewność, że ktoś puka do drzwi, i to wcale nie do tych, przez które tu wczoraj wszedłem.

Stałem przed drzwiami i się zawahałem, a potem zdecydowanie odsunąłem zasuwę i otworzyłem.

Tak, to na pewno nie były „moje” drzwi: ta strona wieży wychodziła na widoczny z okna zaśnieżony fabryczny zaułek. Na śniegu przestępował z nogi na nogę mężczyzna w średnim wieku, w szarym sukiennym płaszczu z wielką miedzianą blachą na piersi, w wysokich butach, futrzanej furażerce i z dużą torbą na ramieniu. Na mój widok zniecierpliwienie zniknęło z jego twarzy, zastąpione przez uprzejme zainteresowanie.

– O matko moja... – powiedziałem.

– Słucham? – zapytał mężczyzna. Stropiony, obejrzał się i nic nie rozumiejąc, wzruszył ramionami. – Wasza mateczka?

– Nie... nic. Ee...?

– Dzień dobry! Piękny dziś mamy dzień, nieprawdaż? Poczta. – Mężczyzna poklepał torbę i popatrzył na mnie z pewną podejrzliwością.

– Tak, oczywiście... Dzień dobry. Domyśliłem się.

– Poczta – powtórzył mężczyzna. – Dwie paczki i list. Paczki były prostokątne i ciężkie, a list w zwykłej białej kopercie, tylko bez znaczków, nadawcy i adresata.

– Dziękuję – powiedziałem, biorąc paczki i list.

Listonosz uniósł grzecznie furażerkę. Nie mam pojęcia jakim cudem, ale ten gest wypadł bardzo naturalnie. – Jestem... wam... coś winien?

– Nie, nie, wszystko opłacone – odparł uprzejmie listonosz. – Wszystkiego dobrego.

Odwrócił się i poszedł, okrążając wieżę. Odczekałem kilka sekund i posłuszny nagłemu impulsowi pobiegłem za nim.

Nie było żadnych stalinowskich domów, nie było nasypu kolejowego, nie było jezdni.

Były za to fabryczne budynki, wąska, zaśnieżona ulica między nimi i czekająca na listonosza kareta. To znaczy, nie kareta oczywiście, ale skąd miałbym wiedzieć, jak nazywa się dwukołowy odkryty powóz, zaprzężony w konia? Szaraban? Tarantajka? Tilbury?

Listonosz nieśpiesznie wsiadł do powozu. A ja obszedłem dookoła moją wieżę, zupełnie nieprzypominającą wodociągowej, wyglądającą raczej jak jeden z fabrycznych budynków.

Tak jak się spodziewałem, do wieży prowadziły tylko jedne drzwi, a na pierwszym piętrze znajdowało się tylko jedno okno. Wieżę zbudowano na planie pięciokąta, miała około piętnastu metrów wysokości i nieco zwężała się ku górze.

Wróciłem i wszedłem do środka. Zamknąłem. Paczki i list rzuciłem na podłogę i pobiegłem do drugich drzwi – od wewnątrz nadal było ich pięć.

Zamknięte, zamknięte...

Trzecie drzwi posłusznie się otworzyły.

Padał deszcz. Nad Moskwą wisiał szary ranek. W nozdrza uderzył mnie zapach spalin, mazutu, jakiegoś świństwa. W dali dudnił odjeżdżający pociąg podmiejski. Wyszedłem, wpakowałem się w kałużę, z butów opadły, po czym stopniały płatki śniegu. Odwróciłem się.

Ceglana wieża. Zwykła stara wieża wodociągowa. Jedne jedyne drzwi, jedno okno, zamknięte zardzewiałymi okiennicami.

Od strony sklepu dobiegała mnie naćkana przekleństwami rozmowa: „A ona... spod płotu... uchłał się... jak świnia, mówi... Wszystkie wy, baby...”. Niesłusznie oskarżonemu piskliwie odpowiadał przepity, ale na pewno kobiecy głos.

Dzień dobry, ukochane miasto.

Cofnąłem się, zatrzasnąłem drzwi, zasunąłem zasuwę.

Ech, pisarzu Mielnikow... I czemuś mi nie uwierzył...

Podniosłem z podłogi list i paczkę, wszedłem na piętro. Otworzyłem okno wychodzące na Moskwę. Odsunąłem się trochę i przez kilka minut patrzyłem na zdumiewający obraz: deszczowy szary ranek w jednym oknie, jasny zimowy świt w drugim.

A potem usiadłem przy stole i otworzyłem kopertę.

Ze środka wypadła wąska żółta kartka, przypominająca wezwanie albo telegram: podobny gatunek papieru, ta sama obojętna maszynowa czcionka, opuszczone spójniki.

„Kiryła Maksimowa. Gratulujemy przybycia. Prosimy zadomowić. Przystąpcie pracy odpowiednim czasie. Komisja przybędzie pojutrze. Wszelkiej pomyślności”.

To „wszelkiej pomyślności” mnie dobiło. Zgniotłem kartkę, rzuciłem na podłogę. Znowu spojrzałem w okna. Deszcz w jednym, śnieg w drugim. Dwa światy i dwa zamknięte okna. Próbowałem zdjąć zasuwkę z jednego z nich, ale nie zdołałem.

Wróciłem do stołu, rozdarłem jedną z paczek i wyjąłem ciężki tom w brązowej skórzanej okładce – prawdziwa skóra, pięknie pachnąca nowością. Przypomniałem sobie, że w Azji zapach skóry jest uważany za jeden z ohydniejszych... Ciekawe, z czego byłaby ta okładka, gdybym był Chińczykiem albo Koreańczykiem?

Ostrożnie otworzyłem książkę. Żadnej karty tytułowej. Piękny biały papier, wyraźny druk. Na pierwszej stronie nagłówek i spis treści:

Moskwa

Towary, które można wywozić – str. 3

Towary, których nie wolno wywozić – str. 114

Towary, które można wwozić – str. 116

Towary, których nie wolno wwozić – str. 407

Otworzyłem na stronie 114. Lista była raczej krótka.

Niewolnicy (osoby będące własnością bliźniego swego, znajdujące się w pełnej władzy jego).

Broń masowego rażenia (broń przeznaczona do zadawania masowych strat).

Otworzyłem książkę bliżej początku i dowiedziałem się, że cło za jeden kilogram pieprzu (czarnego, białego, zielonego) wynosi trzy tysiące osiemnaście rubli sześć kopiejek. Za to za rękawiczki płaciło się jedynie siedem rubli za parę. Pergamin – dziewięćdziesiąt sześć rubli trzy kopiejki za metr kwadratowy; pawie pióra – dwa ruble siedemnaście kopiejek za dziesięć centymetrów.

– Wierieszczagin, zejdź z barkasu* – wymruczałem, szukając strony czterysta siedem.

Prócz niewolników i broni masowego rażenia, do Moskwy nie wolno było wwozić roślin i nasion zdolnych do kiełkowania, narkotyków, a także żadnych zwierząt, za wyjątkiem endemicznych. Przez kilka sekund zastanawiałem się, czy wielbłądy, białe niedźwiedzie i delfiny są endemiczne dla Moskwy. Przecież były w ogrodzie zoologicznym.

Wyobraziłem sobie, jak po zaśnieżonym zaułku ciężko człapią w stronę wieży załadowane tobołami marihuany białe misie z poganiaczami niewolnikami, uzbrojonymi w przenośne pociski jądrowe. A ja dumnie stoję przed drzwiami i wymachując księgą, nie zezwalam na wejście „karawany” do Moskwy.

Wizja była tak realistyczna, że aż podszedłem do okna, za którym drzemały zaśnieżone budynki fabryki, i czujnie zlustrowałem bezludną ulicę.

Co to jest? Dziura w przestrzeni? Sądząc po architekturze i powozie listonosza, raczej w czasie.

* Aluzja do kultowego radzieckiego filmu Białe słońce pustyni. Celnik Piotr Wierieszczagin steruje barkasem, zaminowanym przez przemytników. Przyjaciel Wierieszczagina woła z brzegu: „Zejdź z barkasu!”, ale celnik nie słyszy – barkas wylatuje w powietrze (przyp. tłum).

Albo w czasie i przestrzeni.

A może to wejście do świata równoległego, wiecznej radości fantastów? Idzie sobie człowiek, otwiera drzwi w ścianie...

Tfu!

Rozerwałem drugą paczkę. Dokładnie taka sama książka, też w skórzanej okładce, tylko czarnej. I te same cztery rozdziały.

Ale w nagłówku zamiast „Moskwy” widniał tajemniczy „Kingim”.

Było w tym słowie coś z nazw syberyjskich, jakieś azjatyckie nutki. Jednego byłem pewien: nigdy przedtem nie słyszałem o takim mieście.

Może to przejście między światami?

Ale co ja mam z tym wspólnego? Dlaczego najpierw zapomnieli o mnie przyjaciele, a potem przestali mnie zauważać nawet milicjanci? Skąd wzięła się Natasza Iwanowa i dlaczego, do diabła, popełniła samobójstwo? Kto do mnie zadzwonił i przyprowadził do tej wieży, już teraz patrzącej dwiema stronami na dwa różne światy? A najwyraźniej miały się tu otworzyć kolejne drzwi... Kto napisał list i zbiory praw celnych?

Nie, to niewłaściwe pytania. Nieważne. Przede wszystkim powinienem zainteresować się nie przyczynami tego, co się dzieje, lecz własnymi działaniami.

Mam na sobie mokre ubranie, w dodatku zbyt cienkie jak na tę porę roku. Do jedzenia mam czekoladę i wodę mineralną. Ani grosza gotówki, a na pobory celne na razie nie ma co liczyć.

Zresztą, nie ma tego złego... Skoro nie zauważają mnie kasjerki, skoro milicja wypuszcza mnie zaraz po zatrzymaniu na miejscu przestępstwa...

Uśmiechnąłem się złośliwie i odłożyłem prawa celne Kingim.

7.

Już w dzieciństwie, po obejrzeniu pierwszego filmu sensacyjnego i przeczytaniu pierwszego kryminału doszedłem do wniosku, że okradanie ludzi jest złem, ale grabienie banków czy korporacji to dobry uczynek. Nie wiem, skąd mi się wzięła ta dziwna moralność, ale coś w niej jest. Później w książkach niejednokrotnie spotykałem się z podobną moralnością. No bo, czyż nie jest tak, że złodzieja, który ukradł komuś portfel, ludzie mogliby zabić na miejscu, za to zręcznego oszusta, który ukradł państwu okrągły miliard, cierpliwie tolerują i nawet są gotowi się nim zachwycać?

Tak czy inaczej, postanowiłem okraść najbliższy duży sklep. Znalazłem taki dziesięć minut drogi od torów.

Przede wszystkim musiałem zrobić zapasy jedzenia. Przeszedłem się po hali i załadowałem pełen wózek: konserwy, kiełbasa, sucharki, woda mineralna, soki i dwie butelki koniaku, tym razem drogiego, ormiańskiego. Na oko zawartość wózka mogła opiewać na jakieś dwa, trzy tysiące. Personel sklepu nie powinien mieć przeze mnie większych nieprzyjemności.

Uśmiechając się czarująco do kasjerki, przejechałem wózkiem obok kasy. Bramek sygnalizacyjnych tu nie było, to nie market, więc brzęczyk mnie nie zdradzi...

– Proszę pana! – zawołała kasjerka, zdenerwowana i zaskoczona jednocześnie.

Odczekałem sekundę i odwróciłem się.

– Tak?

Kasjerka, wymalowana młoda dziewczyna, popatrzyła na mnie oburzona.

– A kto będzie płacił?

Poczułem ostrzegawcze ukłucie w piersi, ale jeszcze się stawiałem:

– O co pani chodzi?

– Wołodiiaa! – zawołała kasjerka.

Ochroniarz zjawił się od razu.

– Nie chce płacić!

W jej oczach nie było nawet śladu mgielki zapomnienia, przeciwnie, mógłbym przysiąc, że dziewczyna zapamięta mnie na mur i wieczorem na pewno opowie rodzinie o bezczelnym złodzieju.

– Jak to nie chcę? – wycofałem się szybko. – Po prostu chciałem najpierw zapakować zakupy.

Głupszego wyjaśnienia już nie mogłem wymyślić!

– A nabić na kasę? – zapytała dziewczyna, wymachując czytnikiem jak futurystycznym blasterem. – Przecież muszę nabić towar na kasę!

– O, przepraszam, zamyśliłem się. – Z krzywym uśmiechem zacząłem wykladać zakupy na taśmę transportera.

Ochroniarz popatrzył na mnie w zadumie i powstrzymał kasjerkę, która już przysunęła do czytnika pierwszą puszkę.

– Czekaj, Tańka... Pieniądze pan ma, młody człowieku?

Pieniądzy nie miałem. Niedbale wyciągnąłem kartę.

– Przyjmujecie karty?

– Przyjmujemy. – Kasjerka zerknęła na kartę i uśmiechnęła się złośliwie. – Ale tej nie przyjmę.

– Dlaczego?

– Bo nie jest pańska.

– Ojej – powiedziałem, nawet nie patrząc na kartę. – Iwanowa Natalia? To karta żony, mamy w jednym banku...

– Cudzej nie przyjmę – powtórzyła kasjerka.

Ochroniarz uśmiechnął się zjadliwie.

– Tam stoi bankomat. Dziś rano wkładali pieniądze, możesz wypłacić, ile ci potrzeba.

Pod jego czujnym spojrzeniem skierowałem się do bankomatu.

Co zrobi ochroniarz, jeśli teraz rzucę się do ucieczki? Chyba nie będzie mnie gonił. I pewnie nie powiadomi milicji. Nie wyrządziłem szkody sklepowi, a że mam cudzą kartę, to już nie jego problem.

Stanąłem plecami do ochroniarza, wsunąłem kartę do szczeliny bankomatu. Na karcie rzeczywiście widniało Iwanowa Natalia. Powinienem był się domyślić, że karta się tak zmieni.

Ale czy zmienił się również kod?

Czy bank zdążył zablokować kartę nieboszczki?

Powoli wybrałem na pulpicie 7739. Potwierdziłem.

Na ekranie wyświetliło się zapytanie o sumę.

Z ulgą wystukałem pięć tysięcy, ale zmieniłem zdanie i wybrałem dziewięć siedemset – prawie wszystko, co było na karcie.

Bankomat obojętnie zaszeleścił banknotami, wydając mi nowiutkie pięćsetki i lekko pomięte setki.

Wróciłem do kasy, demonstracyjnie trzymając pieniądze w ręku. Ochroniarz odszedł na bok, wyraźnie rozczarowany. Kasjerka spakowała w milczeniu zakupy, zapłaciłem i minutę później wyszedłem ze sklepu. Odwróciłem się. Kasjerka i ochroniarz patrzyli na mnie i coś mówili.

Cholera.

Co się stało z moją wczorajszą niewidzialnością? Przecież byłem widzącym w kraju ślepców! Człowiekiem w czapce-niewidce, który bez problemu mógłby chodzić nago i boso!

A teraz...

Obudziła się we mnie nieśmiała nadzieja. Usiadłem na ławce naprzeciwko sklepu, postawiłem torby z zakupami obok, wyjąłem telefon.

Do przyjaciół czy do rodziców?

Do rodziców.

Sygnał. Drugi. Trzeci.

– Tak! – usłyszałem w słuchawce wesóły głos ojca. – Słucham!

Przełknąłem narastającą w gardle gulę i powiedziałem:

– To ja, Kirył.

– O, cześć, cześć! – odezwał się ojciec i zanim zdążyłem się ucieszyć, dodał: – Kirył Andriejewicz?

- Nie! Kirył Daniłowicz!
- E... przepraszam?
- Jestem twoim synem! – krzyknąłem do słuchawki.

Przez kilka sekund panowała cisza. Potem ojciec jakoś tak niepewnie powiedział:

- Głupi dowcip...
- Jestem twoim synem – powtórzyłem.
- Ile pan ma lat? – spytał ojciec, zniżając głos.

Stropiłem się, ale odpowiedziałem:

- Dwadzieścia sześć.

Czy mi się wydawało, czy w głosie ojca usłyszałem ulgę?

- Nie należy tak żartować, młody człowieku! Głupie i nieśmieszne!

W słuchawce usłyszałem krótkie sygnały przerwane połączenia. Odruchowo wybrałem numer jeszcze raz, ale ojciec chyba zdążył wyłączyć telefon.

Co się dzieje? Więc nic nie wróciło? A czemu ojciec pytał mnie o wiek?

Zastanowiłem się... i uśmiechnąłem krzywo. Noo, tato! Aleś zasunał! Wychodzi na to, że mogę mieć brata, starszego albo młodszego.

Zresztą, jakie to ma znaczenie, skoro ja sam nie istnieję?

Drzwi sklepu otworzyły się, wyszedł ochroniarz, żeby zapalić. Zobaczył mnie, w jego wzroku zapłonęła podejrzliwość.

O nie, kolejne spotkanie z milicją nie jest mi potrzebne. Tym razem już mnie nie puszczą.

Wziąłem torby i poszedłem w stronę swojej wieży. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby zniknęła albo przemieniła się w zwykłą wieżę wodociagową. Ale wieża stała na swoim miejscu, drzwi się otworzyły, w środku też nic się nie zmieniło. Schody, meble na piętrze. Woda mineralna i koniak nadal stały na stole. Wyłożyłem zakupy i pożałowałem, że nie kupiłem jednorazowych naczyń i sztućców. Kielbasę musiałem gryźć. Zresztą, brak sztućców i talerzy nie przeszkodził mi w zjedzeniu śniadania składającego się z kielbasy z sucharkami, wody mineralnej i koniaku. Potem stanąłem przy oknie i popatrzyłem na obcy świat.

Śnieg, budynki z czerwonej cegły. Słońce stoi wysoko, ale przysły chmury. Pewnie znów zaczniesz sypać.

Zdaje się, że powinienem wejść do tego świata. Poszukać odpowiedzi na pytania. Ale najpierw muszę zdobyć ciepłe ubrania. Z moimi zasobami chyba będę musiał zajrzeć do jakiegoś ciucholandu.

Poranny dobry nastrój rozwiął się jak dym.

To nie w porządku! Skoro już istnieją inne światy, to powinny tam być potwory i księżniczki! Te pierwsze należy zabić, te drugie uratować. A tutaj co? Ślepy zaułek i opuszczone budynki!

Przez jakiś czas patrzyłem ponuro w okno, a potem powiedziałem na głos:

– Nie ma co tu siedzieć. Wszystkie odpowiedzi, a także potwory i księżniczki są gdzieś tam.

W moim głosie nie było przekonania, ale i tak wstałem i poszedłem w Moskwę.

Udało mi się jednak obejść bez wizyty w ciucholandzie. Przypomniałem sobie o sklepie w rejonie WDNCh, gdzie sprzedawano skonfiskowane ubrania, będące podróbkami znanych marek, końcówki modnych kolekcji i inne towary o podejrzanie niskich cenach. Tam udało mi się kupić ciepłą kurtkę, podszytą przez pracowitych Chińczyków, wełniany beret nieznanego pochodzenia (napis „Design of Italia” jedynie pogłębił moje wątpliwości) i zimowe buty, które miały jedną niezaprzeczalną zaletę – były suche.

Zresztą, być może komuś spodobałby się ich niesamowity jasnozielony kolor.

Z zakupami w wielkiej torbie, za którą przedsiębiorczy handlarze nie omieszkali zedrzeć ze mnie pięciu rubli, wyszedłem ze sklepu i wtedy zadzwonił mój telefon.

– Tak?

– Kirił? – usłyszałem w słuchawce.

Zrobiło mi się ciepło na duszy.

– Tak! Kotia, cześć!

– Hmm... – Kotia wyraźnie się nie spodziewał, że zostanie rozpoznany. – Jak masz na nazwisko?

– Maksimow.

– Aha. Słuchaj, dwa dni temu żeśmy...

– Pili koniak – dokończyłem ze zmęczeniem w głosie. – Wszystko jasne. Nic nie pamiętasz, ale znowu znalazłeś swoją notatkę? Jak tam stary lowelas wuefista? Nauczył swoją ósmoklasistkę robić szpagat? I zerknij na parapet, pewnie stoją tam dwie puste butelki po koniaku. Jedna z nich to „Ararat”.

– Więc to wszystko na serio? – zapytał Kotia beznadziejnym tonem.

– A coś ty myślał?

– Że hakerzy sobie wygłupy robią, włamali się do kompa i to napisali.

No nie, trzeba być Kotią, żeby wierzyć w takie rzeczy!

– Posłuchaj. Nic ci nie będę udowadniał – powiedziałem spokojnie. – Wczoraj byliśmy razem u twojego znajomego fantasty. A potem o mnie zapomniałeś, w ciągu dziesięciu sekund.

– A gdzie jesteś teraz? – zapytał Kotia po chwili milczenia.

Stałem się czujny.

– Po co ci to?

– No jakoś mi tak... niezręcznie. Dziwne to wszystko. Może przyjedziesz?

– I co? – zapytałem niemal wesoło. – Przyjadę, będę ci długo udowadniał, że się znamy, potem wypijemy dwie butelki. Nad ranem wytrzeźwiejesz i znowu mi nie uwierzysz. Wiesz co... już lepiej ty przyjedź.

– Dokąd?

– Stacja Moskwa-trzy. To w mieście, niedaleko metra Aleksiejewska.

– Przyjadę. Sprawdzę na mapie – powiedział Kotia zdecydowanym tonem.

– Będę za godzinę... nie, za półtorej. Kupić coś?

– Nie, dzięki. Będę na ciebie czekał na stacji, przed sklepem całodobowym. Jak coś będziemy chcieli, to tam kupimy. Tylko weź pod uwagę, że trzeci dzień z rzędu to już ciąg.

– A jak ja cię poznam? – zapytał bezradnie Kotia.

– Ja cię poznam.

Schowałem telefon i pomyślałem, że ja i Kotia powinniśmy byli zrobić sobie razem zdjęcie zaraz pierwszego wieczoru, gdy to wszystko dopiero się zaczęło. Mielibyśmy dowód naszej znajomości.

Najważniejsza zasada: jeśli już zrozumiałeś, że zrobiłeś głupotę, to nie ma co rwać włosów z głowy, wystarczy nie popełniać więcej tego samego błędu. Dlatego w sklepiku przy metrze kupiłem jednorazowy „plażowy” aparat fotograficzny, z powodu nadchodzącej zimy przeceniony na dwieście rubli. Szkoda mi było pieniędzy na poważniejszy sprzęt, zwłaszcza że nie spodziewałem się żadnych „wpływów”.

Poza tym kupiłem mały szwajcarski scyzoryk. Najbardziej podobało mi się w nim to, że miał małe ostrze i żadnego korkociągu.

Nie spodziewałem się zasadzki, ale na wszelki wypadek stanąłem opodal sklepiku, w połowie drogi do wieży. Kupiłem butelkę piwa i spokojnie je teraz piłem, spacerując po dróżce. Czeka sobie człowiek na pociąg, pije piwo, co w tym nadzwyczajnego?

Kotia nie zawiódł, przyjechał punktualnie. Wsiadł z taksówki, wojowniczo poprawił okulary i zaczął się rozglądać. Przez kilka minut badałem okolicę, ale żadnej „grupy przejęcia” nie zauważyłem. Zresztą, komu ja jestem potrzebny.

– Kotia! – zawołałem do swojego byłego przyjaciela i podszedłem bliżej.

Kotia podskoczył w miejscu i popatrzył na mnie z tak intensywnym pragnieniem rozpoznania mnie, że zrobiło mi się nieswojo.

– To ja – oznajmiłem, wrzucając pustą butelkę do kosza. – Kirył Maksimow. Twój stary... ee... kumpel.

– Nie poznałem – powiedział ze smutkiem Kotia. Wyjął z kieszeni pomięte kartki, wydrukowane na drukarce. Uważnie przebiegł wzrokiem, westchnął i podał mi. – Wszystko się zgadza. Będziemy na „ty”?

Jak się okazało, Kotia nie ograniczył się do jednej notatki. Wczoraj, gdy wybieraliśmy się do Mielnikowa, wystukał jeszcze kilka linijek:

Za chwilę pójdziemy w gości do Mielnikowa. To fantasta, może coś doradzi? Na wszelki wypadek, gdybym znowu zapomniał: mój

nieszczęsny przyjaciel nazywa się Kirył Maksimów. Ma dwadzieścia sześć lat. Pracuje jako menadżer w jakiejś firmie komputerowej. Wzrost: wyższy niż średni, budowa ciała: normalna, widoczny niewielki brzuszec...

– Co? Jaki brzuszec? – oburzyłem się. – Mam zupełnie normalną wagę!

– Wagę masz normalną, ale pracę siedzącą – sparował Kotia.

– ...brzuszec, twarz owalna, pulchne policzki...

– Jak się ciebie słucha, to można by pomyśleć, że obrosłem tłuszczem – powiedziałem ponuro. – Ważę osiemdziesiąt kilo, to normalna waga przy moim wzroście.

– ...policzki, oczy brązowe, włosy ciemnokasztanowe, nos prosty, uszy z wyraźnymi płatkami...

– Kotia, nie pracowałeś czasem w milicji? – zapytałem zjadliwie. – Nie tworzyłeś portretów pamięciowych?

Kotia się uśmiechnął.

– ...ogólnie twarz dobronudszna i sympatyczna. Mówi szybko, głos nieco głuchy, w czasie rozmowy usiłuje nieumiejętnie żartować i kpić z rozmówcy. Jeśli wrócę do domu sam i zapomnę o Maksimowie, to przeczytam tę notatkę i wszystko sobie przypomnę. Z Kiryłem dzieje się coś dziwnego i bardzo mi się nie podoba, że się w to wplątałem.

Potem było czyste pół strony i kilka linijek z opowiadania, w którym Kotia umieścił notatkę dla samego siebie.

– O i tak właśnie – zakończył Siemion Makarowicz, ocierając pot z czoła. – To się nazywa tantryczna joga, przed tysiącami lat wymyśliły ją starogreckie hetery.

– Dziękuję bardzo! – zawołała Jula i się zarumieniła.

Popatrzyłem na Kotię i pokręciłem palcem przy skroni.

– Jakie hetery?

– Starogreckie! – Kotia zabrał mi kartki. – Taką mam pracę.

– Znam twoją pracę.

– Co się wczoraj stało u Mielnikowa? – zapytał Kotia.

– A co, dzwoniłeś do niego? – zainteresowałem się. – A co ty pamiętasz?

– Dzwoniłem – rzekł Kotia z godnością. – On uważa, że przyszedłem do niego sam i rozmawialiśmy o literaturze. Ja też to pamiętam. To wszystko.

– A jak cię zatrzymałem przy wyjściu z klatki?

Kotia pokręcił głową.

– Chodź, usiądziemy, zapowiada się długa rozmowa.

Kupiliśmy dwie butelki piwa. Kotia prychnął, gdy, o nic go nie pytając, kupiłem mu jego ulubiony obołoń, sobie tuborg i zacząłem opowiadać. Niczego nie ukrywałem. Opowiedziałem o tym, jak kupiłem nóż, jak zacząłem się na Natalię Iwanową i jak ona się na ten nóż nadziała.

– Jesteś pewien, że to nie ty pchnąłeś ją tym nożem? – nie wytrzymał Kotia.

– Jestem. Stałem z nożem w ręku, chciałem rozciąć taśmę...

– Nie da się tak skoczyć na nóż, żeby się zabić! – powiedział podejrzliwie Kotia.

– A co, próbowałeś?

Kotia nie odpowiedział.

Gdy doszedłem do milicjantów, którzy mnie wypuścili, Kotia się zdenerwował.

– Słuchaj, Kirył, to już jest absolutnie niemożliwe.

– Ale tak właśnie było.

– Może było, a może nie. – Kotia się zamyślił. – Mówisz, że cię bili?

– Myślałem, że mi połamali żebra. Kilka razy tak kopnęli...

– A sąsiad dał ci pięścią w oko?

– No tak...

– A przeglądałeś się dzisiaj w lustrze?

– A co?

Kotia się uśmiechnął.

– A nic. I właśnie o to chodzi. Twarz masz świeżą i zadowoloną, jakbyś spędził tydzień na wczasach. A żebra nie bolą?

Zastanowiłem się. Rozpiąłem kurtkę, podniosłem sweter.

– Żadnych śladów – skonstatował Kotia. – Wybacz, ale tak się nie dzieje. Gdyby cię skopali, to chociaż siniaki powinny zostać!

Trudno było odmówić mu racji.

– Słuchaj dalej – westchnąłem. – To jeszcze nie koniec.

– Po gliniarzach, którzy cię puścili, nic dziwniejszego nie mogło się już zdarzyć – oznajmił sceptycznie Kotia.

Dziesięć minut później skończyłem opowieść o wieży i złośliwie spytałem:

– I co? Dziwniejsze od glin?

– Gdzie jest ta wieża?

– Tam. – Pokazałem.

Kotia zdjął i przetaił okulary.

– Przecież to stara wieża wodociągowa.

– Oczywiście. Z pozoru.

– I możesz mnie tam zaprowadzić?

– Mogę.

– To chodźmy. – Kotia wstał. – Choć osobiście jestem pewien, że albo nie otworzą się drzwi, albo w środku nie będzie niczego dziwnego.

Szczerze mówiąc, też się tego bałem. Skąd miałem wiedzieć, czy mogę tam kogoś wprowadzić? Może przejście między światami działa tylko dla mnie? To by nawet było logiczne.

Ale drzwi się otworzyły i w środku wszystko było dokładnie tak, jak zapamiętałem. Kręcone schody prowadzące na piętro, pięcioro drzwi.

– Obłęd – stwierdził Kotia, rozglądając się. – Widzisz to samo, co ja? Porządnie zrobiony remont, kręcone schody na górę...

– Tak.

– Pokaż mi te drzwi! – polecił Kotia. – Te do Kyłgymu!

– Kingimu – poprawiłem.

Podszedłem do drzwi i zrozumiałem, że tutaj też wszystko jest w porządku. Metalowa klamka była lodowata.

Padał śnieg. Niebo zasnuły chmury i na nasze głowy opadały leciutkie białe płatki. W nielicznych oknach fabryk (zresztą, skąd właściwie myśl, że to fabryki?) nie paliły się światła, nie dobiegały żadne odgłosy. Ślady powozu pocztowego dawno zasypał śnieg.

– O, stamtąd przyjechał listonosz – pokazałem. – W tilbury.

– Ciekawe... – rzekł Kotia, zerkając na mnie. – Tilbury, mówisz?

Wzruszyłem ramionami. Zdjąłem z aparatu foliowe opakowanie i zrobiłem kilka zdjęć. Mały flesz usiłował podświetlić okolicę; zresztą, na filmie „czterysta”, zdjęcia powinny wyjść.

– To mi wygląda na świat równoległy – zawyrokował Kotia. – Co? Bardziej zacofany niż nasz, prawda?

– Chyba tak.

– Wracajmy – Kotia spoważniał.

– I co, teraz mi wierzysz? – spytałem, zasuważąc zasuwę.

– Wierzę, wierzę. – Kotia obmacywał pozostałe drzwi. – Wszystkie zamknięte. A niech to! Ale numer.

Chodził po pokoju, przyciskał ucho do drzwi, opukiwał je, niemal obwąchiwał. Potem zaczął badać drewnianą podłogę.

– W ciągu nocy tak się zmieniła – powiedziałem z taką dumą, jakbym to ja sam, osobiście, w ciągu jednej nocy położył trzydzieści metrów kwadratowych desek.

– Modrzew – oznajmił Kotia. – Ale lakierem nie pachnie, a polakierowane już po położeniu!

– To samo było w moim mieszkaniu – potwierdziłem. – Wszystko zmienione i żadnych śladów remontu.

– Zmieniła się rzeczywistość – oznajmił Kotia. – I wszystko zmieniło się razem z rzeczywistością. Tylko ty pozostałeś niezmienny!

– Pójdziemy na górę? – zaproponowałem gościnnie. – Tam jest jeszcze weselej.

– Albo przeciwnie – rozmyślał na głos Kotia, idąc za mną. – Rzeczywistość się nie zmieniła, tylko ty się zmieniłeś. Dlatego odbierasz zwyczajne rzeczy jako niesamowite.

– Chcesz dać mi delikatnie do zrozumienia, że zwariowałem? – spytałem.
– A co, nie wiedziałeś, że w każdej opuszczonej wieży wodociągowej robią taki wystrój?

Kotia tylko westchnął.

Na piętrze również wszystko dokładnie zbadał. Wyglądał przez okna, lustrował meble. Parząc palce, wykręcił jedną żarówkę i długo ją oglądał.

Potem rzucił się na przyniesione książki, zaczął je z zainteresowaniem studiować.

Nie przeszkadzałem mu, spokojnie nalałem do kubeczków kupiony wczoraj koniak, pokroiłem ser i kiełbasę. Zrobiło mi się źlej na duszy. Wprawdzie przyjaciel mnie zapomniał, ale nasze stosunki nie uległy zmianie; pewnie dlatego, że ja wiedziałem, jak z nim rozmawiać, jakie słowa dobierać, jak się zachowywać.

– Coś tu nie pasuje. – Kotia odłożył książki i popatrzył na mnie w zadumie. Bez szczególnego entuzjazmu wziął koniak i mruknął: – Wyłącznie dla odprężenia.

– Co nie pasuje? – spytałem, gdy wypiliśmy.

– Wszystko nie pasuje. No popatrz, co my tu mamy? Jesteś zwykłym moskiewskim chłopakiem. Zajmujesz się jakimiś bzdetami, mieszkasz w kawalerce, którą kupili ci rodzice, nie masz żony ani dzieci. Szczególnych talentów nie zauważono. Zgadza się?

– Zgadza.

– W twoim mieszkaniu pojawiła się obca baba, wszystkie twoje dokumenty zniknęły, zapomnieli ci przyjaciele i rodzina. Podejrzewasz, że to sprawa jakichś bandytów i próbujesz przesłuchać łajdaczkę, która odebrała ci lokum. Łajdaczka niespodziewanie popełnia samobójstwo. Zostajesz aresztowany, ale zapominalstwo postępuje i gliny puszczają cię wolno.

– Faktycznie, bez sensu – przyznałem.

– Nie! – Kotia uniósł rękę. – Nie masz racji. To akurat układa się w logiczny ciąg. Jakaś siła usuwa cię z rzeczywistości. Co to za siła – kosmici, masoni czy Pan Bóg – to na razie nieważne. Potem ktoś do ciebie dzwoni i doprowadza do opuszczonej wieży. W środku jest mieszkanie, które przez jedną noc samo podnosi swój standard. Poza tym, w wieży jest pięcioro drzwi, a jedno z nich – na razie tylko jedno – prowadzi do obcego świata. Prócz tego, ktoś ci niedwuznacznie sugeruje, że masz pełnić funkcję celnika. Rozumiesz, co tu nie pasuje?

– Nie, nie rozumiem! Przecież cały czas działa ta sama „jakaś siła”!

Kotia westchnął i nalał jeszcze po jednym.

– Tępoto... Weź dowolnego... no dobrze, nie dowolnego, żonaci faceci mają swoje racje... Weź jakiegoś kawalera, wszystko jedno, czy to dozorca, student, czy pracownik wielkiej firmy, i zaproponuj mu nową pracę: stanowisko celnika między dwoma światami.

– Brzmi interesująco – przyznałem.

– Ja bym się zgodził. – Okulary Kotia błysnęły od gwałtownego ruchu głowy, ale wyglądało to tak, jakby zapłonęły mu oczy. – Każdy by się zgodził! Ty też!

– No wiesz... – Popatrzyłem w okno. Nad tajemniczym miastem Kingimem padał śnieg. Tam już zapadł zmrok. Tam było cicho, czysto i tajemniczo. A w drugim, moskiewskim oknie mżył deszcz. Ziemia rozmiękła, ulicą przejechała, plując czarnym dymem, wielka ciężarówka. Niespodziewanie powiedziałem: – Tak, zgodziłbym się.

– No widzisz. – Kotia pokiwał głową. – A teraz pomyśl, po co te komplikacje? Mieszkanie, dokumenty, skleroza przyjaciół, stuknięta samobójczyni? Dlaczego nie przyszli i po prostu nie zaproponowali ci tej pracy? To mnie właśnie dziwi, Kiryń.

– Próbujesz zrozumieć logikę... – Zdławiłem słowo „kosmitów” i dokończyłem: – Nie wiadomo kogo. A może oni wcale nie mają logiki?

– Logika jest zawsze! – powiedział surowo Kotia. – A jeśli jej nie ma, to znaczy, że nie rozumiemy tego, co się dzieje. I to mnie niepokoi. Poza tym...

Wziął jedną książkę, otworzył na początku, przesunął palcem po stronie i zapytał:

– Co to jest asafetyda?

– Wschodnia przyprawa – odparłem, nie podejrzewając podstępu. – Wchodzi w skład curry.

– Wierzę – przyznał Kotia i otworzył książkę w innym miejscu. – A co to jest... e... żakard?

– Tkanina. Bawełniana.

– A czym się różni od zwykłej tkaniny?

– No... Jest taka... biała albo beżowa, a na niej taki jednobarwny wzór. Pastuszkowie, baranki, drzewka...

Zamilkłem.

– Dotarło? – spytał Kotia. – Kiedy wspomniałeś o tilbury, od razu zacząłem coś podejrzewać. A może pracowałeś jako kucharz w kombinacie tkackim?

Pokręciłem głową.

Najbardziej przykre było to, że zupełnie nie czułem w sobie żadnej nowej wiedzy! Jakie przyprawy? Znam dwie: pieprz i sól! A tkaniny? Naturalne albo sztuczne. Sztucznych lepiej nie nosić, zwłaszcza skarpetek.

Ale gdy Kotia zadał mi pytanie, odpowiedź wyskoczyła sama. Oczywiście wyobraźni zobaczyłem asafetydę (nawet poczułem jej ostry, czosnkowy zapach) i wielki kupon zakardu z pastoralnymi scenkami.

– Widocznie ta wiedza należy ci się razem ze stanowiskiem – zastanawiał się na głos Kotia. – Gdybyś miał inny zawód... Och!

Nerwy miałem w strzępach, ale stukanie do drzwi wcale mnie nie przstraszyło – po prostu wstałem i ruszyłem na dół. Za to Kotia strasznie się zdenerwował.

– Zaczekaj! Wyjrzyj chociaż przez wizjer! – zawołał Kotia, biegnąc za mną.

– Jaki wizjer?

– To niedopatrzenie, powinien być wizjer! – Kotia najwyraźniej spanikował. – Do których drzwi stukają? Do których?

– Do naszych! Moskiewskich!

– Spytaj: „kto tam?”

Ale ja nie pytałem. Po prostu otworzyłem.

Nieco z boku, zjechawszy z jezdni na rozmiękle pobocze, zaparkowano duże granatowe audi allroad. A tuż przed drzwiami stały trzy osoby: mężczyzna pod pięćdziesiątkę ubrany w drogie, nieco staromodne palto z kaszmiru i tak błyszczące buty, jakby go tu przynieśli z samochodu. Od razu widać, że to „człowiek na stanowisku”. Obok stała dziewczyna, mniej więcej dwudziestoletnia, w futerku z norek, modnie ubrana, ładna, ale z tak pogardliwym wyrazem twarzy, jakby kazano jej grzebać w śmietniku. Za nimi majaczył potężny chłop z ponurą twarzą. Brakowało mu tylko plakatu: „Jestem wypasionym ochroniarzem”. Ku mojemu zdumieniu, ochroniarz patrzył na mnie nie ze zwykłą zawodową podejrzliwością, lecz z przestraczeniem, a jednocześnie wyzywająco. Zupełnie, jakbym niedawno

bezkarnie strzelił go w twarz, a potem poklepał po ramieniu i powiedział z aprobatą: „Dobry chłopiec!”.

Zdumiewające uczucie – mieć świadomość, że ktoś się ciebie boi.

– Dobry wieczór – rzekł mężczyzna władcym głosem. Stałem się czujny, przypomniałem sobie głos w telefonie... Nie, chyba jednak nie on. Jedyną wspólną cechą tych głosów była pewność siebie. – Możemy wejść?

– Proszę. – Odsunąłem się, robiąc przejście.

Mężczyzna i dziewczyna weszli. Ochroniarz został na zewnątrz.

– Tak jak się umawialiśmy, Witia – rzucił mu mężczyzna i zamknął drzwi.

Zapadła niezręczna cisza. Dziewczyna strzepywała z futerka krople wody. Chyba nie była przyzwyczajona do wysokich obcasów, bo stała jakoś tak niepewnie, niestabilnie. Mężczyzna rozejrzał się, uśmiechnął do mnie, skinął głową zastygłemu na schodach Kotii. Kotia szybko zdjął i ścisnął w rękę okulary.

– Państwo do mnie? – zapytałem.

Brwi mężczyzny uniosły się.

– Nie. Chcielibyśmy przejść.

– Do Kingimu? – spytał Kotia głosem ochrypłym ze zdenerwowania.

– A co, pojawiły się inne możliwości? – zainteresował się mężczyzna.

– Nie – odparłem.

– W takim razie do Kingimu.

– Trzeba było jechać na Siemionowską – powiedziała półgłosem dziewczyna.

– I spędzić godzinę w korkach? Tak będzie szybciej – uciał mężczyzna. – Możemy przejść? Nie mamy ze sobą żadnych towarów.

Powinienem był poprosić o wyjaśnienia. Nie, nie prosić – żądać. Ale coś mnie powstrzymało. Może wrażenie, że żądać wyjaśnień od tego człowieka to tak, jakby pytać, ile cylindrów ma silnik jego samochodu. On nie wie, on używa.

A może powstrzymało mnie spojrzenie dziewczyny, rozdrażnione i proszące jednocześnie. Jakby strasznie się bała niepotrzebnej zwłoki i dlatego się złościła. I na mnie, i na mężczyznę.

– Przez te drzwi. – Skinąłem głową.

Przeszli, zostawiając brudne ślady na podłodze. Przechodząc obok schodów, dziewczyna przytrzymała się ręką poręczy, jakby straciła równowagę. Mężczyzna odsunął zasuwę, puścił dziewczynę przodem i grzecznie skinął mi na pożegnanie.

Podszedłem, żeby zamknąć drzwi, i stwierdziłem, że nieopodal wieży na tę parę czeka powóz. Czterokołowy, z odchylanym dachem.

– Ale dama! – powiedział z zachwytem Kotia. – No? Co powiesz?

– A tam – burknąłem, zamykając drzwi.

– Co „a tam”? Mówię, że facet ma śliczną dziewczynę!

– Może to córka?

– Ha! – Kotia aż klasnął w ręce oburzony. – Z takim tyłeczkiem? Ech, niektórzy to mają życie... No, czemuś ich o nic nie zapytał?

– Nie sądzę, żeby oni to wszystko urządzili – mruknąłem.

Coś mnie niepokoiło. Taak... weszli... dziewczyna zachwiała się i złapała za poręcz, na chwilę zwolniła kroku...

– Ale coś by pewnie powiedzieli! Kim są, skąd wiedzą o wieży, dokąd się wybierają. Załapałeś, że w Moskwie to nie jest jedyna wieża? Jeszcze gdzieś na Siemionowskiej! Coś ty tam zobaczył, Kiryń?

Podszedłem do schodów, pochyliłem się i podniosłem z podłogi kawałek papieru. Rozwinąłem go.

– List? – ożywił się Kotia i przechylił przez poręcz. – Skąd?

– Dziewczyna upuściła – wyjaśniłem. – Kiedy przechodziła obok schodów.

Wzrok Kotii przebiegł po papierze. Po kilku sekundach powiedział cicho:

– O cholera... i co zrobimy?

8.

Czy ktoś prosił was kiedyś o pomoc?

Założę się, że tak. „Pożycz tysiąc na tydzień, co?”. „No, w końcu kupiłem ten regał! Przychodź, będziemy wnosić na trzecie piętro bez windy!”. „Masz samochód na chodzie? Teściowa przylatuje o trzeciej w nocy z Antalyi...”.

Pewnie, że czasem to męczące i kłopotliwe. Ale z drugiej strony rozumiesz, że dzisiaj proszą ciebie, a jutro będziesz prosił ty.

A czy kiedyś kazali wam pomagać?

Na pewno. „Przyjechała ciężarówka z towarem, pomożesz chłopakom nosić”. „Stójcie, obywatelu, będziecie świadkiem!”. „W sobotę wieczorem wszyscy idziemy na mityng przeciwko terroryzmowi!”.

Na tym właśnie polega różnica. I tak poszedłbym rozładować tę ciężarówkę – od towaru zależy moja pensja. I byłbym gotów zaświadczyć, że ponury typ z rozbieganymi oczkami ma w kieszeni ukradzioną przed chwilą damską portmonetkę. A już terrorystów nie lubię bardziej niż karaluchów i „gdyby to ode mnie zależało...”.

Rzecz w tym, że prośba-rozkaz nie pozostawia wyboru. Gdy każą ci zrobić coś, co i tak zgodziłbyś się zrobić, podkreślają, kto tu jest szefem, a kto głupkiem. Chociaż... mądry zwierzchnik w takich wypadkach nie wydawałby poleceń, lecz zostawił podwładnemu iluzję samodzielnej decyzji.

List podrzucony przez dziewczynę z „takim tyłeczkiem” brzmiał jak rozkaz. Starannym okrągłym pismem człowieka, który nie przywykł dużo pisać odręcznie, na kartce wyrwanej z notesu napisano:

Za godzinę ruszajcie za mną.

Znajdziecie białą różę.

Człowiek odpowie na wszystkie pytania.

Popatrzyłem na zegarek, rejestrując, która jest teraz godzina.

– Co zrobimy? – powtórzył Kotia. – Poszukamy faceta z białą różą?

– A może to kobieta? – spytałem z czystej przekory.

– Przecież tu jest wyraźnie napisane: „człowiek” – oburzył się szczerze Kotia. – W domyśle: mężczyzna. Kirył, według mnie to wszystko pachnie kontrabandą!

– Czego? Białych róż? – Postukałem się w głowę.

– A bo ja wiem... A ty nawet tych... porządnie nie sprawdziłeś!

– Nie mieli nic zabronionego, byli absolutnie czyści.

– Skąd wiesz? – zdumiał się Kotia. I od razu wykrzyknął triumfalnie: – O! Już rozumiem! Po prostu wiesz! Jak z tą przyprawą?

Skinałem głowę.

– Chodźmy na górę.

– Powinieneś kupić czajnik elektryczny – oznajmił Kotia, wchodząc za mną. – Albo kuchenkę. Jak długo wytrzymasz bez gorącego jedzenia?

– I jeszcze firanki i pelargonie. Nie mam zamiaru się tu zadomawiać!

– Ha! – prychnął Kotia. – Widzicie go, nie ma zamiaru. Słuchaj, a gdzie masz...

– W Moskwie, za wieżą.

Kotia stanął jak wmurowany.

– No coś ty? Poważnie?

– Za „dużą potrzebą” możesz skoczyć na stację.

– Tak być nie może – powiedział surowo Kotia. – Za pozwoleniem, przecież to pomieszczenie dopasowuje się do twojego gustu! To znaczy, do twoich potrzeb!

– A widziałeś tu gdzieś toaletę?

Kotia zastanawiał się chwilę, po czym ruszył po schodach na drugie piętro.

– Zamknięte – powiedziałem obojętnie.

Kotia pchnął włącznik zamykający przejście na górę, który zdumiewająco lekko odchylił się na zawiasach.

– Zamknięte, powiadasz?! – zawołał wesoło. – Aha. A światło tu jest?

Światło było. Włącznik znalazłem ja, tak jakoś sam wszedł mi pod rękę.

Drugie piętro wieży było podzielone na dwie części. Mały okrągły placyk wokół schodów, dwoje drzwi. Jedne prowadziły do łazienki – gigantyczna wanna, umywalka, sedes. Na wieszakach wisiały czyste ręczniki i kolorowy szlafrok mojego rozmiaru. Okien nie było.

– Poczekaj chwilę, dobra? – Kotia bezceremonialnie zamknął mi drzwi przed nosem.

Zajrzałem do drugiej półokrągłej części pokoju.

Tak jak należało się spodziewać – kuchnia. Kuchenka elektryczna, szafka, stół, cztery krzesła. W szafkach naczynia, talerze, sztucce, rondelki, patelnie. Niezły wybór. Odkryłem nawet duży mosiężny saganek na pilaw. W kuchni było niewielkie okno, wychodzące dokładnie na tory.

– Wiesz, co jest ciekawe? – powiedział Kotia, wchodząc do kuchni. – Na ręcznikach nie ma żadnych metek. Żadnych znaków producenta na umywalce. W mydelniczce leży mydło, po prostu mydło – żadnej nazwy, żadnych rysunków czy symboli. W butelce stoi szampon, bezbarwny i bezzapachowy. Ale się mydli!

– Czyli hipoalergiczny – odparłem. – Wiesz co, Kotia? Wezmę prysznic. Wiesz, kiedy się ostatnio myłem? Wczoraj rano u ciebie w domu.

– A co z tą...? – Kotla wyraźnie się stropił. – Z tą prośbą o pomoc?

– Prośbą? Moim zdaniem to rozkaz. A ja nie lubię rozkazów.

– Przecież i tak chcieliśmy tam iść! – wykrzyknął Kotia.

– I szukać człowieka z białą różą? Jakoś nie mam ochoty. To jakaś pułapka. Lepiej się wykapię.

Na twarz Kotii pojawiło się najpierw stropienie, potem uraza, wreszcie wrogość.

– Dama prosiła... – powiedział z naciskiem. – No, zastanów się. Idź się wykapać, a ja przeniosę do kuchni twoje żarcie.

Kiedy zamykałem drzwi, usłyszałam jeszcze: „Dama prosi, a on dwóch dni bez prysznic nie może wytrzymać...”.

W nosie mam jego burczenie. Gorąca woda, mocny strumień, szampon nieznanego pochodzenia – umyłem się z prawdziwą rozkoszą. Ubierając się, pożałowałem, że nie zatroszczyłem się o czystą bieliznę, ale i tak było mi dobrze.

Gdy wszedłem do kuchni, Kotia stał przy oknie. Na kuchence wrzała woda w aluminiowym czajniku. Na mój widok Kotia demonstracyjnie popatrzył na zegarek i westchnął.

– Jak sobie wyobrażasz szukanie człowieka z białą różą w obcym świecie?
– zapytałem, siadając przy stole. Muszę przyznać, że mimo bajzlu we własnym domu w gościach Kotię ogarniało niezwykle zamiłowanie do porządku: rzeczywiście przeniósł do kuchni wszystkie zakupy i starannie rozłożył w szafkach.

– Odnoszę wrażenie, że możliwość zbadania obcego świata otrzymał niewłaściwy człowiek! – oznajmił z goryczą Kotia.

– Przecież jeszcze nie ma siódmej – odparłem. – Zostało nam dwadzieścia minut...

– To co, pójdziesz? – ożywił się Kotia. – I po co mi macisz w głowie?! A właśnie, tu jest to samo! Żadnych znaków producenta, ani na naczyniach, ani na kuchence. Tak sobie myślę, że to wszystko stworzyły mechanizmy wieży, jako idealne odbicie konkretnych rzeczy. Swego rodzaju platonowskie idealne przedmioty.

– Jakie mechanizmy? – zapytałem, nalewając wrzątku do szklanki i wrzucając torebkę herbaty ekspresowej. – Jakie idealne przedmioty? Ten krzywy czajnik miałby być idealnym czajnikiem?

– Od razu widać, że nie interesujesz się filozofią. – Kotia też zrobił sobie herbatę. – Przy okazji, biała róża to pradawny symbol filozoficzno-magiczny. Zresztą podobnie jak wieża! Od czasów wieży Babel...

– Kotia – westchnąłem. – To nie jest symbol. Siedzimy w niej. I herbaty też nie pijemy z symboli.

– Cały świat składa się z symboli, a nasze życie tym bardziej! – wykrzyknął gorąco Kotia. – Miłość mężczyzny i kobiety również jest głęboko symboliczna. Myślę, kiedy ta dama zostawiła nam list...

– Kotia! – wykrzyknąłem. Wreszcie mnie olśniło. – Dama?

Kotia uciekł oczami w bok, ale twardo powtórzył:

– Dama!

Po raz pierwszy widziałem, jak to jest, kiedy mój przyjaciel się zakochuje. Więc to tak! Przelotne spojrzenie, piękna figura – i Kotia ugotowany! A przecież nawet nie zdążył obejrzeć porządnie jej twarzy!

Dziewczyna faktycznie ładna, ale...

– Kirył, jeśli nie masz nic przeciwko temu, to poszedłbym z tobą – powiedział twardo Kotia.

– Zmarzniesz. Tam śnieg wali, a ty masz pantofle na cienkiej podeszwie i kurtkę z rybiego futerka.

– O, ona tylko wydaje się cienka, a tak naprawdę jest bardzo ciepła.

Wzruszyłem ramionami.

– Ależ proszę cię bardzo. Co ja jestem, twoja matka, żeby ci szalik na szyi wiązać? Jesteś dużym chłopcem, sam się będziesz leczył z zapalenia płuc.

– Pójdę z tobą – powiedział z uporem Kotia.

W zaułku było ciemno. Taka zimowa ciemność, gdy nie widać nieba, ale rodzący się w nim biały śnieg niczym siatka współrzędnych kreśli powietrze, a od ziemi płynie słabe białe światło. Z trudem dało się dojrzeć zarysy ścian i ciemny kontur wieży. Nie wiedzieć czemu, na wieży śnieg nie osiadał.

– Jeden mały krok otwiera cały wielki świat – oznajmił nagle Kotia.

– Co? – Wzdrygnąłem się. – Że co?

– No... po raz pierwszy stanęliśmy na ziemi innego świata, trzeba coś powiedzieć. – Pod moim spojrzeniem Kotia zaczął się wahać. – Coś mądrego.

– Po raz pierwszy? Ludzie tu łążą bez przerwy, tam i z powrotem! Przecież już tu wchodziliśmy godzinę temu, kiedy oglądaliśmy wieżę.

– Tamto się nie liczy. Idziemy?

Stwierdziłem, że nie ma sensu walczyć z romantycznymi porywami Kotii, i ruszyłem przed siebie. Tam, skąd przyjeżdżał listonosz i dokąd, najprawdopodobniej, odjechał powóz z nieznaną damą i jej towarzyszem. Przez ostatnią godzinę napadało sporo śniegu, ale mimo to ślady powozu były widoczne, staraliśmy się ich trzymać.

– Ech... – westchnął Kotia za moimi plecami. – Trzeba było zabrać jakieś przyrządy. Termometr, barometr... Jaka jest różnica temperatur między naszym światem i tym? Dlaczego nie ma zmiany ciśnienia? Dobrze by było wziąć śnieg do analizy. Sprawdzić, czy działa tu radio...

– Mam radio w telefonie – pochwaliłem się.

– O!

– Tylko, żeby odbierało, trzeba włożyć słuchawki, a słuchawek nie mam.

– Komórka! – zawołał Kotia. – Zaraz. – Wyciągnął telefon z kieszeni i powiedział oburzony: – Cholera... sieć jest niedostępna.

– Dobra, nie gadajmy tyle na mrozie, bo sobie gardła przeziębimy.

Myślicie, że Kotia się uspokoił? Gdzie tam! Cały czas gadał, omawiał architekturę zabudowań – chociaż co tu można było dojrzeć w ciemnościach. Wysuwał i obalał hipotezy o świecie Kingimu – na przykład, że ten świat może być znacznie bardziej rozwinięty niż nasz, a transportu konnego używa się tu z powodów ekologicznych i zamiłowania do staromodnych przedmiotów.

Słuchałem go jednym uchem. Szedłem, deptając puszysty śnieg. Są ludzie, którzy w niezrozumiałych sytuacjach zamykają się w sobie i czekają na rozwój wydarzeń. A są tacy, którzy zaczynają paplać jak najęci i strzelać fajerwerkami pomysłów. Do tej pory sądziłem, że należę do tych drugich, ale przy Kotii, chcąc nie chcąc, stałem się milczkiem.

Znacznie bardziej niepokoiło mnie, co zrobimy, gdy rzeczywiście znajdziemy człowieka z białą różą. Jakie pytania mu zadamy. I jakie odpowiedzi otrzymamy.

Ulica skończyła się w samą porę. Kotia, który szedł za mną, najpierw przestał trąkotać, potem zaczął ciężko dyszeć, potem powiedział, że idę jak czołg i nie mam litości dla pracownika umysłowego, który nie przywykł do przecierania zaśnieżonych szlaków. Zdaje się, że gotów był się poddać i zawrócić. I wtedy przed nami zamajaczyło słabe światło. Odruchowo przyśpieszyliśmy kroku i kilka minut później wyszliśmy na otwartą przestrzeń. Nawet śnieg jakby mniej padał.

– Zabiję się deską! – zawołał Kotia. – Gdzie my jesteśmy?

Absolutnie solidaryzowałem się z nim w tych odczuciach.

Z jakiegoś powodu wydawało mi się, że zaułek znajduje się blisko centrum miasta. Że wystarczy z niego wyjść, a znajdziemy się w sercu tętniącej życiem metropolii. Że zobaczymy jakieś krzywe uliczki, tulące się do siebie dwu-, trzypiętrowe kamienice, placyki z fontannami, małe sklepiki z towarem nieznanego pochodzenia i przeznaczenia – a my znaleźliśmy się nad morzem! Wyszliśmy na długie, zaśnieżone nabrzeże, pod którym na kamienisty brzeg wbiegały zimne szare fale. Z jednej strony było morze, a z drugiej monotonne budynki z czerwonej cegły, z przysypanymi śniegiem żelaznymi dachami, bez żadnego światelka w oknach, przerzedzone biegnącymi od brzegu uliczkami. Padający śnieg nie pozwalał zobaczyć, jak daleko ciągną się te budynki. Ale na kilometr w obie strony od nas na pewno.

Od strony morza biegła dość wysoka, sięgająca mi do piersi kamienna balustrada, na której stały pyzate słupy zwieńczone wielkimi mlecznobiałymi kulami, płonącymi słabym, mżącym światłem. Latarnie były rozmieszczone rzadko, ale dzięki śniegowi całe nabrzeże wyglądało na jasno oświetlone.

– Zdaje się, że to nie jest światło elektryczne – oznajmił Kotia tonem badacza-odkrywcy. – Popatrz no, a co tam jest?

Podeszliśmy do oblodzonej, mokrej od bryzgów balustrady. W dali, na morzu, rzeczywiście powoli sunęły ogniki – cały gwiazdozbiór, płynący za śnieżną zasłoną.

– Statek? – zasugerowałem.

– Aha.

– Przypomina Petersburg – rzekł Kotia. – Nie, nie Petersburg. Jurmałę.

– Chcesz przez to powiedzieć...

– Nie chcę. – Kotia się zjeżył. – Jakieś to wszystko obce. Nie boisz się, Kirył?

Zastanowiłem się i pokręciłem głową. Nie, nie bałem się. Byłem zaciekawiony, czujny, ale się nie bałem.

– Widzisz ślady powozu? – zapytałem.

– Widzę.

– To chodźmy za nimi. W końcu to powóz, a nie samochód, nie mogli daleko pojechać. A może zmarzłeś?

– Ja? – oburzył się Kotia. – Raczej się spościłem! Przecież mówiłem, że mam ciepłą kurtkę!

– To chodźmy. Nie, zaczekaj!

Przeszedłem się wzdłuż balustrady, rozgarniając śnieg i próbując znaleźć w nim kamień, gałązkę... cokolwiek. Nie miałem ochoty przechodzić przez balustradę na brzeg. W końcu znalazłem kamień wielkości pięści, otarłem ze śniegu i uroczyście ustawiłem na balustradzie.

– Zaznaczasz miejsce? – domyślił się Kotia. – Słusznie. Jeszcze byśmy zabłądzili.

Szczerze mówiąc, trochę zazdrościłem przyjacielowi. Kotia zachowywał się... no, prawidłowo. Badał nowy świat. Heroicznie znosił niewygodę wyprawy. Chciał jak najszybciej zadać wszystkie pytania i otrzymać wszystkie odpowiedzi. A przecież wyraźnie się bał.

A ja czułem jakąś niezrozumiałą pewnością siebie, która zabijała ducha przygody. Można powiedzieć, że Kotia zachowywał się jak dziewiętnastowieczny myśliwy, wyruszający do Afryki na polowanie na lwy. A ja jak współczesny turysta, jadący dżipem na safari.

A może tak właśnie trzeba?

Może nie ma tu żadnych lwów?

Szliśmy nabrzeżem. Tutaj wiatr dmuchał śniegiem w stronę morza. Po lewej ręce ciągnęły się domy, po prawej balustrada z latarniami i znikające w dali światła statku. Kotia chował dłonie pod pachami, ja też żałowałem, że nie mam rękawiczek. Znowu zaczął sypać śnieg.

A potem zobaczyliśmy przez zamieć budynek na brzegu. Tutaj nabrzeże skręcało łukiem ku morzu i na powstałym placu stał piętrowy dom. Również z cegły, ale żywy – z ciepłym światłem w zasłoniętych oknach, z dymkiem z komina, z usuniętym przed wejścia śniegiem. Tak domy rysują dzieci kochane przez rodziców. Takie domy można spotkać w zamożnej Europie.

U nas jakoś się nie przyjęły.

– Ale z nas idioci – powiedział nagle Kotia, zatrzymując się. – O rany, ale z nas idioci!

No proszę, niby w okularach, ale pierwszy zobaczył szyld nad szerokimi, dwuskrzydłowymi drzwiami.

BIAŁA RÓŻA

– I skąd nam przyszło do głowy, że trzeba szukać białej róży? W zimie?! – Kotia prychnął oburzony. – To pensjonat. Albo restauracja. Restauracja byłaby nawet lepsza. Idziemy?

– Zaczekaj. – Chwyciłem go za ramię. – Zaczekaj!

Kotia zatrzymał się posłusznie.

Obejrzałem budynek. Co mnie zaniepokoiło? W środku powinno być ciepło. W środku pewnie faktycznie nam czegoś naleją, jeśli poprosimy. I odpowiedzą na pytania.

– Ja pójdę pierwszy – powiedziałem nieznoszącym sprzeciwu tonem, patrząc na Kotię. – Jasne? A ty lepiej tu zaczekaj.

– Niech zgadnę – odezwał się Kotia. – Pewnie służyłeś w desancie. Albo może masz czerwony pas w karate?

– Nie.

– W takim razie nie strugaj bohatera!

– Dobra – nie spierałem się. – Tylko idź za mną. Proszę.

To „proszę” zadziało. Kotia skinął głową.

Podszedłem do drzwi. Piękne klamki – z brązu, starodawne, w kształcie szponiastych ptasich łap. Czemu zwlekam, przecież tu wszystko jest stare?! Czyżbym zaczął się jednak bać?

Położyłem dłoń na zimnym metalu i pociągnąłem drzwi do siebie. Otworzyły się lekko, łagodnie.

– Co tam? – zapytał Kotia zza ramienia.

„Tam” był niewielki pokój w rodzaju przedpokoju czy szatni. Wieszaki na ścianach, ale wszystkie puste. Dwoje drzwi. Wielki fotel obity wytartym czerwonym aksamitem. Nikogo nie było, i to wydało mi się nieprawidłowe. Ze ścian sterczało kilka lamp z kolorowymi abażurami. Zdaje się, że to były gazowe lampy, bo światło drżało, jakby kołysał się płomień.

Weszliśmy.

– Stylowo – rzekł Kotia. – I pusto. Ale za to ciepło!

Pchnąłem drzwi. Za nimi było to, co spodziewałem się zobaczyć: wielka sala. Sufit na wysokości czterech, a może nawet pięciu metrów, ze zgaszonym kryształowym żyrandolem pośrodku; wszędzie solidne, ciężkie meble – fotele, stoliki, szafy, kredensy. Ściany obite beżowymi gobelinami. Wielki kominek, w którym palił się ogień, z marmurową półeczką i ustawionymi na niej cacuszkami ze szkła i porcelany. Szerokie schody na pierwsze piętro. W rogu sali znajdował się masywny bar – żadnych metalowych uchwytów na kieliszki, żadnych niklowanych kranów, wyłącznie matowe, czarne drewno. Za barem, pod ścianą płytkie szafki z kolorowymi butelkami, dalej, w głębi, uchylone drzwi. Na podłodze leżał jasnobrazowy dywanik ze startym rysunkiem rozrzuconych bezładnie ciemnych plam.

– Jaki dziwny wzór – powiedział Kotia, spoglądając pod nogi. I spojrzał na mnie błagalnie: – Tak?

– To krew – odparłem i obejrzałem się.

W szatni stał człowiek. Widocznie wyszedł drugimi drzwiami, gdy weszliśmy w głąb budynku. Zupełnie nie spodobało mi się jego ubranie – czarny sweter i spodnie, wszystko przylegające, śliskie nawet z wyglądu, nie ma za co złapać. Strój do walki, a nie do picia drinków przy kominku. Nie spodobała mi się czarna kominiarka na jego głowie, z dziurami na oczy. Jego oczy też mi się nie spodobały – zimne, bezlitosne. I bardzo nie spodobała mi się ciężka, krótka pałka w jego ręku.

Krótko mówiąc, ten człowiek nie spodobał mi się zupełnie!

I to, jak ostrożnie podchodził, trzymając pałkę nieco odsuniętą, nie spodobało mi się również.

– Kirył... niepotrzebnie tu weszliśmy – powiedział Kotia drżącym głosem, zerkając za moje plecy.

Spojrzałem tam, gdzie on – za barem był jeszcze jeden mężczyzna w czarnym stroju, może schował się pod barem, a może wyszedł z tamtych drzwi. Muszę przyznać, że absolutnie nie wyglądał na serdecznego barmana, który marzy o tym, żeby podać nam drinka. Na początek musiałby odłożyć pałkę i nóż z szerokim ostrzem w kształcie liścia.

Dwóch innych w czerni wyszło z niepozornych drzwi w głębi sali. Oni również mieli pałki i noże.

Nie wyglądało na to, że chcą nas wziąć żywcem. Najwyraźniej byliśmy dla nich irytującą przeszkodą, którą należało usunąć w sposób maksymalnie prosty i pewny.

Mężczyzna za barem odsunął rękę z nożem.

Mężczyzna z szatni przestąpił próg i teraz stał w odległości dwóch metrów od nas.

– Kirył... – zaczął Kotia.

Nie słuchałem go. Człowiek uzurpujący sobie miejsce barmana zrobił szybki wymach ręką. A ja jednocześnie wyciągnąłem rękę w kierunku noża i uderzyłem Kotię nogą pod kolana – Kotia padł na podłogę.

Tak naprawdę zrobienie czegoś takiego jest niemożliwe, no, chyba że od dziecka pobierałeś nauki w jakimś tam klasztorze Shaolin. Ale teraz nie zastanawiałem się nad takimi drobiazgami.

Przechwyciłem nóż w locie – nie zatrzymałem, a jedynie musnąłem rękojeść, zmieniając jego trajektorię, i nóż wszedł w pierś człowieka, który zamykał nam drogę ucieczki – weszło całe szerokie ostrze, z czarnej tkaniny sterczał tylko krótki ogonek, nieprzypominający rękojeści. Człowiek zacharczał i padł na kolana.

Tym razem nie mogłem już powiedzieć, że nie było w tym mojej winy.

Człowiek, który rzucił nożem, przeskoczył przez bar – bardzo widowiskowo, opierając się tylko na lewej ręce, a prawą robiąc zamach pałką. Pałka leciała, celując prosto w moją głowę. Przykucnąłem i wycelowałem otwartą dłoń w pierś napastnika. Zabójca jakby się złamał – odrzuciło go do tyłu, upuścił pałkę i bezradnie zaczął drapać pierś rękami. Uderzyłem znowu, i znowu nie pięścią, lecz rozczapierzonymi palcami od dołu w podbródek. I nie usłyszałem, lecz wyczułem chrzęst kręgów szyjnych, gdy jego głowę odrzuciło w tył.

Ci, którzy jeszcze żyli, zatrzymali się. Nie okazywali strachu, chociaż ja osobiście na widok nieuzbrojonego człowieka, który zabił dwóch napastników, jeszcze trzy dni temu narobiłbym w spodnie. Wyglądali raczej na skonsternowanych.

– Funkcyjni? – zapytał niespodziewanie jeden z nich.

– Nie. To niemożliwe – odparł drugi.

Wyglądali jak „czarne charaktery” z kreskówek. Poza tym, jeden trzymał pałkę w prawej ręce, drugi w lewej, przez co sprawiali wrażenie lustrzanego odbicia.

– Kirył, zabiłeś ich! – zawołał nagle Kotia, który leżał na plecach i próbował wstać. Na jego twarzy było jeszcze większe przerażenie niż wtedy, gdy zobaczył ludzi którzy chcą zabić nas. – Zabiłeś ich!

Mańkut niespodziewanie kopnął stojące przed nim krzesło – z taką siłą, że mebel poleciał w stronę mojej głowy. I obaj jednocześnie rzucili się do ataku.

Chwyciłem krzesło w locie, dwiema rękami za wygięte, rzeźbione nóżki. Jednym szarpnięciem wyrwałem te nóżki, odwróciłem ostrymi końcami do przodu i wbiłem w piersi napastnikom, nim zdążyli opuścić pałki na moją głowę.

Jak wykazał ten eksperyment, drewniany kołek wbity w pierś jest równie śmiertelny dla człowieka jak dla wampira.

Mańkut runął na Kotię, i mój przyjaciel, wyjąc, usiłował wydostać się spod podrygującego w agonii ciała. Odsunął się ode mnie, jakby się bał, że zabiję również jego.

Właściwie, dlaczego miałby myśleć inaczej? Przecież jestem dla niego prawie obcym człowiekiem.

– Zabiłeś ich! Zabiłeś! Ty... ty...

– W przeciwnym razie oni zabiliby nas! – wrzasnąłem. – Przecież usiłowali nas zabić! Nóż leciał prosto w twoje gardło!

Kotia pokiwał głową, ale bez przekonania. Potem oczy mu się rozjaśniły, szalony strach odpłynął, ale chyba mógł wrócić w każdej chwili.

– Kotia, nie jestem psychopata. Nie jestem mordercą. Oni atakowali, ja się broniłem.

– Jak ty... Jak ci się to udało?

Kotia zdjął i zaczął przecierać okulary. Miał teraz, jak się to często widzi u okularników, stropiony i bezbronny wyraz twarzy.

Obejrzałem cztery nieruchome ciała. Jeden napastnik miał nóż w sercu, drugi skręcony kark, dwaj zostali przebici kołkami, w tym chyba jeden na wylot. Kurczę, to z jaką siłą trzeba uderzyć? Z lekkim przerażeniem spojrzałem na własne ręce. Teraz to nawet strach w nosie podłubać, jeszcze pół głowy sobie oderwę.

– Nie wiem jak – odparłem. – Jakoś tak samo przyszło. Trzeba się było bronić, no to...

– Miałeś takie oczy... takie zamyślane, melancholijne... Jakbyś recytował wiersze.

Nieźle porównanie! Kocia faktycznie ma zadatki na pisarza.

– Zrobiłem to, co należało zrobić. Ja... nawet się nie wahałem. Wiedziałem, że tak trzeba.

Kotia skinął głową i założył okulary na nos. Teraz miał już bardziej sensowne spojrzenie.

– Powiedz, zrozumiałeś, co oni krzyczeli?

– Tak.

– Tak właśnie pomyślałem. – Kotia skinął głową. – Oni nie mówili po rosyjsku. Ciężko nawet powiedzieć, w jakim języku... Coś przyjemnego, jakby francuski... ale ja takiego języka nie znam.

Nawet się nie zdziwiłem.

– No to co mówili? – spytał Kotia, podnosząc pałkę i z szacunkiem waząc ją w rękach.

– Jeden spytał drugiego: funkcyjni? A drugi odpowiedział, że to niemożliwe. Co to takiego funkcyjny?

– Znam tylko funkcję matematyczną. – Kotia starannie odłożył pałkę na kruchy stolik, cudem ocalały w wirze walki. – Ty jesteś specjalistą od rzadkich słów, ty wiesz lepiej.

– Widocznie funkcyjnych nie przewozi się przez cło.

Kotia jeszcze raz zmierzył mnie wzrokiem i pokręcił głową.

– Słuchaj, ty przecież czułeś? Wiedziałeś, że tu będzie pułapka!

Ciężko było temu zaprzeczyć. Wszedłem za bar, zajrzałem za drzwi. Niewielka kuchnia, wszystko w tym samym stylu: „Mamy tu dziewiętnasty wiek, nie macie państwo nic przeciwko temu?”. Wziąłem z półki butelkę

o demonstracyjnie alkoholowym wyglądzie i zerknąłem na etykietkę. Tak. Napis był wyraźnie po angielsku.

– Kotia, co tu jest napisane? – Pokazałem butelkę.

Kotia podszedł, zerkając na ciała.

– Boże, tu są cztery trupy, a ten teraz będzie pił. Whisky, jednosłodowa, dziewiętnastoletnia. Czad! Daj no tu.

Upił wielki łyk prosto z butelki i się zakrztusił.

– Czyli co, czytać umiesz?

– Jeśli sobie przypominasz, szyld również przeczytałem. – Kotia wręczył mi butelkę. – Napis był po rosyjsku.

– Czyli co, mówią w jednym języku, a piszą w innym?

Kotia popatrzył na mnie ironicznie.

– Sądzę, że ci tutaj... są tu takimi samymi gośćmi jak my. I rozmawiali w swoim języku. A ty, jak się zdaje, rozumiesz ich język.

– Funkcyjny? – Wzruszyłem ramionami. – Nie powiedziałbym, że rozumiem, ale... Co robisz?

Kotia podchodził do każdego martwego zabójcy i dotykał nadgarstka.

– A może któryś żyje? Pomogliśmy...

– To zabójcy!

– Ale teraz już chyba niegroźni? – mruknął Kotia i rozłożył ręce. – Nie, zabiłeś wszystkich na amen. Kirył, coś ty narobił? To przecież inny świat! Rozumiesz? A my zaczęliśmy znajomość z nim od przestępstwa. Niepotrzebnie ich zabiłeś.

Podszedł do odległych drzwi i ostrożnie zajrzał do środka. Odskoczył szybko i oparł się o ścianę. Jego twarz gwałtownie pobladła.

Wziąłem pałkę i podbiegłem do niego.

– Lepiej nie patrz – powiedział szybko Kotia. – Lepiej nie...

Twarz miał białą jak kreda, na niej kropelki potu. Jedna kropla śmiesznie zwisała z nosa.

– Niepotrzebnie ich zabiłeś – powtórzył Kotia – tak szybko. Trzeba było... trzeba było ich pomęczyć.

W gruncie rzeczy mogłem już nie otwierać tych drzwi. Wszystko i tak było jasne. Ale jednak zajrzałem.

– Bydlaki – wymamrotał Kotia.

– Torturowali ich – stwierdziłem. – Weź się w garść. Tutaj właśnie trzeba...
sprawdzić puls.

9.

Panuje przekonanie, że najohydniejszym przestępstwem na świecie jest zabójstwo dziecka. Zabicie starca również wywołuje pogardę i oburzenie, ale nie budzi już takiego przerażenia. Zabójstwo kobiety też jest odbierane szalenie nieprzychylnie zarówno przez mężczyzn (i za co zabijać kobiety?), jak i przez kobiety (wszystkie chłopcy to świnię!).

Ale już zabójstwo mężczyzny, który wyszedł z wieku szczenięcego, ale nie wpadł jeszcze w starczy marazm, odbierane jest jak coś naturalnego.

Nie wierzycie?

W takim razie posłuchajcie takich zdań: „Wyjął parabellum i strzelił do dziecka”. „Wyjął parabellum i wystrzelił do starca”. „Wyjął parabellum i strzelił do kobiety”. „Wyjął parabellum i strzelił do mężczyzny”. Czujecie, jak spada poziom ohydy? Ten pierwszy był pewnie komendantem obozu koncentracyjnego, esesmanem. Drugi – pacyfikatorem, palącym każdego ranka jedną wioskę. Trzeci mógł być oficerem Wehrmachtu, który przyłapał partyzantkę z kanistrem nafty i zapalkami obok magazynu amunicji.

A czwarty, choć również strzelał z parabellum, mógł być równie dobrze naszym zwiadowcą, który zabił jednego z trzech łajdaków.

No więc ci ludzie w czarnych strojach najwyraźniej nie przejmowali się swoją reputacją. W niewielkim pomieszczeniu, które nazwałem palarnią, zobaczyłem trzy nieruchome ciała – staruszki, młodej kobiety i nastolatka.

Wszystko ma swój czas i miejsce, i na przykład tortury powinny się odbywać w katowniach, w ciemnych podziemiach. Wśród wyściełanych foteli i sof (no żeby chociaż były skórzane, a nie z różowego jedwabiu!) i stoliczków

z kryształowymi popielniczkami nieruchome skrwawione ciała wyglądały wyjątkowo strasznie.

I jeszcze ten mdlący zapach dobrego tytoniu i świeżej krwi.

Posłuszny instynktowi chronienia najsłabszego, przede wszystkim podszedłem do obnażonego do pasa chłopca, przywiązanego do fotela. Wprawdzie chłopiec mógł mieć czternaście lat, a więc wyrósł już z wieku niewinnego dziecka, ale... Przywiązano go szalenie malowniczo, zupełnie jak na filmach dla dzieci, gdy tępi dranie związują dzielnych młodych bohaterów – tracą na to dziesięć metrów grubego sznura, nie mając żadnej pewności, że ofiara się nie uwolni. Nogi przywiązane do nóg fotela, ręce do podłokietników, kilka pętli wokół pasa i jedna na szyi.

I wszędzie krew. Na workowatych spodniach z ciemnobrazowego materiału, na przyszczatej twarzy. Świeża krew, ale liczne nacięcia – na twarzy, rękach, torsie – już nie krwawiły.

Ostrożnie przycisnąłem palce do tętnicy... i wyczułem słaby powolny puls.

– On żyje – powiedziałem ze zdumieniem.

– Że co? – Kotia nadal stał w drzwiach. – Przecież stracił chyba całą krew!

– Chłopak żyje. – Wstałem. – Dużo małych ran, ale w sumie nic poważnego. Rozwiąż go i połóż na kanapie.

Podszedłem do kobiety. Ten sam obrazek – niegłębokie nacięcia, krwiaki. Straciła dużo krwi, miałem wrażenie, że dywan pod moimi nogami aż chlupie, ale żyła.

– Co za kretyn zawiązywał węzły – kłął Kotia, zdejmując sznur z chłopaka.

– Samo się rozwiązuje.

– Byli nie tylko głupi, ale i cnotliwi – powiedziałem, wskazując kobietę. – Nawet nie zdjęli z niej ubrania.

Rzecz jasna w kwestii tortur jestem profanem, ale wydaje mi się, że skoro już ma się zamiar kogoś dręczyć i ciąć nożem, to lepiej najpierw go rozebrać. Po pierwsze, widać efekty pracy, po drugie, nagi człowiek od razu czuje się wystraszony i poniżony. A ci tylko z chłopaka zdjęli koszulę, kobiety już nie rozebrali.

U staruszki – miała co najmniej sześćdziesiąt lat – też dało się wyczuć puls. Zdaje się, że z całej trójki ona była najbardziej intrygująca. Jeśli

chłopak był typowym nastolatkiem, który mógłby reklamować środek na pryszcze, a kobieta wyglądała na zwykłą czterdziestoletnią gospodynię domową, to staruszka mogła być aktorką. Nie chodzi mi o wygląd, lecz o rzadki typ kobiet charyzmatycznych, które z biegiem lat tracą zewnętrzną atrakcyjność na rzecz wewnętrznej siły. Stara, ale silna, z pomarszczoną, ale ciekawą twarzą, siwymi, gęstymi i ładnie ułożonymi włosami. W Rosji takie kobiety są rzadkością – Rosjanki na starość przemieniają się zwykle w zahukane albo swarliwe baby. Na Zachodzie również nieczęsto się takie spotyka – tam kobiety zwykle stają się dziarskimi turystkami w szortach i z aparatami fotograficznymi na szyi.

Odsunąłem się od fotela.

Staruszkę torturowali najmniej – kilka siniaków, jakby z rozmachu, ale nieumiejętnie bili po twarzy, kilka nacięć na szyi – chyba tylko straszili, przyciskając nóż do gardła. Piękna suknia z jedwabiu w kolorze morza nawet nie była ubrudzona.

– Dziwne – oznajmił niespodziewanie Kotia. – Jak w tym dowcipie...

– W którym?

– No, gdy babka wynajęła narkomanów do zarżnięcia świni, a ci wychodzą z komórki i mówią: „Zarżnąć nie zarżnęliśmy, ale pokłuliśmy!”

– Przynieś tu jakieś ciało – poprosiłem.

– Słucham? – Kotia drgnął.

– Przyciągnij ciało. Co, taki problem? – zapytałem. – Nie chcę zostawiać tych tutaj. Albo ja pójdę, a ty z nimi posiedzisz?

Kotia przełknął ślinę. Popatrzył na trzy nieruchome ciała, na wszechobecną krew... i wyszedł do dużej sali.

Kończyłem rozwiązywać staruszkę (znowu te same liczne, ale nieumiejętne węzły), Kotia dość raźnie wciągnął do palarni trupa za nogi – to chyba był ten, któremu skręciłem kark.

– Dziękuję – powiedziałem.

Zostawiłem nieprzytomną babkę, pochyliłem się nad trupem, ściągnąłem mu z głowy kominiarkę.

Nic szczególnego, jeśli nie liczyć faktu, że był to zabity przeze mnie człowiek. Europejczyk, dwadzieścia pięć, może trzydzieści lat. Twarz toporna,

żadnych znaków szczególnych. Na szyi, w miejscu uderzenia, krwiak. Pulsu rzecz jasna nie było. Uniosłem mu powieki, zajrzałem w źrenice i wstałem.

– Martwy – oznajmiłem. – A już myślałem, że tu wszyscy...

Staruszka w fotelu jęknęła i się poruszyła. Odwróciliśmy się w jej stronę w samą porę: właśnie otworzyła oczy.

– Jesteśmy przyjaciółmi! – powiedziałem szybko. – Proszę się nie niepokoić.

Staruszka popatrzyła na mnie, potem na Kotię, potem znowu na mnie. Zatrzymała spojrzenie, jakby widziała coś, co mnie było niedostępne.

– Skąd się tu wzięłeś, mistrzu? – powiedziała ochryple. – Już myślałam, że z nami koniec.

Ciężko uniosła się w fotelu i odwróciła.

– Żyją – uspokoiłem ją. – Są nieprzytomni, ale żyją.

Staruszka opadła na fotel. Skinęła mi głową z wdzięcznością. A ja nagle zrozumiałem, co jest w niej takiego niezwykłego. Zazwyczaj na starość ludzie albo się kurczą, albo tyją, a ta babcia, przy wszystkich swoich zmarszczkach, zdołała zachować normalną, niemal sportową figurę. I jej obecna słabość była spowodowana torturami, a nie wiekiem.

– Dziękuję, sąsiedzie – powiedziała babka i podała mi rękę. Po chwili wahania uścisnąłem jej dłoń – wyraźnie nie spodziewała się pocałunków. Uścisk miała mocny.

– Nie ma za co – mruknąłem, z trudem powstrzymując się, żeby nie dodać: „Na moim miejscu każdy by tak postąpił...”.

– Biała – powiedziała babka.

– Słucham?

– Biała, Róża Dawidowna. Właścicielka hotelu.

Kotia gwizdnał i zachichotał nerwowo.

– Maksimow, Kirył Daniłowicz – przedstawiłem się. – A to Konstanty Czagin... Jakie masz imię ojcowskie?

– Igoriewicz – odpowiedział cierpko. – Mógłbyś zapamiętać.

– Bardzo mi miło. – Róża Biała skinęła głową. Zerknęła na nieruchome ciała, ze współczuciem, ale bez cienia wątpliwości na twarzy pokręciła głową.

– Głupcy...

– Kim oni są? – zapytałem.

– Nie wiem, Kiryle Daniłowiczu. Nie wiem. Zobaczyli hotel i zdołali do niego wejść, czyli nie są pozbawieni pewnych zdolności. Ale nie należą do nas.

Ja i Kotia popatrzyliśmy na siebie.

– A czego chcieli?

– Zdaje mi się, że sami nie bardzo wiedzieli – prychnęła Róża Dawidowna.
– Szukali mojego gościa, ale teraz nie mam gości. Już dawno po sezonie, przecież widać. Kotia, chłopcze, przyniósłbyś wody, język mi przysechł do gardła. Tylko nie z kranu, w kuchni jest biały emaliowany zbiornik z wodą pitną. Nalej pełną karafkę.

Kotia posłusznie wybiegł z palarni.

– Jaki grzeczny młody człowiek. – Róża skinęła z aprobatą głową. – Przyjemnie, że ma pan jeszcze przyjaciół wśród ludzi.

– A nie powinienem?

– Czyż nie zapomnieli pana wszyscy krewni i bliscy? – odpowiedziała pytaniem Róża. – Już taki nasz los...

Z sali dobiegł huk przewróconego krzesła i krzyk. Róża Dawidowna uniosła się w fotelu.

– Zabiłeś wszystkich?

– A ilu ich było? – spytałem, już wiedząc, że odpowiedź na pewno nie będzie brzmiała „czterech”.

– Siedmiu? A może sześciu? Nie, chyba jednak...

Nie czekając, aż staruszka ustali liczbę, złapałem pałkę, którą tu przyniosłem, i skoczyłem do drzwi.

Musieli zejść z pierwszego piętra. Jeden trzymał Kotię za włosy, odchylając mu głowę i przystawiając nóż do gardła; w rękach Kotii tkwił duży szklany dzban z wodą. Jeszcze dwóch w czerni, również z nożami w rękach, ostrożnie skradało się do palarni..

Moje pojawienie się wyraźnie ich nie ucieszyło. Wszyscy znieruchomieli.

– Puśćcie go – zażądałem.

Ten, który trzymał Kotię, zrobił jednoznaczny ruch nożem przy gardle jeńca.

– Nie rusz go! – Jeden z czarnych nagle ściągnął kominiarkę z głowy. Ku mojemu zdumieniu okazało się, że to jest dziewczyna: dwudziestolatka, krótko ostrzyżona, z lekko skośnymi oczami i smagłą twarzą. Nie czysta Azjatka, ale ze sporą domieszką wschodniej krwi. – Kim jesteś?

– Nieważne – odparłem szybko. – Puśćcie mojego przyjaciela!

Dziewczyna się wahała. Najwyraźniej nie widzieli i nie słyszeli niedawnej walki, ale jej rezultaty mówiły same za siebie.

– Jeśli go wypuścimy, czy pozwolisz nam odejść?

Kotia patrzył na mnie błagalnie. Pracownik brukowców miał dziś aż nadto przygód.

Szczerze mówiąc, nie wątpiłem, że mógłbym zabić również tę trójkę. I byłem prawie pewien, że Kotii nic się nie stanie.

...Podnoszę rękę – tak szybko, że nie zdążą zareagować – rzucam pałkę i ona leci, niczym pocisk miotający i wali w głowę tego czarnego, który trzyma Kotię. Ten pada na plecy – martwy albo ogłuszony – a ja już skaczę do przodu, robię uniki przed rzuconymi we mnie nożami – stalowe błyskawice bezradnie tną powietrze – i skręcam kark temu w masce (znów ten wilgotny chrzęst), dziewczynę kopię w brzuch, potem uderzam w kark; pada nieprzytomna, ale potem jeszcze będzie można ją przesłuchać.

Jeśli oczywiście ta niezrozumiała siła, która pomaga mi się rozprawić z uzbrojonymi wrogami, pozostawi kogokolwiek przy życiu.

– Puśćcie go i odejdźcie – mówię.

– On kłamie – mówi szybko ten, który trzyma Kotię. Sądząc po głosie, to młody chłopak i teraz na granicy hysterii. – Zabije nas! Policyjny funkcyjny nie wypuści.

– To celnik, idioto! – krzyczy dziewczyna. – Wychodzimy! Puszczamy twojego przyjaciela i wychodzimy!

Rozłożyła dłoń, nóż upadł na podłogę. Po chwili wahania jej kolega również puścił nóż. Zaczęli się cofać w stronę drzwi.

Chłopak trzymający Kotię niechętnie zabrał rękę z nożem i lekko pchnął jeńca. Kotia, śmiesznie przebierając nogami, podbiegł do mnie, nie wypuszczając z rąk karafki z wodą. Zrobiłem krok do przodu, osłaniając Kotię i poleciłem mu:

– Zanieś wodę Róży Dawidownie.

Nic tak nie chroni przed paniką jak proste czynności – Kotia skinął głową i pobiegł do palarni.

Ocalała trójka napastników zrejterowała. Pierwsza wyszła dziewczyna, za nią jej towarzyszy, a jako ostatni ten, który trzymał Kotię.

I wtedy zrobiłem głupstwo. Dosłownie na sekundę odwróciłem głowę, żeby zobaczyć, co się dzieje w palarni. Nic szczególnego się tam nie działo: staruszka stała i piła chciwie prosto z karafki, Kotia lekliwie zerkał na drzwi.

A moje lewe ramię przeszył ostry ból. Odwróciłem się szybko i zdołałem zobaczyć ostatniego napastnika, który już miał zanurkować w drzwi. Z mojego ramienia sterczał ogonek noża.

Machnąłem ręką i pałka pomknęła w powietrzu, uderzając chłopaka w kark. Nawet z tej odległości zobaczyłem, że czaszka wgięła się od uderzenia jak dojrzałe jabłko od ciosu pięścią. Czarny rozrzucił ręce i upadł na drzwi.

Co za kretyn...

Drzwi się zamknęły, wypychając ciało do przedpokoju, stuknęła ciężka zasuwa. Usłyszałem głos Róży:

– Tak będzie spokojniej.

Podważyłem sterczący z ramienia nóż i wyciągnąłem go. Z zewnątrz było widać tylko rozcięcie, ale gdzieś pod kurtką płynęła krew, zdumiewająco gęsta i gorąca. Nie czułem bólu, tylko pulsowanie, za to dochodzące aż do opuszków palców.

Wpadłem do palarni, rzuciłem zakrwawiony nóż na stół. Usiadłem, zaciskając ranę. Kotia patrzył na mnie przerażony.

– Draśnięcie – powiedziałem.

– Ja... ja cię opatrzę – wymruczał Kotia. – Kirył... jak ty się czujesz? Wyglądasz jak śmierć.

Zdumiewające. Zabiłem pięciu ludzi i nie czułem żadnych wyrzutów sumienia – a przecież jeśli wierzyć pisarzom, powinienem je odczuwać! Za to wystarczyła jedna jedyna własna, niegroźna rana, żebym poczuł strach i chłód w piersi.

– Niech mi pan pozwoli spojrzeć, młody człowieku.

Stanowczym ruchem Róża pomogła mi zdjąć kurtkę i sweter, rozpięła koszulę. Rękaw był cały we krwi. Krzywiąc się, wyjąłem rękę.

– Chwileczkę – powiedziała Róża. W jej dłoni pojawiła się mokra chusteczka, którą starannie zmyła krew.

Popatrzyłem na swoje ramię i zobaczyłem szramę pokrytą czerwonym strupem.

– Pierwszy raz? – Róża zajrzała mi w oczy.

Skinałem głową.

– Przywyknie pan.

Staruszka odwróciła się i popatrzyła uważnie na leżącą nieruchomo kobietę.

– Kławdia! Kława, ocknij się!

Kobieta otworzyła oczy i powoli wstała. Spojrzała na Różę, potem na nas.

– Widzisz, wszystko w porządku – powiedziała Róża. – Pomoc przyszła. Lepiej ci?

– Tak, Różo Dawidowna.

– To dobrze.

Kobieta pochyliła się nad chłopcem, potrząsnęła go za ramię. Chłopiec wstał. Kławdia wzięła dzban z resztką wody, upiła kilka łyków, podała chłopcu. Ten zaczął chciwie pić; woda płynęła po jego twarzy, zmywając krew. W końcu chłopiec odstawił pusty dzban, otarł twarz rękami.

Blizn na jego ciele już nie było.

Młodzieńcze pryszczki zostały.

– Pietia, przywitaj się – poleciała Róża. – I podziękuj panu celnikowi. Nie miał obowiązku nas ratować.

– Piotr – przedstawił się posłusznie chłopiec. – Dziękuję bardzo.

– Doprowadźcie się do porządku, a potem posprzątajcie – zadysponowała Róża. – Wyczyśćcie meble i dywany.

– A co zrobić z tymi, Różo Dawidowna? – spytała kobieta, wskazując ciało napastnika.

Pomyślałem, że dziwnym trafem tego pytania nigdy nie zadają sobie bohaterowie książek fantastycznych. Wielu zabitych wrogów zostaje na miejscu, a potem gdzieś (gdzie?) znikają. No dobrze, założmy, że na dworze

utylizacją zajmują się ptaki i zwierzęta. Ale w pomieszczeniach? Ciała trzeba pochować! Możliwe, że przy każdej wsi, przez którą przejeżdżają, wymachując żelastwem, różne „szalone pałki”, stworzono specjalne cmentarze dla wrogów.

– Nad morze – powiedziała po zastanowieniu Róża. – Ale nie wrzucajcie od razu do wody, połóżcie na brzegu. Może po nich przyjdą i będą chcieli pochować...

Kławdia i Piotr, zerkając na nas z ciekawością, ale o nic nie pytając, wyszli z palarni.

– Matka i syn – wyjaśniła Róża. – Najęłam ich trzy lata temu, u nas, w Rosji. Nie ufam miejscowym, wie pan. Mąż Kławy to alkoholik, dlatego syn jest nieco... prosty w obejściu. W ich życiu nie czekałoby ich nic dobrego, są mi bardzo wdzięczni. Szkoda, że to zwykli ludzie i w swoim czasie umrą.

– A my? – zapytałem.

Podważyłem paznokciem brązowy strup rany i pociągnąłem. Każdy, kto robił coś takiego w dzieciństwie, wie, że teraz powinny się pojawić czerwone kropelki krwi.

Ale pod strupkiem była czysta, gładka skóra.

Zacząłem się ubierać.

– A my, jak wyjdzie. Długo się goiło – zauważyła Róża. – Rozumiem, że jest pan na stanowisku od niedawna?

– Pierwszą dobę.

– Oczywiście. – Róża skinęła głową. – Zuch z pana, szybko się pan oswaja.

Zajrzałem do sali. Pietia ścigał ciała na stertę, zupełnie bez wysiłku, jakby pod czarną tkaniną były nadmuchiwane lalki, a nie trupy.

– Ale oni nie wyglądają na zwykłych ludzi. Rany zagoiły się do razu, no i ta siła...

– To moje terytorium – powiedziała Róża Dawidowna, jakby to wszystko wyjaśniało. – Ja tutaj ustanawiam pewne prawa. Niestety, walka nie jest moją prerogatywą.

– Różo Dawidowna! – nie wytrzymał Kotia. – My naprawdę nic nie rozumiemy! Kim jesteście? Co to za świat dookoła?

– Zaraz porozmawiamy – odparła Róża. – W tamtej szafce jest koniak i cygara. Chociaż nie, trochę tu brudno. Chodźmy! A koniak i cygara proszę wziąć, tak...

– Nie palę – mruknął Kotia, ale mimo wszystko zajrzał do szafki. Wyjął drewnianą szkatułkę z cygarami, płaską butelkę koniaku i trzy srebrne kubeczki.

Poszliśmy za staruszką przez salę, gdzie Kławdia, zaopatrzona w wiadro i stertę szmat, ścierała z dywanu ciemne plamy, weszliśmy po schodach na pierwsze piętro. Z niewielkiego holu biegły w dwie strony wąskie korytarzyki; Róża wskazała głową kanapę i krzesła przy oknie.

– Poczekamy tu, aż posprzątają. Może jednak cygaro? Jesteście pewni, że nie? A ja, z waszego pozwolenia... Wybaczcie, że tak wulgarnie.

Odgryzła koniuszek grubego, brązowego cygara. Na stoliczku przed kanapą stała popielniczka, leżało pudełko zapalek. Koniuszek cygara powędrował do popielniczki, Róża zręcznie przypaliła od długiej zapalki.

Kobieta z coroną to dziwny widok, od razu powoduje wzburzenie mężczyzn... Freud pewnie wiedziałby, jak to zinterpretować. Usiadłem obok i się rozejrzałem. Pokoik przypominał hol małego hotelu. Na ścianach lampy gazowe, na wprost nas wygasły kominek z ułożonymi drwami.

– To hotel – oznajmiła Róża. – Pensjonat. Zajazd. Możecie nazywać go, jak chcecie.

Skinałem głową.

– Urodziłam się w tysiąc osiemset sześćdziesiątym siódmym – oznajmiła uroczyście i popatrzyła na nas wyzywająco. – Nie mam zwyczaju ukrywać swojego wieku.

– Dobrze się pani trzyma – skomentował Kotia. Nie usiadł, stał przy oknie. – Proszę opowiadać. Teraz już we wszystko uwierzemy.

Po chwili wahania wziąłem szklaną butelkę. Ormiański prazdniczny, sądząc po etykietce, jeszcze z czasów ZSRR. Nalałem trzy kubeczki, chociaż Róża pokręciła głową.

– W młodości pracowałam w hotelu – zaczęła opowiadać Róża – najpierw w hotelu ojca, w Samarze... a potem wyjechałam do Petersburga. Nie sposób wymienić wszystkich miejsc, w których pracowałam, w każdym razie

rewolucja zastała mnie w „Europejskim”, byłam pomocnikiem dyrektora. Pracowałam tam nawet wtedy, gdy bolszewicy zamienili go w przytułek dla sierot. W czasie NEP-u znów zaprowadzono w hotelu porządek, a w dwudziestym piątym podpadłam pod paragraf.

– Polityka? – spytałem.

– Nie, kradzież – odparła spokojnie Róża. – Cóż chcecie, takie były czasy. Każdy sobie radził, jak mógł. Rozpoczęło się śledztwo. W moim wieku na ucieczkę było już trochę za późno. Gdybym była mężczyzną, zapewne zastrzeliłabym się, wtedy to było modne, ale nigdy nie lubiłam emancypantek. Leżeć w kostnicy z dziurą w głowie? O, nie! A łykanie trucizny jest dobre dla histeryczek. No to czekałam na naturalny rozwój wydarzeń. Aż tu nagle zaczęły się dziać takie rzeczy! Przychodzę do pracy i myślę tylko o jednym: dzisiaj mnie wezmą na przesłuchanie czy jutro? A tu mnie ludzie nie poznają! „Gdzie się pchasz, kobieto?”, wołają. „Nie ma wolnych pokoi!”.

Zaśmiała się cicho. Skinąłem głową.

– Wróciłam do domu. Mój świętej pamięci mąż jakoś tak dziwnie na mnie patrzy, ale nic, zjedliśmy kolację, położyliśmy się spać. Budzi się rano i jak nie zacznie wrzeszczeć: „Coś za jedna, dlaczego w moim łóżku?!”. To dopiero głupek, co? Skoro już widzisz w swoim łóżku kobietę, niechby nawet niemłoda, to siedź cicho i korzystaj z okazji! Huknęłam na niego: „Zwariowałeś, stary, czy co? Jestem twoją żoną!”. A on mi na to, że żonę pochował piętnaście lat temu, że jest uczciwym wdowcem i żadna stara wiedźma nie odbierze mu pokoju. Plunęłam mu w gębę za takie słowa i wyszłam. Trzy dni po Petersburgu chodziłam. Spałam na ulicy, żebrałam, myślałam, że rozum tracę. I nagle podchodzi do mnie listonosz. Na ulicy, wyobrażacie sobie? I wręcza telegram. A tam adres w Litiejnym zaułku i propozycja, żeby przyjść. Nie miałam nic do stracenia, poszłam. Znalazłam obok kasyna mały sklepik, popatrzyłam na witryny i omal się nie przewróciłam! No bo przecież jakie to były czasy! A tam obfitość wszystkiego... Jesiotr i łosoś, żywe raki, czarny i czerwony kawior, wina, szampany, szynka, pikle, oliwki, owoce w czekoladzie. W najlepszych latach NEP-u czegoś takiego nie było! Tylko za cara, a i to nie we wszystkich

sklepach. A ludzie przechodzą obok tak, jakby nic nie widzieli! Wejść weszłam, ale wtedy już nic nie rozumiałam!

Popatrzyła na mnie i na Kotię, jakby sprawdzając, czy jej wierzymy. Wydmuchnęła dym z cygara i mówiła dalej:

– Wszedł właściciel, taki kulturalny młody człowiek, popatrzył na mnie badawczo i mówi: „Zaraz pani zemdleje z głodu...”. Nakarmił mnie, napoił i mówi: „Rozumiem, że znajomi zaczęli panią zapominać? Nie poznają pani w pracy, nie poznaje rodzina?”. Kiwnęłam głową. I wtedy on mi wyjaśnił to, co zaraz opowiem wam.

– Akurat – powiedział ponuro Kotia. – Takie cuda się nie zdarzają! Nic nam pani nie powie i niczego nie usłyszymy. Wybuchnie pożar, albo zacznie się trzęsienie ziemi.

– ...I ten sklepikarz powiedział mi – ciągnęła Róża, nie zważając na wtret Kotii – że należę do wybrańców.

Kotia parsknął.

– Życie jest bardzo krótkie. Kiedy dożyjecie do sześćdziesiątki – jeśli dożyjecie – to się sami przekonacie. Jak to mówią, wobec śmierci wszyscy ludzie są równi. Ale! – Róża uniosła palec. – To jest los zwykłego człowieka. A zupełnie co innego, gdy w swoim zawodzie osiągnąłeś wyżyny mistrzostwa.

– Na przykład w hotelarstwie? – zapytał ironicznie Kotia.

– Na przykład – przyznała Róża. – Albo w stolarstwie. Albo w malarstwie. Albo w sztuce wojennej. I wtedy stajesz się mistrzem, i wypadasz z życia!

Drgnąłem.

– Zwyczajni ludzie zapominają o nas – powiedziała z lekkim żalem Róża. – I rodzina, i przyjaciele. Nasze dokumenty się rozpadają, nasze miejsce w życiu znika, jakbyśmy się nigdy nie urodzili albo umarli dawno temu. Za to stajemy się mistrzami i możemy żyć wiecznie. Czasem w swoim świecie, a czasem w innym. Tam gdzie jesteśmy bardziej potrzebni.

– Masoni – oznajmił Kotia. – I światy równoległe.

Róża roześmiała się niegłośnym, pobłażliwym śmiechem.

– Młody człowieku, niech pan nie wierzy brukowcom i goniącym za sensacją pismakom! Co tu mają do rzeczy masoni? Po prostu ludzie, którzy

w swoim zawodzie doszli do prawdziwego mistrzostwa, wchodzą w nowe życie i stają się mistrzami.

– Czy funkcyjnymi? – zapytałem.

Róża skinęła głową.

– Tak, niektórzy używają tego określenia. Ale my, Rosjanie, nie powinniśmy kaleczyć języka. Mistrz! Piękne, dumne słowo! Ja jestem mistrzem w hotelarstwie, a pan, jak widzę, jest mistrzem-celnikiem? Jestem pełna podziwu, że sięgnął pan takich wyżyn w tak młodym wieku.

– Nie jestem celnikiem – zaprotestowałem.

Róża się uśmiechnęła.

– No przecież widzę! Widzę, że jest pan jednym z nas, wybrańców!

– Łyżki nie ma... – mruknął Kotia i usiadł naprzeciwko Róży.

– Jakiej łyżki?

– Proszę nie zwracać uwagi. – W Kotii obudziła się zawodowa ciekawość. – Więc jest pani tutaj już osiemdziesiąt lat? Nie starzeje się pani.

– Jak pan widzi.

– Ale to przecież nie jest Ziemia?

– To Kingim. – Róża wymówiła tę nazwę dziwnie miękko, jakby z ukraińskim akcentem. – Tutejsze kontynenty różnią się od naszych, ale miasto leży mniej więcej na wysokości Sztokholmu. Zresztą, nieszczerze interesuję się geografią.

– A skąd ma pani ten hotel?

– Każdy mistrz, młodzieńcze, otrzymuje miejsce, w którym może wykazać swój talent. Gdy tutaj przyszłam – przez cło przy Dworcu Nikołajewskim – stała tu rozwalona szopa. Ale czułam, że to moje miejsce. Z każdą spędzoną tu nocą budynek zmieniał się, dopóki nie zaczął wyglądać tak, jak chciałam. – Po chwili wahania dodała: – Gdybym chciała, wyrósłby tu hotel większy od „Europejskiego”, ale zawsze podobały mi się małe, przytulne hoteliki.

– Zatem nie starzeje się pani... ma pani możliwość zajmowania się ulubioną pracą i prowadzenia takiego hotelu, jaki pani chce. I posiada pani pewne nadludzkie zdolności. Rany szybko się goją, zapewne jeszcze coś, tak?

– Kotia wyliczał, a Róża kiwała głową. – Pani tak jakby nie jest człowiekiem?

– Jestem mistrzem.

– I dużo was jest? Mieszkacie w różnych światach, podróżujecie między nimi... I to przecież od dawna, od dziesiątek, setek lat! Dlaczego nikt nic o was nie wie?

– Dlaczego „nikt”? Na przykład pan, Konstanty, jest zwykłym człowiekiem, ale przyjaciel-mistrz panu zaufał i teraz pan wie. Z czasem nauczy się pan zauważać innych mistrzów, tę zdolność można wytrenować. Kława i Pietia od dawna umieją odróżniać mistrzów od zwykłych ludzi.

Widać było, że Róża delectuje się tą rozmową. Może nieczęsto miała okazję wtajemniczać niedoświadczonych mistrzów? I nie wyglądało na to, żeby kłamała.

Tylko... jaki ze mnie mistrz? Jaki ze mnie celnik? Jakie wyżyny osiągnąłem, żeby tak nagle przemienić się w superczłowieka?

– A kto wami rządzi? – nie poddawał się Kotia.

– Rządzi się tłumem, młodzieńcze. – Róża się uśmiechnęła. – A my jesteśmy mistrzami. Jesteśmy samowystarczalni.

Mógłbym jej przypomnieć, że pół godziny temu samowystarczalny mistrz hotelowy był przywiązany do fotela, ale się powstrzymałem.

– Więc nie wie pani, kto na was napadł?

– Miejscowi – odparła krótko Róża. – Widocznie był wśród nich człowiek, który o nas wiedział. I oni polowali na...

Nagle zmrużyła oczy i zgasiła cygaro w popielniczce. Skrzywiłem się od ostrego zapachu.

– Kiryle Daniłowiczu, przecież oni przyszli po pana! Tak, tak, tak, bez wątpienia! Wiedzieli, że pan do mnie przyjdzie, i postanowili pana schwytać! I się przeliczyli! Powiedzcie mi, młodzi ludzie, po co właściwie do mnie przyszliście?

– Poproszono nas – powiedział beznadziejnym tonem Kotia. – Pewna da... pewna ba... pewna kobieta. Podrzuciła liścik, że musimy znaleźć białą różę i że tam odpowiedzą nam na wszystkie pytania. Najpierw myśleliśmy, że trzeba znaleźć kwiat. Potem, że chodzi o hotel.

– Zwabili was w pułapkę! Ale się przeliczyli! – Róża klasnęła w ręce. Intryga wyraźnie dodała staruszce wigoru. – Co za podłość! Skontaktuję się

z najbliższym mistrzem-ochroniarzem. Pewnie nie zna pan jeszcze swoich sąsiadów?

Pokręciłem głową. W odróżnieniu od Kotii nie czułem rozczarowania, ten podrzucony list jakoś nie łączył mi się z zasadzką.

– Powinniśmy wracać – powiedziałem. – Chyba już pójdziemy.

– No co też pan?! – Róża Dawidowna pokręciła głową. – W taką zamieć? I po co? Przenocujecie u mnie, dowiedcie się, co to znaczy gościnność mistrza! Kława wspaniale gotuje, zobaczycie, jaki z niej kuchmistrz!

– Musimy wrócić do wieży – powtórzyłem. – Powinna mnie pani zrozumieć. Jak mistrz mistrza.

To podziałało. Staruszka pokiwała głową.

– Tak, oczywiście. Tak, rozumiem... Więc pan też ma wieżę?

– Dlaczego też?

– Gdyby pan wiedział... – powiedziała Róża wstając – jak przewidywalna jest męska fantazja! Połowa mistrzów wybiera sobie wieże.

Kotia wyglądał na niezadowolonego, ale się nie odzywał. Zeszliśmy na dół. Po niedawnym poboju niemało zostało śladu. Pietia ścierał jakieś plamki ze ściany, jego matka dzwoniła naczyniami w kuchni.

– Teraz jest zima – powiedziała ze smutkiem Róża. – Przyjdźcie do nas latem... Dużo gości, wesóły śmiech, kwiaty w wazonach. Zapraszam muzyków z miasta, gramy na pianinie.

– A czemu teraz nikogo nie ma? – zapytał Kotia. – Rozumiem, że zima, ale mimo wszystko... Puste nabrzeże, tylko latarnie się palą. Domy pozamykane.

– No... Przecież nie ma sezonu – powtórzyła Róża. Jej spojrzenie stało się żałosne i stropione. – Tak się zwykle dzieje zimą w małych nadmorskich hotelach. A mieszkańcy... też się porozjeżdżali.

Kotia zerknął na mnie i skinął głową.

– Rzeczywiście, czas na nas. Bardzo nam było... – Spojrzał na Pietię, który melancholijnie maczał szmatę w misce. Woda zabarwiła się na czerwono. Kotia przełknął słowo „miło” i dokończył: – Panią poznać.

I wtedy do drzwi ktoś zastukał. Róża Dawidowna drgnęła. Pietia upuścił szmatę i zastygł z otwartymi ustami, z kuchni wyrzała Kławdia.

– Jeśli wrócili... – zaczęła Róża. – Ale przecież zdoła nas pan obronić, Kiryle Daniłowiczu?

Wzruszyłem ramionami. Róża spojrzała na żyrandol i ten się zaświecił. Dumnie uniosła głowę, podeszła do drzwi i otworzyła je na oścież.

W przedpokoju zakłębiła się para, nawet zawirowały śnieżynki. Przed drzwiami stał człowiek w szarym płaszczu z baszłykiem, w wysokich butach i futrzanej czapie. Mógł mieć czterdzieści lat, może trochę więcej. Wyglądał na strwożonego, ale gdy nas zobaczył za plecami Róży, na jego twarzy odmalowała się ulga.

– Mistrz? – powiedziała ze zdumieniem Róża. – O... dobry wieczór.

– Za hotelem jest pięć trupów – powiedział mężczyzna, nie tracąc czasu na przywitania.

– To straszne, Feliksie! – Róża załamała ręce. – Jacyś szaleńcy zaatakowali hotel! Szukali młodego mistrza...

– Szukali mnie – uciał Feliks. – Chodźmy, młody człowieku. Jest pan sam?

– Z przyjacielem.

Feliks się skrzywił.

– Cóż, wezmę was obu. – Odwrócił się do staruszki. – Rózo Dawidowna, niech pani będzie ostrożniejsza, bardzo panią proszę. Sama pani rozumie, jak bardzo będzie nam pani brakować, jeśli zdarzy się coś nieodwracalnego.

– O, Feliksie...

Nie miałem ochoty kontynuować tej rozmowy i marnować czasu. Chwyciłem Kotię za rękaw i pociągnąłem za sobą. Pietia popatrzył na nas z nieukrywaną ciekawością, Kława szybko się przeżegnała, Róża Biała odprowadziła Feliksa wzrokiem pełnym uwielbienia.

Wyszliśmy w zamieć.

Powóz stał tuż przed wejściem. Zwykły faeton, tylko z podniesionym dachem (znowu sypało) i nie na kołach, lecz na płozach, zaprzężony w dwa konie. Lejce owinięte na niepozornym słupku przy wejściu do hotelu. Jasna latarnia, przymocowana po prawej stronie powozu pięknie oświetlała leżące dziesięć metrów dalej ciała, już przyprószone śniegiem.

– Dużo bajek naplotła wam Róża Dawidowna? – zapytał Feliks, zamykając za sobą drzwi powozu.

Kotia zaśmiał się nerwowo, a ja powiedziałem z ulgą:

– Dużo. Że urodziła się w tysiąc osiemset sześćdziesiątym siódmym...

– Wiecznie się odmładza. – Feliks pokręcił głową. – No, jaka to różnica, pięćdziesiąty siódmy, czy sześćdziesiąty siódmy? To nie, żeby tylko skłamać... I pewnie powiedziała, że była kierowniczką hotelu?

– Pomocnikiem kierownika.

– Była pokojówką. Była pokojówką i pokojówką została. Jej hotel to marzenie pokojówki – czysto, ciepło i ani jednego gościa. – Feliks się skrzywił. – Wsiadajcie, chłopcy. Nie mamy tu nic do roboty.

– Nazwała pana mistrzem... – Nie dokończyłem, ale Feliks zrozumiał moje pytanie.

– Jeszcze jedno kłamstwo. Mistrzowie... to trzeba mieć wyobraźnię... Jesteśmy jedynie funkcyjnymi. No, wsiadźcie wreszcie do sań, jeszcze zdążymy się nagadać!

10.

Pogoda była straszliwa. To zamieć ciskała krótkimi śnieżnymi pociskami, to wiatr cichł i z nieba zaczynały spadać wielkie bożonarodzeniowe płatki śniegu, tylko po to, żeby minutę później zmienić się w drobne lodowe kulki, którymi porywisty wiatr chłostał drogę. Konie szły równo, sanie jechały kołysząc się lekko. Tylne siedzenie w saniach przypominało wąską kanapkę z futrzanym pledem, a nogi przykryliśmy czymś w rodzaju baranicy. Nigdy wcześniej nie jeździłem saniami i nie spodziewałem się takich wygód.

Odjechaliśmy trzy kilometry od hotelu, a smętne ceglane budynki nadal ciągnęły się wzdłuż nabrzeża, ulice nadal były absolutnie puste – żywego ducha! Ładnie byśmy wyglądali, gdybyśmy próbowali pokonać całą tę drogę na piechotę!

– Nazywam się Kirył – przedstawiłem się poniewczasie. – A mój przyjaciel to Konstanty. Jesteśmy z Moskwy.

– Bardzo mi miło – powiedział Feliks beznamiętnie.

– Feliksie, dlaczego nikt tu nie mieszka? – zapytałem, uparcie usiłując podtrzymać rozmowę.

– To dzielnica fabryczna – odpowiedział Feliks. – Strefa przemysłowa. A teraz są święta.

– I co, nie ma tu zupełnie nikogo? – nie ustępowałem. Feliks ściągnął lejce, zatrzymując konie. Ciekawe doznanie – mając doświadczenie z samochodami, nauczyłem się, że zatrzymać można się w każdej chwili, a sanie przejechały jeszcze jakieś pięćdziesiąt metrów, zanim ostatecznie stanęły.

– Naprawdę chcesz wiedzieć? – zapytał Feliks.

Skinałem głową. Twarz Feliksa był poważna, nawet ponura. Gdyby powiedział, że miasto okupują kosmici, że zajęły je wampiry, albo przetrzebiła dżuma, uwierzyłbym mu.

– Rozejrzyj się. Jaki idiota spacerowałby w taką pogodę po nabrzeżu?

Chciałem coś odpowiedzieć, ale nie znalazłem słów.

Feliks się uśmiechnął, ale wtedy od strony morza dobiegł głośny plusk, jakby o brzeg uderzyła ogromna fala, i ten dźwięk zmył uśmiech z twarzy Feliksa.

– Jest jeszcze jeden powód! – krzyknął, mocno uderzając konie lejcami.

Konie skoczyły do przodu, tak że mnie i Kotię odrzuciło na oparcie kanapy. Przechyliłem się i zobaczyłem, jak za balustradą, za rzędem latarni, na wodzie kołysze się coś okrągłego, ciemnego, obsypanego fosforyzującymi błyskami, jak długie macki wyciągają się w stronę miasta.

Sanie mknęły tuż przy ścianie budynków fabrycznych, jak najdalej od wody. Cielsko gigantycznej ośmiornicy poruszało się daleko z tyłu.

– Nie bójcie się – powiedział Feliks, nie odwracając głowy. – One boją się światła i nigdy nie wychodzą na drogę.

Muszę przyznać, że nie spodziewałem się czegoś takiego. Ten obcy świat był zbyt podobny do naszego. Tutaj mogłyby żyć tygrysy i niedźwiedzie, ale nie smoki czy gigantyczne ośmiornice!

– Dokąd właściwie jedziemy? – spytałem.

– Do mnie. Jesteśmy prawie na miejscu.

Sanie skręciły w szeroką ulicę, zupełnie niepodobną do wąskich zaułków rozdzielających korpusy fabryk. Ulica była oświetlona identycznymi latarniami jak te na nabrzeżu.

Na wprost nas coś zahuczało, załaskotało i świecąc jasnymi reflektorami, pędziło ku nam. Coś metalowego, na wielkich kołach o dwumetrowej średnicy, pomiędzy którymi groźnie wznosił się przysadzisty pancerny korpus z kilkoma lufami – albo ckm, albo działka małokalibrowe.

Feliks zjechał na pobocze i rycząca machina przemknęła obok nas. Ostro zapachniało chemią. Nie była to zwykła woń benzyny, lecz coś zupełnie innego, trochę spirytus, a trochę amoniak.

– Omal nas nie rozjechał – burknął Feliks i odwrócił się do nas. – Coście tak przycichli? Czołgu nie widzieliście?

– U nas są inne czołgi – powiedział cicho Kotia. – Jeżdżą za miastem. Powoli. I na gaśienicach.

– U was można też spacerować po nabrzeżu. – Feliks się uśmiechnął.

Na brzegu, tam gdzie pomknął kołowy czołg, rozległ się terkot, jakby zaczęła działać wielka maszyna do szycia.

Im bardziej oddalaliśmy się od brzegu, tym bardziej miasto wokół nas ożywało, tracąc smętną geometryczną monotonię. Ujrzyliśmy pierwsze piętrowe i dwupiętrowe budynki, jeszcze nie mieszkalne, ale też już nie fabryczne; w niektórych oknach paliło się światło. Od drogi, którą jechaliśmy, odchodziły w różne strony wąskie uliczki.

Śniegu było tu mniej, od czasu do czasu sanie przeraźliwie zgrzytały na kamieniach. Skręciliśmy. Droga biegła teraz lekko pod górę i zaczęła się wić. Wokół nas wznosiły się duże domy otoczone ogrodami. W którymś oknie ujrzałem ludzką postać – kobieta nalewała herbatę – i zrozumiałem wreszcie, czego tak bardzo mi tu brakowało: normalnych ludzi. Szalona babka o nazwisku Biała, jej debilna służba, zabójcy w czerni, nawet Feliks, który wyskoczył jak diabeł z pudełka, oni wszyscy nie byli ludźmi, lecz aktorami teatru absurdu. Tak samo niesamowitymi, jak potwór wysuwający macki na brzeg, czy śpieszący mu na spotkanie czołg, tylko że w ludzkiej postaci.

A kobieta pijąca herbatę była prawdziwa! Zwyczajna! Najbardziej prawdziwe są właśnie rzeczy zwykłe i banalne. Nawet ta myśl była prawdziwa – dlatego że tak strasznie banalna.

Mimo późnej pory, w tej części miasta na ulicach było sporo ludzi. W ogrodzie piętrowego domku z dziesięć osób, dorośli i dzieci, bawiło się śnieżkami. Pomachali do nas, obrzucili śniegowymi kulami i radośnie wykrzykiwali jakieś życzenia, nie zrozumiałem tylko z jakiej okazji.

– U nas są teraz święta – powtórzył Feliks.

– Ja też nie miałbym nic przeciwko temu, żeby porzucać się śnieżkami – powiedział ponuro Kotia.

– Zaraz się rozgrzejecie. Jesteśmy na miejscu.

Sanie zatrzymały się przed przysadzistym budynkiem na szczycie wzgórza. Architektonicznie przypominał stary rosyjski dworek – piętrowy centralny budynek i dwa parterowe skrzydła. Na placyku przed budynkiem śnieg był rozjeżdżony i zdeptany, widziałem liczne ślady kół i płóz. I ciągle te same latarnie. Jasne światło w oknach, poruszające się cienie za roletami i przytłumiona muzyka. Albo na nas czekano, albo zauważono zbliżające się sanie, w skrzydle domu bowiem otworzyły się drzwi i do sań podbiegł młody chłopak – miał rozpiętą koszulę, lekkie pantofle, ale szyję owiniętą szalikiem.

– Wróciłem – oznajmił Feliks, zeskakując z sań i rzucając chłopakowi wodze. – Wszystko w porządku?

– Tak! – odparł chłopak, zerkając na nas z ciekawością. – Wyprzęgać?

– Wyprzęgaj.

Ja i Kotia poszliśmy za Feliksem do wejścia do głównego korpusu. Chłopak zaprowadził konie do wielkiej bramy w prawym skrzydle.

– Dlaczego nie macie samochodów? – nie wytrzymałem.

– Dlatego że nie ma tu ropy – odpowiedział Feliks.

Pomyślałem, że na każde pytanie znajdzie taką idiotycznie prostą odpowiedź. Dlaczego nikt nie spaceruje? Bo zimno. Dlaczego nie ma samochodów? Bo nie ma benzyny.

– Na czym polega sens życia? – zapytałem złośliwie.

– Nie drwij – burknął Feliks. – Cały sens naszego życia to solidne wykonywanie swojej funkcji.

– To mi się nie podoba.

– Przywykniesz.

* * *

To była restauracja. Nie taka jak w hoteliku, z atmosferą małego europejskiego klubu. O, nie! To była Restauracja przez duże „R”, w stylu hulających kupców i robotników partyjnych. To była knajpa! To było coś równie wulgarnego jak restauracja „Praga” na Nowym Arbacie. Takie restauracje istniały w Rosji przed rewolucją, szczęśliwie przetrwały NEP (być może właśnie w takich „szumiała” dziarska babka-złodziejka Róża Biała), przebiedowały czasy Stalina i lata wojny, okrzepły i zmężniały w epoce

uprawy kukurydzy i brezniewowskiego zastoju, zmieniły dziesiątki właścicieli w czasie pieriestrojki i szczęśliwie weszły w trzecie tysiąclecie.

Kicz jest nieśmiertelny.

W tej restauracji były kolumny. I kryształowe żyrandole, a także materiałowe tapety na ścianach. I posągi nagich kobiet o pustych oczach gotowanych ryb. I białe wykrochmalone obrusy. I kryształy, i porcelana, i srebrne sztucce, i kelnerzy w czarnych smokingach i białych koszulach, uprzejmi i dumni.

Powiecie, że tak właśnie powinno być? Że restauracja musi różnić się od kawiarni, baru czy zakładu z kuchnią narodową? To prawda. Ale tutaj wszystkiego było za dużo – i kryształu, i srebra, i krochmalu. Została przekroczona cienka granica i pompatyczny luksus przemieniał się w megakicz.

Goście pasowali do tego zakładu. Przypomniałem sobie uprzejmego listonosza, który przywiózł mi informatory celne – był tak samo błyszczący, rasowy, dżentelmeński. Jak lokaj z angielskich filmów.

Tutaj ludzie się bawili. Przy niektórych stolikach jedli i pili arystokraci, wystarczyło na nich spojrzeć, żeby zrozumieć: nie nasi! Miejscowi! Stąd, z tego świata, gdzie nie ma ropy, gdzie jeździ się saniami, a na brzeg wyłażą potwory morskie. Ale pośrodku sali, przy ogromnym stole biesiadowało towarzystwo, które widuje się w drogich moskiewskich restauracjach. Szef mojej firmy obowiązkowo urządził przed Nowym Rokiem wielką imprezę firmową, i to zawsze w jakimś tam „Metropolu”, jakby nie mógł przeznaczyć tej forsy na premie dla pracowników. No więc w „Metropolu” siedzieli właśnie tacy, jak tutaj. Napakowani, ale z brzuszkiem (albo odwrotnie: z brzuszkiem, ale napakowani), krótko ostrzyżeni, z niezmienionym, jakby wyrzeźbionym uśmiechem. Tacy jak oni początkowo zachowują się bardzo przyzwoicie, ale potem cały ten blichtr spada z nich razem z trzeźwością i przemieniają się w ludzi, którymi byli dziesięć lat temu: w drobnych bandytów. Tylko zamiast polskiego napoleona wałą teraz camusa, i rzygają nie na malinowe marynarki, lecz na marynarki od Brioni.

Towarzyszące im kobiety były... adekwatne. Długonogie (w czym nie ma nic złego), ładne (i bardzo dobrze), o oczach pustych i błyszczących jak

bombki choinkowe. Były zabawkami i całkowicie je to urządzało. Z nudów otwierały butik (sklep to interes, butik – kaprys), całe dni spędzały w fitness klubach, popijając herbatki ziołowe i ćwicząc na egzotycznych sprzętach; zdobywały nikomu niepotrzebne wyższe wykształcenie na płatnych studiach (szczególną popularnością cieszyła się psychologia i management).

Mówcie, co chcecie, ale to byli nasi!

Feliks poprowadził nas przez salę (zauważyłem, że kelnerzy na jego widok jeszcze bardziej się prostują, choć wydawałoby się to niemożliwe), potem korytarzem obok kuchni, gdzie huczało i szumiało, gdzie unosiły się wspaniałe aromaty, i schodami na pierwsze piętro (służba przywierała do ścian, przepuszczając nas). Restauracja przypominała szkatułkę z podwójnym dnem, w której schowano znacznie więcej, niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka.

W końcu Feliks otworzył wysokie dwuskrzydłowe drzwi i wprowadził nas do gabinetu – znacznie mniej pompatycznego niż restauracyjna sala. Biurko było zavalone papierami, krzesło z twardymi poręczami i wysokim oparciem, ale dla foteli w stylu empire i owalnego stołu również znalazło się tu miejsce.

– Siadajcie. – Feliks wskazał krzesła i nacisnął przycisk w biurku. Kilka chwil później do gabinetu zajrzał kelner, najwyraźniej czekał pod drzwiami. – Dla młodych ludzi proszę przynieść porządną kolację. Canneloni z indykiem, baranie żeberka z fasolą... zupę... – Feliks popatrzył na nas uważnie i zadysponował: – Zupę cebulową dla obu. I dla nas wszystkich grzane wino.

– Grzane wino już niosą – odparł z godnością kelner. – Na dworze bardzo się ochłodziło, panie dyrektorze.

– A do rana zasypie drogi – przyznał Feliks. – Widzieliśmy krakena na brzegu. Poślij kogoś na policję, może uda się kupić macki.

– Wyślę Friedricha. – Kelner skinął głową.

To chyba nie był szeregowy pracownik. Może kierownik zmiany, kierownik sali, czy jak się u nich nazywa. Zauważyłem też, że na Kotię spojrział niemal obojętnie, za to na mnie z wyraźnym szacunkiem. Czyżby naprawdę coś wyczuł?

Drugi kelner przyniósł nam grzane wino na tacy – duże pękate kubki i dzban zawinięty w ręcznik.

Kelnerzy wyszli, zostaliśmy sami. Z przyjemnością upiłem łyk gorącego wina. Po dwudziestu minutach podróży w saniach nie można było wymyślić nic lepszego. A potem spytałem:

– Feliksie, kim jesteś?

– Funkcyjnym. Restaurator funkcyjny.

– Coś w rodzaju kucharza? – zapytał Kotia.

– Gotować również umiem – przyznał cierpko Feliks. – Ale ja odpowiadam za restaurację jako całość. Wystrój wnętrz, personel, kuchnia...

– Wystrój... – powiedział w zadumie Kotia. – Rozumiem.

– Mnie też się nie podoba – odparł spokojnie Feliks. – Ale podoba się gościom, ku mojemu ogromnemu żalowi. No więc, panowie, postaram się odpowiedzieć na wszystkie wasze pytania. Nasza szanowna Róża ma skłonności do ubarwiania faktów. Kiryle, jesteś funkcyjnym.

– Funkcja to termin matematyczny – powiedziałem.

– I cóż z tego? Określenie „funkcyjny” najlepiej oddaje istotę rzeczy. Zostaliśmy przyporządkowani do tej czy innej funkcji. Są funkcyjni sprzedawcy, lekarze, właściciele hoteli lub restauracji.

– Służba – podsunął Kotia.

– Właśnie. – Feliks skinął głową. – Jeśli cię to obraża, możesz nazywać się mistrzem, wiele osób tak właśnie robi. Ale w moim odczuciu mistrz to człowiek, który samodzielnie osiągnął sukces. Nasza sytuacja jest nieco inna, nasze zdolności zostały nam dane z góry. Nie pytaj mnie, kto nam je dał, bo nie wiem. Każdy przeszedł przez to samo: człowieka zaczynają zapominać znajomi i krewni, jego dokumenty znikają, jego miejsce w rodzinie i w pracy zajmuje ktoś inny. A gdy człowiek już sięgnie dna, gdy nie ma się gdzie podziać, przychodzi do niego goniec albo listonosz – jednym słowem, zostaje gdzieś wezwany. Miejsce, do którego przychodzi, staje się jego nowym miejscem pracy. My nazywamy to miejsce funkcją. Funkcją Róży jest jej hotel. Moją ta restauracja. Twoją, jak rozumiem, przejście między światami.

Skinąłem głową.

– W zamian za usunięcie z własnej rzeczywistości otrzymujesz bardzo długie życie. – Feliks napił się wina. – Nie mówię „nieśmiertelność”, bo chociaż się nie starzejesz, możesz zostać zabity albo popełnić samobójstwo. Stajesz się okazem zdrowia i masz niesamowitą zdolność regeneracji. Musisz jednak pamiętać, że im dalej jesteś od swojej funkcji, tym mniejsze są twoje zdolności. Na twoim terytorium jesteś praktycznie nieśmiertelny. Sądzę, że nawet gdyby obcięto ci głowę, przyrosłaby. A tutaj? Prawdopodobnie można by cię zabić strzałem w serce. Albo kilkoma strzałami.

Ciekawe, zawsze wiedziałem, że można mnie zabić strzałem w serce i jakoś do tej pory się tym nie przejmowałem. A teraz zrobiło mi się przykro.

– Umiesz odróżniać funkcyjnych od zwykłych ludzi. Zaczekaj, nie protestuj, to przyjdzie z czasem. Rozumiesz wszystkie języki, ale jedynie do pewnej odległości od swojej funkcji. Miejsce, w którym mieszkasz i pracujesz, szybko zacznie urządzać się według twojego gustu. Ale nie otrzymasz żadnych przedmiotów luksusu, żadnych pieniędzy czy kosztowności. Niestety, również żadnego jedzenia czy namiętnych hurys. I to chyba wszystko, co się tyczy ogólnych zdolności funkcyjnych. Są też specjalne. Ja na przykład wiem, kogo i czym karmić. Nie uśmiechajcie się, zaraz się o tym sami przekonacie. Róża utrzymuje swój hotel w idealnym stanie, a ty prawdopodobnie wyczujesz przemyt, a w razie potrzeby możesz walczyć i zwyciężysz. Rzecz jasna, daleko ci do policjanta funkcyjnego, ale... A jakie cuda potrafi czynić lekarz funkcyjny! I to chyba wszystkie pozytywy. A nie, zaczekaj! Możesz również wędrować między światami. Ile światów łączy twoja funkcja?

– Na razie dwa. Ale wydaje mi się, że będzie ich pięć.

– Doskonale. Zatem masz do wyboru pięć światów i do nich możesz wyruszyć. Pamiętaj jednak, że twoje specjalne zdolności znikną, gdy oddalisz się od swojej wieży na dziesięć, piętnaście kilometrów. Możesz też skorzystać z cudzych przejść.

– Skoro są plusy, powinny być również minusy – powiedziałem.

– Zgadza się. Minus jest jeden: już zawsze będziesz zajmował się jednym i tym samym. Jeśli jesteś leniem, pewnie zdołasz sprawić, by twoja praca nie była zbyt uciążliwa – jak to zrobiła Róża – ale nie zdołasz się od niej

całkowicie uwolnić. Jeśli odejdziesz od swojej funkcji daleko i na długo, staniesz się zwykłym człowiekiem.

– To nie taki znowu straszny minus – mruknął Kotia. – I tak wszyscy jesteśmy ludźmi. A być przez sto lat nietykalnym supermanem i nie musieć się martwić o chleb powszedni – coś takiego nie każdemu jest dane. Czy ja mógłbym zostać funkcyjnym?

– To loteria.

– Jasne. A gdzie można kupić losy?

Feliks tylko się uśmiechnął.

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł kelner z tacą.

– Baranina dla niego. – Feliks skinął na mnie. – Jedzcie, młodzi ludzie.

Feliks usiadł za biurkiem i zajął się papierami, my rzuciliśmy się na jedzenie.

Rzeczywiście było bardzo smaczne. Bardzo. Nigdy w życiu nie jadłem zupy cebulowej, w ogóle nie lubiłem gotowanej cebuli! A teraz zjadłem od razu cały talerz, a potem zaatakowałem baranie żeberka. Szczerze mówiąc, baraninę jadłem bardzo rzadko i byłem przekonany, że jest niesmaczna. Jak się okazało, myliłem się jeszcze bardziej niż w kwestii cebuli.

Było też wino. Napisy na etykietkach brzmiały obco (litery przypominały alfabet łaciński), lecz mimo to zrozumiałem sens przekazu: wino zostało „wyprodukowane w wysokogórskim rejonie Skanii z unikalnego szczepu winogron Ruminera”. Kotia popatrzył na butelkę z taką miną, że od razu stało się jasne – nie jest w stanie nic przeczytać.

– Może pan przychodzić do mnie o każdej porze – powiedział Feliks, nie odrywając się od papierów. – Rad będę przyjąć koleżkę. Proszę przyprowadzić przyjaciół, przyjaciółki. Powinniśmy sobie pomagać, prawda?

– Feliksie, pan jest z Moskwy?

– Nie. Jestem stąd.

– Ale przecież mówi pan po rosyjsku! – zaprotestował Kotia.

– I cóż z tego? Owszem, jestem Rosjaninem. – Odsunął szufladę, wyjął z niej książkę. – Proszę, niech pan to weźmie i przeczyta w wolnej chwili.

Książkę zagarnął Kotia. Z jego radosnego okrzyku wywnioskowałem, że rozumie tekst.

– Podręcznik do historii dla klasy piątej, wersja rosyjska! – wykrzyknął Kotia.

– Zabrałem synowi dwa lata temu – rzekł Feliks. – Pomyślałem, że wcześniej czy później się przyda. Nowi funkcyjni pojawiają się niezbyt często, ale trzeba być na wszystko przygotowanym. Tak się przyjęło, że jestem tu za starszego... nieoficjalnie oczywiście. W każdy ostatni piątek miesiąca nasi zbierają się w restauracji. Niech pan przyjdzie. W końcu jest pan sąsiadem.

– Feliksie, kto zaatakował hotel? – zapytałem.

Feliks westchnął.

– Tak to już jest, że jeśli ludzie mają coś unikatowego, to inni prędzej czy później usiłują im to odebrać. Zawsze krążą jakieś plotki, Kiryle. O lekarzu, który potrafi wyleczyć każdą chorobę. O przejściach między światami. O niezwycięzonych bojownikach. O spełniających się życzeniach. Wszystkie nasze kontakty urywają się, gdy zostajemy funkcyjnymi, ale po pewnym czasie pojawiają się nowe. Funkcyjni żenią się albo wychodzą za mąż. Mają dzieci, zdobywają nowych przyjaciół. Gdy informacje trafiają do nazbyt ambitnego człowieka, wtedy dopiero się zaczyna. Tajne organizacje. Ataki na funkcyjnych. Niektóre ciężko wykryć, inne znajduje się bez problemu. Z większością przypadków policjanci funkcyjni radzą sobie sami, ale czasem... czasem giniemy. W ostatnim roku jest niespokojnie, na mnie napadli dwa razy.

– A poza tym ludzie o nas nie wiedzą?

– Wiedzą ci, którzy powinni wiedzieć. Lepiej świadczyć władzy pewne usługi, niż doprowadzić do konfliktu globalnego, prawda? Poza tym musimy przecież coś jeść, w coś się ubierać. Wiesz, jak zdobyć na to pieniądze?

– Dzisiaj rano, to znaczy teraz już wczoraj, był u mnie listonosz. Przyniósł księgi celne...

– Dobrze zrozumiałeś. – Feliks skinął głową. – Pobierasz opłaty celne, które możesz w całości wydać na siebie. Ja prowadzę drogą restaurację. Lekarze leczą bogatych i pragnących dyskrecji pacjentów. Wierz mi, gdy rozejdzie się plotka o nowym celniku funkcyjnym, nie będziesz mógł się opędzić od klientów. Zawczasu przygotuj sobie tabliczkę z godzinami pracy i wywieś na drzwiach.

Nie wyglądało na to, że żartuje.

– Czyli – podsumowałem – otrzymałem dobrze płatną pracę, a także zdrowie, długowieczność i nietykalność. Powinienem się cieszyć

– Zaczynaj już teraz – odparł Feliks. – Mówię absolutnie poważnie, zacznij się cieszyć z życia. Za pięćdziesiąt lat cię to znudzi, a na razie używaj ile wlezie. Oddawaj się wszystkim możliwym radościom i nałogom. Chociaż nie, teraz głównie radościom, nałogi zostaw na później. A za dwa dni przyjdź na naszą małą imprezę funkcyjnych Kingimu. – Zerknął na Kotię i dodał: – Sam, oczywiście.

– Niech mi pan powie – odezwał się wojowniczo Kotia – co się stanie, jeśli napiszę o tym wszystkim do gazety?

– Jest pan dziennikarzem?

– Tak!

– Zajrzy do pana funkcyjny policjant. – Feliks pokręcił głową. – Niech się pan powstrzyma od pisania tego artykułu, młody człowieku.

– Nawet jeśli napisze, to i tak nic się nie stanie – powiedziałem szybko. – On pisze artykuły sensacyjne o różnych rzeczach: tajnych organizacjach, parapsychologach, potworach morskich...

Feliks pokiwał głową.

– Właśnie. Lepiej niech nie pisze. Niech pan pisze raczej o czymś innym, młody człowieku. Coś romantycznego. O miłości, o zwierzętach...

– O miłości do owczarków maltańskich! – nie wytrzymałem i wybuchnąłem śmiechem.

Śmiałem się długo, krztusząc się, dławiąc i kołysząc na fotelu, dopóki zaczerwieniony Kotia nie zaczął mnie tłuc w plecy.

– Musi pan odpocząć – rzekł Feliks, przyglądając mi się uważnie. – Zostanie pan u mnie? Mogę udostępnić panu pokój. A może woli pan pojechać do Róży? Albo do siebie?

– Do siebie. – Histeryczny śmiech minął i teraz czułem się głupio, jak człowiek, który palnął gafę w towarzystwie.

– Rozsądna decyzja. Nie należy dodatkowo obciążać pańskiego organizmu zbyt długą nieobecnością. Poza tym, jak rozumiem, nie zdążył pan jeszcze poznać funkcyjnych w swoim mieście?

– Nie.

– No tak, Moskwa to wielkie miasto – przyznał Feliks. – U nas jest dziesięciu funkcyjnych, podejrzewam, że w Moskwie może być ponad stu. Nie dziś to jutro do pana przyjdą.

– Komisja przybędzie pojutrze – przypomniałem sobie. – No tak, rzeczywiście...

– No widzi pan. Z woli przypadku w całą sytuację wtajemniczyliśmy pana ja i Róża. Ale my mamy swoje prawa, swoje zasady, być może funkcyjni z Moskwy wyjaśnią panu to lepiej i dokładniej. – Feliks znowu nacisnął przycisk dzwonka i wyjaśnił: – Poproszę, żeby Karl was odwiózł. Możecie przy nim swobodnie rozmawiać.

– A czy mogę panu zrobić zdjęcie? – zapytałem.

– Szuka pan dowodów dla samego siebie? – Restaurator uśmiechnął się. – Proszę bardzo. Tylko wtedy będzie mi pan winien odbitkę.

* * *

O tym, że przecież możemy nie trafić do wieży, pomyślałem dopiero wtedy, gdy mijaliśmy „Białą Różę”. Z kamyczka zostawionego na balustradzie pożytek był nie większy niż z okruszków chleba, które rzucali w lesie Jaś i Małgosia – wszystko zasypał śnieg. Od Kotii nie należało się spodziewać pomocy – przyświecając sobie ekranem komórki, usiłował czytać podręcznik historii.

Ale ta sprawa rozwiązała się sama. W pewnej chwili, wpatrując się w domy po bokach drogi, poczułem, dokąd powinniśmy jechać. Czułem się tak, jak w czasie walki z napastnikami, jak wtedy, gdy tłumaczyłem Kotii obce terminy – czysta wiedza, absolutna pewność co trzeba zrobić.

Dojechaliśmy do wieży, na którą Karl popatrzył z łapczywą ciekawością. Ciekawe, jak to jest wiedzieć o istnieniu innych światów i nie mieć możliwości do nich zajrzeć?

– Jesteśmy panu coś winni? – spytałem, kierowany nagłym impulsem.

Chociaż, co ja mogę mu zaproponować? Miejscowych pieniędzy nie mam, a ruble tu na nic.

– Co też pan. – Chłopak znów spojrział na wieżę. – Czas na mnie... nie chciałybym zamarznąć.

– A może... odrobinę?...

Chwilę później zrozumiałem, że ludzie są wszędzie tacy sami – nawet w świecie równoległym.

– No, chyba że naprawdę odrobinę. – Chłopak uśmiechnął się z zakłopotaniem. – Nieczęsto mistrz gości prostego człowieka.

Pomyślałem, że Feliks nie był do końca szczerzy, gdy pokpiwał sobie z zamiłowania Róży do określenia „mistrz”. Jeśli nawet sam nie używał tego pompatycznego określenia, to udawał, że nie zauważa, jak nazywają go podwładni.

– Mistrz z przyjemnością pana poczęstuje – powiedziałem. – Proszę, niech pan wejdzie.

Jakby w niego piorun strzelił! Już otwierałem drzwi, a on cały czas patrzył na mnie stropiony. Potem potrząsnął głową i zapytał:

– Mistrz zaprasza?

– Wchodź. – Gościnnie otworzyłem drzwi na oścież.

Pewnie z podobnym uczuciem żarliwy katolik wchodzi do pałacu papieskiego. Chłopak długo otrzepywał nogi ze śniegu, w końcu ostrożnie wszedł i popatrzył na elektryczne lampy, z taką zachłannością, z jaką Kotia gapił się na latarnie na balustradzie.

– Przyniesiesz nam? – poprosiłem Kotię. – Dobra?

– Dobra. – Kotia skinał głową.

Zniknął na chwilę i wrócił z koniakiem i trzema kieliszkami. Woźnica wypił koniak jak wodę. Nie, alkohol go teraz nie interesował.

– Mistrzu, czy mogę popatrzeć na wasz świat?

Zerknąłem na Kotię, ale on tylko wzruszył ramionami: „Sam decyduj”.

– No... chyba tak... – Podeszedłem do drzwi, które prowadziły do Moskwy. – Niedługo!

Widzieliście kiedyś, jak człowiek wpatruje się zachwycony w wysypisko śmieci i deszcz?

Była głęboka noc. Widok za drzwiami był nie lepszy niż w Kingimie – ciemność, błoto, niewyraźne sylwetki domów, w kilku oknach światło. W dodatku latarnie wzdłuż drogi się nie paliły.

Ale woźnica chłonał ten widok z entuzjazmem pierwszego widza braci Lumiere. W końcu niechętnie odwrócił się od drzwi, przyłożył dłoń do piersi.

– Dziękuję, mistrzu. Zawsze... zawsze marzyłem o tym, żeby zobaczyć inne światy.

To napuszone zdanie zważyło nas z nóg. Ze sztucznymi uśmiechami na twarzy odprowadziliśmy chłopaka do jego drzwi, do Kingimu. Nawet mu pomachaliśmy.

A gdy zamknąłem drzwi, obaj nagle poczuliśmy straszliwą bezsilność.

Ja oparłem się o ścianę.

Kotia po prostu siadł na podłodze i zaczął wycierać okulary rękawem.

– I jak ci się widzi... ich świat? – zapytałem.

– Świat? Masoni! – powiedział twardo Kotia. – Światowy spisek! Potwory! Cholera ciężka, po co ja tu przyjeżdżałem?! – W jego głosie zabrzmiała autentyczna udręka.

– Coś ty?

– Co ja, co ja... Jesteś teraz strażnikiem między światami, tak? Łapiesz noże w locie, leczysz rany, zbierasz cło... Co ja tu robię? Jestem nikim, a imię moje nikt! I nawet nie mogę o tym opowiedzieć, bo przyjdzie do mnie funkcyjny i urwie mi głowę!

– Kotia...

Naprawdę czułem się głupio. Dostałem nie wiadomo przez kogo przygotowany los. A Kotia zapomniał, że byliśmy przyjaciółmi. I mimo wszystko czułem się winny.

– Wszystko mają nagrane, wszystko obstawione! – nakręcał się dalej Kotia. – Wszędzie sami swoi, i fryzjerzy, i fizylierzy! Prości ludzie miotają się jak ryby na piasku, a oni nie wiedzą, co z forszą robić!

To było niesamowite. Nigdy w życiu nie spotkałem się z klasową nienawiścią. Zresztą, między mną i Kotią nigdy nie było żadnej różnicy! Dopiero teraz pojąłem, co czuł drobny sklepikarz, gdy w październiku 1917 roku przyszedł do niego rewolucyjnie nastawiony marynarz.

– Kotia...

– Idź w cholerę! – zawołał Kotia, co dla niego było straszliwym przekleństwem. – Ładnieście się urządzili, mistrzowie-funkcyjni!

Ostatnie słowa wymówił z taką pogardą, z jaką oszalały antysemita mógłby wykrzyknąć: „Żydy parchate!”.

– Słuchaj, przecież ja się nie pchałem...

Ale Kotia już się obraził.

Wstał gwałtownie, wyjął zza pazuchy podręcznik historii, który mistrz Feliks odebrał swojemu dziecku, i rzucił na podłogę. A potem dumnie wyszedł, trzaskając drzwiami.

Wyszedł do Moskwy.

– Czy ja tego chciałem? – spytałem wieżę. Potarłem ramię, które przebił nóż. – Czy ja chciałem być funkcyjnym? Konspiratorów zabijać, albo cło zbierać?

W wieży panowała cisza. Nie miał mi kto odpowiedzieć. A urządzenie hysterii bez widzów nie ma sensu. Pochyliłem się, podniosłem książkę. Otworzyła się na początku i zobaczyłem mapę świata, w którym znajdował się Kimgim. Przez kilka sekund uśmiechałem się głupio. Może Kotia zobaczył tę mapę? Może dlatego trafił go szlag?

– Wy tu, a wy tam – wygłosiłem pradawną mądrość wojskową i z książką w ręku poszedłem na pierwsze piętro.

11.

Młody i zdrowy mężczyzna ma cały wachlarz możliwych przebudzeń. Najprzyjemniejsze, gdy całują cię w ucho i mówią: „Kochanie... dziękuję, to była niezapomniana noc...”. Co ciekawe, może to być również wariant najstraszniejszy, tylko wtedy czuły głos jest głosem męskim i ma kaukaski akcent.

Pomiędzy tymi skrajnościami występuje ogromne spektrum różnych pobudek. Jest tam: „Ta druga butelka to już była przesada, ale i tak to był udany wieczór”. Jest też: „Znaleźć skarpetki i słuwać, zanim się obudzi”. Jest również wariant dość egzotyczny: „Zasnąłem za kierownicą, panie doktorze?”.

Ale zazwyczaj pobudki są znacznie bardziej prozaiczne. Często młody mężczyzna budzi się z myślą: „Jak ja nienawidzę tej roboty!”. Szeroko rozpowszechniona jest również: „Czy ten dzieciak już nigdy nie przestanie wrzeszczeć?”. Albo: „Co za kretyn dzwoni do mnie w środku nocy?!”.

Mnie obudziło słońce, które świeciło prosto w okno. Światło było tak jasne, czyste i żywe, że od razu pomyślałem: to nie jest słońce dżdżystego, moskiewskiego nieba.

Otworzyłem oczy i przekonałem się, że przez noc pogoda się diametralnie zmieniła. W Kimgimie śnieg już nie padał, ale niebo nadal zasnuwały szare chmury. W Moskwie się przejaśniło: niebo było oślepiająco błękitne, aż przechodzące w biel, słońce cytrynowożółte jak na dziecięcym rysunku, a powietrze sprawiało wrażenie krystalicznie czystego i zimnego.

Przez kilka sekund leżałem, patrząc w otwarte okna. W głowie miałem kompletną pustkę, a ciało przepelnione energią. Chciało mi się biegać,

skakać... Wiele rzeczy mi się chciało. Nie miałem za to najmniejszej ochoty na poranną gimnastykę – bo gimnastyka nie była mi już potrzebna!

Jestem dzieckiem szczęścia! Mistrz-funkcyjny! Celnik! Sam jeden mogę rozprawić się z grupą bandytów, niestraszne są mi rany, a przede mną długa i na pewno szczęśliwa przyszłość!

Zerwałem się z łóżka, podskoczyłem i klepnąłem dłońmi o sufit. Oho! Prawie trzy metry!

– „Ranek maluje delikatną barwą mury pradawnego Kremla!” – zaśpiewałem fragment starej piosenki... i zamilkłem. Barwą czy światłem? A co za różnica! Najważniejsze, że wesołe słońce i czyste niebo jest, u nas, a nie w przytulnym Kingimie! U nich jakoś tak nie bardzo, za to u nas czasem tak, że ho, ho!

Otworzyłem okno i przechyliłem się przez parapet. Pewnie śmiesznie musi to wyglądać z Moskwy: w brudnej wieży na wysokości pierwszego piętra nagle otwiera się okno i wysuwa się z niego goły do pasa człowiek z zadowoloną, wyspaną gębą.

Ale nikt na mnie nie patrzył. Jechały samochody, huczał oddalający się pociąg podmiejski (chyba właśnie ten hałas mnie obudził). Ciepło ubrani ludzie śpieszyli na stację. No tak, przecież dzisiaj sobota. Pewnie postanowili wykorzystać ostatni ciepły jesienny dzień. No dobrze, nie ciepły, ale w każdym razie słoneczny. Ja sam w takie dni brałem Keszju, dzwoniłem do Anki i jechaliśmy do niej na daczę, starą i właśnie dlatego taką fajną.

Nagle zrobiło mi się przejmująco smutno. Nie z powodu Anki. Było, minęło, rozstaliśmy się i pożegnaliśmy, coś się po prostu nie ułożyło. Rozstaliśmy się po ludzku, za obopólną zgodą. Za wykasowanymi z mojego życia przyjaciółmi, a nawet za rodzicami też jakoś specjalnie nie tęskniłem. Z przyjaciółmi, teraz już byłem pewien, mógłbym zaprzyjaźnić się na nowo – z Kotią się przecież udało. A rodzice... Najważniejsze, że są żywi i zdrowi, że się o mnie nie martwią – przecież dla nich to tak, jakby mnie nigdy nie było.

Tęskniłem za... Keszju. Chciałem wziąć za uszy jego psi łeb i wytargać jak należy. A potem przytulić nos do nosa, podrapać go za uchem, pogłaskać po brzuszku.

Tfu! Gdybym opowiedział o tym Kotii, pewnie natchnąłbym go do stworzenia nowego arcydzieła. Na pewno siedzi teraz w domu i męczy się z powodu braku pomysłów.

A właściwie dlaczego nie miałbym zabrać Keszju? Dlatego że mnie zapomniał? To co, przywyknie na nowo! Dlatego że sąsiedzi wzięli go do siebie? Cześć im za to i chwała, jestem nawet gotów zapłacić im za psa. Ale muszę mieć z powrotem mojego Keszju!

Ta decyzja od razu poprawiła mi humor. Zamknąłem okno, wbiegłem po schodach na drugie piętro, wziąłem zimny prysznic (nie dlatego, że lubiłem, tylko dlatego, że woda nie chciała się nagrzać), potem zrobiłem sobie w kuchni kilka kanapek i zaparzyłem herbatę. Usiadłem na krześle, zacząłem jeść i zastanawiać się: zainstalować w wieży telewizor czy nie? Sam z siebie na pewno się nie pojawi, ale przecież można kupić. Czy potrzebuję w swoim nowym życiu pudełka do prania mózgu, czy nie?

Chyba jednak potrzebuję, żeby zupełnie nie oderwać się od życia kraju. Wszyscy oglądają, a ja co, mam być lepszy? Kto mi wtedy poradzi: „Jedz jogurt”, „Myj zęby”, „Idź do kina”?

Ukroiłem sobie jeszcze kawałek kiełbasy, nalałem herbaty, wstałem i przeszedłem się po kuchni. Pomacałem noże – ostre, obejrzałem garnki i talerze. Będę musiał nauczyć się gotować, bo na razie mam w repertuarze tylko dwie potrawy – smażone jajka i gotowaną kure. Można by pomyśleć, że czuję jakąś szczególną wrogość do tego nieszczęsnego ptaka i usiłuję zniszczyć go razem z potomstwem na wszystkie możliwe sposoby. Jeszcze przyjdzie kiedyś w gości funkcyjny Feliks i będzie mi głupio.

I wtedy dopiero uświadomiłem sobie, że od kilku minut nie daje mi spokoju delikatny dźwięk dobiegający zza ściany. Cichy szum, jakby obok pracował jakiś potężny mechanizm.

Nasłuchując, podszedłem do okna, do tego zamkniętego okiennicami, po lewej stronie od wychodzącego na Moskwę. Przyłożyłem ucho do zimnej metalowej okiennicy.

Coś mrucało, syczało, szumiało. Jakieś maszyny? Odkręciłem trzpień, przelotnie rejestrując, że moje palce trzymają śrubkę niczym szczypce, jednym ruchem otworzyłem okiennice na oścież.

Tutaj też było słońce, właśnie wstawało nad morzem, maleńki purpurowy brzeżek na wschodzie. Ciekawe, że jak się patrzy na słońce wystające zza morza, człowiekowi nigdy się nie pomyli, czy słońce wschodzi czy zachodzi.

Po prawej i lewej stronie ciągnęła się plaża; otworzyłem okno, wciągnąłem w płuca słony i zarazem słodki morski wiatr, wysunąłem się do pasa i rozejrzałem. Wieża stała na piaszczystym półwyspie niczym latarnia morska, albo forpoczta strzegąca przed potworami morskimi.

Ale czułem, że tutaj nie ma ośmiornic z Kingimu, a jeśli nawet są... U podnóża swojej funkcji rozerwę każdą ośmiornicę gołymi rękami.

Zbiegłem na dół i otworzyłem drzwi. Nogi grzęzły mi w piasku, kiedy obiegałem wieżę. Piaszczysta plaża, trzysta metrów za wieżą zielony brzeg. Żadnych śladów ludzi. Tylko szumiące, napływające na brzeg fale.

Musiałbym mieszkać gdzieś indziej niż w Moskwie i wyjeżdżać nad morze częściej niż raz do roku, żeby zachować się inaczej. Rozebrałem się do naga, pobiegłem na brzeg i wszedłem do wody. Była chłodna, jak zwykle o poranku, ale do wytrzymania. Kilka metrów szedłem, a gdy woda sięgnęła mi do pasa, zacząłem płynąć. Minutę później spróbowałem wymacać nogą dno, ale dna już nie było. Wisiałem teraz w tej cudownie chłodnej, słonej wodzie, delikatnie podgarniając ją rękami i patrząc na wstające słońce. Potem zawróciłem i popatrzyłem na brzeg, na swoją wieżę.

Nawet się nie zdziwiłem się, że w tym świecie wieża wygląda jak latarnia morska. Ściany z szarego kamienia i różowych muszli. Na samej górze zakratowany taras, słabo połyskujące lustro i reflektory. Ciekawe, jak się zapala światło? I czy powinienem pełnić rolę latarnika?

Pewnie tak.

Zanurzyłem się i popłynąłem do brzegu.

Nowy świat to dobra rzecz, ale stary przyjaciel jeszcze lepsza. Musiałem ratować Keszju.

* * *

Znów wziąłem prysznic – morska woda jest słona. Potem nie wytrzymałem i stanąłem przy oknie wychodzącym na morze.

Słońce wisiało już nad horyzontem. Od morza zaczęła wiać lekka, ciepła bryza.

Zawsze zazdrościłem ludziom, którzy mieszkają nad morzem.

A teraz miałem swoje własne, tuż za progiem. Piętnaście minut piechotą od metra Aleksiejewska.

Nie miałem czym zamknąć drzwi od zewnątrz, ale nie sądziłem, żeby to było potrzebne. Skoro wieża w ciągu jednej nocy wyhodowała całe piętro z kuchnią i łazienką, to pewnie będzie umiała nie wpuścić do środka bezdomnego. Naciągnąłem kaptur na wilgotne włosy (słońce słońcem, ale jesieni nikt nie odwoływał) i poszedłem do metra.

Pieniędzy miałem niewiele, a przecież chciałem uczciwie wykupić Keszju.

I wtedy przysłała mi do głowy niespodziewana myśl.

Zatrzymałem się i zacząłem łapać okazję. Minutę później obok mnie zahamował żiguli z mordziastym łysym kierowcą, podobnym do młodego aktora Morgunowa.

– Do Studienogo projezda – powiedziałem z szerokim uśmiechem.

– Ile?

– Pięćdziesiąt. – Uśmiechnąłem się jeszcze szerzej, choć niżej setki można było nie zaczynać rozmowy. – Myślę, że to wystarczy?

– Aż za dużo! – powiedział szczerze kierowca i przechylił się, otwierając mi drzwi. – Wsiadaj!

Jak widać, umiejętności celnika nie ograniczały się do znajomości rzadkich słów i umiejętności łapania noży w powietrzu. Kierowca mruczał coś pod nosem zadowolony, a ja odprężony patrzyłem na przemykające za oknem domy. Korków na szczęście nie było.

– Czytałem niedawno Henry'ego Millera – odezwał się niespodziewanie kierowca.

Wyglądał tak, że nie podejrzewałem go nawet o czytanie modnych Murakami i Coelho, szczerze mówiąc, co do Turgieniewa, Londona i Strugackich też miałem poważne wątpliwości.

– Co konkretnie? – spytałem. – *Zwrotnik Raka? Czy Zwrotnik Koziorożca?*

Kierowca spojrział na mnie zdumiony.

– No, no! A gdzieżeś ty czytał te książki?

- A tak się złożyło. - Aż się stropiłem. - W młodości, w bibliotece rodziców.

- Aa, jasne. - Kierowca się uspokoił. - Słuchaj, nie rozumiem ja tej wysokiej literatury! Czytam i czytam, no co to za porażka? Jak już wysoka literatura, to albo gównem jedzą, albo w tyłek się ładują! Jak tu się przemóc i czytać coś takiego?

- Niech się pan nie przemaga - poradziłem. - I czyta klasykę.

- Tiutczewa bardzo lubię - zwierzył się niespodziewanie kierowca, po czym zamilkł.

I tak dojechaliśmy do Studienogo - w milczeniu i rozmyślaniach o wysokiej literaturze. Poprosiłem kierowcę, żeby zatrzymał się w pewnej odległości od mojego byłego domu, i wręczyłem pięćdziesiąt rubli, które zostały bez sprzeciwu przyjęte.

Dziwne spotkania przebiegają czasem bez żadnych cudów.

* * *

Temu, kto nazwał tę ulicę Studienyj projezd, nie można odmówić ani poczucia humoru, ani zmysłu obserwacyjnego. Latem to całkiem sympatyczna ulica, za którą kończy się Moskwa, a zaczyna Rosja, ale jesienią i zimą jej nazwa staje się całkowicie usprawiedliwiona. Przechodzień od razu przypomina sobie historie o dziewczynkach z zapalkami i znacznie bardziej realne acz mniej rozdzierające kroniki kryminalne o alkoholikach, którzy położyli się w zaspie, żeby odpocząć.

Powoli obchodziłem swój blok, zastanawiając się, jak właściwie będę działał. Wykorzystam zdolności funkcyjnego? Otworzę drzwi kopniakiem, złapię swojego psa i ucieknę? I czy wystarczy mi zdolności? Do wieży jest dokładnie dziesięć kilometrów.

Dokładnie?

Tak, dokładnie. Plus minus pięćdziesiąt metrów. Wiem to na pewno. Zupełnie jakbym słyszał brzęczyk w słuchawce telefonicznej, którą za bardzo odsunie się od bazy.

No cóż, o rozrabianiu gdzieś na Praskiej nie ma mowy, tam stanę się zwykłym człowiekiem.

Ale tutaj chyba wystarczyłoby mi zdolności. Mógłbym wdrapać się po ścianie naszego ośmiopiętrowca do okien sąsiadów, mógłbym bez większego wysiłku wyważyć stalowe drzwi. Albo otworzyć porządne włoskie zamki spinaczem biurowym. To mieściło się w zestawie umiejętności celnika.

Ale ja nie chciałem ani kraść, ani rozrabiać. Zostało mi pięć tysięcy rubli. Przypadkowi właściciele mogliby za tę sumę sprzedać rasowego psa. Ale równie dobrze mogą nie sprzedać.

Kiedy wszedłem na swoje stare podwórko, problem rozwiązał się sam. Na placu zabaw, gdzie dzieci się nigdy nie bawiły, wśród smętnych betonowych grzybków i pogiętych starych huśtawek, córka sąsiadów wyszła z Keszju na spacer.

Idealna sytuacja! Podejść, huknąć na dziecko, zabrać psa. Rodzice nawet nie zgłoszą tego na milicję, zadowoleni, że dziewczynce nic się nie stało.

A dziewczynka... dziewczynka jaśniała ze szczęścia. Mocno ściskając smycz, zerkiała na boki – pragnęła widzów! Wychodziła na spacer z psem! Z prawdziwym psem! Swoim własnym! Pochwyciłem jej radosne spojrzenie (oczywiście mnie nie poznała) i zrozumiałem, że nie zdołam odebrać jej psa. No... chyba że Keszju sam rzuci mi się na spotkanie.

Nie rzucił się. Biegał po placu, wybierając co bardziej suche miejsca, wahał „listy” od sąsiadów, gdzieś tam zadzierał łapę, zostawiając odpowiedź.

Podszedłem, wyjąłem papierosa i zapaliłem. Keszju szczechnął radośnie i podszedł bliżej. Nigdy nie był agresywny i jeśli ocenił, że jego panu nie grozi niebezpieczeństwo, to gotów był przywitać się z przechodniami. Oczywiście, jeśli przechodzień mu się spodobał.

Opuściłem rękę i pozwoliłem, żeby zimny mokry nos wtulił się w moją dłoń. Koniuszkami palców podrapałem Keszju pod brodą. Pies popatrzył na mnie przyjaźnie, stanął na tylnych łapkach, przednimi brudząc mi dżinsy, i szczechnął na powitanie.

Dziewczynka uśmiechnęła się i powiedziała:

– Keszju wita się tak wyłącznie z dobrymi ludźmi!

– Keszju? Jakie niezwykle imię. – Poklepałem psa po głowie. – Ja też miałem... takiego samego psiaka.

Spodziewałem się, że dziewczynka stanie się czujna, w końcu ma psa zaledwie od dwóch dni.

– O, to super! – zawołała. – A pan ma psa czy sukę? Bo my psa. Tata mi go podarował, kiedy poszłam do pierwszej klasy. I powiedział, że jeśli będę się źle uczyć, to mi go zabierze!

No tak, obietnica w stylu Piotra Aleksiejewicza. Popatrzyłem uważnie na dziewczynkę. Nie kłamała!

– To ile on teraz ma? – zapytałem.

– Trzy i pół roku. Jest jeszcze młody! I na dwóch wystawach był czempionem!

A ja nigdy nie prowadziłem Keszju na wystawy. Ciągłe nie miałem czasu. Hodowca mówiła, że takiego psa należy wystawiać, ale...

– Widzę, że dobrze się uczysz – zauważyłem. – Skoro pies nadal jest z tobą.

Dziewczynka roześmiała się dźwięcznie.

– Oczywiście, mam same piątki! Ale tata tylko żartował! Niech pan nie myśli, że on to mówił na poważnie! Nikomu nie oddałby Keszju!

Zaciągnąłem się mocniej i zacząłem kasłać. Cholera. Co się dzieje? Okazuje się, że Keszju nie tylko nie należy do mnie, ale nawet u Natalii Iwanowej nigdy nie był! Gruboskórny alkoholik Piotr Aleksiejewicz podarował psa swojej córce... i coś się zmieniło w ich rodzinie. Zaszczuta, cicha trójkowa uczennica śmieje się wesoło, uczy na same piątki i mówi o ojcu z autentyczną miłością w głosie.

– Ty chuliganie – szepnąłem, przykucając i pozwalając, żeby Keszju polizał mnie po nosie. – To znaczy, że mnie nie pamiętasz? Ale jest ci dobrze? Na pewno? A im się dzięki tobie lepiej żyje?

Keszju oblizal mi twarz. Było mu dobrze. Kochał swoją małą panią i był absolutnie przekonany, że większość świata także jest warta miłości.

– Fajny pies – powiedziałem. – Uważaj na niego. Ja... widzisz... właśnie takiego straciłem.

Na twarzy dziewczynki odmalowało się zrozumienie tej strasznej sytuacji. Skinęła głową i powiedziała:

– Niedługo będziemy mieć szczeniaki. Jeśli pan chce, to proszę przyjść. Tylko, przepraszam, ale one są drogie...

– Zastanowię się – obiecałem. – A tak w ogóle to szukam tu znajomej. Nazywa się Natalia Iwanowa. Nie znasz jej może?

Dziewczynka zastanowiła się i pokręciła głową.

– Pamiętam tylko, że mieszka w tej okolicy – mówiłem dalej. – Na szóstym piętrze. Kiedyś ją tu odprowadzałem.

– My też mieszkamy na szóstym! – ożywiła się dziewczynka. – Ale u nas nie ma żadnej Natalii. Na piętrze są trzy mieszkania. W jednym mieszka ciocia Galina... – Dziewczynka zniżyła głos i dodała, wyraźnie powtarzając zasłyszaną opinię: – Straszna jędza. W drugiej ja, Keszju, mama i tata. A między nami w kawalerce w ogóle nikt nie mieszka. Widocznie właścicielom mieszkanie jest niepotrzebne! Tylko czemu nie wynajmą? Przecież można zarobić! A tak to ani sobie, ani nikomu. Tata mówi, że trzeba się zorientować, może dałoby się to mieszkanie im odebrać, skoro nie korzystają.

– Nie przypuszczam – powiedziałem w zadumie. – A o szczeniaku pomyślę, dziękuję bardzo.

Na pożegnanie znów poklepałem Keszju po karku. I poszedłem, nie odwracając się.

Do Kotii zadzwoniłem, dochodząc do metra.

– Tak? – zapytał podejrzliwie.

– Tak – przyznałem. – Właśnie. To ja.

Usłyszałem ciężkie westchnienie.

– Kotia, no przestań się wygłupiać – poprosiłem. – Muszę się poradzić.

– A ja muszę pracować! – odparł dumnie Kotia.

– A co, zarabiasz na urlop? – zapytałem podstępnie.

– Dlaczego by nie!

– Poczekaj, niech zgadnę, jak... „Kiedyś byłam wesołą, towarzyską dziewczyną, a potem zobaczyłam ją w telewizji...”.

– „Kiedyś byłam zwykłym petersburskim chłopcem o imieniu Alocha – powiedziała Mary z uśmiechem. – Zgaś papierosa, palenie szkodzi zdrowiu!”.

– No, w twoich tekstach pojawiły się społeczne akcenty!

– To dla gazety „Bądźmy zdrowi” – burknął Kotia. – Proszę, żeby zawsze wstawić coś o szkodliwości alkoholu czy nikotyny. Po co dzwonisz?

– Weź zgrzewkę piwa i przyjedź – poprosiłem. – Tylko żeby piwo było zimne. I jakieś chipsy, orzeszki.

Przez chwilę Kotia przetrwał informację, w końcu powiedział:

– Ciepłe piwo byłoby problemem, ale zimne... A co? Trzecie drzwi się otworzyły? Dokąd?

– Do lata – powiedziałem i się wyłączyłem.

* * *

Rozsądne myśli zwykle podkradają się niespodziewanie.

– Gdybyś umiał myśleć systemowo – oznajmił Kotia, przekręcając się z pleców na brzuch – to poprosiłbyś, żebym wziął krem z filtrem UV.

Rzeczywiście, słońce zaczęło niezłe przypiekać.

– Gdybyś nie był taki leniwy – odparłem – poleciałbyś teraz po krem. Ja załatwiłem lato, o całą resztę martw się ty.

– I gdzie ja ci teraz kupię krem? – zapytał rozleniwionym głosem Kotia. – Musiałbym albo w domu szukać, albo w supermarketach z kosmetykami w rodzaju „Twerska-Full Wypas”. Daj no browar.

Podąłem mu butelkę piwa „Obołoń” i zapytałem:

– Słuchaj, czemu ciągle kupujesz to piwo?

– Bo mi się podoba ich kampania reklamowa. – Kotia się uśmiechnął. – Wyobraź sobie, oni proponują, żeby pisarze fantastyki wspomnieli w swoich książkach o piwie „Obołoń”.

– No i co?

– Jeśli dziesięć razy z rzędu autor wymieni słowo „Obołoń”, to dostaje premię. Czujesz?

– Tak po prostu? – zachwyciłem się. – „Obołoń”, „Obołoń”, „Obołoń” i już?

– Dziesięć razy z rzędu „Obołoń” – podkreślił Kotia. – Nic mniej.

– A co to w ogóle znaczy to „Obołoń”? – zapytałem.

– Bagnisty brzeg rzeki.

– Poważnie? Czyli „Obołoń” to piwo z wody bagiennej?

– Ale przecież smaczne!

Nie spierałem się. Nad takim morzem, pod takim słońcem i w dodatku w listopadzie smakowałyby mi każde piwo.

– Dziwne to wszystko – odezwał się. – Widzisz... Spodziewałem się, że Keszju będzie tęsknił za Natalią. Że ja go zabiorę. Zapłaciłbym oczywiście! A tu się okazuje, że dziewczynka ma go od trzech lat. Bez sensu...

– Właśnie z sensem – prychnął Kotia. – Ciągłe nie kapujesz?

– Czego?

– Ani Róża, ani Feliks nie wspominali o żadnych dziwnych osobach, które zajęły ich miejsce. Powinieneś po prostu sam wypaść z życia.

– No?

– A ciebie wyrzucili. Zamienili.

Ciągłe nie mogłem zrozumieć.

– Jak to „zamienili”?

– A co, ona sama nadziała się na nóż, tak? – zapytał spokojnie Kotia. – Nachyliła się i hopla! Wszedł jak w masło? I już mamy zbroczonego krwią trupa, syreny wyją, ty uciekasz...

– Cholera...

Wreszcie do mnie dotarło.

Zerwałem się, wściekły kopnąłem piasek.

– Cholera! Cholera! Cholera!

– Zrozumiałeś? – Kotia odwrócił głowę i popatrzył na mnie oślepiiony słońcem. – Ta twoja Natalia to taki sam funkcyjny jak i ty. Z jakiegoś powodu postępowaleś nie tak, jak oni by chcieli. Przewidzieli to i zawczasu przygotowali ci bodziec – bezczelną nieprzyjemną kobietę. Przecież ta Iwanowa to taki typ kobiety, którego najbardziej nie lubisz, prawda? Nie zwykła obca baba, ale wstrętne obca baba. Tak?

Wzruszyłem ramionami.

– Z tobą to nie było takie proste jak z pokojówką czy restauratorem – mówił dalej Kotia. – Uniosłem się wczoraj... przepraszam. Ale strasznie mnie ta mapa wkurzyła. No więc, z tobą to wszystko nie jest takie proste, Kirył. Nie

jesteś zwykłym celnikiem, jakich tu mają na pęczki. Jest w tobie coś szczególnego. Tylko nie zrozumiałem jeszcze, co to takiego.

– A próbowałeś? – zapytałem ponuro.

– Tak. Pół nocy kombinowałem. – Kotia usiadł na piasku i popatrzył na mnie surowo. – Posłuchaj, Kirył. Pewnie rzeczywiście byliśmy dobrymi przyjaciółmi...

Speszyłem się, jak zawsze, gdy zaczyna się mówić z przyjaciółmi o przyjaźni. To tylko z kumplami łatwo wychodzi.

– Morze w centrum Moskwy, cały ten twój Kymgym...

– Kimgim!

– Co za różnica. To wszystko jest naprawdę super. Przyjaźń z tobą jest i przyjemna i wygodna. – Kotia uśmiechnął się krzywo, ale od razu poważnie dokończył: – Tylko że ty nie należysz do szeregowych masonów... to znaczy, funkcyjnych. Z tobą wiąże się jakieś nieszczęście... i kiedyś nie zdążysz przechwycić wszystkich noży. Czuję, że to wszystko źle się dla mnie skończy. Dziś rano siadłem, żeby napisać kolejną chałturkę, i myślę: jeśli Kirył nie zadzwoni do obiadu, to wyłączam telefony i będę sobie wmawiał, że to wszystko mi się przyśniło. Ale zdażyłeś. Draniu.

Popatrzyłem na niego stropiony. Kotia miał rację. Wciągałem go w jakieś przygody, niby ciekawe, a jednocześnie śmiertelnie niebezpieczne. A przy tym ja sam miałem asy w rękawie – zdolności funkcyjnego.

– Kotia...

– Dobra tam, do diabła z tą liryką. – Kotia machnął ręką. – A morze zajebiste... i piwo zimne... Ekologia taka, że tylko zabić się bumerangiem! Za to nawet umrzeć można... Przeczytałeś ten kimgimski podręcznik?

– Przejrzałem.

– I co cię tam zdumiało?

– Brak państw.

– Otóż to! – Kotia pogroził mi palcem. – Miasto Kimgim zamiast Kaliningradu, proszę bardzo. Miasto Zachrtan na miejscu Petersburga, nie ma sprawy. Nie mają szczęścia do fonetyki... Ale jeśli w całym ich świecie nie ma ani jednego państwa, tylko miasta i ziemia niczyja... To co otrzymujemy?

– Feudalizm? – zasugerowałem.

– Jaki znowu feudalizm! – Kotia się skrzywił. – Feudalizm to wojny, walka o władzę, intrygi. Nie, nie chodzi o to, że mam coś przeciwko temu, że na całym świecie nie ma ani jednej wojny – wprost przeciwnie, jestem obiema rękami za! Tylko że to tak samo z siebie jest niemożliwe. To mi wygląda na sztuczny świat.

– Kotia, mamy za mało danych.

– Mamy wystarczająco dużo danych. – Kotia wstał z piasku i potrząsnął chudą ręką. – Wszystko wyraźnie widać! Nawet punkt bifurkacji w miarę dokładnie obliczyłem.

W tym momencie od strony wieży dobiegło stukanie. Odwróciliśmy się jednocześnie.

– Niech sobie stukają – powiedziałem. – Czy celnik nie ma prawa odpocząć?

– A nie zapomniałeś, że dziś miała cię odwiedzić komisja?

Zacząłem się szybko ubierać.

Kotia też się ubrał, zastanawiając się po drodze:

– Czy ja właściwie mam prawo u ciebie przebywać? Może powinienem się gdzieś tu schować?

– Zakop się w zaspie w Kingimie! – odciąłem się. – Mam przecież prawo zapraszać gości... Chyba...

– Kirył, ty teraz ze wszystkich sił udawaj głupiego – powiedział Kotia. – Dobrze ci to wychodzi. Ci, którzy tu przyjdą, nie będą głupcami.

12.

Tak się jakoś złożyło, że nigdy nie miałem okazji składać sprawozdania przed komisją. W szkole byłem z jednej strony zbyt zdolny, z drugiej zbyt leniwy, żeby się bać jakiegś tam „komisji z miejskiego wydziału oświatowego”. Studiowałem w tych latach, gdy żadnych komisji po prostu nie było, a w kraju panowała absolutna anarchia. A gdy pracowałem w „Bicie i Bajcie”... A co tu sprawdzać? Czy nie gwizdnąłem nowej karty graficznej do swojego domowego komputera?

Nie, nie gwizdnąłem, wziąłem do przetestowania i za miesiąc oddam, właśnie zdąży się zestarzyć, a jak wam się coś nie podoba, to się zwalniam i przechodzę do „Mikroukładu”, gdzie płacą półtora tysiąca więcej!

Mimo to teraz strach sunął zimnym potem między moimi łopatkami. Cóż począć! Niewychłostane pokolenie do dziś leży w poprzek ławy i czeka, kiedy zetną dla niego różgę.

Strząsając piasek z koszuli, podszedłem do drzwi. Przelotnie pomyślałem, że trzeba by położyć przed drzwiami jakąś szmatę... albo takie specjalne zielone wycieraczki, jak trawa z plastiku.

Do moskiewskich drzwi znów ktoś zastukał.

Kotia, usiłując przybrać skupiony wyraz twarzy (w czym przeszkadzały mu dwie butelki ukraińskiego piwa), stanął obok schodów.

Otworzyłem drzwi... i ujrzałem trzy znajome twarze.

Na przedzie stał znany komik, gwiazda ekranu. Uśmiech miał przeklejonny tak mocno, że pewnie musiał porządnie napinać mięśnie, żeby przestać się uśmiechać.

Obok niego znany deputowany o patriotyczno-opozycyjnych poglądach. On też się uśmiechał, ale jemu wychodziło to znacznie lepiej. Patrząc na jego serdeczny uśmiech, aż chciało się wstąpić z nim do jednej partii i ramię w ramię troszczyć się o naród.

Ale ci dwaj to jeszcze nic, przecież właśnie czegoś podobnego się spodziewałem.

Trzecią osobą była Natalia Iwanowa.

Cała i zdrowa, skinęła mi uprzejmie głową. Tylko jej spojrzenie – czujne i baczne – nie pasowało do powitalnego uśmiechu.

W duchu podziękowałem Kotii, że w samą porę podzielił się ze mną swoim domysłem.

– Cześć, Natasza – powiedziałem, pochyliłem się i cmoknąłem ją w policzek. – Cieszę się, że cię widzę w dobrym zdrowiu.

Do polityka wyciągnąłem rękę, wymieniliśmy mocny uścisk dłoni. Komika, jeśli mam być szczery, miałem ochotę grzmotnąć nadmuchiwany młotem albo cisnąć mu w twarz kremowy tort. Ale ograniczyłem się do skinienia głową i maksymalnie serdecznego uśmiechu.

Natalia przyglądała mi się uważnie. W jej oczach coś się topiło, przerabiało, przełączało, na pierwszy plan wysuwała się serdeczność i aprobata – zobaczyłem nawet wesołe zmarszczki w kącikach jej oczu (choć zwykle takie zmarszczki pojawiają się u wytrawnych kanalii w wieku trzydziestu, trzydziestu pięciu lat). A napięcie chowało się, wycofywało z jej oczu, zajmując pozycję gdzieś w okolicy duszy.

Ale ze mnie idiota!

Przecież dopiero co Kotia mi radził: udawaj głupiego! A ja już wykazałem się nadmierną bystrością – nie zdziwiłem się, że Natalia żyje.

– Nie masz do mnie żalu, Kirył? – Natalia również pochyliła się w moją stronę, dotknęła mojego policzka suchymi, gorącymi wargami. Od jej powitania powiało chłodem.

– No coś ty! – zmuszając się do śmiechu, skinąłem komikowi głową, jakbym zachęcał go do podzielenia mojej wesołości. – Co ja, głupi jestem? Kto by odmówił czegoś takiego! I przecież gdybyś mi wszystko wyjaśniła, to ja...

– Nigdy niczego nie wolno wyjaśniać. – Natalia zredukowała swoją fałszywą serdeczność. – Możemy wejść?

– Oczywiście. – Cofnąłem się z przejścia, przelotnie zauważając zaparkowane nieopodal samochody i kilku barczystych ludzi otaczających wieżę. Polityk, Natalia i komik weszli i zatrzymali się na widok Kotii. – Odwiedził mnie przyjaciel... Pomyśleliśmy, że się napijemy piwa...

Natalia popatrzyła uważnie na Kotię. Mój przyjaciel stanął niemalże na baczność i wypalił:

– Czagin, Konstanty Igoriewicz! Dwadzieścia pięć lat! Zwolniony z wojska z powodów zdrowotnych! Dziennikarz!

– Jaki znowu dziennikarz? – zapytała z pogardą Natalia.

– Sensacjonista!

– To u ciebie Kirył nocował?

– Tak jest – przyznał ochoczo Kotia. – Tylko ja nie pamiętam, wszystko zapomniałem, a potem poznaliśmy się na nowo. Proszę nie myśleć, że ja tu jestem służbowo. Wyłącznie po przyjacielsku! Nie chciałbym, żeby Kiriucha miał kłopoty.

– Uważaj, żebyś ty nie miał kłopotów. – Natalia najwyraźniej podjęła jakąś decyzję dotyczącą Kotii. – Oczywiście, możecie się przyjaźnić. Przyjaźń to ważna rzecz.

– Stary przyjaciel nie zepsuje bruzdy – powiedział ochryple komik i zerknął z nadzieją na Natalię, potem na polityka.

Natalia go zignorowała, polityk skrzywił się i rzekł:

– Żenia, nie jesteś w pracy...

– Zdawało mi się, że to zabawne! – powiedział humorysta wyzywająco i wzruszył ramionami. – Każdemu się może zdarzyć!

– Lepiej poznajmy się z młodym człowiekiem – rzucił pojednawczo polityk.

– Bo już widzę, co on o nas myśli... Komisja, inspekcja... jak ja nienawidzę biurokracji!

– Ja was znam... z widzenia – mruknąłem. – Pan...

– Po prostu Dima. – Polityk rozłożył ręce. – Żadnych ceremonii, sami swoi! Kirył, Żenia, Dima... e... Kotia, Natasza. Urządzasz się, Kirył?

– Powolutku – powiedziałem. Usiłując nie patrzeć na Nataszę i robiąc speszoną minę, zagałem: – Z pieniędzmi trochę cienko. Mieszkanie wprawdzie jest, ale trzeba przecież coś jeść. No i telewizor by się przydał, żeby nie oderwać się od życia w kraju.

Polityk skinął głową i popatrzył na Natalię; ta stała na schodach, uważnie oglądając pierwsze piętro wieży.

– Natasza... – odezwał się. – Nie macie zwyczaju wypłacania zwrotu kosztów za przeprowadzkę? Zanim człowiek przystąpi do pracy...

Dziwne stosunki panowały w tej trójce. Komika od razu zaklasyfikowałem jako osobnika nieszkodliwego i wziętego „dla towarzystwa”, ale kto był tutaj główny, Natalia czy Dima, nie mogłem zrozumieć.

– Zaraz dam. – Natalia skinęła głową. – Kirył, drugie piętro się otworzyło?

– Kuchnia i łazienka.

– Doskonale. – Natalia podeszła do mnie. Patrząc mi prosto w oczy, po omacku wyjęła z torebki grubą paczkę błękitnych banknotów. – Setka ci wystarczy?

Kotia klasnął językiem i szepnął:

– To spory metraż...

– Chłopaki, nie bądźcie bezczelni. – Natalia uśmiechnęła się i włożyła mi pieniądze w rękę. – Jakie drzwi się otworzyły?

– Do Kingimu – powiedziałem. – Jako pierwsze. A dzisiaj rano... O, te.

Rzecz jasna drzwi interesowały ich znacznie bardziej niż moja osoba. Kilka chwil później cała trójka dreptała już po piasku. Na ich twarzach malowało się zadowolenie. Komik nawet pobiegł do wody, zamoczył dłonie i wrócił, głośno, z teatralną intonacją deklamując:

*Zima! A chłopci już triumfują,
A ja na Malcie, mnie po chu...*

Natalia westchnęła, lecz nic nie powiedziała. Polityk rozluźnił węzeł krawatu. Zdjął białą marynarkę i przerzucił przez rękę.

– Lubię morze – powiedział. – Wspaniale, Kirył. Do tej pory w Moskwie było tylko jedno wyjście nad morze. W Kapotni, masz pojęcie?

– A ile jest wszystkich wież w Moskwie?

– To nie zawsze są wieże, w Kapotni jest piwnica. Siedemnaście przejść celnych.

Zerknąłem na komika – obchodził wieżę dookoła, dotykał ścian, nawet je kopał, jakby sprawdzając wytrzymałość.

– To rzeczywiście Malta? – spytał w końcu.

– To bardzo daleko od naszej Ziemi – wyjaśnił spokojnie polityk. – Nie w kilometrach, po wachlarzu. To nie Kingim, tutaj są zupełnie inne kontynenty. I nie ma ludzi.

– Kurort.

– Właśnie. Będiesz się cieszył popularnością, Kirył.

– Nie pomyliliśmy się co do ciebie – przyznała Natalia. – No cóż, Kiryle. Gratuluję. To dobre drzwi. Zresztą, już to zrozumiałeś.

Podążyłem za jej spojrzeniem i zobaczyłem zostawione na piasku dwie butelki piwa i torebkę orzeszków. I nie tylko ja. Polityk podszedł do miejsca pikniku, podniósł dwie butelki, otworzył jedną o drugą i napił się.

Kupiło ich to morze. Rozluźniło. Widocznie bardzo chcieli mieć do tego świata jeszcze jedno wejście.

– Od czego zależy, dokąd otwierają się drzwi? – zapytałem.

– Od celnika – wyjaśniła Natalia po chwili wahania. – Otwierasz drzwi do tych światów, które są ci najbardziej bliskie.

– A ile jest wszystkich światów? – zapytał stojący z tyłu Kotia.

Tym razem Natalia wahała się dłużej, ale jednak odpowiedziała:

– My znamy dwadzieścia trzy. Te, do których przejścia otwierają się stale... choć niemal połowa tych światów nie jest nikomu potrzebna. Krażą plotki o światach, do których przejścia otwierały się nieregularnie. Być może to tylko plotki. Niektóre światy są spotykane częściej, inne rzadziej.

– Kingim często, tak? – domyśliłem się.

– To popularny świat – przyznała Natalia. – Nawet wykorzystuje się go w charakterze „międzylądowania”, żeby dostać się do rzadszego świata. Dobrze, skoro już zaczęły się pytania, pytaj dalej. Odpowiem.

– Kim jesteś, Natalio?

– Funkcyjną.

– Tego się domyśliłem. A dokładniej?

– Akuszerką. – Najwyraźniej odpowiedź została zawczasu przygotowana. Posłusznie zrobiłem zdziwioną minę i doczekałem się wyjaśnień: – Akuszerka ginekolog. Szukam przyszłych funkcyjnych i pomagam im się przejawić.

– Wczoraj wieczorem spacerowałem trochę po Kingimie i tam poznałem dwoje funkcyjnych – rzuciłem niedbale. Zarejestrowałem, że ta wiadomość ich zaskoczyła. Natalia zachowała kamienną twarz, polityk nieco zmrużył lewe oko, komik zdziwił się otwarcie. – Wprowadzili mnie w temat, ale o akuszerkach nie wspominali.

– Zwykle są normalne porody, ale zdarzają się też z komplikacjami – wyjaśniła Natalia. – W twoim przypadku było... bardzo źle. Chodź, Kirył, to już rozmowa... tylko dla funkcyjnych.

Wzięła mnie łagodnie za rękę i poprowadziła w stronę morza. Kotia został, zresztą nie tylko on, polityk i komik również za nami nie poszli. Wychodzi na to, że są zwykłymi ludźmi?

– To tylko ludzie – powiedziała półgłosem Natalia. – Nie muszą znać... takich szczegółów. Drugi raz mnie zadziwiasz, Kirylo.

– Pierwszy raz wtedy, gdy przyszedłem z nożem?

– Tak. To zupełnie nie pasowało do twojego charakteru. A teraz zdumiewająco szybko się oswoiłeś. Nie doceniłam cię. No dobrze, spróbujemy określić się raz na zawsze. Między nami jest pokój?

– A jeśli nie? – zapytałem.

Natalia wzruszyła ramionami.

– To twoje terytorium. Tutaj możesz załatwić mnie jednym palcem. Ale potem...

Skinałem głową.

– Jasne. Przyjdzie funkcyjny policjant. Natalio, jedno pytanie. Dlaczego właśnie ja stałem się celnikiem? Czy to na skutek jakichś wrodzonych cech?

– Nie – odparła niechętnie Natalia. – Chyba nie. Nie znam mechanizmów i nie chcę ich znać.

– Przecież jesteś akuszerką.

– No to co? Otrzymuję informację, że ktoś stanie się funkcyjnym. Obserwuję go. Zwykle człowiek jest usuwany z rzeczywistości szybko

i bezboleśnie. W jego mieszkaniu pojawia się ktoś inny, jego miejsce pracy zostaje zajęte. A czasem wszystko się komplikuje. Twoje mieszkanie się zmieniło, ale na twoim miejscu nikt się nie pojawił. W twojej pracy powstał wakat...

Przypomniałem sobie szefa, który ochoczo zaproponował mi pracę w „Bit i bajt”, i niechętnie skinąłem głową.

– Zapominali o tobie zbyt wolno – mówiła dalej Natalia. – Trzeba cię było podmienić. Zająć twoje miejsce i mocniej nacisnąć. Z uporem czepiałeś się świata.

– A może to świat czepiał się mnie? – mruknąłem. – Jasne...

– Cała moja wina polegała na tym – Natalia westchnęła – że odrobinę cię popchnęłam. Przyspieszyłam twoją przemianę w funkcyjnego. To taka stymulacja... Żebyś przestał chcieć być sobą. Każdy inny funkcyjny na moim miejscu postąpiłby tak samo. No więc?

Przechyliła głowę, zajrzała mi w twarz. W kącikach jej oczu znów zobaczyłem rozchodzące się promieniście zmarszczki.

Zrozumiałem, że wcale nie jest taka młoda. Funkcyjni chyba w ogóle się nie starzeją, konserwują się w swoim ludzkim wieku. A Natalia nie została funkcyjną w wieku dwudziestu kilku lat.

– Jesteś dobrą kobietą – powiedziałem.

– Cóż począć. Trochę mnie zdenerwowałeś, Kiryń. Całą dobę się trzymałeś. – Fałszywa serdeczność zaczęła powoli znikać z jej oczu. Jej miejsce, chwała Bogu, zajęła obojętność. Natalia doszła do wniosku, że nie jestem niebezpieczny.

– Ale po co było mnie straszyć? Gdybyś mi od razu wszystko opowiedziała...

– O, dopiero wtedy wszystko bym zepsuła – prychnęła Natalia. – Nie ucz funkcyjnego pełnić funkcji jego.

– Przysłowie?

– Tak jakby. To co, pokój?

– Pokój. – Uśmiechnąłem się i uścisnąłem jej rękę. – Wprawdzie dałaś mi w kość...

– Za to jaka zapłata! – Natalia wskazała głową pas przyboju, podpływający aż do naszych nóg. – Słuchaj dalej. Oni – zerknęła na polityka i komika – nie są funkcyjnymi. Mogą korzystać z naszych umiejętności, chodzić ze świata do świata, pięknie się strzyc i smacznie jeść. Leczyć się i uczyć. Ale specjalnie im się nie zwierzają. Jesteś funkcyjnym, pełniącym swoją funkcję, a oni jedynie przechodzą. Ściągaj z nich cło, gdy jest za co. Bądź uprzejmy, ale surowy. Za to swoich, funkcyjnych, celnicy zwyczajowo przepuszczają bez zbędnych ceregieli... Jeśli tylko nie dzieje się coś sprzecznego z prawem.

– W rodzaju przenoszenia zabronionych towarów?

Natalia skinęła głową.

– Właśnie. No, to już chyba wszystko. Chodźmy...

– Zaczekaj. Mam jeszcze kilka pytań.

– No? – Natalia spojrzała na mnie wyczekująco.

– Skąd ludzie wiedzą o funkcyjnych? Kto otrzymuje prawo korzystania z naszych... funkcji?

– Kiryle, potrzebujesz pieniędzy, prawda? – Natalia zmrużyła oczy. – Przedmiotów bardziej skomplikowanych niż rondel i taboret? Bezpieczeństwa?

– Owszem – przyznałem i zerknąłem na dwóch pozostałych członków inspekcji. – I jeszcze humoru, tak?

– Nie wszystko na świecie mierzy się pieniędzmi. Przecież zwierzyłeś się przyjacielowi?

Odpowiedź miała zabrzmieć tak surowo i zaskakująco, że nie wiedziałem co odpowiedzieć. Natalia uśmiechnęła się zwycięsko.

– W takim razie ostatnie pytanie. Kto wśród nas jest najważniejszy?

– Ciągle żyjesz w jakimś strasznym świecie. – Natalia pokręciła głową. – W którym najważniejsze są pieniądze, władza, stanowisko. W świecie chciwych dzieci. Wyluzuj! Wszedłeś już poza te ramki. Tu nie ma najważniejszych, wszyscy jesteśmy sobie równi. Pełnij uczciwie swoją funkcję, a wszystko będzie dobrze.

Natalia odwróciła się i ruszyła w stronę wieży. Po chwili przystanąła i popatrzyła na mnie.

– Chodźmy. Jestem za tym, żeby uznać twoje przystąpienie do wypełniania funkcji. A twój przyjaciel... No cóż, mogą nam się przydać bystrzy dziennikarze.

* * *

Siedzieli w wieży jeszcze pół godziny. Gdy Natalia oznajmiła, że jest ze mnie zadowolona, od razu zrobiło się przyjemniej. Przeszliśmy do kuchni, ale przedtem polityk wyjrzał przez drzwi, zawołał ochroniarza i ten przyniósł mu butelkę szampana. Prawdziwego, francuskiego, odpowiednio schłodzonego, ale nie lodowatego. „Prosto z zamrażarki! Patrz, sople pływają, nieźle chłodzi, co?”. Zresztą, słodkie sowieckie szampanskoje, kupazowe wino nabuzowane dwutlenkiem węgla można pić wyłącznie lodowate, raz do roku w noc sylwestrową.

Znalazłem jakieś kieliszki w tym zestawie, który pojawił się razem z drugim piętrem. Komik oznajmił, że „na Rusi życie oznacza picie”, i wypiliśmy po łyku szampana.

Potem dostałem wizytówki od Dimy i Żeni. Natalia nie zostawiła mi żadnych swoich namiarów, ale obiecała, że od czasu do czasu będziemy się widywać. I poradziła kupić z dziesięć wizytowników – w ciągu najbliższego miesiąca przez moją wieżę przejdzie pewnie setka znanych osób.

Gdy już odprowadzałem komisję, komik dobił mnie ostatecznie – palnął się w czoło i wołając: „Głowo moja siwa, głowo moja siwa!”, pomknął do samochodu. Długo grzebał w bagażniku, w końcu wrócił z pomiętym egzemplarzem swojej prozy humorystycznej i zaczął wypisywać autograf. Natalia nie czekała, aż skończy, pomachała mi rękę i ruszyła piechotą w stronę metra. Pewnie śpieszyła się na bazar Czerkizowski, żeby handlować chińskimi butami... Za to polityk uprzejmie zaczekał, aż komik skończy swoje epistolarnie poczynania, wymownym grymasem dając mi do zrozumienia, że to nieuniknione.

Dopiero gdy odjechały ostatnie samochody, do których wcisnęli się nudzący się obok wieży ochroniarze (ciekawe, swoją drogą, co myśleli

o kapryсах zwierzchnictwa?), zamknąłem drzwi i spojrzałem pytająco na Kotię.

– Całkiem nieźle – oznajmił bardzo poważnie Kotia. – Świetnie udawałeś głupka, szczególnie na początku: „Cieszę się, że cię widzę w dobrym zdrowiu...”.

– No przecież właśnie tutaj się wygadałem – zacząłem i urwałem.

– Wręcz przeciwnie! – oburzył się Kotia. – Czy naprawdę mógłbyś pomyśleć, że Natalia nie żyje? Gdybyś się na jej widok przestraszył albo zdziwił, to by dopiero było podejrzane. Nie, wszystko wypadło dobrze, zachowywałeś się jak trzeba.

– A ty też jesteś dobry! – nie wytrzymałem. – Dziennikarz sensacjonista!

– No co? Brzmi nieźle. – Kotia dumnie wypiął pierś. – Nie mam zamiaru do końca życia pisać historii o tym, jak nielubiana teściowa stała się ukochaną żoną. Natrafię na jakąś sensację...

Pokiwałem głową.

– Właśnie. Już natrafiłeś. I co, gdzie twoje artykuły sensacyjne? Mam nawet zdjęcia, mógłbyś wykorzystać.

Kotia westchnął ciężko, potarł czoło.

– Nawet na piwo nie mam już ochoty. Powiedz mi, czy cały nasz rząd to funkcyjni?

Pokręciłem głową.

– Myślisz, że dlaczego Natalia wzięła mnie na bok? Niektórzy ludzie o nas wiedzą i korzystają z naszych usług. Niekoniecznie politycy.

Kotia się wzdrygnął.

– Owszem. Jeszcze komicy.

– Co chcesz, człowiek się stara – powiedziałem dyplomatycznie, chowając książkę za plecami. Nie wypadało obgadywać człowieka, od którego przed chwilą dostałem książkę z autografem.

– Wiesz, jakie odniosłem wrażenie? – ożywił się Kotia. – Że ta twoja Natalia to też pionek.

– Też?

– Strasznie jest ważna – mówił dalej Kotia, ignorując moje pytanie. – Rządzi się i nadyma.

Jego rozmyślania przerwało pukanie do drzwi, tym razem od strony Kingimu.

– Zaczynasz się cieszyć popularnością – ożywił się Kotia. – Faktycznie zastanów się nad tabliczką z godzinami pracy.

Podszedłem do drzwi. Kotia znów stanął przy schodach (podejrzewałem, że ten punkt pociąga go możliwością szybkiego odwrotu po trasie piętro-okno-Moskwa). Chociaż... szczerze mówiąc, na jego miejscu, nie posiadając zdolności celnika, też bym się asekurował.

Drzwi się otworzyły, wpuszczając zimne powietrze...

...oraz młodziutką czarnowłosą dziewczynę o skośnych oczach.

– Proszę o przejście! – zawołała dziewczyna, nim moja pięść uderzyła ją w skroń. Zdażyłem wyhamować rękę.

Z boku wyglądało to tak, jakbym szybkim ruchem pogładził ją po głowie.

Nie miała już na sobie czarnego kombinezonu. Spódnica, trochę przydługa, ale u nas też takie noszą, coś w rodzaju krótkiego kożuszka, brązowy beret.

Dziewczyna jak dziewczyna. W metrze nikt nie zwróciłby na nią uwagi – ani na ubranie, ani na typ urody.

– Dokąd chcesz przejść? – zapytałem.

– A dokąd jest przejście? – Popatrzyła za siebie. Albo nie chciała spotkać się ze mną wzrokiem, albo sprawdzała, kto się za nią pojawi.

– Do Moskwy. I gdzieś na brzeg morza, tam nie ma ludzi.

– Morze. – Dziewczyna weszła, odsuwając mnie. Zamknęła drzwi i przesunęła zasuwę. Popatrzyła na Kotię, dumnie uniosła głowę i w końcu spojrzała mi w oczy.

Była śmiertelnie przerażona. Znajdowała się już w tym stanie, gdy znika panika, a pozostaje jedynie martwy spokój.

– Cło! – zawołałem. – Masz na psie noże do rzucania. Biała broń o długości mniejszej niż łokieć podlega opłacie.

Jednym ruchem dziewczyna wywróciła kieszeń kożuszka. Na podłogę wypadła garść monet, chyba srebrnych.

Nie chciała być niegrzeczna. Po prostu bardzo się śpieszyła.

– Wystarczy. – Skinąłem głową. Mogłem nie liczyć, wiedziałem, że zapłaciła z naddatkiem i że nie ma ze sobą nic więcej podlegającego ocłeniu.

– Idź. Tamte drzwi.

– Powinieneś otworzyć – powiedziała dziewczyna i oblizała wargi. – Śpieszę się.

Otworzyłem – ciekawe, czy jej by się nie udało? – i malowniczym gestem wskazałem plażę. Dziewczyna prześliznęła się obok mnie i od razu zdjęła kożuszek, zostając w czarnym sweterku.

– Poczekaj! – zawołałem. – Powiedz, po co napadliście hotel?

Podskakując na jednej nodze, dziewczyna zdejmowała but.

– Potrzebowaliśmy mistrza.

– Jakiego?

– Dowolnego. – W ślad za butami poleciały na piasek wełniane skarpety. To już zaczynało przypominać striptiz.

– Po co?

Dziewczyna wyjęła z pochwy kindżał, podciągnęła spódnicę i szybkimi ruchami zaczęła obcinać kieckę na wysokości kolan.

– Był taki jeden pomysł... – odpowiedziała mętnie. Nagle odwróciła się do mnie i ze szczerą nienawiścią wykrzyknęła: – Jak ja was wszystkich nienawidzę!

– I mimo to prosisz mnie o pomoc?

– Nie o pomoc! O przejście.

Przez chwilę trzymała nóż w ręku, jakby się zastanawiając, czy we mnie nim rzucić, czy nie. Ale rozsądek zwyciężył, nóż wrócił do pochwy, dziewczyna odwróciła się, zrobiła jeden krok, drugi, jakby dla rozgrzewki i zaczęła biec – lekko, pięknie, do brzegu, ku zielonej gęstwinie w oddali. Biegła szybko. Nie dogoniłbym jej... W każdym razie nie wtedy, gdy byłem menadżerem.

– Dokąd się tak śpieszy? – spytał w zadumie Kotia.

– Nie dokąd, tylko skąd – poprawiłem. – Coś mi się wydaje... Nie wydawało mi się. Do drzwi od strony Kingimu ktoś zastukał, delikatnie, ale stanowczo.

– Może lepiej nie? – Kotia wskazał głową drzwi. – Mogłeś przecież wyjść. Do sklepu, po telewizor...

Pokręciłem głową. Kotia nie rozumiał – nie mogłem nie otworzyć. Jeśli rzeczywiście byłem w wieży, to udawanie nieobecnego było ponad moje siły. To tak, jakby próbować powstrzymać kichnięcie.

Jedyne, co mogłem zrobić, to podejść do drzwi bardzo powoli, otworzyć je nieśpiesznie i nie od razu wpuścić człowieka, który stał na progu.

Mężczyzna, na oko trzydziestoletni. Normalna budowa ciała, jedynie twarz niestandardowa – romboidalna, jakby zbudowana z klocków lego. Przybyły był lekko ubrany, jakby wyszedł na spacer w chłodny letni wieczór – wiatrówka, jakiś lekkomyślny berecik na głowie.

– Cześć. – Mocno uścisnął mi rękę. – Jesteś Kirił, wiem. Feliks mówił o tobie dużo dobrego. – Nazywam się Chajes.

Znów pomyślałem, że mieszkańcy Kimgimu nie mają szczęścia do fonetyki. Smutne westchnienie Kotii miało chyba znaczyć, że ja i Chajes nie rozmawiamy po rosyjsku.

– Możesz mi mówić po prostu: Chaj – zaproponował. – Wiem, że nasze imiona brzmią dla was dziwnie.

– Kirił – przedstawiłem się niepotrzebnie. I zarazony jego manierą dodałem: – Można po prostu Kir.

– To twój przyjaciel? – Chajes skinął głową w stronę Kotii i pomachał mu ręką. – Wspaniale. Dokąd uciekła dziewczyna?

– Tam.

– Idę. – Chajes westchnął i twardym krokiem podszedł do drzwi. Żłobkowane podeszwy jego butów zostawiały na podłodze kawałki topniejącego śniegu. – Jeśli nie sprawi ci to kłopotu, to nie wychodź nigdzie przez pół godziny, dobrze?

Otworzył drzwi bez problemu. Wyszedł, rozejrzał się. Kopnął kożuszek, zrzucony przez dziewczynę, i pobiegł jej śladem; najpierw powoli, ale z każdą sekundą przyspieszając coraz bardziej. A przy tym w jego ruchach nie było tej mechanicznej monotonii, z jaką ruszają w pogoń terminatorzy czy inne wampiry w amerykańskich filmach. Nie, Chaj biegł swobodnie, od czasu do

czasu podskakując, jakby próbował wypatrzeć ofiarę, albo po prostu cieszył się pędem, piaskiem, morzem, słońcem.

I to było jeszcze straszniejsze niż kinowe potwory.

– Funkcyjny policjant – powiedziałem.

– Domyśliłem się – odparł cicho Kotia. – Może niepotrzebnie go wpuściłeś?

– Przecież ta dziewczyna usiłowała cię zabić!

– To co? A teraz nie ma żadnych szans.

– Ja też nie miałem. Gdybym go nie przepuścił, wszedłby sam.

– Przecież jesteś na swoim terytorium – przypomniał Kotia. – W trakcie pełnienia funkcji, że tak powiem!

Może miał rację. Może mógłbym stawić opór sympatycznemu policjantowi. Pod jego nogami pękałby parkiet, to znaczy, przepraszam, deski, na jego głowę spadałyby różne belki i stropy... W domu funkcyjnego zapewne pomagają mu nawet ściany. Moje poodrywane ręce i nogi zapewne przyrastałyby błyskawicznie. Byłbym szybki, diabło silny i w efekcie pokonałbym policjanta.

Tylko po co?

– Po co? – zapytałem. – Po co miałbym go zatrzymywać? On ściga bandytkę!

– Dame!

– Bandytkę!

Popatrzyłem na przyjaciela i powiedziałem szczerze:

– Kotia, on mi się nie spodobał. Jeśli mam być szczerzy.

Kotia od razu przestał mnie atakować. Zdjął okulary, potarł je brzegiem nieświeżej chusteczki do nosa i niechętnie powiedział:

– Mnie też. I ta dziewczyna też mi się nie podoba. Ale poszczuć na nią policjanta to, to samo, co szczuć owczarka na bolończyka.

Rozłożyłem ręce.

– Kotia, a czym ten bolończyk myślał, gdy zaczynał ujadać? Chodź, dopijemy piwo.

– Jesteś w stanie pić piwo, gdy gdzieś tam zabijają kobietę?! – zawołał Kotia.

– A ty?

Kotia zastanowił się i ze smutkiem przyznał:

– Jestem. Na tym świecie ciągle ktoś kogoś zabija. Czy z tego powodu mam umrzeć z pragnienia?

13.

Są czynności, które ciężko wykonywać, gdy człowiek na coś w napięciu czeka. Nie, nie, seks do nich nie należy!

Ale wyobraź sobie, że twoja ukochana dziewczyna długo nie wraca. Robi się późno, ona nie ma przy sobie telefonu, a wasza dzielnica zasłużenie cieszy się złą sławą. W dodatku nie wiesz, z której strony przyjedzie, i nie możesz wyjść po nią na przystanek. Możesz tylko siedzieć w domu i czekać.

Można obniżyć nieco dramaturgię sytuacji. Wyobraź sobie, że kaloryfery powoli acz nieuchronnie zalewają ci mieszkanie wrzątkiem. A wezwane pogotowie hydrauliczne ciągle się nie pojawia.

Czy można w takiej sytuacji czytać pasjonujący kryminał, pić piwo albo oglądać komedię? No właśnie, nie da się. Na szczęście, jest kilka innych sposobów zabicia czasu w takiej sytuacji: klejenie plastikowego modelu czołgu, pogaduszki na forum w Internecie, haft krzyżykowy. Czyli to, co zajmuje ręce, nie obciążając mózgu.

– Nie mogę pić – powiedział Kotia, odstawiając butelkę.

Ja też nie mogłem. W dodatku piwo zrobiło się ciepłe, orzechy i chipsy nieświeże, a piękny morski krajobraz przestał cieszyć. Najwyraźniej organizm nie był zachwycony tymi skokami z zimy w lato.

– Ein-zwei-polizei. – Kotia popatrzył tam, gdzie pobiegł Chajes. – Kirył, wiesz, że zacząłem odróżniać funkcyjnych od zwykłych ludzi?

– Jak? – zainteresowałem się. – Widzisz aureę?

– Jaka aureę? E tam, to bajki... Po prostu patrzę na człowieka i wiem, że jest funkcyjnym. Właśnie, ta baba wydała mi się podejrzana pod tym względem.

Nie spierałem się, bo jak tu się spierać z człowiekiem, który nie umie niczego wyjaśnić, tylko mówi: „Patrę i wiem”?

Przez pewien czas leżeliśmy na piasku, grzejąc się i opalając. Moskiewska jesienna wilgoć, która już zdążyła wpełznąć do organizmu, odchodziła niechętnie. Przypomniałem sobie czyjaś wypowiedź, że gdyby Piotr I przeniósł stolicę Rosji nie nad Morze Bałtyckie, lecz nad Morze Czarne, to życie w Rosji potoczyłoby się zupełnie inaczej. Westchnąłem. Coś w tym było. Co Piotra Wielkiego pociągało w tym zimnym, mokrym brzegu Bałtyku? Ale, ale, może za jego czasów na miejscu Petersburga stała jakaś wieża? I władca mógł spokojnie przenosić się nad ciepłe morze?

Nie, bzdura. Przecież najpilniej strzeżona tajemnica ma określony termin ważności, od czasów Piotra informacje o funkcyjnych musiałyby się przesączyć.

– O, policjant leci – powiedział Kotia.

Usiadłem, osłoniłem oczy dłonią. Miałem dosyć słońca, najwyższa pora wracać do Moskwy. Policjant faktycznie biegł z powrotem tym samym swobodnym, pięknym krokiem. W świecie ludzi tak biegają jedynie jacyś tam Masajowie i Etiopczycy.

Biegł sam.

– Zabił ją – szepnął z jawną wrogością Kotia. – Skręcił jej kark i zostawił w dżungli, żeby umarła.

Dlaczego akurat miałby jej skręcać kark? Pewnie Kotia sam nie wiedział, ale dzięki swojemu kretynizmowi obraz ożył. Oczami wyobraźni zobaczyłem, jak Chajes dogania dziewczynę, ta zaczyna biec jeszcze szybciej, grzęźnie w piasku, chwytając się lian, ogląda się, przerażona krzyczy, w końcu potyka się i pada twarzą w kałużę. Chaj przyciska kolanem jej plecy, szarpie za włosy, łamiąc kręgi szyjne, wyciąga swoją ofiarę z błota i porzuca, żeby umarła – jeszcze żywą, ale już sparaliżowaną, niezdolną do poruszania rękami czy nogami, niezdolną nawet do krzyku. Głupia dziewczynka, która ośmieliła się podnieść rękę na władzę złych funkcyjnych, leży teraz pod palmami i patrzy w wysokie niebo. Po jej twarzy idzie właśnie mały krab, dociera do oczu, maca je wąsikami i unosi małe, ostre kleszcze, przypominające nożyczki do manikiuru.

– Tfu, na pasa urok! – mówię. – Powinieneś pisać kronikę kryminalną, a nie pornosy!

– Czasami piszę – mówi ze smutkiem Kotia.

Chaj był coraz bliżej. Pomachał nam ręką, zwolnił, i znowu zaczął iść. Nie zasapał się, nie spocił i w ogóle nie sprawiał wrażenia człowieka, który właśnie pokonał dziesięć kilometrów. Ale minę miał zirytowaną.

– Czekamy czterdzieści pięć minut – stwierdziłem, zerkając na zegarek.

– Myślałem, że szybciej się uwinę – powiedział Chaj. Usiadł obok nas, wziął butelkę piwa, przycisnął do ust. Wypił całą jednym tchem, otarł pianę z ust i uśmiechnął się krzywo. – Udało jej się, zarazie!

– Co też pan mówi?! – zawołał radośnie Kotia. Na jego twarzy wykwitł uśmiech, bo policjant mówił teraz po rosyjsku.

– Dobrze biega – wyjaśnił Chaj. – Widziałem ją, ale zrozumiałem, że dogonię zbyt późno.

Jakby coś pstryknęło w mojej głowie.

– Dogoniłby ją pan tam, gdzie znikną pańskie zdolności?

– Właśnie – przyznał z goryczą Chaj. – Od mojego posterunku do twojej wieży jest pięć i pół kilometra. Dogoniłbym ją dziesięć kilometrów stąd, a tam już stałbym się zwykłym człowiekiem. A ona trenowała, uczyła się zabijać. Jej nawyki nie przepadną.

– A to, że to różne światy, nie ma znaczenia? – zapytałem.

– Nie. Liczy się odległość od punktu przejścia.

– Że też jej się udało? – powiedział z udawanym współczuciem Kotia. Zabrzmiało to tak fałszywie, że aż zacząłem się obawiać, że policjant da mojemu przyjacielowi w pysk. – Ajajaj! Niby zwyczajna dziewczyna...

– Zwyczajna? – Chaj się roześmiał. – Jest takim samym funkcyjnym jak ja czy twój przyjaciel. Tylko że ona zdradziła swoją funkcję. – Widząc nasze zdumienie, wyjaśnił: – Porzuciła swoją funkcję i odeszła! No dobrze, nikt jej nie zmusza, ale po co teraz maści wodę? Organizuje grupy oporu, podrywa ludzi do walki przeciwko nam. Czy to nie głupota?

– A skąd ona w ogóle pochodzi? – zainteresował się Kotia.

Oho, coś mi się zdało, że za bardzo się zainteresował. Widocznie wczorajsza dziewczyna „z takim tyłeczkiem” przestała być dla niego

atrakcyjna, gdy wyszło na jaw, że wciągnęła nas w pułapkę. A natura nie lubi pustych miejsc.

– Nie nasza i nie wasza – odparł wymijająco Chaj. – Była lekarzem, głupia... Czas na mnie, przyjaciele. Spotkamy się jutro u Feliksa!

Poklepał mnie po ramieniu, skinął Kotii ręką i poszedł w stronę wieży.

– Chaj! – zawołałem. – Czy ona wróci do wieży?

Chaj zastanowił się i wzruszył ramionami.

– Być może. A co?

– Czy mam ją zatrzymać?

To niewinne pytanie wyraźnie go zakłopotowało.

– Możesz, oczywiście. Ale po co?

– To przecież nasz wróg!

– Tak, ale... – Wydawało się, że Chaj osłupiał. Wyglądał jak angielski dżentelmen, który widzi, że stary wierny sługa usiadł przy stole, położył na nim nogi i zapalił cygaro. – Przecież nie jesteś policjantem! Po co miałbyś ją zatrzymywać?

– Zaatakowała mnie – przypomniałem.

– W takim razie zatrzymaj, jeśli chcesz. Albo zabij.

Gdy wszedł do wieży, Kotia powiedział:

– Patrz, jakie to u nich proste. Zatrzymaj albo zabij!

– U nas – przypomniałem posępnie.

– U was – zgodził się Kotia. – Słuchaj, Kirył, mógłbyś mi pożyczyć z pięć tysięcy?

Omam nie zapytałem, skąd niby mam mieć pieniądze, ale w porę przypomniałem sobie o „zwrocie kosztów”. Wyjąłem paczkę banknotów, odliczyłem pięć i spytałem:

– Wystarczy?

– Aha... – Kotia wziął pieniądze. Wyglądał na dziwnie spiętego. – Wracam za pół godziny. Czekać.

– Ty co, zmówiłeś się z Chajem? – burknąłem, nic nie rozumiejąc, ale Kotia już szedł zdecydowanym krokiem do wieży.

Ciekawe, po co mu tak nagle prawie dwieście dolarów? Żeby kupić butlę jakiegoś francuskiego koniaku? Nie, to nie w jego stylu. Zgrzewkę piwa? Też raczej nie.

Przeniosłem się w cień wieży; piasek był chłodny i odrobinę wilgotny, ale to było nawet przyjemne, i położyłem się wygodnie. Czy biedny funkcyjny, który ma przed sobą nie wiadomo ile lat pracy na przejściu celnym nie ma prawa odpocząć na plaży: Ma prawo. Może nawet odrobinę się zdrzemnąć.

– Wstawaj, celniku!

Otworzyłem oczy, popatrzyłem na Kotię i wstrząśnięty usiadłem gwałtownie.

– Coś ty...? – powiedziałem. – Bawisz się w Paganela?

Kotia wyglądał zabójczo. Miał na sobie brązowe sandały na bosych nogach, zielone szorty i pomarańczową podkoszulkę. Na głowie cytrynowożółtą panamę dla przerośniętego przedszkolaka, a na ramieniu sportową torbę ze skaju, białoniebieską.

– A co? – zapytał wojowniczo Kotia.

– Wyglądasz jak opakowanie flamastrów – mruknąłem. – Chińskich flamastrów. Dokąd się wybierasz?

Kotia westchnął i wcisnął mi w rękę jakieś papierki.

– Bierz, to reszta... oddam ci... potem...

Zerknąłem. Było tam kilka pogniecionych dziesiątek.

– Nie mogę siedzieć w domu, Kirył – powiedział Kotia. – No, jak ja mogę siedzieć w domu, kiedy tu się dzieją takie rzeczy? Tu zresztą też nie mogę siedzieć. Kim ja jestem w porównaniu z wami? No, kim?

– Kim? – mruknąłem.

– No właśnie! Nikim! – odpowiedział Kotia z goryczą. – Mam przy tobie siedzieć, jak domowe zwierzątko? To już lepiej pójdę... popatrzę, co to za świat.

– Aha... – Domyśliłem się wszystkiego, gdy tylko zobaczyłem, jak Kotia patrzy na las w oddali. – No cóż. Idź. Nie zabłądzisz?

– Kupiłem kompas. – Kotia zademonstrował prawdziwy turystyczny kompas. – Tu niedaleko jest sklep sportowy, zauważyłem, jak szedłem do

metra. Mam jeszcze toporek, zapalki turystyczne, konserwy, cukier... i saperkę.

– Po co?

– Podobno przydaje się na wyprawie.

Popatrzyłem na jego oczy, wstydliwie schowane za szklami okularów i westchnąłem.

– Czemuś nie kupił plecaka?

– Drogo – skłamał bez przekonania.

– Nie łzyj! Plecak średniej klasy może kosztować ze czterysta rubli, i na pewno nie jest droższy od tej torby.

– Nie umiem nosić plecaków.

– Plecak to nie akwalung, Kotia.

– Dobra! Z plecakiem wyglądam jak kretyn!

– Z tą torbą będziesz wyglądał jak dwóch kretynów – nie poddawałem się. Szczerze mówiąc, byłby ze mnie nie lepszy turysta niż Kotia, ale mimo wszystko...

– Żadnych plecaków – zaparł się Kotia. – Obetrę sobie ramiona, będę się zaczepiał o każdą gałąź.

– A niech cię лихо – poddałem się. – Lekarstwa masz?

– Bandaż, jodynę, środek przeciwbólowy i na biegunkę.

– Jakiś garnek wzięłeś? Kaszę?

– Po co mi garnek, nienawidzę kaszy. Konserwy, mleko skondensowane, cukier.

Bez słowa przysunąłem do siebie jego torbę, ale Kotia wyszarpnął mi ją.

Jak się jednak okazało, wcale nie musiałem do niej zaglądać. W końcu byłem celnikiem.

– Aha, chrupkie pieczywo – powiedziałem sarkastycznie. – Za pół godziny konserwy zetrą je na proszek. I świeży numer „Sport-ekspresu”. Lepiej byś wziął papier toaletowy! I krem na odparzenia. Słusznie, nogi na pewno obetrzesz sobie od razu. A po co ci w dżungli paczka prezerwatyw? Kotia spiekł raka, ale odpowiedział twardo:

– Czytałem, że wydaje się je wszystkim amerykańskim komandosom, dlatego że to bardzo pożyteczna rzecz w każdych warunkach.

– A niech cię – powiedziałem tylko. – Zaczekaj tu.

Oczywiście nie miałem kociołka ani plecaka, ale znalazłem papier toaletowy, porządny rondel i trochę artykułów spożywczych zamiast skazanego na zmiżdżenie pieczywa. Do tego ekwipunku turysty-lowelasa dorzuciłem dobry nóż (rozumiem, że toporek ważna rzecz, ale jak tu iść na wyprawę bez noża?) i moją własną kołdrę. Zwinałem ją mocno w rulon i przewiązałem znalezionym w kuchni sznurkiem tak, że kołdrę można było nieść jak plecak.

– Dziękuję – powiedział Kotia tonem winowajcy, biorąc ode mnie ten ładunek.

– Gdybyś mi przynajmniej powiedział, co chcesz zrobić!

Kotia wzruszył ramionami.

– Podejdę do lasu, przespaceruję się trochę brzegiem.

– Chwała Bogu, że się nie wybierasz do dżungli.

– To się jeszcze zobaczy – powiedział zuchowato Kotia. – A zresztą, skąd myśl, że to faktycznie dżungla? Może to zwykły las ek brzozy? I z dzikiej zwierzyny są tam tylko zające?

– Aha. – Popatrzyłem na ciemnozielony gąszcz na horyzoncie. – Brzozy i zające, tak, tak. Słuchaj, Kotia... Uważaj tam na siebie.

– Dobrze.

Uścisnęliśmy sobie ręce. Kotia ujął wygodniej swoją kretyńską torbę i poszedł w stronę lasu.

A ja stałem kilka minut, patrząc, jak on idzie – powoli, grzęznąc w piasku, zupełnie inaczej niż przekwalifikowana na terrorystkę lekarka, inaczej niż Chaj-policjant. Zwykły mieszczuch, który trafił na łono natury i nawet nie próbuje udawać zawziętego podróżnika.

Pomyślałem, że od początku tych wszystkich wydarzeń prześladowe mnie wrażenie, że jestem bohaterem powieści przygodowej – wokół mnie jest albo kryminał, albo mistyka, albo fantastyka. Tak naprawdę dzieje się to z każdym człowiekiem, tylko gatunki zwykle nie są aż tak pasjonujące. Zazwyczaj jesteśmy bohaterami melodramatów bez pięknych księżniczek czy dzielnych rycerzy, czasem nudnych powieści produkcyjnych, w których twój

robotniczy czyn nie jest nikomu potrzebny, albo bohaterami bufonad, gdzie w roli pajaca występujesz ty i nikt inny.

Teraz, patrząc na Kotię, mężnie wkraczającego w obcy świat w stroju działkowicza, który wyszedł przerywać marchewkę, pomyślałem nagle: a może to jego powieść? Może to jemu jest sądzone wędrować po obcych światach od cła do cła, obrastać mięskami, zdobywać umiejętności walki turystycznym toporkiem (i saperką!), prostować wątłą pierś, rozrastać się w barach? Gdzieś po drodze jakiś oftalmolog funkcyjny wyleczy go z krótkowzroczności. A potem Kotia odnajdzie swoją smagłą księżniczkę, razem staną na czele powstania narodowego przeciwko funkcyjnym i przede wszystkim nakładą po gębie Chajowi. A ja będę siedział w wieży i wrzeszczał na przechodzących: „I gdzie się pchasz? Tam jest średniowiecze, a ty masz w kieszeni pistolet Makarowa!”. Przecież prócz bohaterów i łajdaków w powieściach przygodowych są również ci, którzy uprawiają zboże, budują domy i łowią ryby.

Tfu! Co za patos!

Odwróciłem się i spojrzałem na swoją wieżę. Kotia wróci pewnie jutro. Albo pojutrze. Niewyspany, pocięty przez komary, obolały po spaniu na gołej ziemi, z rozbitymi okularami.

Postanowiłem nie upodabniać się do bohaterów powieści przygodowych. Nalałem wody do wiadra, wziąłem mop i szmatę. Co to musi być za idiotyczny mechanizm materializacji przedmiotów, żeby szmatę do podłogi stworzyć brudną i podartą?

Zakasałem rękawy i zacząłem myć podłogę. Nie przypominam sobie ani jednej powieści, w której bohater myje podłogę. To nie jest zadanie dla bohatera. No dobrze, ale co zrobić, jeśli podłoga jest brudna?

Mop nie pomógł, musiałem przyklęknąć i umyć podłogę jak za czasów liceum. Później ograniczałem się zwykle do odkurzacza... oraz wizyt mamy... a także tych dziewczyn, które chciały pokazać, jakie z nich gospodynie i domatorki.

Do drzwi od strony Moskwy ktoś zastukał.

– Proszę wejść, otwarte! – zawołałem i się wyprostowałem. Zaczynały mnie boleć plecy.

Do wieży wszedł polityk Dima.

Wyglądał teraz jak zwykły człowiek. W dzinsach, ubłoconych butach i kurtce krajowej produkcji. Zwykle w ten sposób ubierają się politycy o marginalnym znaczeniu, ci ważni przebierają się tak jedynie przed spotkaniem z narodem.

– Zapraszam – powiedziałem. – Właśnie robię porządki.

– Porządek ważna rzecz. – Dima skinął głową. – Już dawno pora zaprowadzić... Kirył, rzuć no tę szmatę. Musimy porozmawiać, a czasu mam niewiele.

Odłożyłem ścierkę.

– Jeśli pan chce, możemy pójść na brzeg – zaproponowałem. – Dla całkowitej prywatności.

Dima pokręcił głową.

– W twojej wieży nikt nas nie podsłucha, nie bój się. Zrobisz kawę?

– Mam tylko rozpuszczalną, może być?

– Jasne – powiedział polityk i machnął ręką. – Rozpuszczałka to rozpuszczałka! – powiedział, używając ciekawego neologizmu.

Nieco stropiony zaprowadziłem polityka na górę. Umyłem ręce, postawiłem czajnik na gazie. Zaparzarzarki w kuchni nie było, ale mielonej kawy też nie.

– Skromnie mieszkasz – zauważył polityk, rozglądając się. – Lodówka by ci się przydała. Polecę, żeby przywieźli. I jedzenie. Jeszcze by tego brakowało, żebyś głodował. No tak, dowiedziałem się o tobie co nieco. Wybacz.

– Ależ wszystko w porządku. – Ze zdumieniem uświadomiłem sobie, że jego władczy głos powoduje, że człowiek ma ochotę mu przytakiwać. Gdybym nie wiedział, że to zwykły człowiek, zacząłbym podejrzewać, że to polityk funkcyjny. – Ja wszystko rozumiem.

– Porządny z ciebie chłopak – mówił tymczasem polityk. – Twoje poglądy polityczne mnie nie interesują, na kogo chciałeś, na tego głosowałeś. Polityka to z założenia draństwo. A cała reszta mi się w tobie podoba. Nie masz zamiaru uciekać z naszego kraju. Martwisz się o niego, przeżywasz. Prowadziłeś... niemalże zdrowy tryb życia.

– Chwileczkę! – zawołałem. – Skąd pan to wszystko wie? Przecież... przecież zniknąłem z waszej rzeczywistości?

– Natalia dała mi twoje dossier – wyjaśnił polityk. – Wybacz, ale podałem w wątpliwość twój pion moralny i ona...

– Więc ma na mnie dossier? I co tam jest?

– Wszystko.

Zamilkłem. Nie jest miło się dowiedzieć, że gdzieś istnieje jakieś moje dossier, w którym jest wszystko. A jeszcze mniej przyjemnie jest patrzeć w oczy człowiekowi, który to dossier czytał.

– Przecież Natasza jest akuszerką, jej praca polega na tym, żeby się dowiedzieć wszystkiego o człowieku, który zostanie funkcyjnym.

Polityk popatrzył na mnie ze współczuciem.

– Nie stresuj się. Interesowało mnie tylko jedno: czy jesteś patriotą. I okazało się, że jesteś.

– Ojczyzna potrzebuje mojej pomocy? – Wbrew mojej woli nie zabrzmiało to ironicznie, lecz podniośle.

– Tak, Kiryle. Sądząc z tego, że od razu przebiłeś drzwi do Kingimu i nad morze, do dwóch najpopularniejszych światów, masz w sobie potencjał i wspaniałą kombinację konkretności i romantyzmu. Nie przypominam sobie, żeby na jakimś cle te przejścia występowały obok siebie.

– To co miałbym robić? – spytałem, nalewając wrzátku do filiżanek. – Przekazywać pocztę dyplomatyczną? Dostarczyć tajną przesyłkę z Kingimu?

– Otworzyć drzwi do nowego świata – powiedział twardo polityk. – Wiem, że ten świat istnieje. Ale nie otwierano do niego drzwi przez ponad pół wieku. A jestem pewien, że tobie się uda.

– I po co miałbym otwierać te drzwi? – spytałem drwiąco. – Panom funkcyjnym nudzi się w tych światach, które już są dostępne?

– Nie jestem funkcyjnym! – wrzasnął polityk. Wstał i spojrzał na mnie gniewnie. – I nie patrz na mnie jak na wroga! Tych drzwi potrzebuje nasza ojczyzna! Twoja ojczyzna, Kiryle!

Miałem ogromną ochotę również na niego wrzasnąć. Niech się wydziera w Dumie, oni się tam ciągle awanturują. Niedawno w komisji do spraw

moralnego wychowania młodzieży jeden deputowany złamał drugiemu kość policzkową kastetem.

Ale popatrzyłem na polityka i zrozumiałem, że on mówi poważnie! Nie szuka dla siebie nowych wymyślnych rozrywek, nie organizuje intrygi przeciwko Natalii Iwanowej i reszcie towarzystwa. On naprawdę chce, żeby życie w naszym kraju stało się lepsze!

– Jak miałbym otworzyć takie drzwi? – zapytałem już bez złości. – Drzwi otwierają się same. Rano.

Z polityka jakby uszło powietrze. Usiadł, wziął filiżankę z wrzątkiem, hojną ręką sypnął sobie kawy i powiedział z rozbijającą szczerością:

– Nie wiem. Przecież to ty jesteś funkcyjnym. Chyba macie jakieś... ee... sposoby?

Zabrzmiało to niemal żałośnie.

– Jestem w tym biznesie od niedawna – zażartowałem niezręcznie. Usiadłem naprzeciwko polityka i zapytałem: – Więc co właściwie trzeba zrobić?

Mówiąc to, już wiedziałem, że odpowiedź mi się nie spodoba, nawet mimo niespodziewanej sympatii do polityka. Zaraz mi powie coś takiego...

I tak się właśnie stało.

14.

W każdej bajce jest taki moment, w którym bohater zostaje wysłany na poszukiwanie. Iwan Carewicz wyrusza po jabłko młodości, Bilbo w towarzystwie krasnoludów idzie po skarby smoka, Harry Potter szuka Komnaty Tajemnic, Atreju wyrusza na poszukiwania granic Fantazji.

Co ciekawe, wszystkie te działania, tak pasjonujące czytelników, samemu wysłanemu są absolutnie zbędne! Iwan mógłby spokojnie w tym czasie poleżeć na sianie z jakąś hożą dziewczyną, Bilbo wypaliłby fajeczkę aromatycznego tytoniu hobbitów, Harry Potter, rekompensując nastoletnie kompleksy, polatałby na miotle, zaś Atreju wyruszył na polowanie na purpurowe bizona. Ale rozkaz został wydany: car wygania z dworu, surowe hobbity łapią za włochate nogi, zły bazyliżek ucieka do swojego legowiska. Nicość powoli unicestwia Fantazję. Bohater nie ma wyjścia i rusza w drogę.

Zauważmy, że wszystkie poszukiwania są nakierowane na znalezienie czegoś materialnego. Jabłko, worek złota, ponure podziemie pod szkołą (przy okazji, każde dziecko wie, że ponure podziemia są przecież pod każdą szkołą), słup graniczny z napisem „W tym miejscu autorowi skończyła się fantazja...”.

Bardzo, bardzo rzadko zdarza się, że bohater wyrusza po coś niematerialnego. Nie po to, „czego na białym świecie w ogóle być nie może” – za tym zdaniem wyraźnie ukrywa się niewidzialny sługus, który uciekł z „Czerwonego kwiatuszka”. Człowiek od razu przypomina sobie Dorotkę i jej towarzyszy, którzy w Szmaragdowym Grodzie szukali rozumu, odwagi i miłości, a otrzymali otręby, trociny i rycynę.

Spodziewałem się, że polityk Dima zacznie mi opowiadać, jak bardzo nasza ojczyzna potrzebuje złota i brylantów, ewentualnie starożytnych tajemnic i najnowszych technologii. Ale się pomyliłem. Nie doceniłem go.

Dima bez mrugnięcia okiem wypił zimną kwaśną kawę i oznajmił:

– Chciałbym cię prosić, żebyś znalazł dla naszej ojczyzny ideę narodową. Nową ideę narodową.

Przez dłuższą chwilę patrzyliśmy na siebie.

– I co mam znaleźć? – zapytałem. – Altruizm? Mądrość, honor, sumienie? Wartość dodatkową?

– W altruizm nie wierzę, mądrość, honor i sumienie już były. Wartości dodatkowej też nam nie trzeba, obejdziemy się bez rewolucji. Potrzebna jest ideologia.

– Dima – powiedziałem twardo – może pan mówić jaśniej? Naprawdę gotów jestem pomóc. Niech wszystkim będzie dobrze, i Rosji, i Moskwie, i całej postępowej ludzkości. Ale ja jestem tępy od urodzenia. Dopóki nie wyjaśni mi się, o co chodzi, nie rozumiem.

– Istnieje świat, który się nazywa Arkan. Drzwi do niego otwierają się bardzo rzadko. Ostatnio na Uralu, w obwodzie orenburskim... zniszczone w pięćdziesiątym czwartym roku decyzją KC KPZR. Decyzję podejmował jeszcze Stalin, ale za jego życia nie zdążyli... – Dima zamilkł i pokręcił głową.
– Nie, zacząłem od niewłaściwego końca. Funkcyjni nie lubią mówić o Arkanie, ale mimo to wiele się dowiedziałem. Arkan to jedyny świat, niemal dokładnie taki jak nasz. Różnica polega na tym, że czas Arkanu wyprzedza czas Ziemi o trzydzieści pięć lat.

– Aha – powiedziałem. – I co to jest? Nasza przyszłość?

– Nie wiem – odparł polityk. – A jeśli nawet, to niezdeterminowana. Ale gdyby udało się tam trafić... poczytać gazety, pogrzebać w podręcznikach i encyklopediach... Wiedzielibyśmy, jakie niebezpieczeństwa czekają nasz kraj. I co powinni zrobić prawdziwi patrioci, żeby pomóc ojczyźnie.

– Prosił pan Natalię, żeby otworzyli tam drogę?

Polityk się skrzywił.

– Niezupełnie rozumiesz nasze stosunki. Prosiłem. Odpowiedziała, że drzwi nie otwierają się na zamówienie. I nie chciała w ogóle rozmawiać na ten

temat. Nie mam na nią żadnych środków nacisków. Co mogę przeciwstawić funkcyjnemu?

– Siłę?

– To bardzo trudne. Domyślasz się, jak pół wieku temu załatwili twojego kolegę celnika, który pilnował przejścia do Arkanu?

– Nie.

– No właśnie. – Polityk się uśmiechnął. – On odmówił zamknięcia przejścia do Arkanu. Zresztą nie mógł postąpić inaczej. Musiałby porzucić swoją funkcję, a tego nie chciał. Ponad rok władza targowała się z funkcyjnymi, z tym niewyraźnym systemem „starszych” i liderów siłowych. W końcu funkcyjni zdecydowali, że władza ZSRR ma prawo do samodzielnego wyjaśniania swoich stosunków z niepokornym celnikiem – ogromny kraj przeciwko jednemu funkcyjnemu. Odnoszę wrażenie, że wasi po prostu chcieli zobaczyć, co się stanie. Kto kogo.

– No i?

– Od tamtej pory nie ma drzwi do Arkanu – odparł Dima. – Z tego co wiem, ani u nas, ani w innych krajach. A one są potrzebne... bardzo potrzebne!

– Dobrze – poddałem się. – To ciekawe... i pewnie pożyteczne. Zgadzam się.

Polityk poklepał mnie po ramieniu.

– Zuch! No, wyobraź sobie: jeśli będziemy wiedzieć, jakie niebezpieczeństwo zewnętrzne grozi naszemu krajowi, a jakie nie, jaka powinna być właściwa władza... To przecież nieoceniona wiedza!

– No i trzęsienia ziemi, pożary, akty terrorystyczne, katastrofy, epidemie – dodałem.

– Tsunami, wybuchy wulkanów – dorzucił polityk.

Popatrzyłem na niego podejrzliwie. Kpi sobie?

– Trzeba myśleć globalnie, Kiryle – powiedział z wyrzutem polityk. – Wyobraź sobie, że w przeddzień tsunami Rosja uprzedza mieszkańców tamtego regionu o niebezpieczeństwie. Nasze najnowsze satelity doniosły. Jak bardzo wzrósłby autorytet Rosji na arenie międzynarodowej!

– A... no tak – przyznałem. – Jakoś nie pomyślałem. Więc co mam robić?
Jak otworzyć te drzwi?

Dmitrij wstał, przeszedł się po kuchni. Popatrzył w okno Kingimu i powiedział:

– Kingim jest bardzo popularny. Co trzeci celnik otwiera do niego przejście... Wiesz dlaczego? To świat z powieści Juliusza Verne'a. Świat, gdzie technika zastygła na granicy dziewiętnastego i dwudziestego wieku. W którym stworzono ogromne maszyny parowe i zbudowano sieci dróg kolejowych zamiast autostrad. W oceanach są potwory, a kula ziemską nie została do końca zbadana! Australia na przykład jest prawie niezamieszкана! Tam się łatwo żyje, Kiryle. Przyjemnie. Wiele osób lubi tam spędzać urlop.

– Kto?

– Politycy. Przecież tam można się powyglupiać. Intrygować. Ten świat składa się z kawałków. Miasta-państwa, konfederacja niezależnych księstw i wolnych terytoriów. Wybuchają zabawne wojny – pięciuset ludzi przeciwko siedmiuset i te wojny mają swoje ściśle określone zasady. Nawet łajdacy są operetkowi. Wielu naszych kupiło tam sobie domki w jakimś mieście; podają się za podróżników i spędzają tam wszystkie urlopy. U nas mówią, że jadą na Kanary, i pędzą tutaj, na Ziemię-trzy.

– Ziemia-trzy?

– Tak. Chyba nie myślisz, że cały świat nazywa się jak jedno miasto? Kingim jest bardzo popularny, ale to wszystko. Twoje drugie drzwi wychodzą na Ziemię-siedemnaście. Tam nie ma ludzi. Najpierw myśleliśmy, że to drzwi do dalekiej przeszłości, ale tam są zwykłe rośliny i zwierzęta, identyczne z ziemskimi. I nie ma ludzi. Popularne miejsce wypoczynku. Kiedy zaczną się pchać turyści, to ich przeganiaj dalej, żeby nie robili szaszłyków pod samą wieżą, bo ci wszystko zapaskudzą.

– Jak ja mam ich przeganiać? Przecież to na pewno sami politycy i oligarchowie! I różni działacze kultury.

Dima popatrzył na mnie ironicznie.

– Kirył, ocknij się. Co dla ciebie znaczą oligarchowie i politycy? Podchodzisz, marszczysz brwi, grozisz palcem i robi się spokój! Kontrolujesz

przejście między światami w dogodnym punkcie Moskwy. Wierz mi, to znaczy więcej niż setki złóż ropy naftowej.

– Nadal nie rozumiem, czemu otwierają się właśnie te drzwi

– Otwierają się drzwi do tych światów, do których chciałbyś trafić. Dlatego właśnie myślę, że może ci się udać. Zazwyczaj Ziemia-trzy i Ziemia-siedemnaście są pociągające dla różnych typów ludzi. Musisz być człowiekiem wielostronnym, skoro otworzyłeś przejście i tu, i tu. Może z Arkanem też ci się uda?

– Jaki on ma numer? – spytałem nie wiadomo po co.

– To świat, który otwiera się epizodycznie, nie ma numeru. Po prostu Arkan. – Polityk podszedł do schodów i popatrzył na mnie w zadumie. – No, muszę już iść. Spróbuj, Kirył. Wierzę w ciebie. Jeszcze przez tydzień czy dwa możesz pomóc swojemu krajowi.

– A potem?

– Potem będzie ci już wszystko jedno. Dlatego właśnie zależało mi, żeby jak najszybciej z tobą porozmawiać. Masz jeszcze dwoje drzwi, Kirył. Dwa światy. Proszę cię, nie popełnij błędu.

Zaczął schodzić na dół. Poszedłem za nim, odprowadziłem go do drzwi i przekonałem się, że albo rzeczywiście nikt mu nie towarzyszył, albo ochrona czekała z dala od wieży. Dima podniósł kołnierz kurtki i zgarbiony, niczym detektyw w klasycznym kryminale, poszedł przed siebie.

– Taak, idea narodowa... – powiedziałem z lekkim zachwytem, zamykając drzwi. – No, no!

Musiałem przyznać, że prośba polityka mnie zaintrygowała. Jeśli faktycznie istnieje świat taki sam jak nasz, tylko „rzecz dzieje się tam” trzydzieści pięć lat później, to dlaczego mielibyśmy z tego nie skorzystać? Dlaczego by nie podłożyć materaca tam, gdzie wypadnie nam się przewrócić?

Z drugiej strony, czy to w ogóle możliwe? Ze słów polityka wynikało, że Stalin kazał zniszczyć przejście do Arkanu, gdy się dowiedział o rozpadzie Związku Radzieckiego. Założmy. A Chruszczowa i Gorbaczowa nie ruszył?

Czułem, że polityk ściemniał. Mimo wszystko łatwiej jest działać, gdy proszą cię o coś materialnego. „Plask! Oto głowa smoka, królu! Spełniłem swoją obietnicę!”. „I ja spełniam swoją, książę! Oto ręka księżniczki. Ćlap!”.

Ale mimo wszystko postanowiłem, że uczciwie spróbuję spełnić swoją obietnicę.

Po części dlatego, że naprawdę chciałem pomóc swojemu krajowi. A po części z ciekawości. Gigantyczne ośmiornice na brzegach i ciepłe morza tropikalne to oczywiście bardzo fajne, ale czy ludzie polecą na Marsa? Czy zbudują miasta na Księżycu? Czy będzie kolejna wojna światowa? Czy znajdą lekarstwo na raka, AIDS, katar? Czy Peter Jackson nakręci *Hobbita*?

Wyobraziłem sobie te małe egoistyczne radości, które mogą nam dać drzwi prowadzące w przyszłość. Założmy, że mogę leczyć się u funkcyjnych i oddawać rozkoszom gastronomii w restauracji Feliksa. Ale żaden z nich nie napisze powieści za Umberto Eco, nie nakręci filmu za Spielberga, nie napisze tekstu piosenki za Arbenina, nie wypuści trzeciego „Fallouta”.

Dobra. Przed snem spróbuję intensywnie pomyśleć o przyszłości.

Ale nieprędko udało mi się pójść spać.

Najpierw umyłem podłogę na parterze. Potem posprzątałem śmieci z plaży; niedopite piwo przyniosłem do kuchni, pożałowałem, że nie mam lodówki, i postawiłem dwie butelki pod zimną wodę. Wróciłem na brzeg, usiadłem i popatrzyłem na morze. Za moimi plecami zachodziło słońce, mój cień sięgał teraz do wody. A cień wieży aż do horyzontu.

Ale nie dane mi było cieszyć się zachodem słońca – rozległo się pukanie do drzwi Kingimu.

W pierwszej chwili pomyślałem, że wrócił Chaj, ale okazało się, że to tylko dwóch elegancko ubranych dżentelmenów w różnym wieku, podobnych do siebie jak ojciec i syn, albo wuj i siostrzeniec, którzy przyszli zapytać, dokąd można pójść przez moją wieżę.

Moskwa ich nie zainteresowała. Odniosłem wrażenie, że nasza Ziemia w ogóle ich nie interesuje, i zrobiło mi się trochę przykro. Na morze popatrzyli z wyraźnym zainteresowaniem, ale nawet ono ich nie urządziło.

Pożegnaliśmy się uprzejmie i starszy mężczyzna, którego w myślach nazwałem wujkiem, zaproponował mi cygaro. Po chwili zastanowienia przyjąłem prezent. Nie poczułem żadnego niepokoju, widocznie celnik ma prawo przyjmować drobne upominki.

Wkrótce potem zastukano do moskiewskich drzwi.

To towarzystwo rozpoznaliby bywalcy modnych klubów; nawet ja poznałem popularnego młodego rapera (w rzeczywistości wyglądał jak chłopiec, zarozumiały i napuszony) i siedemnastoletnią blondynkę z jakiegoś zespołu w rodzaju „Iryski”, „Ciągutki” czy „Lizaczki”. Nigdy nie potrafiłem zapamiętać nazw tych dziwnych zespołów, gdzie najważniejszą rzeczą jest nie głos czy tekst, tylko kilka długonogich ślicznych dziewcząt różniących się od siebie jedynie kolorem włosów.

Raperowi i piosenkarce towarzyszyła świta. Dwóch chłopaków i dwie dziewczyny, najwyraźniej wielbicieli. Mogli mieć najwyżej po dwadzieścia lat. Sądząc po bezczelnych spojrzeniach, drogich ciuchach i zaparkowanych nieopodal samochodach, również złota młodzież. Tylko oni, w odróżnieniu od rapera i piosenkarki, bawili się za cudze pieniądze. Niegdyś ich rodzicom udało się ukraść kawałek kraju. Kraj był duży, kasek tłusty i teraz dzieciaki mogą spędzać czas, dryfując między paryskimi butikami (osoby ekstrawaganckie wybierają londyńskie) i modnymi europejskimi dyskotekami (oryginały wolą dyskoteki japońskie).

Z całej szóstki tylko jeden wiedział coś o funkcyjnych – chłopak raper. Piosenkarka po prostu podróżowała między światami, niczemu się nie dziwiąc, a złota młodzież rozpaczliwie się bała, dlatego zachowywała się opryskliwie i bezczelnie. Raper od razu wybrał Ziemię-siedemnaście. Na widok morza złączącego się w ostatnich promieniach słońca młodzież zaczęła kłać z wrażenia. Tylko wisząca na chudym ramieniu kawalera miedzianowłosa dziewczyna pisnęła, że na Wyspach Owczych jest większy wypas. Dlaczego wspomniała właśnie o tych zimnych wyspach, nie wiem. Może to było jedyne miejsce, gdzie jej przyjaciele nie byli i nie mogli zaprotestować.

Miałem wielką ochotę odebrać tym, pożałuj Boże, turystom alkohol, pochowane po kieszeniach halucynogeny, ale do świata-Skansenu można było wnosić każde świństwo.

Ograniczyłem się więc do tego, że zdarłem z nich cło na maksa. Nawet za prezerwatywy, które mieli i chłopcy, i dziewczęta.

Nie protestowali; rozstanie się z sumą prawie dwóch tysięcy rubli nie zrobiło na nich większego wrażenia. Ja w swoim „poprzednim” życiu z równą łatwością rozstałbym się z dwiema dziesiątkami.

Zamknąłem za nimi drzwi, poszedłem do kuchni. Piwo się schłodziło, otworzyłem butelkę, rozerwałem paczkę z pistacjami. Wypiłem jedną szklanekę, nalałem drugą. Podeszedłem do okna z widokiem na Skansen.

Młodzież kąpała się w morzu, głośno i hałaśliwie. Zupełnie jak normalni ludzie. Raper i jeszcze jeden chłopak odpłynęli daleko od brzegu, pozostali chlapali się na płyciźnie. Zerknąłem w stronę lasu. Nikogo. Gdzieś tam jest zbiegła terrorystka. Po jej śladach uparcie idzie Kotia – pewnie już ma odciski, pewnie nie raz się potknął i przewrócił, rozbił okulary. Jakoś nie wierzyłem w jego zdolność przemieszczenia się po dżungli bez urazów!

Westchnąłem i podeszedłem do okna wychodzącego na Kingim. Tam już było zupełnie ciemno, padał lekki, świąteczny śnieżek; jedynie głuche ceglane ściany psuły wrażenie.

Że też wieża musiała wyrosnąć na fabrycznych przedmieściach! Gdyby tak stała gdzieś na wzgórzu, nieopodal restauracji Feliksa... patrzyłbym teraz na domki pokryte dachówką, na dymek płynący z kominów, na sunące po śniegu sanie... Dzieci na podwórkach obrzucałyby się śnieżkami, uprzejmi panowie kłanialiby się sobie, damy we wspaniałych sukniach wyprowadzałyby na spacer swoje pieski... A potem poszedłbym do restauracji, zjadł jakieś marynowane morskie gady garniowane marynowanymi karczochami, napiłbym się piwa, porozmawiał z inteligentnym człowiekiem.

A gdyby wieża stała nad brzegiem ich morza, obok „Białej Róży”? Stałbym teraz przy oknie i patrzył na posępne fale, na złowieszcze macki krakenów sunące ku wieży. Zimny wiatr targałby moje włosy, a ja spoglądałbym w dal z pobłażliwym uśmiechem człowieka rozczarowanego życiem. Być może nawet zapaliłbym podarowane cygaro.

Powoli dopijając piwo, pograżałem się w melancholii. Mimo wszystko obecność Kotii pozwalała wierzyć, że nie do końca rozstałem się z poprzednim życiem. Ale teraz, patrząc na wygłupiającą się młodzież,

poczułem się nagle bardzo, bardzo samotny. I do tego stary. I to wcale nie mądry i doświadczony, lecz zmęczony i wypalony.

Nad brzegiem morza poszła w ruch butelka szampana. Dziewczyny zaczęły śpiewać jakąś idiotyczną piosenkę, zapewne z repertuaru swoich idoli.

– Jak chcecie się drzeć, to idźcie dalej! – krzyknąłem z okna.

– Idź w... – zaczął jeden chłopak, ale raper skoczył do niego jak oparzony, zasłonił mu dłonią usta i zaczął coś półgłosem tłumaczyć. Chłopak szybko załapał i równie gorąco jak poprzednio zawołał: „Przepraszam, bardzo przepraszam, już będziemy cicho!”.

Zamknąłem okno i skrzywiłem się. Też mi zwycięstwo. Uspokoilem jednego pijanego chłopaczka. Dla funkcyjnego to nieomal bohaterski czyn!

Właściwie powinienem położyć się spać.

Ale znów mi się nie udało. Raper nie był głupi, obsztorcował kompanów jak się patrzy i pół godziny później całe przycichłe towarzystwo zastukało do drzwi, grzecznie się pożegnało i wróciło do Moskwy. Raperowi na pożegnanie poradziłem:

– Takich więcej nie przyprowadzaj.

Chłopak pokiwał energicznie głową. Nie wiem, od jak dawna miał wejście do świata funkcyjnych, ale wyraźnie rozumiał, że nie warto z nami zadzierać.

Zamknąłem za nimi drzwi i poszedłem wreszcie spać, z twardym postanowieniem, że nie otworzę nikomu, bez względu na to, kto będzie się dobijał. Niech wałają w moskiewskie drzwi muzycy i deputowani, niech dobijają się od strony Kingimu Feliks z Chajem, niech na brzegu morza odwołuje się do mojego sumienia Kotia. Nic mu nie będzie, wytrzyma do rana.

A ja będę spał i śnił o nowym przejściu. Przejściu do przyszłości. Do świata zwanego Arkanem, gdzie można uczyć się na cudzych błędach.

Ucziwie zasnąłem z myślą o Arkanie, ale nad ranem, w półśnie, przed obudzeniem, wydawało mi się, że nowe drzwi otworzyły się znowu do Kingimu, tym razem obok restauracji Feliksa. A przed wieżą zebrał się tłum funkcyjnych, mężczyzn i kobiet, młodych i starych, którzy na różne sposoby wymyślali mi za frymarczenie przejściami między światami; że nie rozumiem

ich wartości i zachowuję się aspołecznie. Wszystko to się nakręcało i nakręcało, aż w końcu przerodziło w coś na kształt zebrania związków zawodowych, z wyrzutami, świństwami i społecznym osądem. Potem pojawiła się Natalia, powiedziała, że trzeba mi odebrać więzę, ponieważ jestem osobnikiem, któremu nie można ufać, i przywrócić mnie do szeregu zwykłych ludzi. Nieoczekiwanie z tłumu wyszedł polityk Dima i poparł tę propozycję. Po nim wystąpili komik Żenia i młody raper, a potem już zaczął na mnie napierać cały tłum funkcyjnych, wymachujących rękami i wykrzykujących obraźliwe słowa.

Obudziłem się zlany potem i leżałem chwilę, słuchając, jak mi wali serce. Przestraszyłem się. Nie na żarty się przestraszyłem, że znów stanę się zwykłym człowiekiem!

A przecież tak się miotalem! Tak panikowałem! Wszystkich mi zabrali... rodziców, psa, przyjaciół, dziewczyny. Wszystkich! Ale wystarczyło, że dali mi przestronne więzienie, obiecali porządne racje i rozrywki, a od razu przestałem się burzyć. No bo przecież, cokolwiek bym mówił, więza to więzienie. Kolek, do którego przywiązano łańcuch długości dziesięciu kilometrów. Wszystko, co mam, to okrągłe podwórko do spacerów na łańcuchu. No dobrze, pięć podwórek. I nie dziesięć kilometrów, tylko piętnaście.

Trochę krótko.

Nigdy nie polecę na Kubę... a tak bardzo chciałem. Ani do Nowej Zelandii. Jeśli wierzyć Feliksowi, wówczas moja funkcja się rozpadnie. Ale co tam zamorskie kraje! Nawet nie pojedę z przyjaciółmi do Pragi, a przecież planowaliśmy. Co tam do Pragi! Nawet na daczę nie pojedę, bo to jakieś sto kilometrów.

– I co dalej? – zapytałem, patrząc w sufit. – Nie zdarza się tak, żeby wszystko za darmo i jednemu człowiekowi. Jestem teraz prawie nietykalny. Twardziel nad twardzielami. Mam pod bokiem własną plażę, przytulne miasteczko i kawał Moskwy. Niektórzy przez całe życie nie wyjeżdżają z jednego miasta. I czego mi tak niby brakuje? Kapotni?

Myśl o Kapotni uspokajała. Mimo wszystko miałem więcej szczęścia niż kolega z południowo-wschodnich obrzeży Moskwy.

No i strasznie byłem ciekaw, dokąd otworzyły się czwarte drzwi. Czy ambitny polityk miał szczęście, a razem z nim potencjalne ofiary tsunami i trzęsień ziemi?

Ubrałem się szybko i popatrzyłem na trzy otwarte już okna.

I nagle przypomniała mi się piosenka, którą tak lubił ojciec – o człowieku, który mieszkał w starym domu, gdzie jedno okno wychodziło na pole, drugie na las, a trzecie na ocean. To musiała być piosenka o funkcyjnym celniku, takim jak ja! Nie pamiętam, kto ją śpiewał. Chyba nie profesjonalny piosenkarz, tylko jakiś znany podróżnik, a może kucharz? Śpiewał zdumiewająco dobrze, jakby to było jego dawne hobby. Trzeba będzie znaleźć i posłuchać.

W moich trzech oknach widniało: brudnoszare niebo nad Moskwą, czysty zimowy błękit nad Kingimem i piękny różowy wschód słońca nad morzem. Bajka!

Skontrolowałem, co się dzieje za oknami, ale wszędzie panował spokój, nigdzie, nawet w Moskwie: nie było żadnych kolejek pod drzwiami. Ale czy jest coś, co pod względem spokoju mogłoby konkurować z tropikalnym morzem o poranku?

A potem wziąłem się w garść i zachowałem jak prawdziwy bohater. Najpierw poszedłem na górę, doprowadziłem się do porządku, wziąłem prysznic i postawiłem czajnik na gazie, a dopiero potem podszedłem do dwóch zamkniętych okien.

Za okiennicami jednego z nich panowała cisza. Czas tego okna jeszcze nie nadszedł.

Za okiennicami drugiego było słycać równy szum. Nie tak głośny, jak szum morza, ale wyraźny.

Zacząłem odkręcać pokrętła, nie stawiały oporu, jakby wyczerpały swoją funkcję i teraz chciały jak najszybciej zerwać się z gwintu.

W końcu okiennice otworzyły się na oścież. Popatrzyłem w okno i aż gwizdnałem z wrażenia.

No, no...

W telewizji w takich momentach – jak to się mówi, w najciekawszym miejscu – dają zwykle reklamy. Gdybym kręcił film o moich przygodach, właśnie w tym miejscu dałbym przerwę na reklamę.

Zresztą, widok za oknem przypominał reklamowy klip – jeden z tych przesłodzonych, reklamujących jogurty albo soki owocowe. Taki, gdzie ptaszki zbierają jagódki, zajaczkę korzonki, robaczkę jabłuszka, misie miód, a potem to wszystko wpada prosto do wiadra z mlekiem od czyściutkiej krówki i przemienia się w apetyczny kolorowy płyn. Gdy właśnie was mdli od ślicznych reklamowych dzieci i dziadka, który we własnym ogrodzie entuzjastycznie poi rodzinę sokiem z kartonu, to znaczy, że widzicie dokładnie to, co zobaczyłem w tym oknie ja.

Soczyście zielona trawa! Nie, nie rozumiecie – naprawdę zielona, jak w reklamach, gdy czasem ją podbarwiają; w rzeczywistości tak intensywny kolor mogą mieć tylko chińskie flamastry.

I na tej zielonej łące, rozpościerającej się aż po horyzont, w malowniczym nieładzie rosły równie kolorowe drzewa, obsypane kwiatami, a może owocami...

Czy muszę dodawać, że niebo było błękitne, słońce żółte, a powietrze aromatyczne i czyste?

Miałem straszną ochotę znaleźć gdzieś pokrętko z napisem „kolor” i ująć nieco barw. A przy okazji zmniejszyć trochę kontrast.

W porównaniu z tym światem tropikalny Skansen wydawał się jakiś taki spłowiały, wyblakły. Jakby ktoś wziął Gogaina, zawiózł go na Tahiti i zmusił do malowania pastelami, a potem wręczył mu soczyste farby akrylowe i korzystając z jego stropienia, namówił do namalowania pejzażu pasa środkowego, ale w smętnych odcieniach.

Tak czy inaczej, ten świat reklamy nie wyglądał mi na przyszłość. Może gdybym ujrzał wypaloną równinę, zacząłbym podejrzewać, że mi się udało. Ale ten widok nie pasował nawet do moich optymistycznych wyobrażeń o przyszłości.

Szkoda, że nie jestem obłąkanym sekciarzem. Pomyślałbym, że otworzyłem wrota do raju. Zrzuciłbym z siebie ubranie i zaczął radośnie biegać po trawie.

Wprawdzie nie zrzuciłem ubrania, ale zszedłem na dół i otworzyłem drzwi. Zerwałem i podejrzliwie powąchałem źdźbło trawy – ze starego nawyku Rosjanina, który w każdym podarunku losu dopatruje się podwójnego dna.

Trawka smacznie pachniała i nie gryzła.

– „Wybacz, stary” – powiedziałem do nieobecnego polityka słowami szkapę z dowcipu. – „Staralam się, jak mogłam...”.

Z tego świata moja wieża wyglądała dość zabawnie. Znacznie smuklejsza, pokryta białym kamieniem. Pewnie marmur – żyłkowany, wygładzony. No bo z czego innego można budować wieże w tym bajkowym świecie? Tylko z marmuru, jaspisu, malachitu i innych kamieni szlachetnych.

Gryząc trawkę, ruszyłem przed siebie, oddalając się od wieży. Spróbuję poznać ten świat samodzielnie, bez podpowiedzi.

Rzecz jasna, nie oddalając się bardziej niż na dziesięć kilometrów.

15.

Dzieci znają dwa sposoby przemieszczania się, z których jeden dorośli zupełnie zatracają. Pierwszy: wleczenie się. Drugi: bieganie w podskokach. Zwykle normalne dziecko tym pierwszym sposobem idzie do szkoły, tym drugim do domu.

Dorośli, jak łatwo się domyślić, zatracają zdolność poruszania się sposobem drugim.

Można próbować zgadnąć, dlaczego tak się dzieje. Można wygłosić różne mądre hipotezy o stawach i stosunku masy ciała do siły mięśni. Można wzdychać nad ciężarem przeżytych lat i powiedzieć coś górnolotnego o czystości duszy, która mknie ku niebu, o popełnionych grzechach, które przygniatają człowieka do ziemi. I wszystko to będzie słuszne.

Efekt pozostanie ten sam. Bez względu na to, czy jesteś romantykiem, czy pragmatykiem, nie będziesz biegał radośnie po zielonej trawce, jeśli już przestałeś być dzieckiem, a jeszcze nie stałeś się zdzięcinniałym staruszkim.

A ja... ja właśnie miałem ochotę biegać i podskakiwać. Chciałem się śmiać, skakać, turlać, wystawiać twarz na słońce i paść na trawę z rozrzuconymi rękami, i patrzeć w błękitne niebo, dopóki świat się nie przewróci, dopóki nie poczuje się jak Atlas, dźwigający na plecach miękka, sprężystą kulę ziemską, spadający i trzymający, w bezkresnie czystym błękicie. Ale biegać chciało mi się najbardziej.

Pobiegłem. Ze sportem łączyły mnie stosunki dość przyjacielskie, ale niezbyt bliskie i nigdy przedtem nie przyszłoby mi do głowy, żeby tak biec – nie za odjeżdżającym autobusem, nie do zamykanego właśnie sklepu, nie za kimś i nie przed kimś, ale tak po prostu. Zresztą, pewnie kiedyś by mi się nie

udało. A teraz przebiegłem kilometr czy dwa i zrozumiałem, że mój organizm w ogóle nie zareagował na ten bieg. Nie zasapałem się, pewnie nie miałem nawet przyspieszonego tętna, moje ruchy były bardzo precyzyjne. Czulem skurcze każdego mięśnia, krew płynącą w żyłach, nerwowe impulsy, które zmuszały nogi do biegu. Całe moje ciało przemieniło się w doskonałą maszynę.

Z żalem zmusiłem się do zwolnienia kroku i podszedłem do drzewa, które jeszcze z wieży zachwycało mnie swoimi kolorami.

Drzewo jak drzewo. Jabłoń. I kwitnie całkiem zwyczajnie. A przecież ile jest piękna w tej zwyczajności, jak delikatne są te białe i różowe odcienie płatków, jak zdumiewająco strzępią się ich brzegi! Jak cudownie upajający aromat płynie od każdego kwiatuszka!

Aż zaszlochałem, wzruszony, gładząc kwitnącą gałązkę, i drżącym głosem zanuciłem:

– Kwitnąca jabłoń, jaki cud...

Dalej nie pamiętałem, a Szkoda! Chciało mi się śpiewać, śmiać, biegać, rozrzucać kwiaty, patrzeć, jak pełźnie po liściu gasienica, taka puszysta jak główka noworodka, zielona w białe kropki, jak świeży ogóreczek, zabawnie wyginająca grzbiet przy każdym ruchu. Śliczne stworzonko! Uśmiechnąłem się do niej, a ona tak śmiesznie wygięła się w odpowiedzi, przemieniając się w :) – komputerowy znak uśmiechu. Pewnie można się z nią porozumiewać!

I wtedy zrobiłem rzecz dziwną. Ni z tego, ni z owego podniosłem rękę i uderzyłem się w twarz. Raz w życiu widziałem coś takiego – gdy uderzono w twarz dziewczynę, która wpadła w histerię – i do dziś pamiętam, jak zdumiała mnie uzdrawiająca siła tego środka.

Jak się okazało, to lekarstwo działało znakomicie bez względu na płeć leczonego – poczułem się równie otrzeźwiony, jak owa dziewczyna histeryzująca po rozstaniu z chłopakiem. Wciągnąłem głęboko powietrze, zakląłem przez zęby i rozejrzałem się jeszcze raz.

To, co się ze mną działo, jeszcze przed chwilą było nieprawidłowe. Nienormalne. To prawda, że piękny krajobraz, że czyste niebo, to prawda, że zielona trawa, że drzewa i że kwiaty.

Ale to jeszcze nie powód, żeby rozczulać się nad każdą mrówką!

Euforia mijała błyskawicznie. Nawet ciężko to z czymkolwiek porównać. Z wrażeniami pijanego, któremu wsadzili głowę pod zimną wodę? O, gdybyż zimna woda dawała tak otrzeźwiający efekt. W książkach fantastycznych co rusz jakiś bohater hula sobie, pije całą noc, a rano łyka tabletkę i czuje się doskonale. Najwidoczniej pijaństwo bez kaca jest marzeniem wszystkich pisarzy. Tyle że ja przecież żadnych tabletek nie brałem.

No tak, ale po co mi tabletki? Po co tabletki człowiekowi, na którym rany goją się szybciej niż na psie? Przecież jestem funkcyjnym z całym zestawem cudownych zdolności! Wystarczy, żebym znalazł się w sytuacji, w której są one potrzebne, i wszystko od razu zadziało!

Zdaje się, że tak właśnie było.

Rozejrzałem się jeszcze raz. Teraz już widziałem wszystko zupełnie inaczej. Idylliczny krajobraz przestał cieszyć. Późna wiosna, a może wczesne lato, zwykły sad jabłoniowy, tylko bardzo zapuszczony.

Więc co się ze mną działo jeszcze przed chwilą?

Znów przypomniała mi się bajka o czarnoksiężniku ze Szmaragdowego Grodu – gdy Dorotka ze swoją pstrokata kompanią weszła na pole maków i nawdychała się oparów, narkomanka jedna. Zresztą, nie przypuszczałem, żeby aromat kwitnących maków mógł mieć takie działanie, a już niewinnych jabłoni nigdy w życiu nikt o to nie podejrzewał. Wprawdzie Japończycy wpadają w ekstazę na widok kwitnącej sakury, ale z powodów estetycznych a nie farmakologicznych. W tym sadzie nawet Miczurin by się nie zachwycał, tylko złapał za sekator i zaczął przycinać drzewa.

No dobrze, dajmy spokój jabłoniom. Co nam zostaje? Powietrze. Ciepłej, ciepłej. Czy zwiększona zawartość tlenu może spowodować coś takiego? Zdaje się, że tak. No i jeszcze podtlenek azotu, czyli gaz rozweselający. No dobrze, ale dwutlenek azotu chyba nie może powstać sam z siebie. A może? Przecież w świecie Kingimu nie ma ropy, a to przecież również bardzo znacząca rzecz, różniąca ten świat od Ziemi.

Znowu pożałowałem, że nie ma ze mną Kotii. Na pewno tworzyłyby hipotezy, przeprowadzały eksperymenty. Pewnie i tak niczego by się nie dowiedział, ale już sam fakt jego działalności budziłby otuchę. Jest taki typ ludzi, którzy w trudnej sytuacji zaczynają wykonywać mnóstwo różnych

czynności. Mierzą puls ofiarom, bacznie wpatrują się w nadciągające chmury, upierdliwie sprawdzają dokumenty milicjantów, dzwonią do jakichś ludzi i żądają odpowiedzi na dziwne pytania. Ich działania nie przynoszą żadnej realnej korzyści, za to otoczenie od razu się uspokaja, koncentruje i zaczyna podejmować inne działania, nie tak liczne i efektowne, ale znacznie bardziej pożyteczne.

Zresztą jeden eksperyment mogę przeprowadzić sam.

Wyjąłem z paczki papierosy i zapalniczkę, pstryknąłem, przezornie odsuwając ją na odległość wyciągniętej ręki.

No, nie nazwałbym tego słupem ognia, ale musiałem przyznać, że płomień wyglądał inaczej. Płonął jaśniej, był równiejszy i bardziej czysty.

Więc jednak tlen?

Możliwe... jako jeden z czynników.

Westchnąłem i schowałem papierosy. Oczywiście, mogłem tu wrócić z hermetycznym naczyniem, wziąć próbkę powietrza, a potem w Moskwie zrobić gdzieś analizę. Laboranci wszystko by mi wyjaśnili, rozrysowali, pokazali.

Tylko czy ja tego potrzebuję?

I tak wniosek jest jeden: ten świat nadaje się albo dla funkcyjnych, albo dla miłośników narkotyków. Pewnie z radością przychodziłby tu raper z koleżkami. Albo solidni wujaszkwowie ze znaczkami deputowanych w klapach marynarek – żeby śpiewać i tańczyć nago w świetle księżyca.

Czułem się tak, jakbym otworzył drzwi do świata-wydmuszki, pustego, nikomu niepotrzebnego. Nieprzyjemne uczucie, jeśli mam być szczery. Za Kingim i Ziemię-siedemnaście tak szczerze mnie chwalili. Wtedy zrozumiałem, że gdy otworzą się czwarte i ostatnie drzwi, moja przyszłość zostanie zdeterminowana. Mam już cztery (włączając naszą Ziemię) światy, i w każdym (krag o promieniu dziesięciu kilometrów. Jaka to może być powierzchnia? Πr^2 , chyba tak. Zawsze miałem problemy z geometrią. No dobrze, to znaczy, że mam do swojej dyspozycji jakieś trzysta kilometrów kwadratowych w każdym ze światów. W sumie półtora tysiąca kilometrów kwadratowych.

W porównaniu z całą więzienną – bardzo dużo.

W porównaniu z taką choćby Moskwą – średnio na jeża. Moskwa, co doskonale pamiętam ze szkoły, zajmuje powierzchnię tysiąca kilometrów kwadratowych.

No dobra, trzeba zbadać to jabłoniowe królestwo.

Szedłem już dwadzieścia minut szybkim krokiem, od czasu do czasu oglądając się, raczej z przyzwyczajenia niż z prawdziwej obawy, że się zgubię. Czulem wieżę bardzo wyraźnie – jak część własnego ciała.

Sad wokół był bardzo zapuszczony, ale pozostawał sadem. Odległość między drzewami mniej więcej jednakowa; udało mi się nawet rozróżnić gatunki jabłoni (po kwiatach), przy czym różne gatunki posadzono nie grupkami, lecz w rzędach, niedbale, ale jednak. Zacząłem mieć nikłą nadzieję, że w tym świecie mimo wszystko żyją ludzie.

I dosłownie kilka minut później byłem tego pewien – w powietrzu zapachniało dymem. Zacząłem biec – nie tym beztroskim biegiem, którym wpadłem do tego świata, lecz podobnie jak Chaj. Za jabłoniami zobaczyłem wodę – niezbyt szeroka, spokojna rzeczka. Wybiegłem na brzeg, stanąłem.

Za rzeką znajdowała się wieś.

I miałem absolutną pewność – to nasza, ziemską, rosyjską wieś. W tym najgorszym wariantcie, który sprawia, że patrioci wołają o wrogich knowaniach, a ludzie bardziej rozsądni myślą o poszukiwaniu rosyjskiej idei narodowej.

Domki konstrukcji szkieletowej, brudne szyby w oknach, przekrzywione szare płoty, wszystko w kolorze tej smętnej szarości, jaka dominuje w rosyjskich wsiach na wiosnę. Ogródki – chyba nawet marchewka rosła w nich bura albo biała, porozwieszana na sznurkach bielizna też była jakaś taka poszarzała. A między domkami chodzą chude pstrokate kury.

Ja sam jestem mieszczuchem i takie wsie widzę zwykle z okien pociągu, wiozącego szczęśliwych mieszkańców Moskwy do Petersburga czy Jekaterynburga. I zawsze wtedy pocieszam się myślą, że takie wsie są tylko przy torach, w pobliżu dużych miast, skąd młodzież wyjeżdża, kiedy tylko dostanie dowód. A gdzieś w głębi są na pewno takie prawdziwe wsie, jak w podręcznikach „Kraj ojczysty”. Domy murowane albo drewniane, porządne

ploty, rzeźbione okiennice na oknach. Gdzieś tam. Na Kubaniu. Albo na Syberii.

Tutaj ta smętna szarość była szczególnie szokująca na tle wielobarwnej, kwitnącej natury.

Byli też ludzie. Na brzegu rzeki siedziała z wędkami grupka mężczyzn i dzieci w wieku przedszkolnym. Dziwne. Na ryby powinni chodzić dorośli i nastoletnie pętaki, a nie maluchy, które nie są w stanie utrzymać wędki w ręku. Wyglądało to tak, jakby wśród miejscowej ludności była nienaturalna przerwa wieku.

I wszyscy się uśmiechali. Rozmawiali o czymś półgłosem, przerzucali się krótkimi okrzykami: „Bierze!” „Aha!” „Twoja!” „Tak!”. Jakby nie chcieli tracić sił na bardziej skomplikowane słowa. Albo już nie umieli ich używać.

Usiadłem naprzeciwko na drugim brzegu. Moje pojawienie się nie wywołało zdumienia czy ożywienia. Kilka uśmiechów, kiwanie rękami, to wszystko.

Wyjąłem papierosy i zapaliłem, przyglądając się ludziom. Przecież to byli nasi! Z naszej Ziemi! Nie stąd i nawet nie z Kimgimu!

– Nie, Dima – wymruczałem. – Nie przypuszczam, żeby to się nadawało na nową ideę narodową. Mogę mieć tylko nadzieję, że to nie Arkan. Że to nie Rosja w dwa tysiące czterdziestym roku.

Jeden z rybaków wstał. Poparzył na mnie, odłożył wędkę i wszedł do wody – nie rozbierając się, nie zdejmując butów, nawet nie podwijając spodni! Niemal do połowy rzeki szedł w bród, z pięć metrów przepłynął i znowu zaczął iść, wyraźnie kierując się w moją stronę.

No, wreszcie jakaś reakcja!

Nie zwracając uwagi na ściekającą z niego wodę, mężczyzna podszedł do mnie i usiadł na trawie, uśmiechając się serdecznie. Miał ponad czterdzieści lat, ale wyglądał na mocnego, krzepkiego, zdrowego i całkiem zadowolonego.

– Dzień dobry, chłopaczku!

– Dzień dobry, dziadźko!

Skąd mi się wziął ten dziadźko. Z jakiej racji? Ale mężczyzna się nie obraził, tylko zapytał:

– A nie masz ty czasem co zapalić?

– Co bym miał nie mieć, mam – odpowiedziałem, dostosowując się do jego stylistyki, i podsunąłem paczkę z papierosami.

Jednego mężczyzna zapalił, a następne dwa, pytając spojrzeniem o pozwolenie, schował do kieszeni koszuli – mokrej kieszeni. Tylko wzruszyłem ramionami.

– Uu... – powiedział mężczyzna, z rozkoszą wypuszczając dymek. – Nazywam się Sasza. Wujek Saszko.

– A ja Kirył.

– I z daleka przychodzisz, Kirył?

– Nie. – Wskazałem ręką w stronę wieży. – Nie za bardzo.

– Czyżby otworzyło się nowe przejście? – ucieszył się mężczyzna. – No to żyjemy! A skąd jesteś?

– Z Moskwy.

– A ja z Połtawy.

Wyczerpując w ten sposób wszystkie tematy do rozmowy, wujek Saszko rozciągnął się na trawie, nie wypuszczając papierosa z zębów.

– I od dawna tu jesteś, wujku Saszko? – zapytałem.

– No... – Zastanowił się, przekładając w zębach papierosa. – Będzie ze dwa lata. Albo i trzy. Gorbacza kiedy obalili?

– Gorbaczowa? – zdumiałem się. – Prezydenta ZSRR?

– O to, to!

– Dziesięć lat... nie, co ja mówię, piętnaście lat temu! Nawet go dobrze nie pamiętam – wyznałem nie wiadomo po co.

– Piętnaście? Ho, ho! – zachwycił się Saszko. I na tym skończyło się jego zainteresowanie czasem przeżytych poza Ziemią. Podłożył rękę pod głowę, z przyjemnością wypalił papierosa do końca i mistrzowskim splunięciem posłał niedopałek w stronę rzeki.

– Dużo ludzi tu teraz mieszka? – zapytałem.

– Teraz sporo – przyznał ochoczo Saszko. – Początkowo mieszkałem tu sam, z kumplami, znaczy. A potem ludzi robiło się coraz więcej.

– A jak pan tu trafił?

– No a jak się ludzie trafiają... – Saszko westchnął, ale nie ze smutkiem, raczej z przyzwyczajenia. – Z jednym typkiem żem się poprzytykał... Mądrała

się znalazł! Dał mi w oko i sam też dostał, ale się nie uspokoił. Postanowiłem go wysledzić i wysledziłem. Dom miał dziwny, sto razy obok przechodziłem i nie zauważyłem. Przyszedłem w nocy z dwoma kumplami... Ale nie myśl sobie, my tylko tak, chcieliśmy mu po mordzie nakłaść! A że z żelastwem... No to on przecież tak walczył, że bój się Boga! No i...

Saszko zamilkł. Pokiwałem głową i nie dopytywałem się, co było dalej. Wszystko jasne, trzech durniów, nawet uzbrojonych w gazrurki nie jest w stanie wyrządzić krzywdy funkcyjnemu, który przecież umie walczyć wręcz. To nie związywanie stukniętej staruszki. No a potem wrzucono ich tutaj.

– Jak się nazywa ten świat? – zapytałem.

– Nirwana – odpowiedział ochoczo Saszko.

Wstałem i jeszcze raz obejrzałem ubogą wieś i wszystkich jej zadowolonych mieszkańców. Z jednego domku wyszła gruba rudowłosa kobieta, coś gardłowo i niezrozumiale wrzasnęła – może po rosyjsku, po norwesku, a może po szwedzku. Jeden z rybaków wstał, podniósł siedzącego obok kilkuletniego brzdąca, posadził sobie na barana i poszedł w stronę domku.

O wędkę się nie zatroszczył. Zostawił ją na brzegu, żeby sobie leżała i moczyła się w wodzie.

Musiałem przyznać, że to całkiem sprytny pomysł. Nie do końca więzienie, nie do końca psychiatryk. Kolorowy, piękny, bezpieczny świat, w którym na skutek jakiegoś kaprysu przyrody człowiek znajduje się w stanie lekkiej euforii. Jeśli ktoś stanął na drodze funkcyjnemu, nie trzeba go zabijać, nie trzeba zastraszać! Bierzesz i dostarczasz go do Nirwany – sam stąd na pewno nie wyjdzie. Żeby było bardziej humanitarnie, ktoś postawił domki – byłem pewien, że wujek Saszko i jego przyjaciele by się o to nie zatroszczyli – ktoś posadził jabłonie. Po drugiej stronie rzeki rosły chyba ziemianki. W rzece są ryby, kury znoszą jaja. Co jeszcze jest potrzebne człowiekowi do życia?

Całą resztę – jakieś tam aspiryny i antybiotyki, ubrania, mleko modyfikowane dla dzieci – na pewno im dostarczają.

Zrozumiałem już, dlaczego we wsi mieszkają jedynie dorośli i małe dzieci. Masowe zasiedlenie Nirwany zaczęło się siedem czy osiem lat temu. Dzieci się

rodzą – widocznie narkotyczna euforia nie zabija wszystkich pragnień – ale na razie są jeszcze małe.

Chyba funkcyjni nie będą mieć do mnie żalu, że otworzyłem drzwi właśnie do tego świata. Przecież jest im potrzebny.

Ale dlaczego przejście otworzyło się właśnie tutaj?

I nagle zrozumiałem. Chciałem zobaczyć Rosję przyszłości. Co ja poradzę, że w mojej podświadomości ta przyszłość wygląda właśnie tak: słabi narkotyzowani mieszkańcy, leniwie grzebiący w ziemi, równie leniwie rozmnażający się i właściwie niczym niezainteresowani?

Polityk usiłował mnie namówić, żebym otworzył drzwi do Arkanu, ale tak dużo mówił o przyszłości Rosji, że we śnie odnalazłem świat maksymalnie zbliżony do moich wyobrażeń o tej przyszłości. Gdybym podświadomie wierzył w marmurowe pałace i szklane domy, być może znalazłbym taki właśnie, szklano-marmurowy świat.

Słowa są pułapką. Jeśli źle zrozumiałeś rozmówcę, to bez względu na wszystkie twoje wysiłki ten nieprawidłowy sens tłucze się w twojej podświadomości.

– Wujku Saszko, a skąd tutaj przychodzą ludzie? – zapytałem.

– Z góry rzeki – odparł były mieszkaniec Połtawy. – Tam jest przejście. Bliziotko, pół godziny drogi.

– Aha... – Zastanowiłem się, wyjąłem paczkę papierosów i podałem kilka Saszce. – Dziękuję. Powiedz, wujku Saszko, nie chciałbyś wrócić do swojej Połtawy?

– A czego ja tam zapomniałem? – Mężczyzna zdumiał się szczerze. – Kielbasy na kartki czy kurczaka od święta?

Nie tłumaczyłem mu, że kartki na kielbasę odeszły razem z byłym sekretarzem generalnym Gorbaczowem. Diabli wiedzą, jak tam ludzie żyją w tej Połtawie. Zresztą, czy po piętnastu latach życia w rastamańskim rajku wujek Saszko zdołałby zaaklimatyzować się na nowo w naszym świecie?

– A może zostaniesz? – zaproponował Saszko. – Zjesz z nami, żona rano barszczyk z kurczakiem zrobiła.

No tak, skoro są tu mężczyźni i kobiety, to trudno się spodziewać, że będą żyć w celibacie. Pojawiły się rodziny, urodziły dzieci. Albo na odwrót.

– Nie, dziękuję. Pójdę już.

– Jak chcesz. – Wujek Saszko wstał, strzepnął z kieszeni przyklepiony piasek. – A potem, jak byś chciał, to wracaj. Wiesz, jak tu dobrze? Nawet pić się nie chce.

Ale i ten argument mnie nie przekonał. Strasznie chciałem zobaczyć się z moim sąsiadem-funkcyjnym.

* * *

Biorąc pod uwagę galimatias czasowy, jaki panował w głowie wujka Saszki, spodziewałem się, że spacerek może potrwać kilka godzin. Ale to faktycznie było trzydzieści minut niebyt szybkim krokiem, czyli najwyżej trzy kilometry. Na lewym brzegu rzeki ciągnęły się soczyste zielone łąki, na prawym, którym szedłem, był ciągle ten sam porzucony sad.

Kolega-celnik mieszkał na rzece, dosłownie. Rzekę przegradzała niewysoka tama, pośrodku widniało wysokie, może czterometrowe, koło wodne. Nad tamą i kołem na grubych drewnianych słupach stał... chyba młyn? W każdym razie od koła biegła przekładnia pasowa, a w środku budowli coś huczało i dudniło. Na brzeg rzeki schodził zrobiony z desek mostek. Drzwi do młyna były otwarte, przynajmniej te od strony prawego brzegu. Za nimi płasało czerwone światło, jakby palił się tam ogień.

Zresztą, chyba rzeczywiście się palił – w górę płynął dymek.

– Hej, sąsiedzie! – zawołałem, zatrzymując się przed mostkiem. Poczulem, że nie należy wchodzić na niego bez pozwolenia, że byłoby to nieprawidłowe, nieuprzejme. – Jak tam mąka? Miele się?

Rozległ się śmiech i w drzwiach pojawił się celnik – wysoka, barczysta kobieta w skórzanych spodniach i grubym skórzanym fartuchu na gołym ciele. Odruchowo odwróciłem wzrok i teraz patrzyłem tylko na jej twarz. Kasztanowe włosy były zebrane w mocny węzeł i przewiązane... chyba wstążką, ale nie z materiału, lecz z malutkich srebrzystych ogniwi. Kobieta trzymała w rękach wielkie masywne szczypce, w których tkwił rozgrzany do czerwoności kawałek metalu.

– Witaj, sąsiedzie! – powiedziała. – Poczulałam rano, że pojawiły się nowe drzwi, i cały czas czekałam. Ale maki tu nie ma. To nie młyn, to kuźnia.

– Wybacz. – Nie wiem, co peszyło mnie bardziej, moja głupia pomyłka, czy widok tej... kowalki?

– Jestem kowalem. – Kobieta się uśmiechnęła. – Nie męcz się, słowo „kował” nie ma rodzaju żeńskiego. Jestem kowal Wasylisa.

– A ja dobry mołojec Iwanuszka, szukam narzeczonej, którą Kościej pojmał...

Anka często mi powtarzała, że moje żarty są kretyńskie. Nie przeczę. Ale czasem się udają.

Kowal Wasylisa opuściła rękę ze szczypcami i z czystą, szczerą ciekawością zapytała:

– Poważnie?

– Nie, nie, oczywiście że nie. Ja tylko tak, dostosowuję się do atmosfery. – Rozłożyłem ręce. – Kuźnia... Wasylisa...

– To piękne rosyjskie imię – zauważyła z urazą kobieta. – I jak mnie nazwiesz Wasią, dostaniesz po karku. A rękę, sam rozumiesz, mam ciężką. Wchodź, Kirył, będziesz moim gościem.

Początkowo sądziłem, że Wasylisa jest ode mnie sporo starsza, ale teraz pomyślałem, że jesteśmy rówieśnikami. Była w niej jakaś dobrodusznostwa prostota, z rodzaju tych, jakie spotyka się właśnie w bajkach.

Parter budynku zajmowała kuźnia. Nie wiem, jak powinna wyglądać prawdziwa kuźnia, w tej było pięć czy sześć kowadeł, ustawionych w rzędzie – od największego, wielkości stołu, do malutkiego, na którym można by podkuwać pchły. Były trzy piece, też różnej wielkości, ogień palił się w średnim, i jeszcze wielkie miechy, rodem ze szkiców Leonarda da Vinci, właśnie do nich potrzebne było koło wodne. Miechy umocowano na mechanizmie, dzięki któremu można je było przesuwac do dowolnego pieca. A na podłodze leżała góra żelastwa – zdumiewające połączenie zardzewiałych resorów i lśniących mieczy.

– Podoba ci się? – spytała Wasylisa. – Widzę, że ci się podoba. Podaruję ci coś.

Ale nie grzebała w złomie, otworzyła szafę pod ścianą – zwykłą szafę, tylko zamiast koszul znajdowała się tam broń.

– Trzymaj!

Dostałem długi kindżał w skórzanej pochwie. Rękojeść owinięto niewyprawionym rzemieniem, broń wyglądała wspaniale i, w odróżnieniu od noży w sklepach z pamiątkami, groźnie.

– Dziękuję – powiedziałem, rozumiejąc, że nie mogę nie przyjąć prezentu.

– Słuchaj, nie można darować noży...

– Nie jestem przesadna.

– Ale ja jestem. – Znalazłem w kieszeni rubla i wręczyłem Wasylisie. – Dziękuję, sąsiadko. Jesteś prawdziwą mistrzynią... mistrzem!

Tak, słowo „mistrzyni” pasowałoby do haftu czy robótki na drutach, ale nie do kutego kindżału.

– Jestem głupia – westchnęła Wasylisa. – Komu to wszystko potrzebne...

A tam! – Machnęła ręką. – Chodźmy na górę, poczęstuję cię herbatą. Skąd jesteś, Kiryle?

– Z Moskwy.

– A ja z Charkowa.

Miała czterdzieści dwa lata, a wyglądała na trzydzieści kilka, u funkcyjnych to normalne. Kiedyś pracowała w fabryce traktorów, ale nie w kadrach czy księgowości, tylko w wydziale kuźniczym. Rzecz jasna, nie machała młotem, tylko sterowała prasą kuźniczą.

A potem to już była zwykła historia. Zapomnieli o niej w pracy. Była uparta i dwa razy zatrudniała się na nowo, ale następnego dnia znów o niej zapomniano. Mąż zamknął jej drzwi przed nosem, mimo płaczu dzieci. „Powariowaliście?! Matka umarła trzy lata temu!”. Najwyraźniej otoczenie podświadomie znajdowało sobie racjonalne wyjaśnienia tego, co się działo. Dzień później zapomniały o niej również dzieci. A potem na ulicy listonosz wręczył jej telegram, w którym nakazywano jej przybyć na obrzeża miasta. Tam Wasylisa ujrzała... Nie, nie wieżę – porzucony dom z cegły.

Drzwi miał troje. Jedne prowadziły do Charkowa. Drugie do pustego kamienistego świata, z mroźną zimą i upalnym latem – funkcyjni powiedzieli, że to świat numer czternaście, który w zasadzie nikomu nie jest potrzebny.

A trzecie prowadzą tutaj, do Nirwany. Tym światem funkcyjni bardzo się zainteresowali.

– Zesłanie – podsumowałem, pijąc herbatę.

Wasylisa nakryła do stołu na pierwszym piętrze. Poczęstunek typowo kobiecy: herbata, konfitury, owoce i cukierki. Nawet zaproponowała mi koniak, ale odmówiłem. Przebrała się w jasną sukienkę, rozpuściła włosy. Teraz nie wyglądała już tak ekstrawagancko, po prostu jak potężna kobieta, która mogłaby trenować rzut młotem czy kulą. A przy tym nie wyglądała jak babochłop, była całkiem przystojna – jeśli komuś podobają się duże kobiety.

– Nie, to nie jest zesłanie – zaprotestowała Wasylisa. – Oczywiście, to też się zdarza, jeśli ktoś... Ale w gruncie rzeczy ten świat ma przed sobą przyszłość.

Wyraźnie miała kompleksy z powodu tego „zesłania”, do którego otworzyła przejście.

– Przyszłość?

– Oczywiście. Wygodnie się tu żyje. Ale zwykli ludzie się tu upijają.

– Ja też, początkowo... Wszystko wydawało mi się takie kolorowe. Takie piękne...

Wasylisa skinęła ze zrozumieniem głową, a ja zaryzykowałem hipotezę:

– Tlen?

– Co? – zapytała ze zdumieniem Wasylisa. – Co tu ma do rzeczy tlen? To psychodeliki.

Palnąłem się w czoło. Idiota! Wprawdzie nigdy nie eksperymentowałem z narkotykami, ale objawy były wręcz klasyczne.

– Tu jest bardzo łagodny klimat – mówiła dalej Wasylisa. – Śniegu nie ma nawet zimą, a w glebie żyją małe grzybki, które razem ze sporami wydzielają halucynogeny o działaniu podobnym do działania LSD. Dokładnie zbadałam tę kwestię. I tak nie miałam nic do roboty, klientów niewielu.

Na pomysł skolonizowania Nirwany (świata numer dwadzieścia dwa) funkcyjni wpadli niemal od razu. Wasylisę mianowano osobą odpowiedzialną za projekt. Prócz ludzi, którzy w ten czy inny sposób weszli w konflikt z funkcyjnymi, wysyłano tu alkoholików i narkomanów, którzy z reguły wpadali w zachwyty od ciągłego, bezpłatnego haju nieomroczonego ani kacem

ani zejściem. To był prawdziwy raj dla narkomanów. Nikt nie zamierzał uciekać z Nirwany.

Sad jabłoniowy był pomysłem Wasylisy, jak zrozumiałem, to właśnie ona sadziła go przez kilka pierwszych lat. Może kierowała nią ironia – uczynić z Nirwany parodię raj, a może zdrowy rozsądek – jabłoń była najmniej wymagającym drzewem owocowym. A po kilku tygodniach całkowitej bezwolności i apatii mieszkańcy Nirwany stawali się zdolni do minimalnej samoobsługi. Łowili ryby, hodowali w ogródkach jakieś warzywa, trzymali kury.

– Duże nadzieje wiążemy z dziećmi – wyjaśniła Wasylisa. – Dorośli z czasem normalnieją, ale pewnie nigdy nie wytrzeźwieją do końca. Ale dzieci, które tu się urodziły, prawie się przystosowały. Są łagodne i wesołe. Straszne wiercipięty, ale potrafią się uczyć.

– Ty je uczysz? – zapytałem.

– Tak. – Zaczerwieniła się, jakbym przyłapał ją na czymś niewłaściwym. – Czytać, pisać i liczyć. Starsze dzieciaki już nawet czytają same, ciągle proszą, żeby im przynieść nowe książki. Bardzo lubią fantastykę, szczególnie nasze książki o dzieciach, które uczyły się w czarodziejskiej szkole. Ile ja im tych książek już przyniosłam! Dobrze chociaż, że dużo wypuszczają, co miesiąc jest nowa. Tylko o Harrym Potterze nie lubią czytać, tam już trzeba myśleć, a im ciężko się skupić, grymaszą, marudzą. Często do nich chodzę, patrzę co i jak. Przecież i tak mam mało pracy, to jak tu nie pomóc, i dzieciom, i dorosłym?

– A gdyby ich odesłać do naszego świata? Przynajmniej dzieci? Dlaczego mają tu cierpieć?

– Czemu cierpieć? – oburzyła się Wasylisa. – Tutaj są ich rodzice, których kochają. Nie ma tu żadnych wojen, bandytów, nikt nikogo nie zabija. Wszyscy są najedzeni i ubrani. Zresztą, oni już nie mogą się przenieść.

– Dlaczego?

– Zaczęłyby się trwale zejście – odparła Wasylisa.

– Sąsiadko? – spytałem po chwili milczenia. – Nie przeniesiesz czasem tych grzybków do nas?

– Nie martw się, w waszym świecie one nie są w stanie przeżyć – odpowiedziała spokojnie Wasylisa. – To już sprawdzono.

– A gdyby tak je uzdatnić do uprawy?

Popatrzyła na mnie, nie rozumiejąc, potem zaśmiała się nagle i równie nagle spoważniała.

– Nie, sąsiedzie. Nie warto. Wiesz, jak to jest, gdy człowiek rąbie drwa, trafia się w rękę, śmieje się i siada, żeby popatrzeć, jak płynie krew?

– Nie wiem.

– A ja wiem.

– Przepraszam – powiedziałem. Zrobiło mi się wstyd. – Czasem tak głupio żartuję.

– Zauważyłam. Może konfitur?

Odmówiłem. Wstałem, przeszedłem się po pokoju, popatrzyłem w okna. Od strony Charkowa zobaczyłem pierwsze piętro budynku stojącego na cichej i, mimo późnej jesieni, zielonej i słonecznej uliczce. Przechodzili jacyś lekko ubrani ludzie. Kilometr dalej, na dachu wysokiego budynku sterczały anteny, jakby przekaźnik telewizyjny. Sympatyczne miasto. Pomyślałem, że warto by tu kiedyś przyjść, zjeść pielmienie, napić się horilki. Oczywiście, pod warunkiem, że w pobliżu jest jakaś kawiarnia czy restauracja – mój związek z wieżą był teraz napięty. Pewnie mógłbym oddalić się jeszcze na kilometr lub dwa, nie więcej.

W drugim oknie krajobraz nie był już taki idylliczny. Niskie, szare chmury, przez które ledwie przeświecało słońce, zaśnieżona równina, po której wiatr miotał kłującym lodowym pyłem.

– Za drzwiami są ze dwa cetnary mrożonych owoców – oznajmiła Wasylisa. – Wykorzystuję ten świat w charakterze zamrażalnika. Oczywiście tylko zimą, ale tu zima trwa dziewięć miesięcy.

– Północ?

– Nie. Podobno równik. Według wachlarza to bardzo odległy świat. Wydaje mi się, że nie chodzi o Ziemię. Tu nawet słońce słabo grzeje. – Zamilkła i po chwili dodała: – I nie ma księżyca.

– Jak cię tu zaniósł? – palnąłem.

– Nie chciałam żyć, Kiryle – powiedziała Wasylisa, podchodząc do mnie. Nie rozczulała się nad sobą, po prostu mnie informowała. – Kochałam męża. A już gdy dzieci mnie zapomniały...

– Przepraszam. – Poruszyłem ramionami. – Nie pomyślałem. Bardzo mi przykro. Ja nie jestem żonaty, niedawno rozstałem się z dziewczyną... mnie było łatwiej. Tylko rodzice... ale oni są zupełnie samowystarczalni. Bardzo ci było ciężko?

– Na początku tak – powiedziała szczerze. – Ale czas leczy rany. Poza tym, dzieci są zdrowe, już dorosły.

Odwróciłem się i popatrzyłem na nią – i zostałem zamknięty w mocnych objęciach. Pocałunek kowalki (już lepsze nieprawidłowe słowo niż pocałunek kowala!) był zdumiewająco czuły, namiętny i przyjemny.

Ale chwilę później Wasylisa oderwała się ode mnie i westchnęła.

– Wybacz, Kiryl. Młody jesteś... Nie chcę ci zawracać głowy. Zostaniemy przyjaciółmi, sąsiedzie?

Idiotyczna sytuacja. Doskonale rozumiałem, że nudząca się Wasylisa najzwyczajniej w świecie potrzebuje seksu. I to nie z uśmiechniętym kretynem ze wsi Nirwana, ale z jakimś funkcyjnym.

Szczerze mówiąc, ja też miałem ochotę na seks bez zobowiązań. Z przystojną, nieco oryginalną kobietą. Nigdy przedtem nie uprawiałem seksu z kobietą większą i silniejszą ode mnie, ale to tylko podniecało.

A jednocześnie czułem, że ona ma rację. Nie warto. Nie teraz, kiedy dopiero odnajduję się w nowej roli. Z naszych stosunków nie wyjdzie przelotny romans, oboje będziemy chcieli przydać mu powagi. Wasylisa na pewno zacznie dominować, mnie się to nie będzie podobało i rozstaniemy się, i to wcale nie jako przyjaciele.

Ale jeśli teraz unikniemy tego przypadkowego i niepotrzebnego romansu...

– Masz rację – powiedziałem. – Zostańmy przyjaciółmi. Posłuchaj, lubisz morze?

Wasylisa tylko się uśmiechnęła.

– Mam wyjście na Ziemię-siedemnaście – wyjaśniłem. – Przyjdź, jeśli będziesz chciała się wykapać i poopalać.

– Dziękuję ci, Kiryle – powiedziała poważnie. – To wspaniale. Zuch z ciebie!

Zostałem nagrodzony jeszcze jednym pocałunkiem, tym razem nie namiętym, lecz serdecznym.

– Przychodź – powtórzyłem stropiony. – A ja już pójdę, dobrze? Zapraszali mnie na imprezę do Kingimu.

– O! – zawołała Wasylisa i zastanowiła się. – Daleko od twojej funkcji do miejsca imprezy?

– Pięć kilometrów.

– Odpada. Ode mnie do ciebie jest w linii prostej siedem kilometrów. Od kuźni mogę się oddalać na dziewięć. Ale do ciebie zajrzę.

– Koniecznie!

Między nami zapanowała ta niezręczna cisza, jaka zwykle pojawia się między kobietą i mężczyzną, którzy już-już mieli zacząć się kochać, ale się rozmyślili. Tylko raz zdarzyło mi się coś takiego ale doskonale wiedziałem, że w takim wypadku nie należy przeciągać rozstania. Trzeba zrobić to szybko, wtedy jeszcze jest szansa na zachowanie dobrych stosunków.

– Idź, idź, mam trochę pracy – powiedziała nieszczercze Wasylisa. – Ty pewnie też się śpieszysz. Pójdiesz przez wieś?

Skinałem głową.

– Jeśli to nie kłopot... Mógłbyś mi pomóc? Ciągle nie mogę się wybrać, żeby zanieść im ubrania.

– Żaden kłopot! Oczywiście, że zaniosę.

16.

Nie wiem, jak odbierają to inni, ale ja, uczestnicząc w jakiejś akcji charytatywnej, odczuwam pewną niezręczność. Czy rzucam drobniaki do futerału od gitary, na której w przejściu podziemnym młody chłopak gra cudze melodie, czy wsuwam banknot do ręki żebrzącej babci, czy zanoszę do cerkwi swoje stare ubrania „dla biednych”, zawsze czuję się winny.

Dlatego że jestem bogatszy? O, nie zawsze nędzarz, który stoi pod sklepem zarabia mniej ode mnie. Dlatego że mi się bardziej poszczęściło? Ale fortuna kołem się toczy i moja dobroczynność wcale nie gwarantuje, że ktokolwiek pomoże mnie, jeśli nieszczęście zastuka do moich drzwi.

Myślę, że chodzi o akceptację samego faktu żebrania. Nie dziwię się, że Worobianinow do końca nie chciał żebrać, krzyczał, że nie wyciągnie ręki, a złamany przez Ostapa Bendera posunął się do zabójstwa. Zmuszanie do żebrania jest nie mniej ohydne niż zmuszanie do prostytucji. A każda rzucona do kubka moneta jest w jakimś stopniu aprobatą żebrania.

Nie na darmo znana mądrość mówi, żeby dawać człowiekowi nie ryby, lecz sieci do łowienia ryb.

Idąc brzegiem rzeki z powrotem do wsi, czułem się w pewnym sensie odpowiedzialny za tę dziwną wioskę. Wprawdzie to nie ja wymyśliłem to ekstrawaganckie zesłanie, nie w mojej głowie zrodziły się plany zasiedlenia Nirwany, ale ja jestem funkcyjnym. Jednym z tych, którzy wrzucają tu ludzi. Czynią ich bezbronnym ludzkim materiałem, którego rola zostaje sprowadzona do płodzenia i rozmnażania się.

Jakby się tak zastanowić, to właściwie jest główna funkcja każdego człowieka. Ale my mamy chociaż iluzję, że rodzimy się nie po to, żeby stać się

ogniwem w łańcuchu pokoleń, a potem pójść do piachu. Jedni mają iluzję pieniędzy, inni władzy, jeszcze inni twórczości.

Pewnie dlatego człowiek czuje się niezręcznie przy spotkaniu z ludźmi, którzy już utracili swoje złudzenia i teraz tylko jedzą, piją, śpią i kopulują, zaćmiewają swój umysł alkoholem lub narkotykami.

Spacer po brzegu rzeki z ciężkim tobołkiem na plecach sprzyjał takiemu filozofowaniu. Najlepiej wyrażona cecha charakteru Rosjanina – wzywać do miłości do upadłych, współczuć kalekom i obłąkanym, i czuć się winnym, że świat jest niedoskonały. Być może właśnie ta cecha nie pozwala Rosji odnaleźć swojej idei narodowej. Ale jakoś nie miałem ochoty proponować Dimie hasła „biada poniżonym”. Być może kraj by na tym skorzystał, ale wtedy byłby to już zupełnie inny kraj.

We wsi nic się nie zmieniło. Tylko wędkarzy siedziało teraz mniej – pięciu. Na mój widok uśmiechnęli się debilnie. Poszukałem wzrokiem swojego znajomego, wujka Saszko, ale widocznie po barszczyku z kurczakiem poszedł spać. Wasylisa radziła oddać rzeczy albo jemu, albo nieznanemu mi Markowi, albo kobiecie o imieniu Anna. Zrozumiałem, że byli to najdawniejsi i najbardziej zaadaptowani mieszkańcy Nirwany.

– Marek! – zawołałem. – Anna!

Żadnej odpowiedzi. Tylko gapią się zza rzeki uśmiechnięte przygłupy. Westchnąłem i wszedłem do wody. Ech, trzeba było przejść na drugą stronę rzeki przez kuźnię, że też od razu o tym nie pomyślałem! No nic. Wysusza sobie te szmaty.

Mokry i zły, w adidasach pełnych mułu, wyszedłem na lewy brzeg. Węzełek z ubraniem namiękł i zrobił się katastrofalnie ciężki. Gdybym nie był funkcyjnym, pewnie bym go nie utrzymał. Kindżał-prezent od Wasylisy spoczywał w skórzanej pochwie i klepał mnie po biodrze. Niezbyt potrzebna rzecz, ale głupio było wyrzucić czy odmówić.

– Gdzie mogę znaleźć Annę? – spytałem pierwszego z brzegu wędkarza, chudego chłopaka o niezdrowo żółtej twarzy. Przyjrzałem mu się i spostrzegłem, że łowi ryby w szczególny sposób: żyłka spoczywała na wodzie bez haczyka.

– Anna... – Chłopak pokiwał głową. – Anna...

Wzrok miał pusty i bezmyślny. No tak, od niego niewiele się nie dowiem.

– Anna jest tam – powiedział siedzący obok mężczyzna, nieco starszy, o zdrowszym wyglądzie. – Tam.

Popatrzyłem na jego rękę, wskazującą kierunek, skrzywiłem się na widok długich, brudnych paznokci i skinąłem głową.

– Dziękuję.

Rzeczywiście znalazłem Annę we wskazanym budynku. Wszedłem, drzwi były otwarte. W jednym pokoju, dość czystym, z wilgotną, niedawno umytą podłogą, znajdowały się dwie kobiety. Jedna leżała nieruchomo tyłem do mnie, na prycy zbitej z desek, ale chyba sęki jej nie przeszkadzały, chociaż miała na sobie tylko majteczki i stanik. Druga, ubrana w kretonową sukienkę w groszki, stała boso i prała w czerwonej plastikowej miednicy, ustawionej na środku pokoju na chwiejnym krześle – również plastikowym i czerwonym. Kobieta wyglądała na zmęczoną i po przejściach, ale uparta i wytrwała. Na ugniataną w miednicy bluzkę patrzyła z czułością, jak na kotka czy pieska przygarniętego do domu i teraz szorowanego z ulicznego brudu.

– Anna?

– Tak?

Moje pojawienie się nie wzbudziło ciekawości. To chyba był główny problem mieszkańców Nirwany – nic nie było w stanie ich zainteresować.

– Wasylisa prosiła, żeby przekazać.

Rzuciłem na podłogę mokry tobołek, który plasnął miękko. Ubrania, pewnie z second-handu, zawinięto w zasłonę albo narzutę; przez mokry materiał było widać podeszwę dziecięcego buta.

– Dobrze – powiedziała kobieta. – Dziękuję.

Najwyraźniej nie miała zamiaru odrywać się od prania. Sądząc po wyrazie twarzy, ten proces sprawiał jej przyjemność. Anna coś cichutko szeptała do pranej koszuli; wydawało mi się, że z ruchu jej warg przeczytałem: „Moja ty śliczna...”.

Rany boskie. Wyobraziłem sobie gospodynie domowe, które cackają się z odkurzaczem, bawią z rondelkami i uwielbiają swoje pralki. Zajęcia

domowe przestałyby być niewolnictwem, a stały się rozrywką – wystarczy odrobina psychodelików w powietrzu...

– A co z nią? – zapytałem, gdy już miałem wyjść.

Anna spojrzała na leżącą na pryczy dziewczynę. Ta poruszyła się, jakby wyczuła spojrzenie.

– Nowa... – oznajmiła Anna. – Śpi. Na początku wszyscy dużo śpią, dużo myślą.

Coś mnie niepokoiło w tej kobiecie drzemiącej na pryczy. Jakbym... jakbym już ją gdzieś widział... Nie tak lekko ubraną, oczywiście. A raczej... ciepło ubraną...

Podszedłem do pryczy, wziąłem leżącą za ramię i ostrożnie odwróciłem.

Dziewczyna, która dwa dni temu rzuciła na podłogę w wieży list, uśmiechnęła się do mnie i powiedziała:

– Celniku...

Z jej ust płynęła cienka niteczka śliny, prawy policzek był czerwony od leżenia na deskach.

Może gdyby mnie nie poznała, zawahałbym się. Ale w tym wypadku nie.

– Ona pójdzie ze mną – powiedziałem.

– Trudno jej teraz chodzić – powiedziała Anna, nie protestując, a jedynie informując mnie. Widocznie to był najsilniejszy opór, do jakiego byli zdolni mieszkańcy Nirwany.

– To nic, ja jej pomogę – powiedziałem, podnosząc dziewczynę i kładąc sobie na ramieniu. Bycie funkcyjnym ma swoje plusy! – Skąd ona się tu wzięła?

– Mistrz ją przyprowadził... wczoraj.

– Jaki mistrz?

– Mistrz – powtórzyła Anna; widocznie nie знаła imienia. – Mistrz będzie się gniewał, że ją pan zabrał.

– To nic. Grunt, żebym ja się nie gniewał. Kto bliżej, ten jest głównym mistrzem.

Zdaje się, że coś jeszcze mówiła, ale ja już wyszedłem z domku. Rozejrzałem się, czując się jak resocjalizowany terminator, ratujący Sarę

Connor, albo średniowieczny żołnierz, porywający ze zdobytego miasta dziewczynę na trzy dni.

Nikt nie próbował odebrać mi jeńca. W spojrzeniach kilku mężczyzn zabłysło jedynie naturalne zainteresowanie, nic więcej.

– Całkiem żeście tu zbutwieli – mruknąłem i przeszedłem rzekę w bród. Mała zimna kąpiel dziewczynie nie zaszkodzi.

* * *

Zrobiłem jeden postój, niedaleko wieży. Właściwie mógłbym dojść, ale postanowiłem chwilę odsapnąć i sprawdzić, jak się czuje mój „bagaż”.

Dziewczyna uśmiechała się błogo, zapatrzona gdzieś w głąb siebie. Poklepałem ją po policzku, usłyszałem w odpowiedzi ciche mruczenie i postanowiłem jeszcze poczekać z pytaniami. Zapaliłem papierosa zadowolony z odczuwania krótkotrwałej przyjemności zwykłej trucizny, a nie stałego, otępiającego haju.

– Celniku... – powiedziała znowu dziewczyna. Zmarszczyła brwi, chyba próbując skoncentrować na mnie spojrzenie. – Nie... nie zostawiaj...

Zrozumiałem i poklepałem ją po dłoni.

– Nie bój się. Nie zostawię cię tu.

Rozluźniła się i jej spojrzenie od razu otępiało, odpłynęło. Palilem, patrzyłem na dziewczynę i ze zdumieniem myślałem, że nie budzi we mnie żadnego podniecenia. A przecież była znacznie ładniejsza od Wasylisy... i od mojej Anki, jeśli mam być szczerzy. Ale ani młode opalone ciało, ani straszliwie droga koronkowa bielizna nie podniecały. Może z powodu bezmyślnych, osowiałych oczu?

A może dlatego, że zawsze uważałem, że takie dziewczyny są poza moim zasięgiem? To przecież tak jakby zakochiwać się w aktorce czy fotomodelce. Kiedy ma się piętnaście lat, to takie zauroczenie jest dobre do fantazji erotycznych, ale w przypadku dorosłego mężczyzny to już jest niepoważne. Takie dziewczyny są dla tych, którzy rozbijają się bentleyami czy jaguarami.

Albo dla funkcyjnych.

Z westchnieniem skiepowalem papierosa w miękkiej ziemi, wziąłem dziewczynę na ręce – odruchowo objęła mnie za szyję – i poszedłem do wieży. Niesienie jej w taki sposób było bardziej niewygodne, ale po tym, jak prosiła mnie o pomoc, nie mogłem jej nieść na ramieniu, jak dywan zwinięty w rulon.

Kwadrans później wniosłem uśmiechającą się błogo dziewczynę do wieży. Przy okazji zauważyłem, że moja funkcja wcale nie wygląda tak czarująco jak wydawało mi się na początku – żaden marmur, zwykły biały kamień, może nawet wapień. Kopniakiem zamknąłem drzwi, łokciem przesunąłem zasuwę. Tak. Co teraz? Do Moskwy, na jakiś detoks? Nie, nie warto.

Wdrapałem się na drugie piętro, wszedłem do łazienki i posadziłem dziewczynę w wannie. Poruszyła się, przykucnęła, objęła rękami ramiona.

Westchnąłem i powiedziałem:

– Wybacz, że bez żadnych zamiarów...

Nadal się uśmiechała. Ciekawe, jak długo będą działać psychodeliki. Trzeba było zapytać Wasylisę.

– Bez żadnych zamiarów – powtórzyłem, przekonując nie wiadomo kogo, i zdjąłem jej stanik, potem pomogłem ściągnąć majteczki. W końcu, czy to pierwsza kobieta, którą rozbieram? Nie, nie pierwsza. Szósta... nie, piąta.

A jeśli liczyć tylko proces doprowadzony do końca, trzecia.

Dziewczyna właściwie nie potrzebowała kąpieli – Nirwana była bardzo czystym światem – ale chciałem, żeby jak najszybciej doszła do siebie.

Trzy minuty siedziała pod strugami gorącej wody. Potem, szczerze żałując, że mam zwykłą wannę, a nie żadne wypasione jacuzzi, urządziłem jej szkockie bicze – dziesięć sekund lodowatej wody, potem znowu gorąca. Zobaczyłem, że to nie działa, i zacząłem puszczać lodowatą wodę po dwadzieścia sekund. Wierście mi, niesamowita rozrywka. Zwłaszcza gdy na dworze zimno, a lejąca się z kranu woda jest naprawdę lodowata.

Pięć minut później ten naprzemienny prysznic przyniósł wreszcie efekt.

– Prze... przestań – wyjąkała dziewczyna. – Wystarczy...

– Aha! – ucieszyłem się. – Jak się nazywasz?

Ujrzałem mokrą i już nie taką rozanieloną twarz.

– Na... Na...

- Natasza?
- Nastia... Sta... Star...
- Nastia Star?
- Wystarczy!

Doszedłem do wniosku, że na początek to już nieźle. Zakręciłem kran, zdjąłem z wieszaka szlafrok. Nastia posłusznie wstała, narzuciłem na nią szlafrok i pomogłem wyjść z wanny.

- Możesz mówić? Nie wyłączysz się?
- Nie wiem.
- Chodź.
- Po... poczekaj. - Odsunęła mnie, spojrzała na sedes. - Wyjdź. Muszę...

Wyszedłem, podejrzewając, że za pięć minut będę musiał wejść i wtedy zobaczę uśmiechniętą błogo Nastię w połowie drogi do upragnionego celu. Ale ona okazała się silniejsza niż myślałem. Wyszła sama. Tyle że od razu zawisała na moich rękach i powiedziała:

- Wszystko się kręci...

W kuchni posadziłem ją na podłodze – z krzesła by spadła – i zrobiłem filiżankę mocnej, słodkiej kawy – trzy łyżki kawy, tyle samo cukru, zalać wrzątkiem; nie chodziło o smak, tylko o to, żeby było jak najwięcej kofeiny. Zmusiłem ją do wypicia. Popatrzyłem w okno prowadzące do Kimgimu i pokręciłem głową. Już wieczór. Nieładnie byłoby nie przyjść do restauracji Feliksa. Wyglądałoby to arogancko, jakbym nie chciał utrzymywać kontaktów z sąsiadami.

- Jak się czujesz?
- Zaraz zasnę – odpowiedziała wyraźnie Nastia. - Nie mam siły...
- Co się z tobą stało? Dlaczego wrzucili cię do Nirwany?

Najwyraźniej zbyt wiele od niej wymagałem. Oczy jej się same zamykały, cały czas usiłowała położyć się na podłodze. Poddąłem się, zaprowadziłem ją do sypialni, położyłem na swoim łóżku. Od razu zasnęła snem kamiennym. Nawet zaczęła leciutko pochrapywać.

- Jasne – powiedziałem, przykrywając ją kołdrą. - Dobrej nocy.

To chyba naturalna reakcja. Organizm pozbawiony działania psychodelika powinien być albo pobudzony, albo ociężony. Dla mnie osobiście korzystniejszy był wariant drugi.

Obszedłem pokój, zaglądając we wszystkie okna.

Moskwa. Ponuro, ale nie pada. Wieczór, w oknach domów widziałem światła, ale latarnie były jeszcze zgaszone.

Kimjim. W głuchym zaułku nie ma okien ani latarni, więc jest bardziej ciemno, za to wszystko przyprószone śniegiem. Niebo ciężkie, śnieżne, ale opadów być nie powinno.

Ziemia-siedemnaście. Malowniczy zachód słońca nad morzem. Błękit nieba przechodzi w intensywną niebieskość, potem w fiolet, wreszcie w czystą tropikalną ciemność. A wszystko doprawione różem. Takie rajskie tapety lubią ustawiać na monitorze komputera starszawe księgowo i młodziutki sekretarki.

Nirwana. Jabłoniowa idylla. Zielona trawa, niebieskie niebo... tu słońce jest jeszcze wysoko.

Jakie będzie moje ostatnie okno?

Wzruszyłem ramionami. Nic nie poradzę. Co ma być, to będzie.

Najwyższy czas zacząć zbierać się do Feliksa. Chyba należało włożyć garnitur, ale nie zdążyłem się w niego zaopatrzyć. Musiałem ograniczyć się do nowej, czystej koszuli i świeżych skarpet. Kindżał też wyłożyłem i nawet wytarłem wilgotne jeszcze ostrze. O, zrobię sobie kominek i będę wieszał nad nim „rodową” broń.

Na stole zostawiłem list do Nastii: „Nigdzie nie idź, to może być niebezpieczne. Czekaj na mnie. Wrócę nad ranem”. I po krótkim wahaniu podpisałem się: „Celnik”.

Wychodząc, zgasilem światło. Drzwi do Kingimu otworzyłem z ponurym zamiarem pokonania wielokilometrowej drogi do restauracji jak najszybciej, w stylu policjanta Chaja.

Ale nie doceniłem Feliksa. Obok wieży stały znajome sanie, w których Karl – tamten kelner – nudził się i palił, ale nie banalnego papierosa, lecz fajkę o wymyślnym kształcie. Na mój widok zeskoczył na śnieg i zameldował:

– Powóz gotowy, mistrzu!

Widać było, że Karl z przyjemnością wykonuje polecenie swojego pana.

– Długo czekasz?

– To nic – odparł chłopak i zrozumiałem, że sanie stoją tu dość długo. Zresztą było widać po śladach, że od czasu do czasu ruszał saniami do przodu i do tyłu, żeby koń nie zmarzł. – Czekamy na pańskiego przyjaciela?

– Nie, ma go, wyruszył w podróż – powiedziałem ponuro. Wsiadłem do sań, przykryłem się pledem i ruszyliśmy.

* * *

Nie ma nic nowego pod księżycem. Nawet pod cudzym księżycem.

Na drzwiach restauracji wisiała tabliczka: „Zamknięte z powodu imprezy wewnętrzzakładowej”. Przed wejściem stał ciepło ubrany, bardzo poważny majordomus i właśnie tłumaczył oburzonej parce młodych ludzi, że „absolutnie się nie da, wszystko zajęte, impreza korporacyjna, serdecznie radzę odwiedzić restaurację »Król-rybak«. W ramach przeprosin od naszej restauracji zaraz podadzą państwu kielich wyśmienitego grzanego wina...”.

Młodzi ludzie awanturowali się, mówili, że mieli rezerwację. Na mnie popatrzyli z jawną niechęcią. Widocznie restauracja Feliksa cieszyła się w Kingimie dużą popularnością.

– Zapraszam, mistrzu – powitał mnie majordomus z nikłym ukłonem, po czym znowu przełączył się na tamtych.

Zmienił ton z taką łatwością, jakby miał w plecach (niczym mówiąca lalka) przełącznik: „uniżenie grzeczny – nieugięcie uprzejmy”.

Poszedłem do głównej sali, kładąc kurtkę na rękach szatniarza.

Zabawa właśnie się zaczynała.

Zebrało się ze dwudziestu gości. Za stołem – dużym, okrągłym, jakiego nie powstydziliby się król Artur – jeszcze nikt nie siedział. Feliks mówił, że w Kingimie jest dziesięciu funkcyjnych, czyli połowa przyszła z innych światów.

Od razu zobaczyłem Różę Białą – w długiej czarnej sukni z nieodpowiednim do wieku dekoltem. W jednej ręce trzymała kieliszek z szampanem, w drugiej pałała się cygaro. Staruszka skinęła mi głową

i powiedziała coś do stojącej obok niemłodej, korpulentnej kobiety. Kobieta obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem i obdarzyła omdlewającym uśmiechem. Ona również miała wyzywający dekolt, ale przynajmniej uzasadniony. Za to szmaragdowy kolor sukni najwyraźniej doradził jej wróg.

Był też Chajes, w smokingu i muszce. Tłumaczył coś słuchającemu uważnie kelnerowi. Kelner kiwał głową, ale Chajes nadal uściślał szczegóły swojego zamówienia. Wyglądał bardzo dostojnie, niczym potomek jakiegoś rodu arystokratycznego.

Prawie wszyscy goście byli elegancko ubrani, jakby obowiązywał ich ścisły dress code: „czarny krawat”. Mężczyźni w czarnych smokingach i czarnych muszkach, kobiety w sukniach koktajlowych. W bardziej nieformalnych strojach wystąpiło jedynie dwóch czy trzech mężczyzn. A przy oknie, z dziewczyną w różowej sukni rozmawiał mężczyzna ubrany w jasne spodnie i lnianą koszulę. Popatrzyłem przelotnie na jego byczy kark i zrozumiałem, że to funkcyjny projektant. Skąd ta wiedza? Nie wiem. A skąd mi się wziął ten „dress code”, „niewymuszony”, „formalny”, wszystkie te określenia wymyślane przez smętnych Angoli?

No trudno, jakoś wytrzymają mój strój. Wsunąłem kciuki za pasek dżinsów i podszedłem do stołu. Po mojej lewej stronie wyrósł kelner z tacą; wziąłem kieliszek szampana.

– Kirył! – Z przeciwka już szedł Feliks. Również nienagannie ubrany, ze skórzaną teczką w ręku, czyżby menu? – Jak się cieszę, że znalazłeś czas, żeby nas odwiedzić! Przyjaciele, proszę o chwilę uwagi! To Kirył z cła w dzielnicy fabrycznej!

Jego radość była autentyczna, podobnie jak zainteresowanie pozostałych funkcyjnych. Ktoś niegłośnie zaklaskał w dłonie, brawa podchwycili pozostali. Przez kilka sekund wszyscy klaskali, niczym nerwowi pasażerowie po długo wyczekiwanym, miękkim lądowaniu samolotu.

– To czwarte cło w naszym mieście – mówił dalej Feliks. – Myślę, że to wystarczający powód dla bankietu! Pojawiły się nowe przejścia na Ziemię-siedemnaście, Ziemię-dwa i... Co dzisiaj, Kiryle?

– Nirwana

– Jaki rejon?

– Nie wiem. Tam jest osiedle dla zesłańców – powiedziałem, patrząc w oczy Feliksowi. – I jeszcze jedno cło. Funkcyjny nazywa się Wasylisa.

– Wasylisa... Sprawdzę w... sprawdzę. Tam jest trzydzieści osiedli, trzeba się zorientować. No cóż, to dobrze, Kiryle! Nirwana również bywa przydatna. Mamy tam jeszcze jedno wyjście, ale w bezludnej okolicy. To niehumanitarne. A tworzenie nowego obozu jest trudne i niecelowe.

– Feliksie... – Nagle zrozumiałem, co zastanowiło mnie w jego słowach. – Powiedziałeś, że macie teraz wyjście na Ziemię-dwa?

– No tak. Do twojego świata.

– A Ziemia-jeden?

Feliks zaśmiał się i machnął ręką, jakby oganiał się przed natrętą muchą.

– Głupstwo, nie zwracaj sobie głowy. To rezerwowy numer... Żeby nie pojawiały się niepotrzebne dyskusje o pierwszeństwie. Proszę państwa, proponuję toast!

Kelnerzy się zakrzętnęli. Jednym dolewali szampana, innym zamieniali kieliszki. Róża Biała przeszła na koniak, za jej przykładem poszło kilku mężczyzn.

– Za nowego członka naszej małej, ale zgodnej rodziny! – powiedział Feliks. – Jesteśmy różni, ale służymy jednej sprawie!

Brzęknęło szkło; kilku funkcyjnych poklepało mnie po ramionach. Wysłuchałem nic nieznaczących, ale raczej szczerych komplementów; Chajes, widocznie na prawach starego znajomego, szturchnął mnie w bok, szczerząc się w uśmiechu.

Dopijając szampana, Feliks wziął mnie zręcznie pod rękę i oznajmił:

– Porywam naszego gościa na kilka minut! Kirył, jesteś bardzo głodny?

– Nie – skłamałem.

– Nie będę cię długo trzymał. O, weź kilka kanapek. – Wziął ze stołu i wręczył mi talerz z małymi kanapeczkami. – Spróbuj tego, to bardzo smaczne.

Z powątpiewaniem popatrzyłem na chlebowy koszyk, wypełniony żółto-zielonymi półprzezroczystymi kuleczkami.

– Kawior ośmiornicy – wyjaśnił Feliks.

– Tej samej?

– Słucham? A tak, tej samej. Wszystko ma swoje plusy, zawsze. No i jak tam, oswojasz się?

Wszedłem za nim do małego gabinetu, oddzielnego od sali ciężkimi, brokatowymi portierami. Stało tu kilka foteli i stolik z alkoholem i zakąską. Postawiłem swój talerzyk obok.

– Wszystko w porządku, Feliksie. Oswajam się.

Coś się w nim zmieniło od czasu naszego pierwszego spotkania. Pojawił się jakiś niepokój, jakieś zakłopotane stropienie... Jakby się czegoś obawiał.

– I jak, wprowadzili cię w temat?

– Tak, przyszło dwóch ludzi i funkcyjna akuszerka.

– No tak, no tak. Tam u was jesteście w ścisłym kontakcie z władzą. Ale to nic. Najważniejsze, żebyś zawsze pamiętał, że nikt nie ma prawa wywierać na ciebie nacisku. Nawet politycy.

Ha, przecież nie wspominałem, jacy „ludzie” u mnie byli! Udałem, że nie dostrzegłem wpadki Feliksa.

– Polityk namawiał mnie, żebym otworzył drzwi do Arkanu.

– Po co? A zresztą, czy możesz to zrobić?

– Nie wiem, czy mogę. Próbowałem, ale otworzyły się drzwi do Nirwany. A po co? – Zastanowiłem się i nalałem sobie odrobinę koniaku. A raczej miejscowej brandy, sadząc po zapachu całkiem niezłej. – Tam jest przecież przyszłość, prawda?

– Nie. – Feliks się skrzywił. – To prymitywna interpretacja. Uważa się, że świat Arkanu jest niemal identyczny ze światem Ziemi-dwa, ale wyprzedza ją w rozwoju. Jakby cała jego historia zaczęła się trzydzieści lat wcześniej.

– Wszystko jedno. Polityk ma bardzo ambitne plany. Chce poznać przyszłość, żeby z powodzeniem pracować w naszym świecie.

– Rządzić. – Feliks skinął głową. – Dlaczego nie? Spróbuj, oczywiście. Ale bardzo trudno otworzyć tam przejście. Do tej pory było tylko jedno cło...

– Feliksie, to znaczy, że w Arkanie nie ma funkcyjnych?

– Nie ma. – Feliks rozłożył ręce.

– A skąd oni przyszli?

– Kto? – Feliks uśmiechnął się, ale odniosłem wrażenie, że kąciki jego ust zadrżały.

– Funkcyjni.

– Co za głupstwa! – Feliks lekko podniósł głos. – My jesteśmy funkcyjnymi! Ja z Ziemi-trzy, ty z Ziemi-dwa. Cywilizacja ludzi występuje w światach od drugiego do szóstego; plus dwa epizodycznie dostępne światy, Arkan i Kanion. W pozostałych nie ma ludzi, w niektórych w ogóle nie ma życia. A właśnie, przecież po to cię tu zaprosiłem!

Podał mi teczkę.

W środku były dwa pliki spiętych kartek. Pierwszy nosił tytuł: „Autentycznie istniejące światy”, a drugi, nieco cieńszy: „Ziemia-trzy, rozszerzony opis”.

– Wiecznie o tym zapominają – westchnął Feliks. – Brak scentralizowanej władzy to plus i minus zarazem. Zawsze są minusy. Znajdziesz tu mnóstwo pożytecznych informacji.

Szybko zerknąłem na pierwszą stronę: „Autentycznie istniejących...”.

Ziemia-dwa: Świat całkowicie zamieszkaany i zbadany.

Ustrój polityczny: wielobiegunowy.

Najważniejsze państwa: USA i Chiny.

Najważniejsze języki: amerykański angielski, brytyjski angielski, chiński.

Poziom rozwoju technicznego: 1.

– Co to znaczy: „Poziom rozwoju technicznego: 1”?

– Że twój świat jest najbardziej rozwinięty technicznie i służy za wzorzec – wyjaśnił Feliks. – Za to poziom czystości ekologicznej jest mierzony według naszej Ziemi.

– Żeby nikt nie czuł się urażony.

– Właśnie.

– Dziękuję, Feliksie. – Zamknąłem teczkę. – Ale mimo wszystko wydaje mi się...

– Lubię cię, Kiryle. – Feliks popatrzył na mnie. – I nieodmiennie się cieszę, gdy człowiek otrzymał szansę wstąpienia w nasze szeregi. I doskonale

rozumiem, że nowicjusze zawsze chcą dokopać się do jakichś tajemnych sprężyn, do rzekomych fundamentów naszego społeczeństwa. A więc, Kiryle, czegoś takiego nie ma! Są tylko funkcyjni akuszerki, którzy wyczuwają pojawienie się nowicjuszy i pomagają im wejść w społeczność funkcyjnych. Są przyjaciele, którzy zawsze ci pomogą, zawsze ubarwią twoje życie. Są różne światy, od pięknych do strasznych. Twoja Ziemia jest piękna, Kiryle, tylko ty tego nie widzisz. Są też pewne problemy. Niektórzy ludzie, dowiadując się o naszym istnieniu, zaczynają pleść intrygi, spiski.

– I wtedy zsyła się ich do Nirwany.

– Zsyła się ich na Ziemię-dwadzieścia dwa. To niezbyt surowa kara, jeśli brać pod uwagę, że konspiratorzy nie przebierają w środkach. Prawda?

Wzruszyłem ramionami.

– Romantyczne porywy może odczuwać każdy – rzekł Feliks. – A szczególnie młody człowiek w stosunku do sympatycznej dziewczyny.

Nasze spojrzenia spotkały się. Skinąłem głową i zapytałem:

– I co się dzieje z młodym funkcyjnym, który poddał się romantycznemu porywowi?

– Jeśli nie przynosi to nikomu szkody, nic. – Feliks westchnął. – Być może młodemu człowiekowi uda się zresocjalizować naiwną dziewczynę, która wplątała się w niebezpieczną cudzą grę. Wtedy nikt nie będzie miał nic przeciwko.

– Aha. – Mimo całej powagi rozmowy przypomniał mi się fragment dowcipu o Stirlitzu: „Wszyscy jesteśmy pod kloszem Müllera!”.

– Ale bywają bardziej nieprzyjemne sytuacje. – Feliks z posępną miną obracał w rękę kieliszek, jakby nie mógł się zdecydować, czy napić się koniaku, czy nie. – Na przykład, pojawił się funkcyjny lekarz. Wspaniała dziewczyna! Mogłaby pomagać i nam, i ludziom, nikt nie miałby jej tego za złe! Wszyscy na miarę swoich sił pomagamy prostym ludziom. Ale nie, związała się z bandytami, zaczęła intrygować. Otrzymała uczciwy wybór i zerwała ze swoją funkcją, z funkcyjnego przemieniła się w człowieka. No cóż, to jej wybór. Ale jeśli potem dochodzi do jakiejś głupiej partyzantki i zabawy w Robin Hooda, jeśli ktoś zaczyna torturować biedną staruszkę...

Przecież ty też musiałeś przelać krew, zabijać tych głupich chłopców, którzy nasłuchali się romantycznych bredni!

Nie wiedziałem co odpowiedzieć. Feliks miał rację, na moich rękach była krew. Ale co mogłem zrobić w tamtej sytuacji?

– Nic nie mogłeś zrobić – kontynuował Feliks. – Nie jesteś winny. To wszystko przez głupotę i zdradę funkcyjnego!

Przez kilka sekund siedzieliśmy w milczeniu, potem Feliks wstał. Wyraźnie się rozluźnił, jakby z godnością wypełnił nieprzyjemną, ale nieuniknioną misję.

– Wierzę, że nigdy nie zetkniesz się ze zdradą – powiedział uroczyście. – To się zdarza niezbyt często, ale zawsze jest tak ciężko... A teraz chodźmy, goście czekają! Pewnie już podają pierwsze danie.

Wyszliśmy z gabinetu w samą porę – kelnerzy roznosili talerze z gorącym daniem. Zauważyłem, że wszystkim podano tę samą potrawę, ale każdy miał inny zestaw sosów. Ktoś jeden czy dwa spodeczki, a ktoś inny całą baterię sosjerek, miseczek i butelek.

– Koniak – zwróciłem się do kelnera, patrząc na leżące na talerzu medaliony cielece. – Chociaż nie, wódkę.

– Jaka konkretnie wódkę pan sobie życzy? „Rosyjski standard”, „Stoliczna”, „Absolut”, „Kzarp”, „Esgir”, „Cytrynowy Esgir”?

– „Esgir” – zdecydowałem.

Miejscowa wódka okazała się całkiem zwyczajna – właściwie takiej samej mógłbym się napić w Tambowie, Sztokholmie czy we Francji – wszędzie tam, gdzie ludzie wpadli na pomysł przerobienia ziaren pszenicy na spirytus. Ale było mi wszystko jedno. Byłem zły na Feliksa, na konspiratorów wszelkiej maści i na samego siebie. Chciałem się upić!

I z powodzeniem przeprowadziłem ten plan.

Pamiętam jeszcze, jak piłem z Feliksem jakiś stary i rzadki koniak (już po wódcę!), nie czując smaku, ale z entuzjazmem chwalać bukiet. Pamięć celnika usłużnie podsuwała słówka z żargonu degustatorów i Feliks z aprobatą kiwał głową.

Potem Feliks gdzieś zniknął, a ja długo całowałem się w gabinecie z dziewczyną, funkcyjną malarką. Dziewczyna namawiała mnie, żebyśmy

pojechali do jej pracowni, gdzie ona natychmiast zaczęła malować mój akt. Odmawiałem, kładąc nacisk na to, że dzisiaj wyraźnie nie jest mój dzień, że trzeciej wpadki nie przeżyję, a sądząc po ilości wypitego alkoholu, jest ona nieunikniona. Umówiliśmy się na malowanie portretu w tygodniu, po czym dziewczyna przełączyła się na Feliksa.

Pod koniec wieczoru bratałem się z Niemcem, którego cło prowadziło do Kingimu z miasteczka Wiesbaden. Niemiec długo sprawdzał coś na jakichś mapach i w końcu uroczyście oznajmił, że zdołam przez Kingim dostać się do jego Wiesbaden, gdzie są wspaniałe łaźnie. Z tej okazji napiliśmy się znowu i zaczęliśmy mówić o bliskości charakterów rosyjskiego i niemieckiego, o tragizmie rosyjsko-niemieckich wojen, a także o doniosłej roli, jaką Rosja i Niemcy powinny odegrać w Europie. Przy czym Niemiec przez cały czas podkreślał: „W zjednoczonej Europie!”, a ja ze śmiechem odpowiadałem: „A niechby nawet w rozłączonej!”, co wydawało mi się bardzo śmieszne.

A potem jakoś tak od razu znalazłem się pod moją wieżą. Było bardzo zimno, kelner Karl namawiał mnie, żebym wszedł do wieży i poszedł spać. Wyjaśniłem mu, że jako funkcyjny mogę z powodzeniem spać: na śniegu, ale Karl tak bardzo się tym przejął, że mimo wszystko zgodziłem się wejść do środka.

W wieży położyłem się wygodnie pod schodami. O dziewczynie, która spała na moim łóżku, na śmierć zapomniałem; po prostu wchodzenie po schodach wydało mi się bardzo trudne i skomplikowane i doszedłem do wniosku że ten kaprys nie jest wart wysiłku.

17.

Ktoś mi kiedyś opowiadał, że ponad połowa młodych autorów, posyłających swe genialne utwory do wydawnictw, rozpoczyna powieść sceną cierpień skacowanego bohatera. Bohater otwiera oczy, łapie się za pękającą głowę, przypomina sobie ilość wypitego alkoholu, łyka aspirynę i chciwie pije wodę. Następnie, heroicznie rozprawiając się z konsekwencjami własnej głupoty, wdziewa kolczugę albo skafander, bierze teczkę lub klawiaturę i wyrusza na wyprawę lub do Internetu. Heroiczny pojedynek bohatera z kacem, skurczem naczyń i odwodnieniem jest wręcz nieuchronny. Zapewne w ten sposób młodzi autorzy chcą zmusić czytelnika, by wszedł w skórę ich bohatera – niewielu ludziom zdarza się ratować galaktykę czy pokonać Czarnego Władcę, ale z kacem walczyli niemal wszyscy.

Osobiście śmiem wątpić, czy bohater, który poprzedniego dnia upił się do nieprzytomności, wiele zwojował. Nieważne, czy jest żyłastym krasnoludem, czy młodym Jedi. Na kacu można cierpieć, marzyć o zdrowym trybie życia, tępo gapić się w telewizor. Ale nie dokonywać wielkich czynów.

Otworzyłem oczy i zrozumiałem, że powinienem cierpieć. Skoro już upiłem się do takiego stopnia, że nie dotarłem do własnego łóżka...

Ale głowa mnie nie bolała, czułem się rześki, wypoczęty i pełen sił. Wyspałem się znakomicie! Zdaje się, że gdybym naprawdę położył się w śniegu pod wieżą, też nic by mi się nie stało.

Poza tym stwierdziłem, że jestem przykryty kołdrą, a pod moją głowę wsunięto poduszkę.

Taak...

Wszedłem na pierwsze piętro, ale nie znalazłem nikogo w swoim łóżku. Za to z drugiego piętra dobiegał brzęk naczyń. No niemalże rodzinna idylla. Kochanie, co mamy dzisiaj na śniadanie?

– Kochanie, co mamy dzisiaj na śniadanie?! – zawołałem.

Brzęk ustał na chwilę, zastąpiony niezrozumiałym mrużeniem. Po krótkiej przerwie – jakby ktoś szybko gryzł i przelykał – usłyszałem:

– Podejrzanie pachnąca kiełbasa i czerstwy chleb. Chcesz?

– Chcę – odpowiedziałem, wstając.

Nastia nie wyglądała najlepiej. Błada twarz, pod oczami ciemne kręgi. Stała przy stole, krojąc kiełbasę na kanapki. Miała na sobie jedynie mój biały T-shirt. Podkoszulek był wystarczająco długi, żeby zdjęcie Nastii nie podpadło pod kategorię porno, na tyle krótki, by zakwalifikowało się do miękkiej erotyki – pupa zasłonięta, ale do kolan jeszcze daleko.

– Jak się czujesz? – zapytałem.

– Koszmarnie – odpowiedziała szczerze Nastia. – Chcę żreć. Nie jeść, tylko właśnie żreć. I jeszcze jestem zła, i mam ochotę kogoś zabić.

– Że koszmarnie, to dobrze. Ale że zabić, to źle.

– A co, masz doświadczenie? – spytała drwiąco Nastia.

– Dzięki twoim staraniom. „Za godzinę ruszajcie za mną. Znajdźcie białą różę. Człowiek odpowie na wszystkie pytania”.

– I... co? – Nastia zmieniła się na twarzy. Teraz patrzyła na mnie z zakłopotaniem i lękiem.

– Poszedłem. W hotelu „Biała Róża” czekała na nas zasadzka. No i...

Dziewczyna pokręciła głową.

– Nie! To nie tak, jak pan myśli! Zupełnie nie tak!

Usiadłem przy stole. Mój wzrok ciągle próbował zjechać poniżej podkoszulka, z pewnym wysiłkiem popatrzyłem Nastii w oczy. Albo to zauważyła, albo poczuła spojrzenie, bo też usiadła. Teraz dzielił nas stół.

– Opowiadaj – poleciłem. – Jak się nazywasz?

– Nastia Tarasowa.

Albo wiadomość o zasadzce tak ją poruszyła, albo użyłem odpowiedniego tonu. Tak czy inaczej, zachowywała się jak przykładna nastolatka,

przyłapana przez rodziców z papierosem i butelką piwa podczas oglądania lesbijskiego pornola.

- Doskonale. Ile masz lat?
- Dziewiętnaście.
- Cudnie. Szkołę przynajmniej skończyłaś?
- Słucham? Ja... ja studiuje!
- Matematykę? – prychnąłem.
- Nie. Historię...

W pierwszej chwili myślałem, że ironizuje, ale nie, intuicja celnika podpowiadała, że Nastia mówi czystą prawdę.

- To dobrze, że się uczysz – powiedziałem. – Co to za facet, z którym przechodziłaś przez wieżę?

- To nie pana sprawa!

- Otóż właśnie że moja! – Nie wytrzymałem i wzięłem ze stołu kanapkę. – Nawarzyłaś piwa? To teraz odpowiadaj. Kto to jest?

- No... przyjaciel.

- Aha.

- To nie to, co pan myśli!

- Zdaje się, że ciągle myślę nie to co trzeba. Guzik mnie obchodzi, czy z nim śpiesz, czy nie! Kim on jest?

- Kłamię pan – stwierdziła Nastia. – Właśnie że pana obchodzi. Tak, to mój kochanek! Jestem już dorosła!

- Kim on jest?

- To biznesmen. Zajmuje się inwestycjami i konsultingiem.

- Ślicznie. Zajęcie godne szacunku. A skąd wie o funkcyjnych?

Właściwie dlaczego się tak wściekłem? Czyżbym naprawdę był zazdrosny?

- A pan to ma niby lepsze? Zamykać i otwierać drzwi, myślałby kto – burknęła Nastia. – To bardzo porządny człowiek. I uczciwie płaci podatki, sam mi mówił.

- Teraz wszyscy tak mówią. Więc skąd wie?

Nastia wzruszyła ramionami.

- Nie pytałam. Powiedział mi o tym pół roku temu. Najpierw myślałam, że to żart, a potem zaczęliśmy chodzić do Kigimu, do innych miast...

– Kingimu.

– Wszystko jedno. Często z nim chodziłam, tylko przez inne cła. A tamtego dnia zadzwonił i powiedział, że w czwórcie będzie wspaniały koncert.

– W czwórcie?

– No, Ziemia-cztery, Antyk. Z Moskwy trudno się tam dostać, najlepiej przez wieżę obok Siemionowskiej na dziewiątkę, tam kilometr na piechotę, druga wieża i już wygodnie do Antyku.

Pomyślałem, że cła najwyraźniej ciągną do siebie. Gdyby je rozrzuciło chaotycznie po światach, to nie byłoby sytuacji „kilometr na piechotę”. A tu ja mam w zasięgu ręki wieżę w Kingimie, w Nirwanie... może nawet w Moskwie.

– No dobrze, mieliście jechać do Antyku na koncert – powiedziałem. – Co dalej?

– Przyjechałam do Miszy, a on mówi, że pojawiło się nowe cło i można przez Kingim, będzie szybciej. Co prawda, tam znowu trzeba na Ziemię przez Wiesbaden, za to potem do Frankfurtu i stamtąd już wygodnie do Antyku.

Popatrzyłem na dziewczynę z nowym uczuciem. Pewnie, że teraz często się słyszy opowieści w rodzaju: „Skoczyliśmy na weekend na Krym”, albo: „Machnęliśmy się do Turcji”, a turyści wybierają najbardziej wymyślne trasy: „Przylatujemy do Francji, bo łatwo dostać wizę, wynajmujemy samochód, jedziemy do Włoch i tam wypoczywamy”. To zwykła klasa średnia. O autostopowiczach, którzy z setką euro w kieszeni jechali do Portugalii i z powrotem, nawet nie warto wspominać.

Ale aż tak? Do jednego świata na koncert przez dwa inne, żeby zaoszczędzić czas – to naprawdę robiło wrażenie...

– A koncert był dobry?

– Nie dotarliśmy. Szkoda... To zespół „Kraj”, bębny i flety, bardzo fajne. – Nastia zamilkła stropiona. – Przecież pan pewnie nie słyszał.

– Dobrze, do rzeczy – powiedziałem.

Pomyślałem o tych wszystkich niezliczonych zespołach, które czasem słyszy się u kogoś na imprezie albo znajduje w Internecie. Zespoły, grające dziwną etniczną muzykę, o których nie ma żadnych informacji, tylko nagrania lub pliki i wąski krąg fanów, żyjących plotkami i mitami. Ile takich

zespołów nie należy do naszego świata? Ile nagrań przyszło z Kingimu, Antyku czy innych zamieszkałych światów, żeby rozplątać się w oceanie ziemskiej muzyki?

– No i postanowiliście przejść przez moje cło. A co miał znaczyć twój list?

– Nie mój.

– Nastiu... Widziałem, jak go rzuciłaś.

– Owszem. Bo mnie Misza prosił.

– Słucham?

Nastia westchnęła.

– Misza. Mnie. Prosił. Powiedział: „Zrobimy kawał temu celnikowi. To jeszcze chłopiec, nic nie rozumie. Podrzucimy mu list, celnik pójdzie za nami, znajdzie hotel, a staruszka wszystko mu opowie”. Kiedyś tam nocowaliśmy.

Zamilkła, patrząc na mnie niewinnymi, błękitnymi oczętami.

Pokręciłem głową i westchnąłem.

– No tak, miałaś czas, żeby się przygotować. Nastiu... jestem celnikiem.

Nastia rozłożyła ręce.

– No to co?

– Wyczuwam kłamstwo. Darujmy sobie te fantazje, dobrze? Po co zwabiłaś mnie do hotelu?

– Nie chcieliśmy nic złego!

– Rozumiem. Dlatego tłum młodych idiotów torturował staruszkę i personel hotelu. Torturowali dziecko! A potem zaatakowali mnie. – Zawiesiłem głos, robiąc przerwę, którą Nastia natychmiast wypełniła:

– Illan żyje?...

– Dziewczyna? Była lekarka funkcyjna? Pytania będziesz zadawać później. Teraz odpowiadaj.

– A niby dlaczego? – stanęła okoniem Nastia.

– Może dlatego, że jestem funkcyjnym? – Wziąłem ze stołu łyżkę i starannie zawiązałem ją w supełek. Palce mnie zaboląły, ale supełek wyszedł całkiem ładny.

– Też mi Sherlock Holmes! – prychnęła Nastia.

– No to może z wdzięczności? – zasugerowałem. – Za to, że siedzisz tu i pijesz herbatę, a nie ślinisz się w towarzystwie narkomanów?

Zaczerwieniła się.

– Dziękuję... ja... rzeczywiście...

– Opowiadaj – poleciłem.

Nastia wahała się jeszcze, w końcu potrząsnęła głową – „raz kozie śmierć!” – i wypaliła:

– Należę do podziemia.

– Od dawna?

– Od pięciu lat.

– Ho, ho! – To, co mówiła, brzmiało zdumiewająco, ale najwyraźniej było prawdą. – Chodziłaś na kółko „młody partyzant”?

– Uratowałam Illan. Ona pokłóciła się ze swoimi... i odeszła do naszego świata. Polowali na nią... a ja pomogłam jej się ukryć. To ona mi wszystko opowiedziała.

– A przecież nie na darmo zaprzyjaźniłaś się z porządnym człowiekiem Miszą – powiedziałem powoli. – To zadanie podziemia.

– Pana to nie dotyczy! – skoczyła Nastia.

– Dobrze, dobrze – powiedziałem uspokajająco. – Jak sobie chcesz. Powiedz w takim razie mnie, złemu funkcyjnemu, przeciwko czemu wy, dzielne i dobre dziewczynki, walczyacie?

– Niepotrzebnie pan ironizuje – oznajmiła Nastia. – Wśród nas są i dziewczęta, i chłopcy. I ja nie uważam, że pan jest zły. Bardzo mi przykro, że pana zaatakowali... że tak się wszystko złożyło. – Uśmiechnęła się i dodała: – Pan jest bardzo miły.

Stropiłem się i burknąłem:

– Gdzie mi tam do Miszy... Słuchaj, przejdźmy na ty. Jestem od ciebie niedużo starszy.

– Zwłaszcza po tym, co wczoraj było. – Nastia się uśmiechnęła. Jej zakłopotanie minęło bez śladu, najwyraźniej zauważyła, że mi się podoba.

Zawsze to samo! Kiedy tylko dziewczyna zrozumie, że podoba się chłopakowi, od razu zaczyna się kokieteria i zarozumiałstwo.

– Ku mojemu wielkiemu żalowi – westchnąłem – nie było niczego, prócz zimnego prysznica. To co, jesteśmy na ty?

– Jak chcesz.

– Nastiu, jestem funkcyjnym od trzech dni. Wielu rzeczy nie rozumiem i nikt mnie nie pytał, czy chcę zostać funkcyjnym, czy nie. Ale na razie nie widzę żadnych powodów, dla których młoda, ładna dziewczyna miałaby walczyć z funkcyjnymi.

– Walczymy przeciwko władzy funkcyjnych!

– Puk-puk! – Przechyliłem się przez stół i postukałem Nastię po głowie. Była tak zaskoczona, że nawet się nie odsunęła. – Jest tam kto? Pusto, nikogo nie ma... Jakiej władzy?

– We wszystkich światach utrzymujecie kontakty z miejscową elitą! Pracujecie dla niej! – wypaliła Nastia. – Korzystacie z dóbr niedostępnych zwykłym ludziom! Macie tajną policję. Ukrywacie prawdę o możliwości podróżowania między światami!

Wzruszyłem ramionami.

– Potworne przestępstwa, nie ma co! I na czym polega kryminał kontaktów z miejscową elitą? Czy funkcyjni uchwalają ustawy? Naciskają na rządy?

– Nie wiem – wyznała szczerze Nastia. – Ale zrosliście się z władzą.

– Wszystko na świecie zrosło się z władzą. Poeci wysławiają rządy, biznesmeni lobbują wygodne ustawy. Co my mamy z tym wspólnego? My mamy swoje życie. To my jesteśmy zmuszeni podporządkować się miejscowej władzy, a nie ona nam. Służymy, to prawda...

– Właśnie! Służycie władzy, zamiast służyć narodowi!

– Jak sobie wyobrażasz służenie narodowi? Jeden funkcyjny przypada na sto tysięcy ludzi. Czy lekarz funkcyjny może przyjąć jednego dnia... choćby tysiąc chorych? Czy ja, celnik, mogę wpuścić na plażę dziesięć tysięcy amatorów smażenia się na słońcu?

– Dlaczego nie? – spytała wyzywająco Nastia. – Otwierasz drzwi i niech sobie idą.

Zastanowiłem się i pokręciłem głową.

– Nie, nie da rady. Muszę osobiście z każdym porozmawiać. Muszę sprawdzić, czy nie ma kontrabandy. Na jednego człowieka zejdzie się co najmniej minuta.

– Dlaczego?

– Tak po prostu jest – odparłem. – Wiem o tym, to wiedza w czystej postaci. Nastiu, nie mogę pootwierać wszystkich drzwi na oścież. To nie przejdzie, nie zadziała. Człowiek musi wejść, ja zamykam za nim drzwi, rozmawiam, wpuszczam do innego świata. Żaden funkcyjny nie jest w stanie służyć wszystkim chętnym. Podobnie jak wszyscy ludzie na świecie nie mogą wsiąść jednego dnia do samolotów i polecieć nad morze na weekend – nie wystarczy samolotów, paliwa, lotnisk! Ja też mam swoje ograniczenia. Albo taki mistrz-fryzjer. Podobno robi piękne fryzury. Ludzie oczu nie mogą oderwać! Ale też tylko dwóm, trzem czy pięciu klientom dziennie.

Chyba ją przekonałem.

– Chcesz powiedzieć, że jesteście przedmiotami luksusu? – zapytała złośliwie.

– Nie przedmiotami. Wyobraź sobie śpiewaka. Ma cudowny głos i wszyscy pragną go usłyszeć, ale może dać tylko jeden koncert dziennie. Czy śpiewak jest winien, że nie dogodzi wszystkim? Albo weźmy lekarza, który wykonuje supertrudne operacje i tysiące chorych...

– No dobrze. – Nastia zmarszczyła nos. – Ale dlaczego służycie tylko władzy?

– Czemu tylko? Był tutaj pewien satyryk... i piosenkarka... z przyjaciółmi. A twój przyjaciel jest biznesmenem. Wszyscy, którzy osiągają sukces, prędzej czy później dowiedzą się o naszym istnieniu i staną się naszymi klientami. Dobrze, jedźmy dalej. Mówisz, że wykorzystujemy swoje zdolności dla siebie?

Nastia milczała.

– Słyszałaś kiedyś przysłowie: „Szewc bez butów chodzi”? Byłoby dziwne, gdybyśmy się nawzajem nie karmili, nie leczyli i nie bronili! Tak się nie dzieje, Nastiu! Nie ma na świecie głodnych kucharzy czy bezdomnych właścicieli hoteli! Co jeszcze? Tajna policja?

Nastia skinęła głową.

– A kto nas obroni? Co mam zrobić, jeśli coś się stanie? Biec na milicję? A pamiętasz, jak twoi przyjaciele zaatakowali staruszkę i niewinnych ludzi, pomagających jej w hotelu? Oskarżacie nas, a sami jakie stosujecie metody?

– Nie wiedziałam, że tak się stanie! – wykrzyknęła Nastia. – Chcieliśmy tylko złapać kilku funkcyjnych! Ciebie, ponieważ jesteś niedoświadczony

i jeszcze nie otworzyłeś wszystkich drzwi, i Feliksa, ponieważ on jest w Kingimie najważniejszy!

Ugryzła się w język, rozumiejąc, że powiedziała za dużo. Ale ja puściłem to mimo uszu.

– Ostatni punkt – powiedziałem. – Mówisz, że ukrywamy prawdę o istnieniu światów równoległych. Załóżmy. Czy wiesz, co by się stało, gdybyśmy wyjawili tę prawdę? Masz pojęcie, ilu awanturników rzuciłoby się na podbój nowych światów? I to nie tylko tych, gdzie nie ma ludzi, oni przede wszystkim chcieliby zająć światy już zamieszkane. A jeśli opowiemy ludziom o innych światach, ale nie otworzymy przejść, znienawidzą nas. To prawda, jesteśmy silniejsi od ludzi, ale przeciwko armii raczej nie ustoimy. Przecież my nie mamy żadnej armii! Podprowadzą czołgi...

– Wieżę taką jak ta można zniszczyć jedynie bombą jądrową.

– Nie sądzę, żeby to kogoś powstrzymało – odparłem ponuro. – Nastiu, zrozum, jest nas niewiele i właśnie dlatego musimy się ukrywać. Nie jesteśmy w stanie uszczęśliwić całego świata... wszystkich światów. Ale w miarę możliwości pomagamy ludziom, przyczyniamy się do postępu.

– Mówisz jak funkcyjny!

– Jestem funkcyjnym. Dobrze, jeśli nie mam racji, powiedz mi, w którym punkcie?

– Illan by ci wszystko wyjaśniła!

– Więc sama nie wiesz, dlaczego z nami walczysz? – Uniosłem brwi.

– Dlatego że ty... ty to wszystko zupełnie inaczej tłumaczysz! – Nastia była wyraźnie rozstrojona. – Mówisz te same rzeczy, tylko kiedy ty o nich mówisz, to... to one wyglądają normalnie!

– To dlaczego sama się nie zastanowisz, nie ruszysz głową? – zapytałem z satysfakcją. – Znalazła się... bohater podziemia, radiotelegrafistka Ket... Po co ja wam jestem potrzebny?

– Jesteś nowy... i nie wszystkie drzwi miałeś otwarte. Illan mówiła, że potrzebna nam Ziemia-jeden. To kluczowy świat.

– A ona istnieje?

– Oczywiście – Nastia spojrzała na mnie z wyrzutem. – Nasza Ziemia ma numer dwa. Illan uważa, że funkcyjni przyszli z Ziemi-jeden.

– Ja jestem stąd, miejscowy.

– No tak. Ale pierwsi funkcyjni przyszli z Ziemi-jeden. I oni trzymają swój świat zamknięty przed wszystkimi.

– Jacy oni?

– Nie wiemy. Ale pewnie nie jest ich dużo.

– Spiskowa teoria dziejów – powiedziałem. – Rozumiesz? Gdy wszystko na świecie tłumaczy się czyimiś intrygami. Masonów, kosmitów... tajnej władzy światowej...

– To ostatnie pasuje.

– Ależ nie ma czegoś takiego! – Machnąłem ręką i wstałem. – Wszyscy potrzebują mojej nieszczęsnej wieży. Polityk marzy, żeby zajrzeć w przyszłość. Wy szukacie Ziemi, która nie istnieje.

– Skąd wiesz, że nie istnieje?

– Od Feliksa.

Nastia nabzdyczyła się i umilkła. Ale ja już się nakręciłem.

– Wiesz, co ci powiem, droga opozycjonistko? Wracaj do domu. Ucz się pilnie i bądź grzeczna. Idź do fryzjera, zrób się na bóstwo dla wujka Miszy, on lubi ładne dziewczynki. Przy okazji, gdzie on właściwie jest?

Nagle uzmysłowiłem sobie, że ciągle nie wiem, jak Nastia znalazła się w Nirwanie.

– Nie wiem – wyznała. – Szliśmy ulicą w Antyku i wtedy podeszło do nas dwóch miejscowych, policjant i jeszcze ktoś.

– Funkcyjni?

– Tak. Dowiedzieli się skądś, że jestem związana z podziemiem, i zaczęli mnie wypytywać. Milczałam, a potem powiedziałam, że muszę iść do toalety. Próbowałam uciec, ale... dogonili mnie. Nie wiem, co zrobili, ale ocknęłam się już w tamtej wsi. Wiedziałam, gdzie jestem, opowiadali nam o Nirwanie. Tylko... wszystko wiedziałam, a wstać i wyjść już nie mogłam.

– A twój przyjaciel?

Nie odpowiedziała.

– Jasne. – Skinałem głową. – Zresztą nie należy go winić.

– Na pewno by mnie potem uratował! Co miał zrobić, rzucić się na policjanta?! Na pewno dotarłby do Nirwany, tylko później!

Nastia zjeżyła się, oczy jej rozbłysły – wyraźnie przygotowała się do długiej i zażartej dyskusji, ale ja nie protestowałem.

– Tak, to brzmi logicznie – przyznałem. – Dobrze. Bardzo mi było miło, Nastiu. Cieszę się, że się dobrze czujesz. Pisz listy, ślij telegramy. Kiedy będziesz przechodzić, zajrzyj.

Nastia wstała gwałtownie.

– Dziękuję, celniku. Służ dalej, dobrze ci to wychodzi! Twoi panowie będą zadowoleni!

Poszła dumnie w stronę schodów.

– Nazywam się Kirił – oznajmiłem. – I co, pójdiesz tak jak teraz, w podkoszulku?

Nastia stanęła jak wryta. Nie udało się dumnie wyjść.

– Chodź.

Dałem jej swoje stare dżinsy. Wisiały na niej jak na wieszaku, ale zrobiłem dodatkową dziurkę w pasku i jakoś się trzymały. Za to adidas były prawie dobre, tylko o numer czy dwa większe – Nastia miała duże stopy.

– Gdzie mieszkasz?

– Na Prieobrażeńskim.

– Trzymaj.

Dałem jej dwie setki, na taksówkę wystarczy. Nastia bez fałszywej skromności wsunęła je do kieszeni. Na jej twarzy pojawiło się zdumienie – pogrzebała w kieszeni i wyjęła moją niezbyt świeżą chusteczkę. Ze wstrętem rzuciła ją na podłogę, wytarła rękę o spodnie.

Udałem, że tego nie widzę. Zerknąłem w okno – w Moskwie nie padał deszcz, było zimno, ale słonecznie. No cóż, trochę zmarznie. Kurtki nie miałem zamiaru oddawać.

– Celniku, a dokąd...

– Kirił.

– Kirił, a dokąd otworzyło się nowe okno?

Rzeczywiście! Przecież w nocy powinno się otworzyć nowe przejście!

– Ciebie to już nie dotyczy – oznajmiłem. – Przykro mi, ale twoje spacerunki po innych wymiarach dobiegły końca. Wszystkiego dobrego.

Nastia zeszła na dół. Otworzyłem drzwi, wypuszczając ją do Moskwy, popatrzyłem pytająco w oczy. Ciekawe, czy odejdzie bez słowa?

– Dziękuję – powiedziała Nastia z wyraźną niechęcią. – Za ubranie... i w ogóle. Mimo różnic ideologicznych, zachowujesz się przyzwoicie. Jak mężczyzna.

A potem się odwróciła i z dumnie uniesioną głową poszła w stronę ulicy. Zdumiewające, ale nawet w moich starych ciuchach wyglądała ładnie.

Westchnąłem i zamknąłem drzwi. Gdzie ona nałapała takich wyrażen? Mimo ideologicznych różnic... Może chodzi na zajęcia kółka „Młody liberał”?

– Ładna dziewczyna leży w krzakach nago – powiedziałem na głos. – Inny by ją zgwałcił, ja tylko trączę nogą.

Ciekawe, czy wszyscy funkcyjni mają takie problemy w życiu osobistym. I właśnie dlatego flirtują ze sobą? Chociaż nie, Feliks mówił, że ma rodzinę, dzieci.

Dobra, nieważne. Jeszcze mi tylko brakowało romansu z młodą awanturniczką. Cała Moskwa dookoła!

I cztery inne światy. A jednego z nich nawet jeszcze nie widziałem.

Pokusa była bardzo silna, ale przede wszystkim wszedłem po schodach na górę. Chciałem sprawdzić, czy nie pojawiło się nowe piętro.

Pojawiło się. Nieduży okrągły pokój z jednym oknem, wychodzącym na Moskwę. Przy ścianach stały regały z ciemnego drewna, sięgające aż do sufitu. I puste. Poza tym był tu jeszcze stolik, a przed nim głęboki, wygodny fotel. I kominek, wygasły oczywiście, ale chyba prawdziwy.

Puste regały na książki sprawiają przygnębiające wrażenie. Jak pomieszczenie, w którym leżą sterty ubrań, butów, drobiazgów, a ludzi ani śladu, bo gdzieś zniknęli.

No nic. Zapełnię tę bibliotekę.

Stałem tak kilka minut, patrząc na puste półki. Wyobrażałem sobie, jak przyjemnie będzie usiąść tu w zimowy wieczór, rozpalić ogień w kominku, otworzyć książkę i zerkając na obrzydliwie mokrą Moskwę, zagłębić się w lekturze. I jeszcze palić fajkę, koniecznie fajkę, a na stoliku niech stoi kubek z gorącą herbatą z cytryną. I jeszcze może kieliszek z odrobiną

dobrego, starego koniaku. Nawet nie po to, żeby pić, ale żeby między łykami herbaty wdychać aromat i znów pogrążyć się w lekturze.

Westchnąłem – nie z żalu, że marzenie jest nieosiągalne, lecz w przedsmaku chwili, gdy zostanie urzeczywistnione. Tak będzie, na pewno. Przecież jestem funkcyjnym, urodzonym celnikiem.

Tylko dlaczego właśnie celnikiem? Dlaczego nie stałem się mistrzem handlu, właścicielem sklepu z komputerami, telewizorami i inną techniką? Byłaby w tym jakaś logika i konsekwencja.

Wzruszyłem ramionami i zszedłem na pierwsze piętro. Kiedy człowiek zacznie się tak zastanawiać, to rzeczywiście można dojść do światowego spisku! A ja nie chcę. Do diabła z nimi wszystkimi! Z politykami, policjantami, konspiratorami. Jeśli ostatnie drzwi otworzą się do bezludnego świata, to tylko się ucieszę. Może kiedyś Księżyc spadł tam na Ziemię i wokół wieży wrą jeziora lawy, wybuchają wulkany? Albo jakiś dziwny wybuch na Słońcu zniszczył wszystko, co żyło, i wieża stoi wśród wydm skrzypiącego piasku, nad którymi wyje azotowy wiatr? I jeszcze byłoby nieźle, gdyby Ziemia się nie kręciła. No co, różne kataklizmy mogły sprawić, że cała planeta przestała nadawać się do życia i teraz nie jest nikomu potrzebna! Rozłożę ręce przed politykiem Dima, pošlę w cholere Illan i Nastię i będę sobie żył dla własnej przyjemności.

Z tą myślą zdjąłem pokrętła z ostatniego okna.

W pierwszej chwili pomyślałem, że wieża stoi w lesie. Gałęzie drzew kołysały się tuż przy oknie, jakiś nachalny ptak patrzył na mnie przez szybę – no proszę, to znaczy, że zwierzęta widzą moją wieżę! Tu było zielono i słonecznie, tu jeszcze panowało lato, prawdziwe, zwyczajne, żywe! To nie jakaś tam malowanka-Nirwanka czy tropikalny majestat – to powszednie moskiewskie lato, spokojne i umiarkowane.

A potem poprzez drzewa zobaczyłem iglicę wieży Ostankino...

Czyli jednak zamieszkaný świat. Jeden z pierwszej piątki? Ziemia-cztery, pięć albo sześć? A może upragniony Arkan, świat, w którym wszystko jest takie, jak u nas, tylko nieco przesunięte w czasie?

A może mityczna Ziemia-jeden? Ha, gdyby Nastia wyjrzała przez to okno, musiałbym siłą wypchnąć ją z wieży.

Trzeba będzie sprawdzić.

Jakby chcąc odsunąć tę chwilę, obszedłem pozostałe okna. Najbardziej interesowała mnie teraz Ziemia-siedemnaście – może Kotia się rozmyślił i wrócił? Nieważne, sam czy z uciekinierką.

Ale brzeg był pusty. W promieniach słońca błyszczała tylko pusta butelka po piwie. Nieładnie, nieładnie. Trzeba będzie sprzątnąć.

Tym jednak zajmę się później. Teraz zżerała mnie ciekawość, jaka wygrana padła na ten ostatni los.

18.

Szaleństwo ma w sobie pewien urok. Wyjść z domu po chleb i wyjechać do innego miasta, poznać rano dziewczynę i wieczorem wziąć z nią ślub, zdecydowanym ruchem otworzyć drzwi do ciemnego pokoju, z którego dobiegają podejrzanе dźwięki, wejść do klatki hipopotama i poklepać go po tłustym zadzie, pojechać do Tajlandii i uprawiać seks bez prezerwatywy, przyjąć propozycję tajemniczego nieznajomego i podpisać się krwią na czystej kartce papieru. Jednym słowem, rzucenie się na złamanie karku ku przygodzie to bardzo kusząca wizja.

Szczególnie jeśli masz dwadzieścia lat i jeszcze nigdy nie brałeś udziału w prawdziwej przygodzie.

Bo prawdziwa przygoda wymaga odrobiny szaleństwa. Ilu pasjonujących przygód nie zaznałaby ludzkość, gdyby ludzie zechcieli najpierw odrobinę pomyśleć i się przygotować! Ekspedycje polarne nie trzymałyby ropy w zaspawanych ołowiem kanistrach i nie polegały na kucykach jako środkach transportu, wynalazcy skrzydeł najpierw skakaliby z szopy, a dopiero potem z wieży Eiffla, abonenci poczty elektronicznej nie otwieraliby listów z tematem „Nice game!” i nie pomagali nigeryjskim książętom w otrzymaniu spadku w wysokości dwóch miliardów dolarów. Generalnie nie doszłoby do całego mnóstwa wydarzeń – zabawnych, smutnych, a najczęściej tragicznych.

Prawdziwa przygoda wymaga ofiar.

Jeszcze miesiąc temu natychmiast wyszedłbym z wieży do nowego świata. Nie pomyślałbym ani o pogodzie, ani o tubylcach, ani o nieznajomości miejscowych realiów.

Ale zmieniłem się. Od czasu, gdy zostałem sam na sam z całym światem, zacząłem myśleć.

Wyszedłem z wieży do swojej Moskwy, złapałem okazję i pojechałem do supermarketu. Gruba paczka pieniędzy aż prosiła, żebym zadał szyku. Trafiłem na wyprzedaż letnich rzeczy w sklepie „Camel trophy” i kupiłem coś w rodzaju długich szortów, koszulkę polo, wiatrówkę z kapturem i odpinanymi rękawami, czapkę z daszkiem i wygodne sandały. Wyjaśniłem sprzedawcom, że wyruszam na południe, w ich zaciekawionych spojrzeniach od razu pojawił się smutek ludzi, którzy niedawno wrócili z urlopu.

Poszedłem do siebie i przymocowałem do pasa podarowany przez Wasylisę kindżał. Pewnie nie będzie mi tam potrzebna broń – ja sam jestem teraz straszniejszy od pistoletu! – ale bezludna zieloność za oknem, zza której wystawała iglica wieży telewizyjnej, oraz mój tropikalny strój aż się prosiły o odpowiednie wyposażenie: maczetę, hełm korkowy i strzelbę na słońce. Kindżał był jedynym dostępnym kompromisem. W charakterze zapasu prowiantu wziąłem tabliczkę czekolady i butelkę koniaku. Z wodą nie powinno tam być problemów, lekarstwa chyba w ogóle nie są mi potrzebne... Skoro mój organizm w ciągu jednej nocy naprawia pęknięte żebra, błyskawicznie neutralizuje psychodeliki i nie odczuwa kaca, to katar czy biegunka mi niestraszne.

Potem wziąłem podarowany przez Feliksa informator i przejrzałem go, zwracając szczególną uwagę na światy, w których istniała ludzka cywilizacja.

I dopiero potem zszedłem na dół i wszedłem do... Biorąc pod uwagę obecność wieży Ostankino, ten świat można było nazwać „Moskwa-2”.

* * *

Pierwsze wrażenie: pokryta rosą trawa. Buty od razu przemiękły, ale to było przyjemne uczucie rodem z dzieciństwa, gdy biegało się bosą po trawie na dacy. Było ciepło, ale nie gorąco. Powietrze czyste, słodkie i na pewno nie miejskie. Ptasi szczebiot w uszach – nie krakanie wron, nie awantura wróbli, lecz śpiew jakichś ptaków, których nazwy nie znałem.

Okolice nie była tak pusta, ja mi się początkowo wydawało. Wśród drzew wiła się ścieżka – wydeptana, wyraźna, oznaczona na zakrętach kamieniami. Wspinająca się na wzgórze, omijając moją wieżę, i znów znikła w lesie. Nie, to jednak nie las, raczej duży park. Przynajmniej odpadł problem, dokąd iść. Pójdę ścieżką w kierunku wieży telewizyjnej.

Moja wieża w tym świecie wyglądała inaczej. Ceglana, do wysokości półtora metra od ziemi wyłożona brązowymi płytkami. Mniej więcej na poziomie drugiego piętra biegł jeszcze jeden pas płytek, pokryty płaskorzeźbami. Podszedłem bliżej, żeby się im porządnie przyjrzeć, i ruszyłem dookoła.

Przypominało to radzieckie rzeźby propagandowe czasów stalinowskich. Na każdej był przedstawiony szczęśliwy człowiek, zajęty jakąś pożyteczną pracą. Robotnik pracował przy tokarce, chłop trzymał w wyciągniętych dłoniach pęk kłosów, lekarka osłuchiwała chorego, piłkarz kopał piłkę, staruszek pisał na tablicy jakiś wzór (przyjrzałem się i zrozumiałem, że to sakramentalne $E=mc^2$), nawet dzieci na jednej z płaskorzeźb były zajęte nie puszczaniem samolocików, lecz czyszczeniem klatki dla królików.

Jeśli brać pod uwagę, że w każdym świecie wygląd mojej wieży dopasowywał się do otoczenia, to robiło się bardzo ciekawie. Może to jednak nie „Arkan plus 35”? Może to zupełnie nieznaną świat, którego zegar spóźnia się o pół wieku w stosunku do naszego?

Pożyjemy, zobaczymy.

Ruszyłem ścieżką. Biegła lekko z górki, po miękkiej ziemi szło się wygodnie i przyjemnie. Cieszył mnie fakt, że nie czuję żadnej nieuzasadnionej euforii. Zwykła radość ze spaceru po lesie w pogodny dzień.

Ech, żeby tak w mojej Moskwie było takie lato i taki piękny, niezaśmiecony park!

Szedłem już tak chyba z kwadrans i pokonałem z półtora kilometra, gdy usłyszałem przed sobą wesole głosy. Oto długo oczekiwany kontakt z aborygenami!

Nieco zwalniając kroku i nadając twarzy niewinnie rozluźniony wyraz, zacząłem nasłuchiwać. Przez drzewa ciągle nikogo nie było widać – może

dźwięk tak dobrze rozchodził się w powietrzu, a może ja teraz lepiej słyszałem.

To była pieśń... nie, raczej piosenka. Sympatyczna piosenka, która niezbyt czysto, ale za to z głębi serca śpiewały dźwięczne dziecięce głosy.

*Chciałbym polecieć samolotem
I zobaczyć piękne miasto Moskwę.
Przecież tylko tak zdołam pomachać
Od razu wszystkim moim przyjaciołom,
Wszystkim moim przyjaciołom,
Wszystkim moim przyjaciołom.*

*Chciałbym popłynąć parowcem
I zobaczyć piękne miasto Moskwę.
Przecież tylko tak zdołam dojrzeć twarze
Od razu wszystkich moich przyjaciół,
Wszystkich moich przyjaciół,
Wszystkich moich przyjaciół.*

*Chciałbym się przespacerować
I zobaczyć piękne miasto Moskwę.
Przecież tylko tak zdołam uścisnąć dłonie
Od razu wszystkim moim przyjaciołom,
Wszystkim moim przyjaciołom,
Wszystkim moim przyjaciołom.*

Wiem, że pieśni mogą być różne, a już piosenki tym bardziej. Na kolejny jubileusz stolicy za pieniądze merostwa tekściarze nie takie rzeczy napiszą. Ale tutaj zdumiały mnie dwie kwestie.

Po pierwsze, dzieci śpiewały absolutnie szczerze. Z całej duszy. Z uczuciem. Pewnie właśnie tak w starych filmach dla dzieci śpiewali pionierzy, wyruszając na zbiórkę złomu.

Po drugie, piosenka miała wyraźny rytm i nawet się rymowała! Słyszałem to wyraźnie, a przecież słowa nie trzymały rytmu i nie było tam żadnych rymów!

Dopiero gdy ujrzałem śpiewaków (piosenka właśnie się skończyła i teraz było słycać wielogłosy hałas, splatający się ze szczebiotem ptaków), zrozumiałem, na czym polega problem.

Dzieci nie śpiewały po rosyjsku. Moje zdolności funkcyjnego pozwalały rozumieć obcy język jak własny, ale nie gwarantowały przekładu poetyckiego.

A że nie śpiewały po rosyjsku... Nic dziwnego! Ciężko się spodziewać znajomości języka rosyjskiego po dziesiątce czarnoskórych chłopców i dziewczynek, w wieku od siedmiu do dwunastu lat. Chłopcy byli w szortach, dziewczynki w szortach i bluzeczkach i wszyscy boso! U nas tak beztrosko na bosaka człowiek nie pochodzi sobie nawet na wsi; szybko by się natknął na zardzewiałe gwoździe czy potłuczone butelki. Niektóre dzieci miały jaśniejszy odcień skóry, inne były smoliście czarne, ale wszystkie niewątpliwie były Murzynami czystej krwi.

Grupkę dzieci prowadziła młoda dziewczyna, również czarnoskóra, z pulchnymi, wywiniętymi wargami, ubrana w lekką kretonową sukienkę w kwiatuszki, jakiej można by się spodziewać na dziewczynie z głuchej wsi rosyjskiej. W rękach miała elegancki bukiet kwiatów, cztery czerwone róże w celofanie.

Stanałem jak wryty.

Co to za świat? Rosja zamieszкана przez Murzynów? O, jaka niespodziewana, jaka radykalna idea narodowa!

Dziewczyna zobaczyła mnie i serdecznie pomachała ręką. Następnie zawołała:

– Dzieci! Raz-dwa-trzy!

Dzieci przestały hałasować i biegać. Do tej pory przemieszczały się w niesamowicie sprytny sposób – opiekunka szła ścieżką, a dzieci biegały dookoła niczym szalone planety, którym udało się zejść ze swoich orbit, a jednocześnie przesuwaly się mniej więcej w jednym kierunku. Ale teraz zbiły się w nieruchomą grupkę i zawołały radośnie:

– Cień topry!

– Dzień dobry!

– Sieńtobry!

A także:

– Dźbry!

Najmniejsza dziewczynka zawołała:

– Cześć!

Uśmiechnąłem się z wysiłkiem i powiedziałem:

– Dzień dobry, cześć!

Rytuał zawarcia znajomości został spełniony i dzieci rozbiegły się na wszystkie strony. Dziewczyna nadal stała w tym samym miejscu, wyraźnie czekając, aż podejde. Podeszedłem.

– Dzień dobry – powiedziała czysto po rosyjsku, choć z lekkim akcentem.

– Nie przeszkadzamy panu? Naszym hałasem?

– Oczywiście, że nie! – zaprotestowałem. – Dzieci! Jak dzieci mogłyby przeszkadzać! Bardzo lubię dzieci!

– Och, to nie dzieci, to potwory! – Dziewczyna teatralnym gestem otarła z czoła nieistniejący pot i się roześmiała. – Masza. Marianna Seylasi.

– Kirył.

– Są z Wybrzeża Kości Słoniowej – poinformowała mnie Marianna, zniżając głos. – Przyjechały zaledwie tydzień temu.

– Aha! – powiedziałem, rozumiejąc, że ta informacja powinna mi wszystko wyjaśnić. – Jasne... I jak im się podoba Moskwa?

– Są zachwycone oczywiście. Właśnie śpiewaliśmy piosenkę o Moskwie. Zna pan francuski?

– Więc to był francuski... Trochę rozumiem... „Wszystkim swoim przyjaciółom”... Piękna piosenka.

Marianna skinęła głową i zerknęła na swoich podopiecznych.

– Czas na nas... Do widzenia, Kiryle! Dzieci, raz-dwa-trzy!

– Do wizenia!

– Towiezenia!

– Do widzenia!

– Dozwidzenia!

I tylko najmniejsza dziewczynka znów się wyróżniła, mówiąc wyraźnie:

– Na razie!

Pomyślałem, że jeśli nawet nie jest najbardziej uzdolniona lingwistycznie, to w każdym razie najbystrzejsza.

Procesja oddalała się w stronę mojej wieży, a ja stałem, patrząc na czarnoskóre dzieci.

Turyści? Z Wybrzeża Kości Słoniowej? Nie.

Uchodźcy? To już bardziej prawdopodobne.

Tylko co to za Rosja i co to za Moskwa, która przyjmuje uchodźców z najodleglejszych afrykańskich krajów?

Robi się coraz ciekawiej.

Zamyślony poszedłem dalej. Nie zdziwiłbym się, gdybym spotkał teraz wycieczkę emerytowanych Japończyków albo ciężarnych Polinezyjek. Ale nikogo więcej nie spotkałem. Za to ścieżka z wydeptanej przemieniła się w ubitą, potem w wyłożoną kamieniem, wreszcie w asfaltowy chodnik. Wzdłuż niego stały latarnie na niewysokich słupkach. Mosiężne, toporne, ale z czystymi, całymi kloszami.

Taak... To nie jest moja Moskwa...

A potem wyszedłem na drogę – równą, dwupasmową, betonową. Od lasu-parku oddzielało ją niewysokie, sięgające do pasa ogrodzenie z metalowej siatki, pewnie po to, żeby zwierzęta nie wpadały pod samochody. Z drugiej strony biegły rzędem betonowe słupki, podobne do tych, które ustawia się na szlakach górskich. Dla ludzi umieszczono w ogrodzeniu furtkę zamykaną na haczyk, za nią przejście dla pieszych prowadziło przez drogę do małego, pokrytego asfaltem placzyku: zielone drewniane ławeczki, masywne kamienne kosze na śmieci, balustrada z obracającą się na podstawie lunetą. Zwykły placzyk widokowy. Widziałem już takie, ale nie w Rosji.

Jak zahipnotyzowany otworzyłem furtkę, wyszedłem, zamknąłem ją za sobą i przeszedłem przez drogę. Samochodów nie było, chociaż z daleka dobiegał oddalający się szum.

Tuż za placzykiem było urwisko i... Moskwa.

Co to za miejsce? Worobjowe góry? Nie... niepodobne... Chociaż? Próbowałem zorientować się według iglicy wieży Ostankino i wyraźnej sylwetki Kremla. Żebym się zapadł na miejscu i spadł ze wzgórze do płynącej w dole rzeki – stoję w tym miejscu, w którym bym stał, gdybym pokonał tę samą drogę w naszym świecie! To znaczy w okolicy stacji metra Aleksiejewska.

Bez sensu...

To, że nie ma rozrzutu między pozycją geograficzną mojej wieży w tych dwóch światach, to jeszcze nic. Widocznie takie rzeczy się zdarzają.

Dziwne było co innego. Ta Moskwa jest podobna do mojej Moskwy, a jednocześnie rzeźba terenu jest zupełnie inna! Ktoś mógłby zapytać: „A czemu tu się dziwić, skoro w innych światach jest powietrze, którym nie można oddychać i nie ma księżyca na niebie?”. Otóż właśnie ja się dziwię. Jak mogło na zupełnie innym terenie wyrosnąć prawie identyczne miasto? Wielkie wzgórze w samym środku Moskwy, a Kreml i wieża Ostankino są takie same jak w moim świecie, postawione w tych samych miejscach?

To niemożliwe. Czy Dmitrij Doński kazałby zbudować Kreml, główną twierdzę księstwa pod takim wzgórzem, pod taką, faktycznie rzecz biorąc, górą? Akurat! Wzniósłby go właśnie tu, gdzie teraz stoję, na pohybel wszystkim mongolsko-tatarskim najeźdźcom!

Także za granicą; Chruszczow zachwyciłby się nie tylko kukurydzą i łazienkami z toaletami – na całym świecie pompatyczne wieże telewizyjne stawia się właśnie na wzgórzach, jeśli już wzgórze występuje w stolicy.

Dziwne to wszystko.

Dałem spokój tym zgadywankom i podszedłem do lunety. Ciekawe, co to za typ? Są takie, których nie można przesunąć, dopóki nie wrzuci się monety. Możesz sobie patrzeć w jeden punkt, dopóki ci się nie znudzi. Są też takie, przez które w ogóle nic nie zobaczysz, dopóki nie wrzucisz monety.

Ta luneta okazała się absolutnie bezpłatna. Nawet nie przewidziano w niej szczeliny na monetę. Przywarłem do okularu i zacząłem chciwie oglądać miasto.

Kreml chyba zupełnie zwyczajny. Tak. Co my tam mamy na wieżach? No dalej, dalej... Gwiazdy! Czerwone, rubinowe. No cóż, zaczyna się pojawiać robocza hipoteza... Poszukałem flagi państwa i robocza hipoteza upadła.

Flaga była biało-niebiesko-czerwona, żadnych tam czerwonych płócien z sierpami i młotami.

Aż mi się zrobiło żal. A już myślałem, że znalazłem się w jakiejś komunistycznej utopii, która przetrwała wbrew historycznej logice.

No dobrze, popatrzmy dalej. Plac maneżowy. Zielony plac z kwiatami i parasolami letnich kawiarni, w samym centrum miasta? Tak, tak... Gdzie my tu mamy pomnik Piotra Pierwszego, który u zarania dziejów miał być pomnikiem Kolumba? Przesunąłem lunetą po rzece Moskwie, ale nic strasznego nie znalazłem. A „Szaszłyk”? Znalazłem plac Taszyński... i z wrażenia aż oderwałem się od okularu, żeby spojrzeć w niebo i z uczuciem powiedzieć:

– Chwała tobie, Chryste!

Ta Moskwa zaczynała mi się podobać!

Mój wzrok biegał po znanych od dzieciństwa moskiewskich ulicach. Teatr Bolszoj. Wszystko w porządku. CUM też. Nie, nie „też”! Górne piętro jest całe ze szkła, coś w rodzaju restauracji z placem widokowym. Sobór Wasilija Błogosławionego na swoim miejscu. A co to za cerkiew? Najwyraźniej stara; ale w moim świecie w tym miejscu jest jakieś ohydne ministerstwo.

Nie, tak daleko nie zajdę. Przestałem szukać charakterystycznych budynków i zacząłem oglądać główne ulice.

Wkrótce zrozumiałem, na czym polegają podstawowe różnice. Było tu dużo starych domów: cerkwi, pałacików i po prostu starodawnych kamienic w samym centrum, a także sporo tego, co u nas nosi miano architektury stalinowskiej. Nowe bloki, jeśli jakieś się pojawiły, wpisywały się w ogólny zespół architektoniczny. A przy tym peryferie miasta niemal takie same jak u nas. Dużo dzielnic-sypialni z prostymi blokami z wielkiej płyty. Najwyżej trochę więcej zieleni, lepsze drogi, wszędzie małe parki i skrzyżowania, niekoniecznie zaraz nowojorskie, ale solidne. Samochodów dużo, korków mało. Widać sporo bulwarów i uliczek tylko dla pieszych. Krótko mówiąc, ta Moskwa nie była spełnionym marzeniem komunistów, ale wyglądała całkiem ładnie.

Westchnąłem i opuściłem lunetę. Wyjąłem papierosa, zapaliłem.

Coś się tu nie zgadzało. Wszystko grało, tylko co mam zrobić z tym wzgórzem? Jak miasto mogło tak totalnie zignorować wysokie wzgórza, które się tu wybrzuszyło? Zaraz, zaraz... Wybrzuszyło?

Przypadłem do okularu i zacząłem badać okolice wzgórza.

Ha! Wzgórze, na którym stałem, wyglądało na wyrwane z ziemi przez potworną siłę. Wyrwane i wyrzucone w górę. I to całkiem niedawno – miasto wyleczyło rany, urwane ulice albo skrzyły, omijając przeszkodę, albo skończyły się w miejscach nieprzewidzianych przez architekta. Zauważyłem, że niektóre domy w pobliżu wzgórza zostały odrestaurowane, a inne zbudowane na nowo, już po nieznanym kataklizmie. Na miejscu ruin? Pewnie tak.

A rzeczka płynąca pod wzgórzem? Czyżby to była Jauza? Nie, nie ta odległość. Widocznie w moim świecie tej rzeki nie ma w ogóle.

– Trzęsienie ziemi? – powiedziałem na głos – Być może...

Właśnie, być może. Nigdy nie słyszałem, żeby trzęsienie ziemi miało taką siłę, żeby podźwignąć z ziemi wielki kawał terenu, opasać go rowem i puścić tam nową rzekę.

A może to „trening” budowniczych miasta? Szykowali się do przeniesienia syberyjskich rzek na południe i zrobili park w centrum Moskwy? Hipoteza wcale nie gorsza od innych.

Dobra, dalsze zgadywanki są bezproduktywne. Muszę zejść ze wzgórza, pewnie droga, pójść do miasta i tam się zorientować, dokąd trafiłem i co tu się dzieje.

Ale nie musiałem dreptać na piechotę. Od strony szosy dobiegło buczenie silnika i minutę później z za drzew ukrywających zakręt na placzyk widokowy wjechał autobus. Krótki, dwudrzwiowy, z wysoką kabiną i przednią szybą tak wielką, że było widać nawet nogi kierowcy na pedałach. Zupełnie nieznanymi model, ale jakiś taki staromodny... i chyba rosyjski. Nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy, ale tak, jak odróżnia się zwykle styl francuskich samochodów od niemieckich, czy też japońskich od amerykańskich, tak właśnie tu było coś, co bezgłośnie sygnalizowało: „Jestem tutejszy, miejscowy, tu wyprodukowany!”. Do tej pory takie wrażenia budziły we mnie jedynie niwy czy pobiedy.

Autobus zatrzymał się naprzeciwko placzyku, otworzył drzwi, ze środka wyszło z dziesięć osób. Tym razem sami Rosjanie, w każdym razie Europejczycy. I każdy zachowywał się tak, jakby uważał za święty obowiązek

uśmiechnąć się do mnie serdecznie, a staruszek (w letnim garniturze i z laseczką) uchylił słomkowego kapelusza.

Ten kapelusz mnie dobił. W mojej Moskwie nikt nie nosi słomkowych kapeluszy! Nawet w czasie upału. Nawet jak jest staruszkciem.

Poza tym wszyscy mieli w rękach bukiety. Jedni róże, inni goździki lub tulipany, ale każdy parzystą liczbę kwiatów. Dokąd oni idą? Co tam jest na tym szczycie wzgórza? Cmentarz? Pomnik? Grobowiec miejscowego wodza?

Autobus niezbyt głośno, uprzejmie zatrąbił. Kierowca pomachał mi ręką: jedziesz?

Porzucając wątpliwości, wskoczyłem do autobusu – był absolutnie pusty. Widocznie wszyscy jechali do tego właśnie placyku... żeby potem przez las pójść gdzieś tam z kwiatami.

Przeszedłem się po wnętrzu autobusu. Ten sam, wszechobecny styl retro, nietypowy dla świata, wyprzedzającego nas o trzydzieści pięć lat, ale sympatyczny. Wnętrze było czyste, obicie foteli z brązowego skaju wytarte, ale czyste, ani nie porwane, ani nie pocięte. Pызate plafony na suficie, błyszczące miedziane tabliczki: „miejsca dla dzieci”, „miejsca dla inwalidów”, „miejsca dla dam przy nadziei”, „miejsca dla zmęczonych”. Tabliczka o „damach przy nadziei” przekonała mnie ostatecznie, że nie mamy do czynienia ze zwycięstwem komunizmu na jednej szóstej ładu. Ale tabliczka o „miejscach dla zmęczonych” znów zachwiała moją pewnością.

Do licha, co to za świat? W „informatorach” od Feliksa, wśród pięciu zamieszkanym światów nic podobnego nie było! Ziemia-dwa to moja, Ziemia-trzy to ta, gdzie jest Kingim i tysiące innych miast-państw, Ziemia-cztery to Antyk. Starodawny, dziwny świat, który zastygł na antycznym poziomie rozwoju – poziomie wypracowanym do granic możliwości, wypolerowanym do połysku. Panowały tam niebanalne w swej prostocie mechanizmy, niesamowite stosunki społeczne (niewolnictwo jest dozwolone, ale niewolnicy mają święto prawo do urządzania powstania dwa razy do roku – wówczas buntownikom wydaje się broń i mogą wszcząć bunt, władza zaś może się bronić). Ziemia-osiem – twarda teokracja, wypaczona, lekko chora wersja chrześcijaństwa, rozwój biotechnologii z jednoczesnym demonstracyjnym ignorowaniem elektryczności; władze wiedzą o istnieniu funkcyjnych i usiłują

ich wysledzić. Ziemia-pięć to świat całkiem sympatyczny, w rozwoju wyprzedzający Kingim i bliski wyjścia w kosmos, ale posiadający jedną szczególną cechę, która przemieniła ustrój społeczny w chytry rebus – pociąg seksualny mieszkańców tego świata pojawia się raz do roku, na wiosnę.

Gdzie ja jestem? W Arkanie? Na Ziemi-jeden?

Stanąłem przy kabinie kierowcy – od strony pasażerów oddzielała ją niewysoka szklana przegródka, nad nią widniała krótko ostrzyżona głowa kierowcy. Kierowca nie oglądał się na mnie, pilnował drogi. Okazało się, że jedziemy nie w dół, lecz w górę, powoli objeżdżając wzgórze. Teraz byliśmy w rejonie Sadowego. Przejechaliśmy obok Sklifa.

Na szybie odgradzającej kabinę widniało kilka tabliczek. Jedna miedziana, od fabryki-producenta, wynikało z niej, że jadę autobusem marki SZCZAZ wyprodukowanym w Szczukińskiej Fabryce Samochodów w 1968 roku. Nieźle, taki stary, a tak się dobrze trzyma! Z dwóch kartek umocowanych w plastikowych uchwytach dowiedziałem się o zasadach korzystania z autobusu (nic niezwykłego, prócz wyszukanego stylu i pierwszego zdania „Droży pasażerowie! W moskiewskich autobusach między innymi należy – w miarę możliwości – opłacić swój przejazd...”). Obejrzałem też schemat trasy autobusu „Pamiętny”. Umieszczono tu jedynie fragment Moskwy, ale już wiedziałem, że znajduję się na wzgórzu o podejrzenie regularnym kształcie – jakby ktoś wbił w ziemię gigantyczny cyrkiel i narysował połowę koła o średnicy czterech kilometrów. Moja wieża była tuż obok punktu, w który wetknięto szpikulec cyrkla. Moskiewskie ulice wyginały się wokół wzgórza, jakby w siatkę z miękkiego sznurka wrzucono ciężką kulę, która ją rozerwała i wykrzywiła wszystko wokół siebie. Na tym schemacie wzgórze zakreskowano na zielono i podpisano: „Wzgórze pamięci”.

Więc jednak coś się tu stało. I to całkiem niedawno. Przyjrzałem się uważniej przesuwającym się po lewej stronie autobusu drzewom. Pół wieku temu wydarzył się tu jakiś kataklizm, po którym wzgórze obsadzono drzewami i stworzono park. Na pamiątkę ofiar? Być może.

Autobus tymczasem minał jeszcze dwa puste placyki widokowe, kierowca za każdym razem zerkał na mnie, ja kręciłem głową. Z mapy wynikało, że droga powinna skręcić w las i zaprowadzić mnie z powrotem, prawie do

samej wieży. Tam, u podstawy tego półokręgu, znajdował się ostatni punkt trasy autobusu. I chyba jeszcze jeden placyk widokowy, zorientowany w stronę placu Priobriażeńskiego.

Tak się właśnie stało. Autobus skręcił, przez jakiś czas jechał przez park, gałęzie drzew niemal zamykały się nad jego dachem. Z naprzeciwka jechał identyczny autobus, tylko nabity ludźmi; kierowcy dali sobie znak.

A potem mój autobus wjechał na placyk widokowy – dużo większy niż poprzednie, wyłożony kamiennymi płytami. Były tu daszki chroniące przed słońcem, parking (dwa autobusy, kilka samochodów osobowych) i restauracyjka ze stolikami w środku i na zewnątrz, a także niewielka drewniana kaplica – z lśniącem pozłotą krzyżem. A także wysoka ściana z czerwonego granitu umieszczona na brzegu ceglanych ruin jakiegoś niewielkiego budynku. Na czarnej płycie przed stelą leżała kolorowa sterta kwiatów.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił kierowca, wyłączając silnik. – Pół godziny postój. Jeśli się pan śpieszy, to ten niebieski zaraz odjeżdża.

Uśmiechnął się do mnie olśniewającym uśmiechem zdrowego człowieka, który nigdy nie palił, regularnie myje zęby i odwiedza dentystę. Kierowca, mój rówieśnik, był nieco prostym, ale sympatycznym mężczyzną. Na palcu miał obrączkę, za okrągły cyferblat prędkościomierza wetknięte małe kolorowe zdjęcie kobiety z dzieckiem na ręku.

– Dziękuję – powiedziałem szczerze. – Ja... pobędę tu jakiś czas.

Wysiadłem z autobusu i od razu podszedłem do monumentu... a raczej do ceglanych ruin. Coś mi przypominały. Coś do bólu znajomego.

19.

Strach bywa różny. Nie wierzcie tym, którzy mówią, że najstraszniejsze jest nieznane, niezrozumiałe, przyczajone w mroku niebezpieczeństwo. Najstraszniejsze rzeczy są widoczne i namacalne – nacisk stalowego ostrza przy gardle, bezkresna ciemność wewnątrz lufy pistoletu, ciężki zapach leżącego na tobie zwierza, wdzierająca się do gardła słona woda, trzask wiszącej nad przepaścią kładki.

I dopiero potem jest miejsce dla słów „nie kocham cię” i „musimy operować”; dla czegoś poruszającego się w ciemności, dla cmentarza w burzliwą noc, dla pierwszego skoku ze spadochronem i dla groźby „jeszcze się spotkamy”.

Prawdziwy strach jest wyraźny, namacalny, prawdziwy strach pochłania cię całkowicie. Widzisz go, słyszysz, czujesz i możesz dotknąć. Możesz sprawdzić, jaki ma smak.

Lufa pistoletu pachnie prochem i ma smak żelaza. Pęknięta deska cuchnie zgnilizną. Skóra na gardle, napięta ze strachu szeleści, gdy dotyka ją ostrze. Strach potrzebuje wszystkich twoich zmysłów, aż do końca. Jeśli posiadasz szósty zmysł, strach również weźmie go w obroty.

No więc miałem szczęście. Stałem przy monumencie i patrzyłem na ruiny – do bólu znajome ruiny wieży. Dokładnie takiej samej jak moja, kryjącej się wśród drzew sto metrów dalej. Zachował się nawet fragment płaskorzeźby – królik w klatce i wyciągnięta do niego ręka dziecka. Ceglane ściany były szerniałe i chyba stopione, żadnej ostrej krawędzi, jakby ktoś umaczał we wrzątku kawałek rafinady.

To była zniszczona funkcja.

Powoli przeniosłem wzrok na ścianę, na górę kwiatów, na czarny marmur płyty i brązową tablicę z napisem: „Na pamiątkę moskiewskiego meteorytu, który spadł na Ziemię 17 maja 1919 roku. Wieczna wdzięczność moskiewskim astronomom, a w szczególności tow. Kulikowi, którzy dostrzegli zbliżające się ciało niebieskie i w porę uprzedzili mieszkańców o niebezpieczeństwie. Wieczna pamięć towarzyszą, którzy zginęli podczas kataklizmu!”.

Nieco niżej, nie wiadomo dlaczego nie na tablicy, tylko na marmurze, widniał jeszcze jeden napis, ułożony z liter z brązu: „Podczas upadku moskiewskiego meteorytu zginęło trzystu czterestu mieszkańców Moskwy”.

Pewnie, że 314 osób to niemało... Ale bądźmy szczerzy, w rzeczywistości liczba ofiar powinna być o rząd czy dwa wyższa! Nawet biorąc pod uwagę, że w 1919 roku ta okolica była Moskwą jedynie umownie... dalekie peryferie miasta... Brawa dla towarzysza Kulika i jego współpracowników! No proszę, na początku dwudziestego wieku zdołali zarejestrować zbliżający się meteor, wyliczyć punkt upadku, ostrzec mieszkańców i namówić ich do ewakuacji! I to wystarczyło, żeby historia potoczyła się innym torem? Żeby Rosja Radziecka wyewoluowała w coś zupełnie ludzkiego i cywilizowanego? Dlaczego w takim razie nasz meteor przeszedł bokiem?

– Taak... – powiedział ktoś za moimi plecami. – Minęły pięćdziesiąt dwa lata. To nie żarty.

Skinałem głową, wołałem nie rozwijać tematu. Ale sekundę później dotarł do mnie sens słów nieznajomego.

– Powiedział pan, że ile lat? – zapytałem, odwracając się gwałtownie.

Za mną stał ten sam dziadek, który wysiadł z autobusu – z laską i w słomianym kapeluszu.

– Pięćdziesiąt dwa.

Aha, wszystko jasne. To nie Arkan, niestety. To jego antypoda. Świat, w którym czas spóźnia się względem naszego. Otworzyłem przejście do nieznanego, zamieszkanego świata.

Hura? Hura! I wtedy skreśliła mnie podejrzliwość.

– Dotarł pan tu przede mną? Przez las, na piechotę?

– No przecież szliśmy skrótem. – Staruszek się uśmiechnął. – Pan jechał autobusem naokoło, a my prosto, przez las, ścieżkami. Co miesiąc tu przyjeżdżam, znam wszystkie drogi. Dwadzieścia minut i jestem na miejscu.

– Co miesiąc? Ktoś panu tu zginął?

– Pan Bóg strzegł. – Staruszek się przeżegnał. – Ale jak to wszystko było, pamiętam doskonale. Tak... pamiętam... Może usiądziemy?

Wyciągnął rękę z laseczką, wskazując kawiarniane stoliki. Ciekawa rzecz: gdyby pokazał palcem, wypadłoby nieuprzejmie, ale jak pokazał laseczką, to wyglądało bardzo elegancko. Może to jeszcze z czasów małop? „Nie pokazuj palcem, w końcu jesteś przodkiem człowieka i umiesz posługiwać się narzędziami! Weź pałkę!”.

– Chętnie... tylko że... – Zawahałem się. Transport miejski mają umownie bezpłatny, ale kawiarnie...

– Nie ma pan pieniędzy, młody człowieku? – Staruszek znowu się uśmiechnął. – Niech pan pozwoli, że poczęstuję pana kuflem piwa.

Po takim spacerze faktycznie chciało mi się pić.

– Trochę mi niezręcznie – wyznałem.

– Chodźmy, młodzieńcze, chodźmy. – Staruszek zastukał laską po kamieniach. – I proszę nie myśleć, że jestem starym zboczeńcem, który usiłuje zawrzeć znajomość z młodym chłopcem, albo pijaczną, który opowiada bajki za kufel piwa. No, śmiało!

Poddałem się. W jego namowach było coś komicznego i wzruszającego zarazem. Rzecz jasna nie uważałem go za pijaka czy zboczeńca, najwyżej za człowieka, który lubi opowiadać o najważniejszym wydarzeniu w swoim życiu.

Usiedliśmy pod beżowym parasolem, na którym widniał napis „Kwas-Spas” wypisany dziwnie znajomą czcionką. Stolik był porządny, aluminiowy, a krzesła plastikowe, ale z troskliwie podłożonymi poduszeczkami w kolorowych poszewkach. Podszedł kelner – młody, czarnoskóry chłopak.

– Dzień dobry, Kir Sanycz – powiedział do staruszka z uśmiechem i równie szeroko i serdecznie uśmiechnął się do mnie. – Dzień dobry.

– Dzień dobry – odparłem. Chłopak budził sympatię, od razu miało się ochotę coś u niego zamówić.

– Dzień dobry, Romanie. – Staruszek zdjął kapelusz, powiesił go na wolnym krześle. Laszkę oparł o stół, choć właściwie mógł powiesić ją na oparciu krzesła. – Poprosimy dwa razy piwo, „Moskiewskie czarne”. Chociaż nie, dla młodego człowieka „Jauskie złote”, jemu jest gorąco. A do piwa jak zwykle... Taak... Twoja mama pierożki piekła?

– Już wstawia do piekarnika. – Murzyn Roman aż rozkwitł w uśmiechu.

– Dla mamy pozdrowienia, a dla nas pierożki – powiedział staruszek. Gdy kelner odszedł, zwrócił się do mnie i tonem spiskowca oznajmił: – Ciężko w to uwierzyć, ale najlepsze pierożki z kapustą piecze w Moskwie jego matka, która pierwszy raz w życiu zobaczyła kapustę dopiero po przyjeździe do Związku...

Więc jednak Związek...

– Zdumiewające – powiedziałem, nie myśląc bynajmniej o kulinarnych talentach czarnoskórej emigrantki.

– Poznajmy się... – zaproponował staruszek. – Kirył Aleksandrowicz.

– Kirył. Kirył Daniłowicz.

– Mój imiennik! Bardzo mi przyjemnie.

Letni bar z piwem kuflowym i wysokimi, barwnymi szklanymi stożkami – czyżby syrop do wody gazowanej? – stał przed wejściem do restauracji. Kelner szybko wrócił do nas z dwoma kuflami piwa. Nieuchwytnym ruchem położył na stoliku przed nami kartonowe podkładki, postawił na nich spotniałe kufle: dla staruszka czarny porter z gęstą czapką piany, dla mnie jasne, ale bez tej niezdrowej bladości, cechującej wszystkie gatunki piw meksykańskich i południowoamerykańskich.

Piwo okazało się smaczne.

W ślad za piwem, pojawiło się kilka gatunków orzeszków, talerzyk z żółtym serem i małe wędzone rybki.

– Pierożki zaraz będą. – Roman przyłożył palce do białej czapki, jakby salutując żartobliwie, i się oddalił.

– A więc... – zaczął staruszek – działo się to w maju... Plotki krążyły po Moskwie już od pierwszego, ale niewiele osób im wierzyło. Sam pan wie, jakie to były czasy, niespokojne, głodne. Ale ósmego maja mimo wszystko zaczęto ludzi ewakuować. Tłumaczono im, że spadnie olbrzymi meteoryt. Ludzie

oczywiście nie chcieli iść, nie wierzyli. Bali się o swoje domy, o dobytek. – Staruszek popatrzył w zadumie na pomnik. – Napisali, że zginęło trzysta czternaście osób. To kłamstwo. To tylko ci, którzy podpisali odmowę: zostaliśmy uprzedzeni i odmawiamy ewakuacji – ich właśnie policzono. A przypuszczam, że kolejnych trzystu nie odnaleziono, nie uprzedzono. Niektórzy nie otwierali drzwi, chowali się, nie spodziewając się po władzy niczego dobrego. Nazjeżdżało się tu złodziei i głupców... przez okrażenie zawsze można przejść. Grabili mieszkania, bawili się. Całą noc ogniska się tu paliły. Słyszeliśmy pijackie wrzaski, piski kobiet. Stałem w okrażeniu. Czerwonoarmiści klęli jak szewcy, tylko bluzgi było słyhać. A rano jak rąbnęło!

– Widział pan, jak spada meteoryt?

– Nie... Oczywiście, że nie! Co też pan, Kiryle! Tylko uderzenie, straszne uderzenie, wieża Spaska się przekrzywiła. Ziemia falowała jak morze. Widziałem oślepiające światło, jaśniejsze niż tysiąc słońc. Huk taki, że tym, którzy nie zaczęli krzyczeć ze strachu, bębunki popękały. Potem jedni mówili, że widzieli kulę ognistą, spadającą z nieba, inni, że ślad dymu. To wszystko bzdury. Wszystko stąd, właśnie z tego miejsca szło. Aparaty telegraficzne płonęły w promieniu pięćdziesięciu wiorst.

Skinałem głową i zerknąłem na ruiny wież.

– Dlatego tutaj postawili memoriał. – Staruszek skinął głową. – Wszystko było spalone, w proch się przemieniło, a ona stała dalej. Cud, prawda?

– Aha. – Podniosłem do ust kufel i zamarłem.

Straszne uderzenie. Ziemia się zakołysała. Oślepiający błysk. Łoskot. Impuls elektromagnetyczny.

– Aparaty telegraficzne spłonęły?

– Tak. Podobno nawet na statkach na Bałtyku radio przestało działać. Ale może to tylko bajki.

Odstawiłem kufel i pokręciłem głową.

– Kiryle Aleksandrowiczu, to nie był meteoryt.

– Oczywiście, że nie – zgodził się szybko staruszek. – Jaki, do licha ciężkiego, meteoryt? Jakie mogły być wyliczenia trajektorii w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym roku? To był wybuch termojądrowy!

– Ale wtedy...

– To tutaj był rok dziewiętnasty. A na naszej Ziemi – pięćdziesiąty czwarty. Próba jądrowa, poligon w Tockoje. Zrzucili z samolotu pocisk – czterdzieści kiloton – ale to była tylko zmyłka. Pocisku termojądrowego nie dało się przetransportować, złożyli go do kupy pod ścianami wieży. – Staruszek skinął głową w stronę spalonych ruin. – Wielkie bydlę... Od razu zrozumiałem, że trzeba brać nogi za pas. Wieża nie wytrzymała. Ścianę zmiotło, na milisekundę między światami pojawiło się bezpośrednie przejście i całe uderzenie wessało tam... to znaczy tutaj. Ziemia stanęła dęba... unikatowy eksperyment zmiany rzeźby terenu. Jeszcze chyba Ziemia-dwanaście oberwała, ale jej mi nie szkoda. Co tam tych pajaków żałować! – Staruszek zachichotał. – Nigdy nie lubiłem pajaków, zwłaszcza wielkich i włośchatych.

– Więc to pan jest tym celnikiem, który otworzył przejście do Arkanu?! – zawołałem.

– Tak jest, młody człowieku. Jegorow, Kirył Aleksandrowicz, były mistrz-celnik, były pracownik bezpieczeństwa ZSRR, były major, były Bohater Związku Radzieckiego. Skazany na karę śmierci za odmowę wprowadzenia do Arkanu oddziału specjalnego przeznaczenia, w celu likwidacji buntu antyradzieckiego.

– Ale przecież w Arkanie czas wyprzedza nasz o trzydzieści pięć lat! Myślałem, że przejście zniszczyli, gdy się dowiedzieli o rozpadzie Związku Radzieckiego, a celnik... a pan odmówił zamknięcia tego przejścia.

– Kto panu takich bzdur naopowiadał? To brednie, kolego! Na Ziemi-jeden czas spóźnia się w stosunku do Ziemi-dwa. Przejście zniszczono, gdy Kapłan postrzeliła towarzysza Uljanowa, gdy komuniści spanikowali, a władzę przejął koalicyjny rząd. Wtedy Stalin zażądał wprowadzenia wojsk do Arkanu i zlikwidowania „buntu”. Odmówiłem wpuszczenia oddziału. Stalina wtedy szlag trafił, albo któryś z naszych mu pomógł, ale władza się nie uspokoiła. W efekcie mnie wydali, przyjaciele-funkcyjni mnie wydali, ale długo się trzymałem. Wieża jest praktycznie niezniszczalna. – Staruszek uśmiechnął się z dumą.

– Dmitrij... pewien polityk... chciał się dowiedzieć, jak tu żyją ludzie... Rozumie pan, wykorzystać Arkan jako wzorzec do porównań, jako poligon! Rozstrzygać, co jest słuszne, a co nie, i podejmować właściwe decyzje.

– Kirył, mój chłopcze... – Staruszek spojrzał na mnie ze współczuciem. – Twój polityk się spóźnił. Takim poligonem jest właśnie nasza Ziemia.

Jakby mnie prąd uderzył. Kawałeczki układanki łączyły się, tworząc wreszcie obraz...

Który zupełnie mi się nie podobał.

Arkan. Ziemia-jeden.

Arkan jest właśnie Ziemią-jeden!

– Pozostałe zamieszkane światy to również poligony?

Kirył Aleksandrowicz skinął głową, napił się piwa i powiedział:

– Oczywiście. Tworzenie modeli społeczeństw stoi tu na wysokim poziomie. Weźmy taki Antyk. Był pan tam?

Pokręciłem głową. Nie precyzowałem, że jestem celnikiem od niespełna tygodnia.

– No więc, Antyk rozwijał się normalnie. Właśnie weszli w epokę Renesansu, gdy pojawiła się nowa myśl: szczęście człowieka leży w prostocie stosunków społecznych i urządzeń technicznych. I ten świat został starannie cofnięty do czasów starożytnych. Ciekawy wniosek, ale mimo wszystko nie jest to wzór godny naśladowania. Zostawili go pod kontrolą. – Westchnął i spojrzał na zegarek. – Jeszcze piwa?

– Nie, dziękuję.

– A ja, jeśli pan pozwoli... – Staruszek skinął ręką kelnerowi.

– Jak mnie pan rozpoznał? – zapytałem. – Przecież pan... a może nadal jest funkcyjnym? Ja nic nie poczułem.

– Odrobinę – odparł staruszek. – Moja łączność z wieżą nie została zerwana. Gdyby wieża uległa całkowitej zagładzie, to pewnie bym umarł, a w każdym razie straciłbym wszystkie zdolności. Ale kawałeczek ściany pozostał, miałem szczęście. Dlatego nadal wyczuwam „swoich”, trochę rozumiem obce języki. Z długowiecznością kaput, ale za to żadnych chorób.

Zerknąłem na laseczkę.

– To tylko tak. – Kirył Aleksandrowicz się uśmiechnął. – Nie wypada, żeby staruszek skakał jak młodzieniaszek. Laska budzi szacunek, dodaje powagi. No więc, od razu poczułem twoją wieżę, jak tylko otworzyłeś do nas przejście. Zawsze wiedziałem, że jeśli ktoś kiedyś przebije wejście do Arkanu, to na pewno w tym samym miejscu. Do tej pory bariera między światami jest tu bardzo słaba. Pocisk termojądrowy to nie żarty, Kiryle. Nie żarty.

– To pewnie tutaj jest promieniowanie – wymruczałem. – A wszyscy tak spokojnie siedzą...

– Promieniowania nie ma, nie bój się. Nie wiem, czemu tak się stało, ale promieniowanie nie przeszło.

Roman przyniósł piwo.

– Kiryle Sanyczu, pierożki już wyjęte, muszą tylko odrobinę przestygnąć.

Kirył Aleksandrowicz skinął mu głową i zwrócił się do mnie:

– Jeśli masz jakieś pytania, pytaj śmiało, nie krępuj się.

– Kiryle Aleksandrowiczu, czy funkcyjni wyszli z tego świata?

– Dlaczego wyszli? Tutaj mieszkają, a w innych światach bywają od czasu do czasu, na przykład, kiedy miejscowych doprowadzają do funkcji. – Uśmiechnął się. – Patrzą, jak się mają sprawy. Obserwatorzy, zwiadowcy... możesz ich nazwać, jak chcesz. Mnie znaleźli od razu, ale długo się ze mną nie kontaktowali, patrzyli, jak się będę zachowywał. A mnie się tu spodobało. Tu przecież nawet rewolucja inaczej się potoczyła, prawie bezkrwawo! Wojny Ojczyźnianej nie było. Naszą Ziemię od dawna wykorzystywali dla porównania, dlatego miejscową rewolucję wzięli pod kontrolę. Dłuższy czas próbowali ucywilizować Uljanowa, nawet mu co nieco opowiadali, pokazywali filmy, co się na naszej Ziemi działo. Ale wodzowi od takich objawień w głowie się pomieszało. Postanowił opowiedzieć robotnikom o funkcyjnych, wszczać czerwony terror przeciwko ciemnościom. No i wtedy go usunęli. Zrobili podobnie jak w naszym świecie, żeby dochować historycznej wierności, tylko tutaj zamach na Uljanowa był udany. Trzasnęli go i zaczęli przestawiać kraj na inne tory. Nie, od dobrych idei się nie odżegnali, skądże. Nie zgodziłem się, żeby wprowadzić tu bojowników – dopiero potem zrozumiałem, jakby ich tu ciepło przyjęli – i tym się właśnie zarekomendowałem. Kiedy pobiegłem,

żeby opowiedzieć o bombie. Bałem się, że pocisk wbije się do tego świata. I wtedy się ze mną skontaktowali.

– Zwerbowali pana – uściśliłem.

– No... jakby to powiedzieć... – Kirył Aleksandrowicz się skrzywił. – Wszyscy jesteście funkcyjnymi, prawda? I w bezpieczeństwie byłem funkcyjnym, człowiek z legitymacją, pistoletem, ze szczególnymi możliwościami i przywilejami odpowiednimi do statusu. Gdy zostałem celnikiem, prawie nic się nie zmieniło. Wszyscy jesteście funkcyjnymi, Kiryle. A skoro ten świat jest lepszy... Skoro jest wolny od całej masy błędów i rzeki krwi, skoro tu w ogóle nie było drugiej wojny światowej, skoro ludzie są syci i dobrzy, skoro na Księżycu powstały trzy osiedla – to co? Mam się dać zabić za kremlowskich wodzów? Za funkcyjnych z wtórnych światów, którzy chlapią się w swoim bagnie?

– Ale przecież Ziemia-dwa jest naszą ojczyzną!

– Kiryle... – Były celnik z Tockiego poligonu jądrowego westchnął. – To jest ta sama ojczyzna. Tylko prawidłowa, słuszna... wolna od błędów. Napisana na czysto.

– A pewnie, po takim treningu. Rewolucja bez przelewu krwi, kolektywizacja bez głodu, żadnych represji. I wojny nie było i miasta na Księżycu są! – Podniosłem głos. – A u nas Wojna Ojczyźniana tyłu ludzi pochłonęła, że do tej pory trwa dyskusja, czy to dwadzieścia milionów, czy czterdzieści! Brudnopis, co?

– Ja też walczyłem, Kiryle! – powiedział surowo staruszek. – Całą wojnę przeszedłem!

– W SMIERSZ-u*? – spytałem jadowicie.

Przez jakiś czas patrzyliśmy na siebie z rozdrażnieniem, w końcu starzec westchnął.

– Nie gorączkuj się tak, chłopcze. Tak już się złożyło, że ten świat był pierwszy. Dlatego tak pilnie obserwują inne światy – stąd. A propos, ludzkich światów znamy nie pięć, a ponad dwadzieścia. Nie wygłupiaj się, imienniku.

* SMIERSZ – kontrwywiad wojskowy działający w Związku Radzieckim w latach 1943 – 1946.

Skoro już zdarzył się cud, skoro zdołałeś otworzyć przejście, to znaczy, że masz dobre zadatki! Twoje miejsce jest tutaj!

– To nieuczciwe!

– W stosunku do kogo? Zwyczajny człowiek z Ziemi-dwa twoje możliwości nazwałby nieuczciwością! A przecież tobie one nie przeszkadzały? Spodobało ci się bycie funkcyjnym? No, spójrz mi w oczy, imienniku! Spodobało ci się?!
– zawołał starzec z jakąś lubieżną intonacją.

Nie odpowiedziałem. Ale nie spojrzałem mu w oczy.

– Nie myśl sobie, że tu wszędzie są rzeki miodem i mlekiem płynące – powiedział już spokojniej Kirył Aleksandrowicz. – Myślisz, że dlaczego tu tylu Murzynów? To uchodźcy z naszych afrykańskich protektoratów. Cały świat im pomaga! Niewolnictwa w Ameryce nie było, pozwolono Afryce na samodzielny rozwój... I też nic dobrego z tego nie wyszło – wojny, rasizm. Teraz realizuje się model stopniowego wywozu i asymilacji części afrykańskiej ludności. Wywozimy dzieci, zrywamy związki ze środowiskiem społeczno-kulturalnym, wychowujemy je w naszym duchu. Domy dziecka się nie sprawdzają, wyłącznie rosyjskie rodziny zastępcze. Ten kelner mieszka w Moskwie od siódmego roku życia. Pamiętam, jak tu biegał jako chłopaczek, talerze zbierał. Nie można go było oduczyć dojadania resztek. Jego rodzice umarli z głodu w Etiopii, a on sam wyglądał jak chodzący szkielet.

Przeszyło mnie poczucie zagrożenia – ostre i kłujące. Popatrzyłem na staruszkę. Czy Kiryła Aleksandrowicza się zwięzły. On również zrozumiał, że się wygadał.

– A co z mamą, która nigdy nie widziała kapusty? – zapytałem. – No, towarzyszu majorze? A jak tam pierożki, już zajęły pozycje?

– Zajęły – odparł sucho były major i były celnik. – Kirył, nie wygłupiaj się. Pozwolono mi utrzymać przejście otwarte w charakterze eksperymentu. Więcej się to nie powtórzy.

– I co, wysadzicie w centrum Moskwy pocisk termojądrowy?

– Twoją wieżę można odizolować prostszymi metodami. A z tobą... z tobą pogadają.

– A jeśli odmówię? Wstanę i odejdę?

– Nie pozwolą ci – odparł staruszek. Sięgnął ręką do kapelusza, jakby chciał go włożyć.

– Nie radzę, mistrzu. Solennie nie radzę. Niech pan niczego nie rusza, nie wstaje, nie macha rękami, nie woła Romana. Niech się pan uśmiecha.

– Piwo można pić? – zapytał staruszek po chwili wahania.

– Piwo można.

Powoli napił się piwa. Jestem pewien, że jego mózg pracował teraz na najwyższych obrotach. Mój też.

Jeśli mam rację... a czuję, że mam, to wokół mnie już powstał i teraz zamyka się pierścień obławy. Niedawno podjechał autobus z turystami... Spojrzałem w bok. Tak jest, wśród nich było zbyt wielu młodych, krótko ostrzyżonych chłopaków, białych i czarnych, na przemian. A kilka dziewczyn miało za bardzo rozwinięte bicepsy i zbyt płynne ruchy. I są jakoś tak dziwnie ubrani. I wszyscy, mimo pięknej pogody, mają przerzucone przez ręce płaszcze albo marynarki. Niektórzy niosą sportowe torby na ramionach.

– Tu nie ma funkcyjnych – stwierdziłem z ulgą. – Tylko specnaz. Nie zdążyliście, co?

– Opamiętaj się, chłopcze – powiedział z rozdrażnieniem staruszek. – Kiedy serie z karabinów zrobią z ciebie farsz, to żadne zdolności funkcyjnego ci nie pomogą.

Odpowiedziałem dopiero po dłuższej chwili.

– Wszystkiego dobrego, Kir Sanycz.

– Jak sobie chcesz – odparł staruszek, również nie od razu.

Wstałem z kuflem piwa. Najrozumniej byłoby podejść do baru, że niby tak bardzo zachciało mi się piwa, że nie jestem w stanie poczekać na kelnera, a stamtąd iść do drzwi restauracji, skoczyć za róg, przebiec drogę, wpaść do lasu i biegiem do wieży.

Kirył Aleksandrowicz chwycił swoją laseczkę jednym szybkim ruchem i nie wstając z krzesła, zakręcił nią, mierząc we mnie.

Miałem ochotę złapać za tę pałkę, wyrwać mu ją i porządnie przyłożyć swarliwemu staruszkowi, ale nie zrobiłem tego. Przewracając krzesło, machnąłem ręką z ciężkim kuflem, przesuwając laskę o kilka centymetrów, potrzebnych, by uchronić moją skroń od zawarcia bliższej z nią znajomości.

Laska uderzyła w stolik i pocięła aluminiowy blat, jakby był z plasteliny.

Poczułem się tak, jakby coś się we mnie wlało, w żyłach popłynęła fala gorąca. Serce uderzyło i skurcz trwał, trwał, trwał bez końca. Zapadła cisza, powietrze stało się sprężyste i szorstkie.

Wyrwałem laskę z rąk staruszka – nie była zwyczajnie ciężka, była bardzo ciężka. Chyba stalowa, zalana ołowiem. Pozdrowienia od Iwana Poddubnego.

Świat wokół mnie zastygł. Coś podobnego działo się już ze mną w hotelu „Biała Róża”, ale w dużo mniejszym stopniu. Kelner Roman, patrząc na nas, nalewał czerwony sok do szklanki z wodą gazowaną, mała dziewczynka, czekając na lemoniadę, podskoczyła z niecierpliwości, chcąc zajrzeć za ladę, i zawisła w powietrzu, powoli spadając w dół. Poruszałem się tylko ja.

I Kirył Aleksandrowicz.

Spróbowałem przywalić mu jego laską, bezlitośnie, z tą samą niewzruszoną celnością, z jaką walił on, ale nie udało mi się, staruszek zrobił unik i chwycił laskę przy gałce. Spostrzegłem, że nasze szybkie ruchy, których z boku pewnie nie dałoby się zarejestrować, nie mają żadnego wpływu na muskulaturę twarzy. Mięśnie mimiczne były absolutnie nietknięte tym przyśpieszeniem, które objęło całe ciało; nasze twarze, mimo zacieklej walki pozostały dobroduszne i spokojne. Zapewne tak walczyłyby ze sobą dwa roboty.

Przez kilka chwil walczyliśmy, wrywając sobie laskę ponad stołem, ale siły były wyrównane. Jego zniszczona funkcja znajdowała się zbyt blisko.

Zrozumiałem to pierwszy i puściłem laskę, nim Kir Sanycz wpadł na ten sam pomysł.

Zdołał utrzymać równowagę – jego reakcje wielokrotnie przewyższały ludzkie – ale nie zdołał wyhamować siły rozpędu i teraz śmiesznie biegł do tyłu, trzymając przed sobą laskę w wyciągniętych rękach. Przewrócone przeze mnie krzesło znalazło się – jakże fortunnie – na jego drodze i Kirył Aleksadrowicz upadł na wznak.

Nie miałem zamiaru kontynuować walki, odwróciłem się i zacząłem biec w stronę drogi. Muszę wykorzystać to przyśpieszenie, dopóki jeszcze działa. Czuję, że ten fantastyczny stan nie potrwa długo.

Specnazowcy w końcu zareagowali. Na ziemię jedna po drugiej spadały marynarki i płaszcze, odsłaniając automaty z krótką lufą. Wszystko działo się chyba bardzo szybko, ale dla mnie w zwolnionym tempie.

Znacznie bardziej niż ci z automatami zaniepokoiła mnie ta grupka, która nie sięgnęła po broń. Unosili ręce, przyciskali je do szyi i wykrzywiali się. Przebiegając obok, zauważyłem, że z ich rozwartych dłoni wypadają małe plastikowe strzykawki. I niemal od razu ci „ukłuci” specnazowcy zaczęli się szybciej poruszać.

Czułem się jak w koszmarnym śnie albo na planie filmu o inwazji zombi, powolnych, niezgrabnych, którym zapach żywego ciała dodawał wigoru. Odezwał się pierwszy automat – powoli, z krótkimi przerwami między strzałami „tak-tak-tak” i seria pocisków przeszła nad moim lewym ramieniem.

Źle, bardzo źle. Przed kulami się nie uchylę. Cuda zdarzają się tylko w filmach, ludzkie ciało nie może poruszać się z taką prędkością, żeby rywalizować z kulami.

Skoczyłem w stronę kawiarni, chcąc ukryć się za budynkiem i biec w stronę mojej wieży okrężną drogą.

Ale w moją stronę już leciał czarnoskóry kelner Roman. W jednej ręce trzymał tacę z dwoma kuflami piwa, w drugiej długi, wyszywany ręcznik z kolorowym sznurkiem na obrzeżach.

– Nie zapłaciłeś rachunku! – zawołał ze złośliwą radością. Poruszał się z tą samą prędkością, co ja! On również był funkcyjnym!

Funkcyjny kelner! Co taki może umieć? Na przykład uspokajać pijanych gości.

– Z drogi!

Próbowałem go ominąć, ale Roman już przesunął się w tym samym kierunku.

Machnął ręką i gestem sztukmistrza przeciągnął ręcznik przez ucha kufla. Potem pociągnął ręcznik za środek i zakręcił – niesłychana broń, składająca się ze zwiniętego w sznur ręcznika i dwóch kufla piwa na końcach. Widocznie w brzeg ręcznika wszyto jakieś trzpienie, które w uchach kufla wyprostowały się i trzymały kufle. Kawalki piany i bryzgi piwa otoczyły Romana piwną

tęczą. Teraz kelner szedł na mnie, kręcąc zaimprovizowanym cepem. Niech to szlag. Z tyłu celuje do mnie dwadzieścia luf, a z przodu mam uchodźcę z Etiopii, gotowego narzędziami pracy bronić swojej nowej ojczyzny!

Decyzja była tak niespodziewana i nietypowa, że nie od razu zrozumiałem, co właściwie krzyknąłem:

– Na kogo rękę podnosisz?! Na białego pana?!

Efekt był wstrząsający! Nigdy przedtem nie stykając się z rasizmem, czarnoskóry chłopak osłupiał. Jego ręka rozwarła się i kufle piwa, wirując razem z ręcznikiem, pomknęły w górę niczym zerwany wirnik helikoptera. Reakcja specnazowców, działających teraz na instynktach i stymulatorach, była oczywista – zaczęli strzelać do wirującego w górze błyszczącego kręgu. Powoli opadał na nas szklany pył, zmieszany z bryzgami piwa i strzępami materiału. Roman nadal stał jak słup, oszołomiony moimi słowami, a ja już schowałem się za rogiem. W samą porę – automaty znowu się odezwały. Usłyszałem brzęk tłuczonego szkła i plask kul uderzających w tynk. Idioci! Przecież tam jest pełno ludzi!

Pobiegłem do drogi i zobaczyłem idące z naprzeciwka dzieci z Marianną na czele. Gdybym przed chwilą nie obraził Romana biegłbym dalej prosto, pod osłoną budynku i czarnoskórych maluchów. To nie będzie moja wina, jeśli mimo obecności dzieci otworzą ogień.

Gdyby te dzieci były białe, albo białe, żółte i czarne, również bym nie skręcił.

Ale po tym, co krzyknąłem do Romana, nie mogłem osłaniać się grupką Murzyniątek. Wtedy obraźliwe słowa, wykrzyknięte pod adresem Romana i użyte jako broń, stałyby się moim stanowiskiem życiowym.

Skręciłem bardziej w lewo, wychodząc pod kule i skazując się na niepotrzebny hak przez las, ale pozostawiając mieszkańców Wybrzeża Kości Słoniowej poza sektorem ostrzału.

W sektorze ostrzału znalazłem się ja.

Trafili mnie, gdy już wpadałem pod zbawczą osłonę drzew. Kule uderzały w gałęzie, sypały się liście i drzazgi, nadciągał podejrzany, nieprzyjemny huk i wtedy właśnie coś uderzyło mnie w ramię. Nie poczułem bólu, to było jak przyjacielskie klepnięcie „No dawaj, szybciej, szybciej!”.

Nie wiem, czy mogłem biec szybciej. Ramię pulsowało, ale biegłem, ciągle na przyspieszeniu. Coraz bardziej oddalałem się od memoriału i kule z automatów już mnie nie dosięgały.

Za to na niebie nad lasem pojawiły się dwa helikoptery. Nie miałem czasu, żeby się im przyglądać, zauważyłem tylko szaro-zielone, nie cywilne kolory – i dwa ogniste kwiatki, rozkwitające na uchwytach każdego helikoptera.

Tylko nie rakiety!

Ale to były szybkostrzelne karabiny. Nie obrzyny, z którymi lecieli na mnie specnazowcy, ale prawdziwe wojskowe maszynki. Gdzieś przede mną upadło drzewo, ścięte kulami, za moimi plecami ktoś zaczął krzyczeć – może ze strachu, a może zraniony zabłąkaną kulą.

Próbowałem biec szybciej, ale to już było niemożliwe. Gdyby organizm spróbował wydać rozkaz przyspieszenia, to pewnie mięśnie oderwałyby się od kości.

Druga kula przebiła mi nogę, gdy od wieży dzieliło mnie już dziesięć metrów. Goleń zachrząścił i wybuchł fontanną krwi. Wrzasnąłem z bólu, upadłem i potoczyłem się w dół po zboczu. Wieża jest tuż obok. Wieża mnie uratuje. Można ją zniszczyć jedynie pociskiem termojądrowym.

Dwie kolejne serie chybiły, poszły bokiem. Helikoptery zawisły w jednym miejscu, tłukąc we mnie nieskończenie długimi seriami. Do tych dwóch dołączył trzeci, tak mu się śpieszyło, że zaczął strzelać z odległości dwóch kilometrów, i to nadzwyczaj celnie. Kilka kul uderzyło w cegły nad moją głową; usłyszałem miękkie plaskanie, gdy ołowiane „placki” odskakiwały od wieży.

Już otwierałem drzwi, klęcząc i ciągnąc za sobą ranną nogę, gdy weszła we mnie trzecia kula. W kręgosłup, dokładnie pośrodku pleców, krusząc kręgi, rozrywając jelita i pęcherz moczowy, przemieniając zawartość małej miednicy w kisiel z krwi i gówna. Ból rozlał się po kręgosłupie ognistą rzeką i zniknął, jakby w środku mojego ciała przepaliły się bezpieczniki, nie wytrzymując obciążenia. Przyspieszenie zniknęło bez śladu. Powolne serie karabinów zlały się w terkot oszalalej maszyny do szycia; moje nogi znieruchomiały. Nie czułem nic – tylko ręce jeszcze się ruszały.

I właśnie na rękach wczołgałem się do wieży, zostawiając za sobą krwawy ślad i kawałki własnego ciała. Ostatnim wysiłkiem pchnąłem drzwi, zamknęły się miękko. Czy muszę przesunąć zasuwę? A może zasuwka jest tylko dla picu, może wieża sama ochrania przejście?

Nie wiem. I nie chcę wiedzieć. I tak jej nie przesunę...

* * *

Umieram.

20.

Każdy normalny człowiek wie, że chorowanie to nic przyjemnego. Nawet banalna grypa oznacza gorączkę, ból głowy, piasek w oczach, bóle mięśni i stawów, nieprzyjemny kaszel.

Ale na taką chorobę można spojrzeć z innej strony.

Zimny, nieprzyjemny dzień między jesienią i zimą. Na drodze błotno-śniegowa papka. Na niebie szare paskudztwo. W pracy zapieprz (jako wariant: w szkole klasówka, na studiach kolokwium). Budzisz się i ze wstrętem uświadamiasz sobie, że czeka cię długi, ciężki, nieprzyjemny dzień. Wstajesz, ale już czujesz, że coś jest nie tak – nos zatkany, głowa ciężka, dreszcze. Po krótkiej rozmowie z żoną (lub mamą) postanawiasz zmierzyć temperaturę.

Trzydzieści siedem i pięć. Oho! Wyższa od tej, którą można by zlekceważyć. Ale zdroworozsądkowo postanawiasz zmierzyć temperaturę jeszcze raz. No nie, trzydzieści siedem i siedem!

Wszystko jasne, masz grypę. Oczywiście lekarz nazwie to przeziębieniem, ponieważ epidemii grypy nie ogłoszono, a nie ogłoszono jej dlatego, że państwu się to nie opłaca. Zresztą, to nieistotne, kuracja i tak jest taka sama. Z pewnym trudem po dłuższych wysiłkach dodzwania się do przychodni, potem do pracy (jeśli jeszcze nie pracujesz, mama dzwoni do szkoły) i oznajmiasz, ścisząc głos i przydając mu zrozpaczone brzmienie, że się rozłożyłeś i masz grypę. Potem przychodzi nerwowa lekarka i nie zdejmując butów, podchodzi do twojego łóżka, nieuważnie słucha twojej opowieści o objawach, spogląda na termometr i zadaje retoryczne pytania. Godzinę później, otulony w ciepły szlafrok i współczucie domowników

siedzisz w fotelu przed telewizorem i oglądasz jakiś stary film sensacyjny albo kreskówkę. Regularnie przynoszą ci gorącą herbatę z cytryną, miodem i konfiturami. Pytają, co zechciałby zjeść twój cierpiący organizm. Czule dotykają dłonią czoła. Biegają do apteki, przynoszą aspirynę (rozpuszczalną czy w tabletkach?), witaminy w kolorowych opakowaniach i nieśpieszny kryminał Rexa Stouta. Oglądasz do końca kreskówkę, bierzesz lekarstwa, uśmiechasz się do żony (lub mamy) uśmiechem bojownika konającego w otworze strzelniczym betonowego schronu i idziesz do łóżka, żeby poczytać o leniwym, grubym detektywie i jego dziarskim pomocniku. A za oknem jest szaro i obrzydliwie; Pan Bóg robi repetycję potopu, zmczeni i przemarznięci ludzie powarkują na siebie.

Co to za cudowna rzecz taka grypa, jeśli tylko odpowiednio się ją przejdzie!

Oczywiście, jeśli nie jesteś już pod opieką mamy, a nie postarałeś się o żonę czy przyjaciółkę, cała sprawa nie wygląda tak różowo. Ale wtedy to już sam sobie jesteś winien, nie ma co złorzeczyć na nieszczęsne wirusy!

Zupełnie inaczej jest, gdy umierasz.

To nie ból jest najstraszniejszy. Wcześniej czy później ból mija – albo uśmierzą go lekarstwa, albo nie ma już dla niego miejsca. Najstraszniejsze jest to, że człowiek pozostaje sam na sam z wiecznością, z upadkiem w ciemną pustkę. Świat sprowadza się do jednego punktu, ciebie, albo wybucha w nieskończoną przestrzeń, nie bezlitosną czy złą, lecz absolutnie obojętną. Jesteś nikim i twoje miejsce jest nigdzie. Możesz wierzyć w Boga, możesz nie bać się śmierci, drwić z niej i pajacować, ale gdy oddech wiecznej nicości dotyka twoich warg, milkniesz. Śmierć nie jest okrutna czy straszna, ona jedynie otwiera drzwi, za którymi nic nie ma.

A ty robisz krok i przekraczasz ten próg.

W samotności. Zawsze w samotności.

Na przemian wypływałem na czarny ocean i wracałem do brzegów rzeczywistości. Rzeczywistość była znacznie gorsza. Ból czaił się tuż obok, nie czułem go, tak jak nie czuje się prędkości samolotu odrzutowego, patrząc na odległą ziemię, ale podobnie jak owa ziemia, ból ciągnął mnie do siebie.

Podłoga tańczyła i wirowała pode mną, kręcone schody niczym korkociąg wbijały się we wnętrze wieży.

Nie można mnie zabić. Nie można. Feliks mówił, że w swojej funkcji jestem nietykalny. A ja już jestem w domu, już jestem w wieży, jestem celnikiem.

Dlaczego właśnie celnikiem?

Idiotyczna myśl przed śmiercią, ale stała się tym kawałeczkiem życia, którego się uczepliłem. Dlaczego właśnie celnikiem? Kto wybrał mi ten los? I dlaczego?

Nie chcę umrzeć, nie znając odpowiedzi. Nie mam zamiaru na nikim się mścić. Nie zdołam wszystkiego naprawić i wszystkich pokonać. Ale chcę przynajmniej poznać swój los. I dlatego muszę przeżyć.

„To się nie uda” – szepnęła ciemność. „Nie męcz się. Zamknij oczy. Powiedz sobie: umieram. Powiedz i zamknij oczy. To wszystko nieważne. To wszystko pozostało w minionym życiu. To wszystko pozostało w życiu. Zaśnij”.

– Wuj tam... – wysyczałem, patrząc na wirujące jak śruba, rozpluwające się schody. – Wuj!

Serce bije. Płuca oddychają. Mózg nie umarł.

Jestem w swojej funkcji. Jestem na stanowisku. Nie tak łatwo mnie zabić. Nie wiem, jak to działa, ale jeśli rany goją się bez śladu, to zagoi się również ta rana.

Musi przestać krwawić. Tak, przede wszystkim muszę przestać tracić krew. Trzeba wyczyścić wszystko, co wychlusnęło do jamy brzusznej. Krew i limfocyty wessać przez śluzówkę, oczyścić i wpuścić do krwiobiegu. Kawalki tkanek, zawartość jelita. Wydalić. Kręgi muszą się zregenerować. Rdzeń kręgowy zrosnąć. Jelita muszą znów być całe. Pęcherz moczowy musi powstać na nowo, nerki mają się zregenerować.

Gdzieś we mnie zachichotał histerycznie chłopiec Kirył, którego ojciec był lekarzem. Ciemność skinęła mu z aprobatą.

Ja wszystko wiem, wszystko rozumiem. Tkanki ciała kiepsko się regenerują. A z taką szybkością, żeby uprzedzić rozpędzającą się we mnie posocznicę, nie regeneruje się w ogóle nic.

Ale jestem funkcyjnym. Prawie żołnierzem. Celnik jest przygotowany do walki, przygotowany na to, że dostanie serię z bliska, a potem ma wrócić na swoje miejsce pracy.

Czyli muszę sobie jakoś poradzić. Sufit zaczął wirować szybciej, w brzuchu rósł żar i pozwoliłem sobie zanurkować w ciemne wody zbawczego zapomnienia.

Ocknąłem się, czując straszne pragnienie.

Serce waliło mi jak oszalałe. Ciało płonęło, w brzuchu pulsował ból. Ohydna woń dusiła.

Ale w porównaniu z pragnieniem to wszystko było nieważne.

Pić. Gazowana woda mineralna, gorąca herbata z cytryną, zimny kwas. Nie, to wszystko półśrodki. Przyssać się do kranu, odkręcić kurek zimnej wody i łykać pachnącą żelazem i stęchlizną wodę. Paść twarzą w kałużę i chleptać ciepłą, brudną ciecz, nogami odpychając konkurentów, wszystkie bezdomne kundle.

Woda jest na pierwszym piętrze, na stole. A na drugim jest dużo, dużo wody w kuchni i w łazience.

Tylko pragnienie mogło mnie zmusić do ruszenia się miejsca. Leżałem na brzuchu, i to już było nieźle. Wyrzucając przed siebie ręce, próbowałem podciągnąć ciało. Nie udało mi się. Zakrzepła krew przykleiła się do podłogi, znowu spróbowałem podciągnąć się do przodu, odruchowo usiłując zaprzeć się nogami.

Nogi się poruszyły. Nawet ta przestrzelona. Spojrzałem na nią kątem oka – poniżej wypačkanej nogawki spodni było widać różową skórę, otoczoną strupem spieczonej krwi.

Udaje mi się!

Potrzebuję wody. Nie chodzi tylko o to, że umieram z pragnienia. Nagle bardzo wyraźnie zrozumiałem, że mój organizm potrzebuje wody, żeby się zregenerować, żeby wydalić z ciała produkt rozpadu tkanek. Jeszcze godzina czy dwie bez wody i umrę – na wpół ocalony, z zamkniętymi ranami i zregenerowanym organizmem. Umrę z pragnienia.

Do schodów czołgałem się dziesięć minut. Nogami szorując podłogę, opierając się podbródkiem, lekko odpychając stopami – jakoś dopełziłem i wparłem się głową w stopień.

I wtedy zrozumiałem, że za nic w świecie nie zdołam się wspiąć po schodach.

Poczułem się jak pływak, który tonie metr od zbawczego brzegu. W przystępie rozpaczki spróbowałem zarzucić głowę na stopień – bez efektu. Ciało zrobiło już wszystko, co mogło. Woda była tuż obok. Dwa piętra pełne wody. Ale ja nie zdołam do niej dotrzeć.

Jak wiadomo, jeśli Mahomet nie może przyjść do góry, to góra powinna przyjść do Mahometa. W przypadku wody to nawet prostsze do przeprowadzenia.

Popatrzyłem na schody. Bez względu na to, czym jest wieża, wewnątrz niej są kable, rury, schody. Rura może pęknąć i wtedy woda popłynie w dół. Rura musi pęknąć.

Nie próbowałem zrobić tego siłą woli, niczym oszalały parapsycholog, demonstrujący swoje nieistniejące zdolności, nie wydawałem bezgłośnych poleceń. To byłoby głupie. Leżałem pod schodami i czekałem, aż na drugim piętrze popękają rury i strumienie wody spłyną w dół, radośnie pluskając na schodkach. Kilka razy traciłem przytomność, chyba na całe minuty.

A potem usłyszałem szum i po stopniach zaczęła płynąć woda. Nie czekałem, aż spłynie pierwsza fala zmywająca brud. Nie zniechęciłby mnie nawet widok brudnego bezdomnego psa, zadzierającego łapę piętro wyżej, czy ciekącego kanistra benzyny albo pływających w wodzie odpadków.

Przywarłem policzkiem do schodka i łykałem, łykałem spływające do moich ust cienkie strużki, piłem, piłem, piłem... Woda obmywała moje ciało, rozplýwała się po podłodze. Piłem wodę, traciłem przytomność i znowu piłem. Miałem dreszcze, czułem się tak, jakby w moim wnętrzu płonął piec, i piłem, zalewając ten piekielny ogień. Raz zwymiotowałem i zrobiłem przerwę na kilka minut. Kilka razy posikałem się, leżąc w ubraniu w wodzie.

Było mi wszystko jedno. Organizm pozbywał się zniszczonych tkanek i nie miałem zamiaru mu w tym przeszkadzać. Wszystko jest lepsze od bezkresnej ciszy, która czekała na mnie tuż za progiem.

A woda ciągle płynęła, obmywając moje udręczone ciało i brudną podłogę. Żar wewnątrz mnie nieco zelżał.

Rozebrałem się, nadal leżąc, nogą odsunąłem od siebie brudne ubranie. Powoli zacząłem się czołgać w górę po schodach; drżałem przy każdym ruchu, ale już mogłem się poruszać!

Na pierwszym piętrze zrobiłem przerwę i zeżarłem wszystko, co znalazłem na stole. Stopione kawałki czekolady, zeschniętą kielbasę, ser. Dopiero potem poczułem, że zdołałem wejść na drugie piętro, do kuchni.

Czekolada, cukier, kielbasa. Mleko skondensowane! Otworzyłem puszkę kindziałem podarowanym przez Wasylisę. Trzeba będzie jej podziękować.

A potem położyłem się przy stole na podłodze i przespałem kolejne kilka godzin. W moim organizmie nadal coś się zrastało i regenerowało, ale to już mogło się odbyć bez mojego świadomego udziału.

Faktycznie, niełatwo zabić funkcyjnego.

Nim zasnąłem, pomyślałem jeszcze, że od dziś przy każdych drzwiach na parterze będę trzymał dużą butelkę wody.

* * *

Z okna Arkan wyglądał tak samo jak przedtem; jedyną zmianą były dziury w koronach drzew, posiekane seria z automatów i białe rany na pniach. Skrzywiłem się, potarłem brzuch. Na skórze prawie nie został ślad – jedynie jaśniejsza plama wielkości otwartej dłoni. Tam była dziura...

Wpatrywałem się w krajobraz Arkanu do bólu w oczach, ale nie zauważyłem nic podejrzanego. Nawet ptaki śpiewały.

Wtedy uniosłem ręce, położyłem je na skrzydłach okna i gwałtownie rozsunąłem, jakbym otwierał okno na oścież.

Któremuś z zaczajonych w lesie snajperów puściły nerwy. Rozległo się ciche cmoknięcie, jakby nieśmiały chłopak po raz pierwszy pocałował dziewczynę, i po szybie powoli spelzł ołowiany kleks, z którego sterczał stalowy trzpień. Popatrzyłem na rozplaszczoną kulę, a potem pokazałem niewidocznemu strzelcowi środkowy palec. Ciekawe, czy znają ten gest?

W szybę plasnęła jeszcze jedna kula. Znają.

Wzruszyłem ramionami i zamknąłem okiennice. No cóż, do Arkanu nie mam wejścia. Chyba że po kryjomu. Pod osłoną nocy, z noktowizorem, obwieszony bronią. Nie, bzdura. Na miejscu mieszkańców Ziemi-jeden umieściłbym pod drzwiami wieży miny, najlepiej zdalnie sterowane, i posadziłbym paru dyżurnych przy guziku detonacji. Zresztą, kilka wycelowanych w drzwi wielkokalibrowych karabinów też załatwi sprawę. O dziwo, o minach i cekaemach myślałem absolutnie spokojnie. Nie pojawiały się żadne myśli o zemście. Coś we mnie pękło, nie miałem zamiaru walczyć i strugać bohatera; jedyne, czego pragnąłem, to trzymać się z dala od Arkanu.

Kula, która trafiła cię w tyłek, może spowodować zdumiewające zmiany w głowie.

Poszedłem do łazienki i nabrałem pełne wiadro wody. Uprane ubranie już schło. Na szczęście nie musiałem naprawiać rury – dziura zatkała się sama. Uzbrojony w szmatę, która niedawno była nową koszulą, zacząłem myć podłogę na parterze. Brudną wodę niewiele myśląc wylewałem do Nirwany – to i tak zbyt czysty świat.

Najbardziej na świecie nie lubię dwóch prac domowych – mycia podłóg i prasowania ubrań. Ale jeśli kwestię prasowania można ostatecznie rozwiązać, przechodząc na dżinsy i sweter, to od mycia podłóg wybawić cię może jedynie sprzątaczką. Albo żona.

Właśnie skończyłem myć podłogę po raz pierwszy i stałem ze ścierką w ręku, zastanawiając się, czy nie przejechać jeszcze raz, do czysta, gdy ktoś zastukał do drzwi. Od strony Ziemi-siedemnaście, Skansenu.

Z jednej strony wiedziałem, że tam jest tylko Kotia i Illan. Ale z drugiej... A jeśli funkcyjni z Ziemi-jeden wrzucili grupę zabójców do Skansenu przez inne cło?

Podszedłem do drzwi i zacząłem nasłuchiwać. Cicho. Szkoda, że nie ma wizjera. Może by tak wejść na pierwsze piętro i wyrzeć przez okno?

– Kto tam? – zapytałem.

– Wrogowie! – odpowiedział rozdrażniony Kotia. – Kirył, no coś ty?

Zastanowiłem się i zapytałem:

– O czym było twoje opowiadanie? To, w którym umieściłeś notatkę, żeby nie zapomnieć?

Przez jakiś czas Kotia milczał, w końcu powiedział:

– Co ty? Nie jestem sam...

– O czym było opowiadanie?

– O nauce gimnastyki! – warknął Kotia. – O wyćwiczeniu gibkości!

Otworzyłem drzwi.

Zobaczyłem Kotię, a za jego plecami Illan. Oboje wyglądali tak, jak powinno wyglądać dwoje mieszczuchów po całej dobie spędzonej na łonie dzikiej natury: brudni, zmęczeni, niewyspani.

Kotia popatrzył na mnie straszonym wzrokiem, niczym chłopak, którego rodzice na widok przyprowadzonej do domu dziewczyny zaczęli oddawać się sentymentalnym wspomnieniom: „Ależ ty urosłeś, a przecież tak niedawno siusiałeś w majtki...”.

– Dokładnie! – potwierdziłem. – Pisałeś ten artykuł dla „Sport-Ekspresu”. No, wchodźcie.

Kotia wszedł do wieży bez zastanowienia, za nim weszła Illan patrząc na mnie podejrzliwie, z napięciem.

– Sprzątasz? – spytał Kotia, zerkając na wilgotną podłogę i szmatę w mojej ręce. – No, no!

Illan również spojrzała na mnie z uwagą. Nic tak nie cieszy kobiet, jak mężczyzna zajęty porządkami w domu.

– Tak wyszło – odparłem krótko i poprawiłem slipy jedną ręką; sprzątałem przecież półnagi. – Zaraz przyjdę.

– Zaczekaj – odezwała się niespodziewanie Illan. – Stój... Patrzyła na mój brzuch. Potem obeszła mnie dookoła, jak noworoczną choinkę. Przykucnęła i pomacała goleń.

Cierpliwie czekałem.

– Z automatu? – spytała.

– Z cekaemu.

– Ty... – Popatrzyła na mnie podejrzliwie. – To... to przecież nie u nas, prawda? Otworzyłeś jeszcze jedne drzwi? Dokąd?

– Właśnie tam.

– Głupi! Głupi, głupi, głupi! – Jej twarz wykrzywiła uraza. – Przecież wszystko mieliśmy opracowane! Mieliśmy plan! Potrzebowaliśmy tylko przejścia na Ziemię-jeden! A ty wzięłeś i poszedłeś... I co, już po wszystkim? Wyjście jest pod obserwacją?

Skinałem głową.

– Pewnie teraz zaleją wieżę betonem – powiedziała z goryczą Illan. – No i czujniki, miny... wszystko na maksa. Ponoć już kiedyś tak zrobili. Dlaczego tam polazłeś? Dlaczego na nas nie zaczekałeś? Uważałeś się za największego twardziela?

– Dlaczego nie podeszłaś do nas, gdy weszliśmy do Kimgimu? – zapytałem. – Dlaczego nie opowiedziałaś wszystkiego, co wiesz o Ziemi-jeden, o funkcyjnych? Czemu zaatakowaliście nas pałkami i nożami? Uważałaś się za największą twardzielkę?

Kotia spoglądał niespokojnie to na mnie, to na Illan.

– Masz rację... – Illan westchnęła. – Wybacz... Pretensje powinnam mieć do siebie. Czy mogę doprowadzić się do porządku?

– Słucham?

– Skorzystać z łazienki?

– Aa... Tak, oczywiście. Na górze.

Illan musnęła dłoń Kotii i poszła po schodach na górę. Popatrzyłem na rozanieloną twarz przyjaciela i zapytałem półgłosem.

– No i co? Baba czy dama?

– Ma na imię Illan – odparł krótko Kotia.

Popatrzyłem na niego i nie wiedziałem co odpowiedzieć.

* * *

– Na początku też czułam szczenięcy zachwyty – zaczęła Illan.

Jedliśmy kolację. W Moskwie i w Kimgimie dzień chylił się ku zachodowi, więc nasz posiłek zasługiwał na miano kolacji. Ku mojemu zdumieniu z moich kawalerskich zapasów Illan zdołała przygotować niemal domowy posiłek – tylko posłała Kotię do Moskwy po ziemniaki i mrożonego kurczaka. Na pierwsze danie była zupa z makaronem, na drugie smażone ziemniaki

z cebulką i konserwą. Oczywiście nie mogło się to równać ze specjałami serwowanymi w restauracji Feliksa, ale słowo daję, że nie zamieniłbym tej kolacji na żadne frykasy.

– Chciałam zostać lekarzem – opowiadała Illan. – No... takie miałam marzenie. Pracowałam jako salowa, siedziałam nad podręcznikami i wkuwałam. Chciałam się dostać do akademii medycznej Angara, to mniej więcej tam, gdzie wasz Sztokholm, bardzo prestiżowa uczelnia. Czesne jest bardzo wysokie, nie miałam tyle forsy, ale gdybym zdała egzaminy celująco, to dostałabym stypendium i prawo do bezpłatnej nauki. Myślę, że bym się dostała. Ale któregoś dnia przyszedłam do pracy, a na moim miejscu siedzi inna dziewczyna. Pacjenci mnie nie poznają. Pomyślałam, że chcą mnie zwolnić i nie zapłacić, zrobiłam awanturę. A potem zapomnieli o mnie przyjaciele.

– A potem rodzina. – Pokiwałam głową.

– Jestem sierotą – wyjaśniła krótko Illan. – Ojciec był biologiem, przywiózł mamę ze Wschodu, była wtedy bardzo młoda. Lubił mówić, że musiał się ożenić, bo inaczej nabiliby go na bambusowy pal. Żartował oczywiście, w rzeczywistości bardzo mamę kochał. A potem jeździli razem do Afryki... do Azji... Nie wrócili z Indii... Jest u was taka wyspa, prawda? A nie, to Indonezja. W każdym razie nie wrócili. Wychowywała mnie babcia, teraz już nie żyje. Żadnych innych krewnych nie miałam.

– Przepraszam – wymruczałam.

– Na początku bardzo mi się podobało – mówiła dalej Illan. – Nie, nie jestem głupia, rozumiałam, że funkcyjnych jest za mało, żeby mogli odsłonić się przed ludźmi i żyć tak, jak zechcą. Postanowiłam, że będę miała własną klinikę. I ona naprawdę się pojawiła! Nieduża, ale bardzo dobra. Myślałam, że będę leczyć funkcyjnych, chociaż funkcyjni rzadko tego potrzebują, i zwykłych ludzi, że będą do mnie przyjeżdżać z całego świata. Oczywiście, nie zdołam pomóc wszystkim, ale będę się starać. A potem zaczęłam się zastanawiać. Widzi pan, Kiryle, tak nie bywa... Funkcyjni akuszerki twierdzą, że tylko pomagają nam się urodzić, ale w przyrodzie takie rzeczy się nie zdarzają. – Uśmiechnęła się. – Przecież poród jest poprzedzony poczęciem,

ciążą! Czyli powinna być jakaś siła przemieniająca nas w funkcyjnych. Powinna być logika – dlaczego właśnie my? Powinien być cel.

– Masa rzeczy dzieje się zupełnie bez celu – powiedziałem. – Wirus grypy też atakuje przypadkowych ludzi.

– Bynajmniej. – Illan uśmiechnęła się blado. – Wirus wybiera ludzi ze słabym systemem immunologicznym. Na początku też myślałam, że jesteśmy jakoś predestynowani. Tak jak w różnych śmieciowych czytałkach: żył sobie zwykły człowiek, nic właściwie nie umiał i nagle trach! – przemienił się w superbohatera. U nas takich książek jest dużo. U was też.

– Dlatego że wszyscy by tak chcieli: trach! – i zostać superbohaterem.

– Ale tak się nie dzieje. – Illan rozłożyła ręce. – W rzeczywistości niczego nie dostaje się za darmo. Napompowałeś mięśnie, ale osłabiłeś serce i straciłeś ten czas, który mogłeś poświęcić na naukę, podróże, czytanie książek i odwiedzenie muzeów. Zostałeś wielkim uczonym, ale masz wielki brzuch, zadyszkę, hemoroidy i krótkowzroczność. A w naszym przypadku wszystkie radości od razu. Silni, mądrzy, prawie nieśmiertelni! Rany same się goją! Prócz smyczy właściwie żadnych ograniczeń.

– Smyczy? A... no tak.

– To wszystko zaczęło mnie niepokoić – mówiła dalej Illan. – Zaczęłam pytać. Feliksa. Chaja. Karitę. Oni mają największy autorytet u nas, w Kingimie. Chodziłam do waszego świata, do Antyku, porównywałam, próbowałam znaleźć reguły. Zaczęto mi sugerować, że tracę czas na głupstwa. Że skoro jestem lekarzem, to powinnam siedzieć w szpitalu i czekać na pacjentów. Kiedyś Chaj urządził awanturę, że on został ranny, a mnie nie było na miejscu! Tak jakby można było poważnie zranić policjanta.

– I co, zrozumiałaś coś? – zapytałem. – Znalazłaś regułę? Kim jesteśmy i dlaczego właśnie tacy?

Illan pokręciła głową.

– Nie. Nie wyszło. Trafił do mnie były funkcyjny. Wyczuł mnie tą odrobiną zdolności, jaka mu pozostała. Umierał. Chaj usiłował go zabić, ale temu nieszczęśnikowi udało się uciec, sam był eks-policjantem. Nazywał się Petryd, przyszedł z Antyku.

* * *

Nazywał się Petryd i urodził się w świecie, który funkcyjni nazywają Antykiem. To był świat zastygłej utopii – utopii Moore'a i Campanelli, tej samej, w której najbiedniejszy chłop ma co najmniej trzech niewolników. I ten świat, zdolny doprowadzić socjologa do hysterii, istniał i rozwijał się, chociaż dość specyficznie. Skolonizowano Amerykę i Afrykę, ale Australia nadal spokojnie drzemała w swej odwiecznej epoce kamienia łupanego.

Petryd był niewolnikiem, ale wziął udział w udanym powstaniu, otrzymał prawa wolnego obywatela i stał się bogatym właścicielem ziemskim. W wieku czterdziestu lat został funkcyjnym.

A pięć lat później zabił celnika i wszedł do Kingimu, zrywając łączność ze swoją funkcją. Ścigali go. Gdy natknął się na Illan, był już ranny. Illan próbowała go ratować. Dużo umiała, choć technika jej sali operacyjnej wywołałaby uśmiech na twarzy ziemskiego chirurga. Zszyła rozerwaną wątrobę, usunęła uszkodzoną śledzionę – byli funkcyjni tracą zdolność regeneracji. Czasem Petryd odzyskiwał świadomość i rozmawiał z Illan. Zdawał sobie sprawę, że umiera, nie wierzył, że można go uratować, ale ciągle chichotał i opowiadał różne niestworzone historie. O funkcyjnych, którzy wyciągają kasztany z ognia, o pierwszym świecie, o tym, że ich wszystkich oszukali, że on powinien być imperatorem albo poetą, o niedoskonałości światów, które zostały zmarnowane niczym dobre drzewo pod opieką nieumiejętnego sadownika. Illan nie mogła zrozumieć, czy on bredzi, czy rzeczywiście coś wie. Starła się zatrzymać odchodzące życie i rozmawiała z nim – żeby się czegoś dowiedzieć i żeby utrzymać Petryda w świadomości.

A potem przyszedł Chaj.

Illan krzyknęła do niego, żeby nie przeszkadzał, ale Chaj tylko wzruszył ramionami, odepchnął ją, skalpelem Illan podciął Petrydowi gardło i spokojnie wyszedł. Illan próbowała mu przeszkodzić, ale nawet w swojej funkcji była bezsilna wobec policjanta. Walka i zabijanie nie były jej specjalnościami.

Wtedy zaczęła trenować. Na przekór swym umiejętnościom Illan uczyła się walczyć. Brała lekcje walki wręcz i karate, odwiedzała strzelnice i sekcje fechtunku. Zauważono to. Najpierw z niej drwili, potem zmyli jej głowę, a na koniec kazali przerwać te zajęcia. Skazali ją na ostracyzm. Jak wyraził się Feliks: w celach poznawczo-wychowawczych.

Skończyło się na tym, że przyszedł Chaj i zaczął ją bić. Nie miał zamiaru jej zabić, chciał jedynie przeprowadzić z nią rozmowę „wychowawczą”, ale czekała go niespodzianka. Illan, gotowa na taki obrót sprawy, zwabiła policjanta w pułapkę. Dwa strzały ze śrutówki prosto w twarz uspokoiły go na dłuższą chwilę.

– Zaskoczyłam go – opowiadała Illan – i pewnie mogłabym zabić. Był oślepiony, oczy mu wypłynęły, cała twarz przemieniła się w krwawą miazgę. Wystarczyło przeładować śrutówkę... ale nie mogłam. Wtedy byłam litościwą idiotką. Strzeliłam mu jeszcze w kolana i uciekłam. Zerwałam łączność ze swoją funkcją. Wyjechałam do miasta, w którym – wiedziałam to na pewno – nie ma funkcyjnych. Zaczęłam tam pracować. Sto kilometrów od Kingimu... To wydawało mi się pewną ochroną. Ale potem uratowałam od śmierci pewnego chłopaka, przywódcę gangu. Nic takiego, zwykli małoletni chuligani. Oczywiście, wcześniej czy później zostaliby pewnie prawdziwymi bandytami, ale nie pozwoliłam na to. Opowiedziałam im o funkcyjnych. Przekonałam, że to wszystko prawda. I doszli do wniosku, że walka z nietykalnymi funkcyjnymi jest znacznie ciekawsza niż bicie się ze sobą i okradanie portu.

– Bardzo mi przykro – wtrąciłem – ale nie zostawiliście mi wyboru.

– To moja wina – przyznała Illan. – Zaraziłam się ich metodą rozwiązywania problemów. Zaczęliśmy napadać funkcyjnych. Chcieliśmy porwać tych, którzy znali prawdę o pierwszej Ziemi, o tych, którzy kierują funkcyjnymi, czynią nimi zwykłych ludzi.

– Jak mówił towarzysz Lenin do towarzysza Stalina: ekspropriacja i bandytyzm nic nam nie dadzą bez znajomości walki klasowej.

– Naprawdę tak mówił? – zdziwił się Kotia.

– No... coś podobnego na pewno mówił... według komunistycznej mitologii.

Illan chrząknęła dyskretnie. Widocznie nie interesowały jej mity przeszłości.

– Opowiedz o Ziemi-jeden – poprosiła. – Zaatakowali cię? Jak to się stało? Dlaczego?

– Ziemia-jeden to Arkan – powiedziałem. – Świat, który, jak sądzono, wyprzedza nasz o trzydzieści pięć lat. Ale to nieprawda...

21.

Wrogowie zostają przyjaciółmi znacznie rzadziej niż przyjaciele wrogami.

Takie jest prawo natury. Wszystko na świecie dąży od złożoności do prostoty. To, co żywe, umiera, skały rozsypują się w piasek, wzorzyste śnieżynki topnieją i przemieniają się w krople wody. Ogień w ciągu minuty pożera drzewo, które rosło dziesiątki lat. Butelka z kwasem w rękach maniaka w ciągu trzech sekund rozpuszcza farby na obrazie, któremu malarz oddał połowę swojego życia. Kula w jednej sekundzie przerywa życie dziecka, które matka nosiła w swoim łonie przez dziewięć miesięcy, a potem jeszcze osiemnaście lat wychowywała. Jedno jedyne słowo może przemienić starych przyjaciół w zjadłych wrogów. Asteroida, której droga przecina się z orbitą planety, niszczy wszystko, co żyje. Gwiazda, stając się supernową, spala swoje planety, materia i energia nieuchronnie rozbiegają się w przestrzeni, przemieniając żywy wszechświat w nieruchomą nicość.

Rozpad, śmierć, zniszczenie – to bardzo proste działania. Ale życie sprzeciwia się prostocie, buntuje się przeciw prawom przyrody. Nie dostrzegając śmierci i rozpadu, rosną trawy i zwierzęta. Zapominając o śmierci i rozkładzie, żyją ludzie, i na przekór prostym i wygodnym prawom przyrody tworzą swoje stosunki – znacznie bardziej złożone niż najbardziej wymyślne maszyny i mechanizmy. Czym jest silnik spalania wewnętrznego w porównaniu z ogniem ludzkiej namiętności? Jaki aparat fotograficzny zarejestruje wschód słońca lepiej niż pędzel malarza czy słowa poety? Czy wybuch bomby jądrowej jest bardziej niszczycielski niż wściekłość Czyngis-chana i szaleństwo Hitlera?

Człowiek ma w swej naturze sprzeciwianie się zniszczeniu. Sam sens ludzkiego istnienia polega na wiecznej, zacieklej walce, której nie można wygrać i od której nie można odstąpić.

I mimo wszystko bardzo trudno jest zostać przyjacielem byłego wroga. A jeszcze trudniej samemu uznać się za jego przyjaciela.

* * *

Opowiedziałem Illan wszystko, co wiedziałem. Zacząłem od polityka i jego próby znalezienia Arkanu. Opowiedziałem krótko o Nirwanie – początkowo Illan słuchała obojętnie, zaniepokoiła się dopiero wtedy, gdy wspomniałem o Nastii. Ale mimo wszystko Ziemia-jeden interesowała ją znacznie bardziej.

– Tak jak myśleliśmy – powiedziała, gdy skończyłem. – Musieli istnieć ci, którym się to opłaca. Zawsze są ci, którym się to opłaca.

Moim zdaniem zawsze są tylko głupcy, ale się nie spierałem.

– I co masz zamiar teraz zrobić, celniku? – spytała Illan. – Zastanawiałeś się nad tym?

A jakże.

– Na pewno nie otwarta wojna. I nie partyzantka. Illan, uważam, że powinniśmy opowiedzieć o wszystkim innym funkcyjnym. Wyjaśnić im, że nasze światy to poletka eksperymentalne.

Illan się skrzywiła.

– Tak? I co to pomoże?

– Razem moglibyśmy stawić czoło funkcyjnym z Ziemi-jeden. Mamy te same możliwości.

– Nie, nie te same. Oni umieją przemieniać ludzi w funkcyjnych.

– Co najwyżej to... Ale nasze światy interesują ich jedynie jako obiekty eksperymentalne. Weźmy na przykład Antyk. Tam eksperymentują z ustrojem, który zawiera niewolnictwo, prawda? Jeśli niewolnictwo zniknie, ten świat przestanie ich interesować. U was interesuje ich brak wielkich mocarstw.

– Interesuje ich również postęp techniczny. W Antyku zatrzymano go na poziomie mechanizmów. W Opoce – tam gdzie panuje Kościół – położono nacisk na badania biologiczne.

– Właśnie! – Skinąłem głową. – I do tego potrzebne jest im cło: żeby ze świata do świata nie przenoszono zakazanych urządzeń technicznych! Gdyby dać Antykowi maszyny parowe i koleje, a waszemu światu elektronikę i silniki spalania wewnętrznego...

– Nie dasz, nie mamy ropy.

– No dobrze, to tylko elektronikę i silniki elektryczne. Wszystko jedno! Jeśli zakłócimy czystość eksperymentu, jeśli światy zaczną się zmieniać, Ziemia-jeden przestanie się nimi interesować. Będą musieli zostawić nas w spokoju i poszukać innych obiektów do badania.

– Jesteś pewien, że szukają? – zapytała Illan. – A co, jeśli oni je tworzą?

Przeszył mnie dreszcz, ale pokręciłem głową.

– Jestem pewien. Jak można stworzyć świat bez ropy? Ingerować w procesy geologiczne milion lat temu? Oni nie umieją podróżować w czasie. A nawet gdyby umieli, nie przesuną gór, nie zmienią atmosfery. Oni szukają, Illan. Pewnie ich celnicy lepiej się kontrolują, znajdują światy na zamówienie. Albo jest ich bardzo wielu, dlatego znajdują więcej światów. Kirył Aleksandrowicz mówił, że znają bardzo dużo zamieszkanym światów, więcej niż my.

– Czyli proponujesz, żeby przemieszać technologie różnych światów?

– Złamać czystość eksperymentu. – Uśmiechnąłem się. – Wyobraź sobie, że zajmujesz się doświadczeniami chemicznymi. Na maszynkach spirytusowych powolutku podgrzewają się czyste roztwory. I nagle ktoś podchodzi i miesza płyny z pięciu różnych probówek. No?

– Po pierwsze, jakaś probówka może pęknąć – odparła Illan. – A po drugie, chemik może spokojnie wylać zniszczone roztwory i umyć probówki.

Zapadła cisza.

– Skąd mieliby mieć takie możliwości? – zapytał cicho Kotia, zupełnie zdruzgotany. – I co wtedy, rozpętają u nas wojnę jądrową?

Wzruszyłem ramionami.

– Dlaczego nie? Skąd możemy wiedzieć, do jakiego stopnia kontrolują polityków? Któryś może się zgodzić, rozpętać wojnę i otrzymać za to azyl na Ziemi-jeden.

Illan westchnęła.

– Kirył, nie myśl, że jestem przeciwna twojemu planowi. Coś w nim jest... Ale w pojedynkę nic nie zdasz. Musimy mieć poparcie większości funkcyjnych. Zacząć wojnę przeciwko Ziemi-jeden.

– Myślisz, że nie złączą?

– Po co mieliby to robić? To przecież wstrząsnęłoby wszystkimi światami. Kto chce, żeby uładzone życie runęło, żeby wokół się zagotowało? Tylko ci, którzy nie mają nic do stracenia. A funkcyjni mają do stracenia bardzo wiele.

– Ale przecież to przykre być królikiem doświadczalnym!

Po raz pierwszy Illan popatrzyła na mnie z sympatią.

– Ja też tak uważam. Ale obawiam się, że większość domyśla się prawdy i jakoś to znosi.

– No dobrze. A co ty proponujesz? Masz jakiś plan?

Wydawało mi się, że coś powie, ale tylko pokręciła głową.

– Pójde do Feliksa – zdecydowałem.

– To nic nie da. Ja już z nim rozmawiałam.

– Wtedy nie wiedział o Ziemi-jeden!

– Jesteś tego pewien?

Po zastanowieniu musiałem przyznać, że nie jestem.

– Najpierw porozmawiam ze wszystkimi funkcyjnymi – zaproponowałem niepewnie. – Oni mnie poprą i wtedy pójdziemy do Feliksa.

– Skąd wiesz, nowicjuszu, że cię poprą? Feliks ma autorytet, powszechny szacunek.

– I wszystkich smacznie karmi.

– To też. Jeśli zaczniesz podburzać naród przeciwko niemu, funkcyjni i tak ci nie uwierzą, a Feliks się obrazi.

– To idę prosto do niego.

– Nie bądź głupi! A jeśli on sam jest z Ziemi-jeden? Jeśli kontroluje wszystko w Kingimie?

Kotia, który popatrywał na nas niespokojnie, zawołał:

– Stop, stop, stop! Tylko się nie kłóćcie! Przecież macie jeden cel, pamiętacie? Przerwać ingerencję w nasze życie!

– Nie kłócimy się. – Illan od razu spuściła z tonu. Ku mojemu niebotycznemu zdumieniu urok Kotii działał na nią dokładnie tak samo jak na studentkę z prowincji. – Ale zrozum, Kotia...

– Nie chcę nic rozumieć! Wiem tylko, że jeśli teraz się pokłócimy, nic dobrego z tego nie wyniknie! – Kotia dumnie uniósł głowę, błysnął okularami. Jego głos nabrał mentorskich nutek. – Przede wszystkim musimy się zastanowić. Zważyć wszystkie „za” i „przeciw” każdej decyzji. Porozmawiać z funkcyjnymi nieformalnie, a dopiero potem iść na rozmowę z Feliksem i organizować partyzantkę!

– Zgadzam się – powiedziałem z ulgą. Najbardziej nie chciałem, żeby ktoś wmawiał mi konieczność natychmiastowego rozpoczęcia działań wojennych. Umieranie bardzo mi się nie podobało.

Illan niechętnie skinęła głową.

– Kirył, powinieneś odpocząć – mówił dalej Kotia. – Ochłonać... Popracuj w końcu jako celnik! Może ktoś ciągle się dobija do drzwi, może chce przejść, a ty nic tylko latasz po obcych światach!

– Muszę zbadać najbliższe otoczenie – sparowałem. – To nie kaprys, lecz zawodowa konieczność.

– Tak czy inaczej powinniśmy wziąć time out – oznajmił Kotia. – Dojść do siebie. Ja i Illan mamy zamiar pojechać do mnie i kilka dni odpocząć. Obiecujesz, że na razie nie zaczniesz nic robić?

Popatrzyłem na nich i powstrzymałem się od złośliwego komentarza.

– Obiecuję.

* * *

Pod wieczór przyszli „goście”.

Z Moskwy do Kingimu po kolei przeszło trzech mężczyzn. Dwóch nie znałem, jeden był popularnym dziennikarzem telewizyjnym. Jeszcze jedna dziewczyna z Moskwy weszła do Skansenu. Rozebrała się do naga, wykąpała w morzu, wypila markowego szampana prosto z butelki i wróciła.

Z Kingimu też popłynął strumień gości. Starsi państwo przeszli do Moskwy, pytając mnie, jakie kino w pobliżu mógłbym polecić. Poleciłem „Kosmos” na WDNCh. Nieśmiały młodzieniec o inteligentnym (w stosunku do mieszkańców Kingimu aż się chciało powiedzieć „arystokratycznym”) wyglądem poszedł na Szeremietiewo-dwa. Pomyślałem, że wyrażenie „człowiek nie z tego świata” jest znacznie bardziej prawdziwe, niż mogłoby się wydawać.

Z Nirwany ani z Arkanu oczywiście nikt nie przyszedł. Przez chwilę wydawało mi się, że przyjdzie Wasylisa. Czuję wyraźnie, jak się zastanawia: iść czy nie. A potem przecucie jej wizyty zniknęło. Rozmyśliła się.

W Moskwie padał deszcz. W Kingimie zaczęło sypać. Wyobraziłem sobie moje mieszkanie, puste i smutne. Moskiewskie ulice, po których śpieszą do domów spóźnieni mieszkańcy. Przytulne podwórka Kingimu i plusk zimnej wody, w której czają się gigantyczne ośmiornice.

Pójść do Feliksa? O niczym z nim nie rozmawiać, po prostu zjeść coś i wypić. Nie, nie mogę. Nie wytrzymam i zacznę wygłaszać zarzuty.

Zresztą... Mam jeszcze jedną możliwość zjedzenia obiadu w porządnym miejscu i ciekawym towarzystwie. Ze złośliwym uśmiechem wyjąłem wizytówkę polityka Dimy i wybrałem numer.

– Tak! – O dziwo, odebrał on sam. Zrozumiałem, że miałem zaszczyt poznać numer jego osobistego telefonu.

– Mówi Kirył – powiedziałem. – Z cła.

Cisza. I ostrożne pytanie:

– Towar... już przyszedł?

– Tak, wszystko już oclone – powiedziałem, z przyjemnością włączając się w grę: „Towarzyszu majorze, słucha pan?”. – Ale tam pojawiły się określone komplikacje... i dobrze byłoby się spotkać. Najlepiej w jakiejś restauracji.

– Przyślę po pana samochód – oznajmił Dima. – Zadzwoń, gdy podjedzie.

Wszedłem na górę i wypilem kieliszek koniaku. Popatrzyłem na wieżę Ostankino, podświetloną reflektorami w Arkanie – zupełnie jak u nas. Postąłem przy oknie do Skansenu, pooddychałem świeżym morskim powietrzem. Na noc należałoby otwierać właśnie to okno.

Polityk zadzwonił szybciej, niż się spodziewałem.

– Samochód stoi przed drzwiami – oznajmił. – Kierowca pokaże panu moja wizytówkę.

Gra w konspirację trwała nadal. Biedni pracownicy bezpieczeństwa, niewprowadzeni w tajemnice funkcyjnych! Będą się zastanawiać, sprawdzać, z kim rozmawiał Dima, dokąd wysyłał samochód, i nie zdołają niczego ustalić.

Wyszedłem z wieży. Z poważną miną sprawdziłem wizytówkę, którą pokazał mi kierowca. Z lekką zawiścią popatrzyłem na przechodzące wesołe towarzystwo. Młodzi ludzie, nie zwracając uwagi na zimno i deszcz, szli gdzieś ulicą. Pomyślałem, że nawet jeśli będą teraz pili kwaśne piwo w taniej knajpcie, to i tak będzie im lepiej niż mnie. Oni nie wiedzą, że nasz świat to tylko poligon doświadczalny.

Znacznie przyjemniej jest bawić się w szpiegów niż w konspiratorów. Szpieg działa w obcym kraju, a konspirator we własnym – okupowanym.

Ale nie miałem wyboru.

Polityk wybrał restaurację z kuchnią nieistniejącego kraju – Tybetu. Zresztą, właściciele restauracji nie zgadzali się ze zdaniem chińskiego rządu – wewnątrz umieszczono tybetańskie flagi i inne atrybuty państwowości. Pomyślałem, że to ma symboliczne znaczenie.

Ochroniarz zaprowadził mnie do niewielkiego gabinetu i wyszedł, zamykając drzwi. Dima już siedział przy stoliku.

– Niech pan siada. – Jego uśmiech był napięty, ale serdeczny. – Proszę się częstować. To wspaniała kuchnia tybetańska. Polecam krewetki tygrysie w sosie i bardzo specyficzne wino.

– Krewetki tygrysie? Oryginalne... I wino? – Przez kilka sekund usiłowałem sobie przypomnieć podręcznik geografii. – To w Tybecie rośnie winorośl?

Dima wzruszył ramionami.

– Nigdy tam nie byłem. To mieszanka wina z winogron i sake. Więc jeśli nawet rośnie, to niewiele. Niech pan je, Kiryle.

Nie spierałem się. Chciałem nie tyle jeść, ile pogadać, ale krewetki były bardzo smaczne – chyba nawet Feliks by je pochwalił. A wino? W każdym razie – specyficzne. Polityk też jadł, jednocześnie opowiadając o dzisiejszym

posiedzeniu Dumy, na którym jego frakcja walczyła przeciwko przyjęciu ustawy antynarodowej, ale nie zdołała jej zablokować. Z pewną mieszkanką cynizmu i zmęczenia pomyślałem, że będąc we frakcji mniejszościowej, może sobie pozwolić na walkę z ustawami antynarodowymi. Wszystkie mniejszościowe frakcje się tym zajmują. Dopiero gdy dochodzą do władzy, wszystko się zmienia.

– Otworzyłem drzwi do Arkanu – oznajmiłem, biorąc krewetkę za wolny od sosu ogonek. – To rzeczywiście dobre, smaczne... No więc, otworzyłem. Proszę mi powiedzieć, kto panu tak nakłamał, że Arkan wyprzedza nasz świat o trzydzieści pięć lat?

– Nie dokładnie trzydzieści pięć... plus minus...

– Kalendarz Arkanu spóźnia się w stosunku do naszego.

– Słucham? – spytał Dima. Napił się wina i popatrzył jakoś tak przeze mnie.

Wyobraziłem sobie, z jaką prędkością pracuje teraz jego mózg. Ho, ho... W polityce, zwłaszcza w naszej, nie ma miejsca dla tępaków. Ani dla altruistów. Teraz Dima zaczął się zastanawiać, jaką korzyść można wyciągnąć z takiego Arkanu.

– To bez sensu – powiedziałem. – O Arkanie można zapomnieć. Słyszał pan kiedyś o Ziemi-jeden?

– Hipotetyczny świat, z którego wyszli pierwsi funkcyjni – odparł Dima bez namysłu. – Jego istnienie negują...

Popatrzył mi prosto w oczy.

– Właśnie. – Pokiwałem głową. – Ziemia-jeden to Arkan. Nie zdoła jej pan wykorzystać w charakterze poligonu, ponieważ to my jesteśmy poligonem. Ziemia-jeden robi eksperymenty w światach, które znajduje. Są w stanie skierować ich rozwój w tym czy innym kierunku. U nas, jak rozumiem, testują współistnienie supermocarstw.

Ta myśl przyszła mi do głowy w tej właśnie chwili, ale widząc zainteresowanie polityka, zacząłem ją rozwijać.

– Najpierw sprawdzali, co się stanie w czasie istnienia dwóch supermocarstw-antagonistów. Widocznie wycisnęli z tego wariantu wszystko,

co się dało, i Związek Radziecki się rozpadł. Teraz eksperymentują z Ameryką – jedynym supermocarstwem. Poza tym rozwijają u nas technikę.

– Nie za bardzo – zaprotestował polityk. – Kosmonautykę praktycznie zwinęli.

– Bo nie jest im potrzebna. Pozaziemskie osiedla mogłyby wyjść spod kontroli Ziemi-jeden. Za to elektronika...

– To pewna informacja? – zapytał Dima.

– To tylko przypuszczenie. Być może w jakichś punktach się mylę.

– A twój? Co myślą o tym, że są królikami doświadczalnymi?

– Funkcyjni? Nie wiem. – Rozłożyłem ręce. – Ale obawiam się, że nie będą się oburzać. Kto uczynił ich mistrzami? Ci z Ziemi-jeden. Czyli, po pierwsze, są im wdzięczni, a po drugie, boją się ich. Ten, kto uczynił cię funkcyjnym, może zabrać swój dar.

– Cholera ciężka, zupełnie jak u nas w polityce! – Dima klasnął w ręce i zaśmiał się nieco stropiony. – No tak. Co możemy zrobić? Takie siły i tak się marnują! Jak rozumiesz, interesuje mnie tylko jedno: jak wykorzystać wasze możliwości z korzyścią dla naszego kraju?

Mruknałem coś pod nosem.

– Nie wierzysz? – Polityk odchylił się w fotelu i popatrzył na mnie uważnie. – Niesłusznie. To prawda, że władza jest pozbawioną reguł grą hazardową. Ale w odróżnieniu od pieniędzy władza nie jest ciekawa sama w sobie, lecz w połączeniu z reakcją otoczenia. Władza to ambicja. Ludzie powinni kochać polityka albo się go bać. Tak czy inaczej, czcić i szanować. Po co dążyć do władzy, skoro wiesz, że dla historii pozostaniesz tchórzliwym asekurantem? Jeśli nie wspominają cię za to, co zrobiłeś, lecz za to, co nawyprawiałeś? To nieciekawie! Smacznie zjeść i długo spać można bez żadnej polityki. Tysiące ludzi zrozumiało to w samą porę i nie pchają się do polityki. Niestety, w naszym kraju sporo osób traktuje politykę jak biznes. Mnie to niepotrzebne. Moje ambicje są większe od mojej pazerności.

– Ale zdaje pan sobie sprawę, że nikt panu nie uwierzy? – zapytałem szczerze. – Ludzie nie wierzą tym, którzy są u władzy. U nas wszystko jest tak urządzone, że ludzie sobie, a władza sobie. Znajoma kobieta, hodowca psów, opowiadała, że gdy przyjeżdżają do niej po psa ci z Rublowki, to ja

serce boli. Zwyczajny człowiek *a priori* zakłada, że ci z Rublowki nie są zdolni do niczego dobrego. Nawet do miłości do psa.

– Wiem, Kiryle. Chociaż ja nie mieszkam na Rublowce. I dlatego potrzebuję cudu. Potrzebuję go od was, funkcyjnych.

– Siły?

– W czym jest siła? – Dima się uśmiechnął. – W mięśniach? W pieniądzach? W wiedzy? Siła bywa różna i trzeba umieć korzystać z niej we wszystkich jej przejawach. Czy mógłbym się wzbogacić na rachunek innych światów?

– Nosząc towary przez wieże, jak handlarze? Nie sadzę. Będą z pana ściągać cło za przenoszony towar.

– Wiem. A informacji z Arkanu nie dostanę. A może... – Zawahał się. – Mógłbyś mi pomóc w czymś innym?

– Komuś trzeba mordę obić? – zapytałem. – Bo nic innego nam nie pozostaje.

Polityk się roześmiał.

– Technologia.

– Ziemia jest najbardziej rozwiniętym światem.

– Nie do końca. Jest przecież Opoka.

– Przenoszenie nieznanymi technologii z jednego świata do drugiego jest zabronione.

– A kto zabronił? – Dima zerknął na butelkę z winem, ale nalał sobie mineralnej. – Ci, którzy na nas eksperymentują? Jak myślisz, Kiryle, czy to rozsądne, żeby jedna świnka morska mówiła do drugiej: „Nie wolno uciekać z klatki, eksperymentator zabronił!”?

– Nierozsądne. Ale obawiam się, że inni funkcyjni mnie nie rozumieją.

Polityk prychnął. Zakołysał kieliszkiem, upił łyk i powiedział:

– Ciągle to samo. Gdy zaczynałem zajmować się polityką, myślałem, że mogę coś osiągnąć. A potem poznałem prawdę. Dowiedziałem się, że i nasi wodzowie, i amerykańscy prezydenci nie są najważniejsi. Że istnieją mistrzowie. Że niby nie rządzą, ale ich zdania się słucha. Urzeczywistnienie rusofilskiego koszmaru o masonach. Teraz rozumiem, po co to mistrzom. Jak uważasz, czy mogę pójść do prezydenta i opowiedzieć mu całą prawdę?

– Skąd mam wiedzieć, czy pan może, czy nie. – Wzruszyłem ramionami. – Mnie by nie puścili, a pana to nie wiem.

– A poważnie?

– Naprawdę nie wiem. Być może na samej górze i tak wszystko wiedzą, i żadnych tajemnic im pan nie wyjawisz. A jeśli nawet... To co, urządzą ogólnoswiatową obławę na funkcyjnych? Będą walić termojądrowymi bombami w wieże i piwnice? Co to da? Ci, którzy zdążą, odejdą do innych światów. Pozostali się przyczają. Nie odróżni ich pan od zwykłych ludzi.

– Wiesz, co mi się w tobie podoba? Że do tej pory mówisz „ich”, a nie „nas”. Czyli co, otwarta walka nie ma sensu?

– Zwykłymi metodami, nie. To tak, jakby rąbać kisiel toporem. Wie pan, jakie możliwości ma funkcyjny akuszer? Na przykład Natalia Iwanowa?

– Nie.

– Ja też nie. A przecież najprawdopodobniej ona pochodzi z Ziemi-jeden. Załóżmy, że przyjdzie ją pan zgarnąć. A jeśli ona „zaczaruje” twardej specnazowców i każe im zaatakować pana? Może nawet bomba atomowa nie wyrządzi jej krzywdy? Zwykli funkcyjni są przykuci do jakiegoś miejsca, do swojej funkcji. A ona? Nie mamy żadnych danych! Nie zna pan sił tego wroga i nie może pan poznać. Nie wie pan, czy są we władzy i gdzie. Przyjdzie pan do prezydenta z raportem, a okaże się, że on sam jest z Ziemi-jeden! – Zawahałem się i dodałem: – Skąd mogę wiedzieć, kim pan jest, polityku Dimo? Może jest pan funkcyjnym z Arkanu? Może, namawiając mnie do złamania zasad, sprawdza pan moją lojalność?

Dima dopił wodę i rzekł:

– Teraz już wiesz, co to jest polityka. No, na mnie czas. O rachunek się nie martw, już zapłacone. – Stojąc w drzwiach, odwrócił się i dodał: – Nie jestem z Arkanu. Jestem nasz, z Ziemi. Ale i tak mi nie ufaj, nikomu nie należy ufać.

– Jak mówił staruszek Müller w filmie *Siedemnaście mgnień wiosny*: „Nie wolno wierzyć nikomu, ale mnie można”.

– Müllerowi możesz wierzyć. – Dima skinął głową. – Martwi cię nie zdradzą.

Popatrzyłem na zamykające się drzwi, jakbym czekał, że pojawią się na nich jakieś objawienia. Napilem się wina.

Zrobiło mi się żal polityka. On nie jest z żadnego Arkanu. Młody, ambitny, próbujący znaleźć czarodziejską różdżkę i dzięki niej dojść na szczyty władzy. Idea narodowa... Ha! Jaką ideę narodową mogą mieć białe myszki w klatce? Jedne zostaną przeznaczone na eksperymenty, inne na karmę dla węża, a jeszcze inne do rozmnożenia.

Nie ma już czarodziejskich różdżek. Skończyły się.

W dzieciństwie bardzo lubiłem czytać. Teraz jakoś mniej. No, kryminały, czasem fantastykę albo coś modnego. A w dzieciństwie pożerałem książki, rodzice mnie nauczyli. Bajki, fantastykę. Wtedy też wierzyłem w czarodziejskie różdżki. Z przyjemnością wręczyłbym taką Dimie, niech spróbuje. Gorzej już nie będzie.

A może powinienem być optymistą? W tym sensie, że może być znacznie gorzej?

Dopilem wino i odstawiłem kieliszek. Tak, dziwny napój. Egzotyczny.

Pomyślałem, że dzisiaj rano rodzice powinni wrócić z Turcji.

* * *

Od trzech lat nie mieszkałem z rodzicami. W gruncie rzeczy to była wyłącznie ich zasługa, sam pewnie składałbym na to mieszkanie jeszcze z dziesięć lat. Podarowali mi mieszkanie i wystawili z domu. Najpierw byłem lekko urażony, mimo wszystkich bezspornych zalet własnego lokum, potem przyjrzałem się przyjacielom mieszkającym z rodzicami i zrozumiałem, jak wielką słuszość mieli moi rodzice. Mimo wszystko życie z mamą i tatą psuje człowieka, który już skończył szkołę. Można przy tym nieźle zarabiać, a nawet utrzymywać rodziców, ale mieszkając z nimi, po prostu przestaje się dorastać. Przejmuje się styl życia rodziców, człowiek konserwuje się, zostając młodszą kopią ojca. Taki układ sprawdza się jedynie w wiejskiej rodzinie i tylko w stosunku do najstarszego syna. Nic dziwnego, że we wszystkich bajkach sukcesy osiąga najmłodszy, który wyrusza, w poszukiwaniu szczęścia gdzie go oczy poniosą. Tysiące takich najmłodszych synów giną

w drodze, ale jednak niektórzy łapią swego niebieskiego ptaka. Na chłopską rolę, do solidnego, pracowitego najstarszego syna niebieskie ptaki nie przylatują.

Stałem przed wejściem do bloku rodziców, w którym spędziłem całe dzieciństwo, i patrzyłem w okna. Zapadał zmierzch, w kuchni już paliło się światło.

Zdawałem sobie sprawę, że skoro nie poznali mnie przez telefon, to pewnie nie poznają mnie również, gdy stanę na progu. Ale mimo wszystko chciałem tam stanąć i zadzwonić do drzwi. Po co?

Coś się zmienia. Coś się stanie. Czułem to. Czułem też, że nieprędko zobaczę swoich rodziców. Może nawet nigdy.

Kod do drzwi wejściowych się nie zmienił. Wszedłem, wezwałem windę i spokojnie patrzyłem na schodzącą z pierwszego piętra Galę. Kiedyś, jeszcze w ósmej klasie całowaliśmy się, właśnie tutaj, przed windą. Galka przesunęła po mnie ostrożnym spojrzeniem i wyszła z bloku.

Wszystko w porządku, Gala, nie jestem ani psychopata, ani złodziejem.

Winda zjechała.

Wjechałem na górę, wyszedłem, postąłem chwilę przed drzwiami i nacisnąłem przycisk dzwonka. Usłyszałem kroki niemal od razu – i nagle pomyślałem, że rodzice będą mnie pamiętać. Że się niepokoją. Że czekają i na pewno mnie rozpoznają.

Drzwi otworzył ojciec. Otworzył od razu, nie patrząc w wizjer – głupie przyzwyczajenie, za które krzyczeliśmy na niego mama i ja.

– Tak, młody człowieku? – zapytał dobrodusznie ojciec.

Patrzyłem na niego i myślałem, że bardzo się postarzał. Mimo świeżej opalenizny i ogólnie wypoczętego wyglądu bardzo postarzał się przez te ostatnie dwa lata. A przecież dba o siebie, uprawia sport, nie nadużywa alkoholu i pali raz w miesiącu, dla towarzystwa. Zupełnie jakby zdjęto opaskę z moich oczu, jakbym nagle przejrzał i zrozumiał: rodzice się postarzeli. Są już grubo po pięćdziesiątce.

– Dzień dobry – powiedziałem. – Ja... szukam Kiryła.

– Jakiego Kiryła?

– Czy mieszka tu Kirył Maksimow?

– Hmm... – Ojciec pokiwał głową. – Maksimow to ja. Ale ja mam na imię Daniła.

– Pan? – Nie odrywając od niego wzroku, pogładziłem brew gestem człowieka zakłopotanego, który szuka słów. – Nie, Kirył jest moim rówieśnikiem. Byliśmy razem w wojsku, ale zgubiłem adres. Mieszka gdzieś tutaj, w tej okolicy. Dostałem ten adres w biurze adresowym. Nie ma pan czasem syna Kiryła?

Coś ledwie uchwytnego, jakby zastarzały, przebrzmiały smutek przemknął przez twarz ojca.

– Nie, młody człowieku.

– A może siostrzeńca? – grałem dalej. – Nie? Przepraszam, widocznie zaszło jakieś nieporozumienie.

W przedpokoju pokazała się matka. No, proszę. Ona wyglądała młodziej! Jednak poród i troska o dziecko wychodzą kobietom na zdrowie.

– Daniła?

– Pomyłka – wyjaśnił ojciec, nie odwracając się. – Ten młody człowiek szuka Kiryła Maksimowa, dali mu adres w biurze adresów.

– Przepraszam, że niepokoiłem – wymruczałem.

Ojciec mimo wszystko patrzył na mnie... jakby z powątpiewaniem. W zadumie. Jestem do niego podobny, musiał widzieć we mnie swoje rysy, i to go stropiło.

Mama patrzyła z tym samym powątpiewaniem. No tak, ona to podobieństwo widzi wyraźniej.

– Przepraszam – powtórzyłem i poszedłem do windy.

Windę już ktoś ściągnął na parter, musiałem czekać. Ojciec przyglądał mi się jeszcze przez chwilę, w końcu zamknął drzwi. Wyteżyłem słuch. Albo pomogły mi zdolności funkcyjnego, albo matka mówiła trochę za głośno, w każdym razie usłyszałem:

– Ten chłopiec jest podobny do ciebie.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał ojciec z lekkim rozdrażnieniem.

– Ależ nic.

– A jednak?

No proszę. Teraz matka zacznie podejrzewać, że ojciec miał dziecko na boku. Głupio wyszło.

Jak dla nich wyglądało moje zniknięcie? Moje rzeczy i dokumenty rozpadły się, moja twarz zniknęła ze zdjęć, w starych rachunkach za mieszkanie cyfra „3” zmieniła się na „2”? A co się stało z pamięcią? Matka zapomniała nawet o tym, że była w ciąży? A może myśli, że dziecko umarło przy porodzie? Co zastąpiło w ich pamięci lata spędzone ze mną? Ekscytujące podróże i spotkania z przyjaciółmi? A może puste, zimne wieczory? We dwoje, zawsze tylko we dwoje.

Oparłem się czołem o brudne lustro wiszące w windzie.

Nie tylko mnie okradli. Moim rodzicom odebrali mnie, dając w zamian niepotrzebny czas wolny i pustkę w duszy.

Tak się pewnie dzieje, gdy funkcyjni kradną całe kraje i światy. Oto był sobie kraj. Jakiś taki nieporadny, kłopotliwy, sprawiający problemy, zasługujący na nieustanną naganę. A potem trach! – i kraju nie ma. I jeszcze ci tłumaczą, że nigdy nie było takiego kraju, że to tylko złudzenie, miraż. Że właściwie powinieneś być wdzięczny za uwolnienie od problemów, za to, że możesz nic nie robić i za nic nie odpowiadać. A pustka w duszy – to całkiem naturalne, to przecież lekkość.

– Jak ja was wszystkich nienawidzę – wyszeptałem. I nie od razu zrozumiałem, że powtarzam słowa Illan.

Może by do nich pójść? Są u Kotii. Razem będzie nam lżej. Nie, nie przypuszczam, żeby ucieszyli się na mój widok. Trzeci jest pożądanym tylko w pieprzonych opowiadaniach, którymi Kotia zarabia na życie.

A zresztą, mam do kogo pójść.

22.

Jeśli jest mężczyzna i kobieta, jeśli słabo się znają, ale coś między nimi iskrzy, to prędzej czy później nastaje chwila, w której pada kwestia: „Tak sobie pomyślałem, że zajrzę...”. Albo nie nastaje, ale wtedy stosunki się kończą, nim zdążyły się zacząć.

Zwykle dzieje się tak, że w mieszkaniu dziewczyny (częściej), albo mężczyzny (rzadziej) rozlega się dzwonek do drzwi. Albo dzwoni telefon. Ten, kto przyszedł, mówi: „Tak sobie pomyślałem, że zajrzę...”. Czasem dodaje: „Wydawało mi się, że na mnie czekasz...”. Ale to już zależy od żyłki romantyzmu. Najważniejsze jest owo: „Tak sobie nagle pomyślałem...”.

Pomyślałem, że przyjdę. Pomyślałam, że do ciebie zadzwonię. Przepraszam, że tak nie w porę, sam nie wiem, co będziemy robić. Wybacz, że tak nagle, ale przechodziłam i nagle pomyślałam...

Przypadkowość, a nawet absurdalność, jest w tych sprawach szalenie ważna. Miłość jest z zasady nielogiczna i właśnie za to tak nie lubią jej ludzie, którzy z woli przypadku urodzili się ludźmi zamiast komputerami.

Zwrot „ja nagle...” niczego nie gwarantuje. Może napiją się herbaty i rozejdą? A może pójdą do łóżka i mimo wszystko się rozstaną? Ale jeśli nie doszło do tego „nagle...”, to miłości jeszcze nie ma. Jest przyjaźń, namiętność, przywiązanie – mnóstwo dobrych rzeczy i uczuć. Ale nie miłość.

* * *

Heroiczna młoda konspiratorka Nastia Tarasowa mieszkała na Priobriażence. Dzielnica nie należała do prestiżowych, ale Nastia mieszkała

w ładnym nowym apartamentowcu z ochroną, w studiu na ostatnim piętrze, zapewne kupionym przez porządnego biznesmena Miszę. Znałem jej adres, przecież przechodziła przez moje cło. To była kolejna zdolność celnika.

Gdzie mieszka Misza, wiedziałem również. Na Rublowce, tak jak przystało na poważnego człowieka.

Ochronę przed wejściem minąłem bez problemu. Uprzejmie podałem adres i nazwisko, a gdy ochroniarz poprosił mnie o dokumenty, po prostu pokręciłem głową i powiedziałem, niczym Wolf Messing opuszczający Łubiankę albo Obi-Wan Kenobi macący w głowie imperatorskim żołdakom:

– Nie potrzebujesz moich dokumentów.

– Nie potrzebuję – zgodził się ochroniarz i otworzył wewnętrzne drzwi. – Wszystkiego dobrego.

Nieco rozczarowany brakiem widowiskowych efektów, wszedłem na zadbany teren, gdzie wzdłuż wyłożonych kamieniami ścieżek paliły się latarnie, a na placyku dla psów smętni mieszkańcy wyprowadzili swoich superrasowych pupili i razem z nimi mokli na deszczu.

Wideodomofon przy klatce również nie stanowił problemu. Nie patrząc, wystukałem kod i drzwi stanęły otworem. Wewnątrz była surowa konsjerżka w szklanej budce-akwariu, ale ona mnie nie przesłuchiwała.

Porządny dom. Czysta klatka schodowa, kwiaty w doniczkach i donicach, w powietrzu kompilacja różnych perfum – widocznie zapachy wszystkich mieszkańców, wchodzących i wychodzących. Windy niemalże wyłożone marmurem, lustra lśnią czystością, gra cicha muzyka.

Ale na podeście ostatniego piętra czekała mnie niespodzianka. Niespodzianka miała na imię Witia, metr dziewięćdziesiąt wzrostu oraz szerokie bary. Widziałem go już, gdy Michaił i Nastia szli do Antyku na koncert.

Ochroniarz również mnie poznał. Odkleił się od ściany i stropiony popatrzył najpierw na mnie, a potem na drzwi mieszkania, które kazano mu ochraniać.

– Dobry wieczór, Witia – powiedziałem.

– Tam nie wolno – oznajmił Witia martwym głosem.

– Mnie wolno.

Witia pokręcił głową.

Może niewystarczająco się skoncentrowałem, a może w prostej duszy ochroniarza nie było miejsca dla więcej niż jednego pana?

– Nie wolno – powtórzył z bólem w głosie. – No, naprawdę panu mówię, nie wolno.

– No to co zrobisz?

Witia sposepniał. Najwidoczniej wiedział, że wszystkie jego mięśnie i całe przygotowanie spasują wobec niepozornego funkcyjnego.

– Niech mi pan chociaż da w twarz! – poprosił. – Żeby był siniak...

– Sam sobie poradzisz – powiedziałem z wyrzutem. – Przecież jesteś mężczyzną.

Zostawiłem Witę, spoglądającego ze smutkiem na swoją potężną pięść, i podszedłem do drzwi. Już miałem zadzwonić, gdy odkryłem, że drzwi nie są zamknięte.

– Puk, puk – powiedziałem, wchodząc.

Nie usłyszeli mnie, kłócili się.

Mieszkanie było nieduże, jak na standardy tego domu – pięćdziesiąt metrów. Wolna przestrzeń z dwiema kolumnami, zdobionymi półkami i jakimś malarstwem w rodzaju sprzedawanego na izmajłowskim wernisażu. Pod jedną ścianą duże okrągłe łóżko, naprzeciwko plazmowy telewizor na ścianie, stolik i fotele. W jednym kącie kuchnia odgradzona barem, łazienka oddzielona półprzezroczystą ścianką z kolorowych szklanych bloków. Kiedy się ma dziewiętnaście lat, takie mieszkanie wydaje się bardzo fajne, a jak się ma dwadzieścia pięć, powoduje rozczulenie i niejasne podejrzenie, że szczenięcą młodość ma się już za sobą.

Nastia i Michaił stali przy barze. Trzymali wysokie szklanki z jakimś drinkiem, ale nie mieli głowy do alkoholu. Zdaje się, że wystarczyło im opanowania tylko na to, żeby napełnić szklanki, i zaraz potem zaczęli się kłócić. Michaił był w rozpiętym płaszczu, Nastia w krótkim szlafrocuku.

– Nawet palcem nie kiwnąłeś! – wołała Nastia. – Zostawiłeś mnie tam, żebym umarła!

– I po co się z nimi związałaś?! Wszystko mi opowiedzieli! – zawołał tym samym tonem Michaił. – Idiotka!

– Zostawiłeś mnie!

– Później pogadałbym z nimi i cię wyciągnął! – odpowiedział ostro Michaił. Chyba nie kłamał. – Wtedy nic nie można było zrobić! Z czasem bym cię wyciągnął!

– Po tym, jak by mnie przerznięło pół wsi? – Jego obietnica wcale nie uspokoiła Nastii.

I wtedy Michaił palnął głupotę:

– Dla ciebie to chyba nic nowego? Przespałaś się z tym celnikiem?

Zdaje się, że Nastię obraziło to pytanie.

– Nie – powiedziałem i w tej samej chwili Nastia uderzyła Miszę w twarz. – Nie spała ze mną.

Michaił odwrócił się do mnie, pocierając policzek. Pochwyciłem jego spojrzenie i zrozumiałem, że gdybym nie wszedł, on uderzyłby Nastię.

– Co pan tu robi? – zapytał zimno Michał.

– Czyżbym musiał się panu tłumaczyć?

Nie zdejmując butów, przeszedłem po miękkiej wykładzinie i usiadłem w fotelu. Wciągnąłem nosem powietrze – pachniało jakimś jedzeniem, i to bardzo smacznym. No i skąd mi się wzięła taka żarłoczność? Czyżby skutki zranienia?

– Nastiu, tak sobie nagle pomyślałem, że wstąpię. Nie masz nic przeciwko?

– Oczywiście, że nie – odparła. – Zrobić ci drinka?

– Gin z tonikiem.

– Saphir, Beefeater, Gordon? – zapytała Nastia tonem doświadczonego barmana.

– Nie wiem... – Zawahałem się. – Wszystko brzmi tak kusząco... Michaił, co pan proponuje?

Na twarzy biznesmena zagrały mięśnie. Pomyślałem, że przypomina teraz Hipolita z *Ironii losu*, który nagle odkrył, że doktor Żenia goli się jego maszynką.

– Saphir oczywiście – powiedział Michaił. – Wszystkiego dobrego, celniku. Wszystkiego dobrego, Nastiu.

– Na razie – rzuciła Nastia lodowatym tonem. Otworzyła drzwi lodówki i zagrzechotała butelkami.

Michaił odstawił szklanę, odwrócił się i poszedł do wyjścia. Już przy drzwiach stanął i powiedział sucho:

– Prosiłbym cię, żebyś więcej do mnie nie dzwoniła. Nie chcę mieć nic wspólnego... z terrorystami. Teraz rozumiem, że zostałem wykorzystany.

Trzasnęły drzwi. Wzruszyłem ramionami. Całkiem nieźle wyszedł. W miarę godnie. Gdyby zawołał „dziwka” czy „histeryczka”, zabrzmiałoby to głupio i nie na miejscu. A tak... w jego słowach była czysta prawda.

– Mieszkanie trzeba będzie zostawić – powiedziała w zadumie Nastia. – Jest na Michaiła... Zresztą, tu jest taki czynsz, że i tak nie dałabym rady. Wykorzystała, też coś!

– Co się obrażasz, przecież on ma rację – powiedziałem. – Wykorzystałaś?

Nastia zerknęła na mnie spoде łba. Wrzuciła do szklanki lód i zapytała:

– A czemu cię to interesuje?

– Może chcę się dowiedzieć, czy go kochałaś, czy nie?

– A czy on mnie nie wykorzystał? – Nastia podała mi szklanę i usiadła na wysokim stołku przy barze. – Po co przyszedłeś?

– Przecież mówię, przechodziłem i pomyślałem, że wstąpię.

– No, no...

– Byłem u rodziców – wyznałem niespodziewanie. – Nie poznali mnie. Są teraz sami. Byłem jedynakiem. Ojciec się postarzał...

Nastia odstawiła szklanę i popatrzyła na mnie.

– Nie martw się, Kirył.

– Próbuję.

– Pomyśl: jednak żyją. A moja mama umarła dwa lata temu. Ojciec pije. Nic nie mogę zrobić, nie chce mnie słuchać. Misza ciągle obiecywał, że umówi się z lekarzem funkcyjnym, ale coś nie wychodziło. I teraz już nie wyjdzie na pewno.

– On wróci – powiedziałem z udawanym przekonaniem w głosie. – Na pewno.

– Nie, Kirył. On się przestraszył. Wyjaśnili mu, że jestem związana z podziemiem, działającym przeciwko funkcyjnym w różnych światach. Miło, że nas tak poważnie oceniają.

– Illan jest w Moskwie – oznajmiłem. – U mojego przyjaciela.

– Wiem, dzwoniła. Kirył, co z nami będzie?

– W sensie?

– Przecież funkcyjni nas wyśledzą?

– Wyśledzą. Nastiu, myślę, że jeśli ty i Illan zrezygnujecie ze swoich idei...

– No?

– To zostawią was w spokoju. Rozmawiałem... w zasadzie tylko o tobie. Ale sądzę, że Illan też by nie ruszyli.

Nastia skinęła głową, ale nic nie powiedziała.

– Ty i Illan miałyście rację co do Ziemi-jeden – mówiłem dalej. – Byłem tam.

– Piąte drzwi? – ożywiła się.

– Tak. To świat, z którego przyszli funkcyjni. Cała reszta to ich poligony doświadczalne. Badają, co się stanie, jeśli stworzy się świat teokracji, świat z niewolnictwem, świat rozwinięty technologicznie, świat bez państw. Tylko to ich interesuje, nic więcej od nas nie chcą. Możemy żyć spokojnie. Możemy wybrać sobie tę Ziemię, która podoba nam się najbardziej, i zamieszkać tam.

– Jakoś tak wstyd. – Nastia uśmiechnęła się niewyraźnie.

– Cierpisz na nastoletni maksymalizm – zawyrokowałem. – Myślałby kto, króliki doświadczalne. Prawdziwa wolność i tak jest niemożliwa. Któryś z wielkich powiedział, że nie można żyć w społeczeństwie i być od niego wolnym.

– Lenin to powiedział.

– I miał rację. Nawet Robinson był wolny tylko do czasu pojawienia się Piętaszka. – Upiłem łyk drinka. – Ale masz rację, mnie też jest strasznie nieprzyjemnie. I przy okazji, na Ziemi-jeden do mnie strzelali. Byłem ranny i omal nie wykorkowałem.

– Tak? – Nastia popatrzyła na mnie podejrzliwie.

– Nasze rany szybko się goją. Innymi słowy, mam z tymi bydlakami na pieńku... i nie zamierzam z nimi współpracować. Ale walczyć z nimi nie

możemy. Te wasze głupie, szczeniackie ataki. I czym się one kończyły? Tym, że zabiłem tamtych chłopców! A nawet gdybyście porwali mnie, Feliksa albo Chaję, czy kogo tam jeszcze... Co by to dało? Przyszliby funkcyjni z Ziemi-jeden i zrobiliby nowych policjantów. Natarliby wam uszu – jednych do Nirwany, a innych na przemiał.

Nastia potarła dziecięcym gestem kolano i zapytała:

– Czyli ty z nimi nie walczysz?

– Nie. – Pokręciłem głową. – Wiesz, jak to jest, rzemieniem obucha nie przebijesz. Ja pasuję. Mam zamiar pracować w swoim punkcie celnym. Przez okno Ziemi-jeden będę wylewał pomyje i pokazywał obraźliwe gesty, dopóki im się nie znudzi i nie zaleją wieży betonem od góry do dołu. I... jeśli chcesz... możesz u mnie zamieszkać.

– Co to ma być, delikatna sugestia, żebym została twoją utrzymanką? – prychnęła Nastia. – Wyglądam na dziwkę, tak?

– Nie. Podobasz mi się.

– Dzięki za dobre słowo. Nie!

– Co: nie?

– Moja odpowiedź brzmi: nie! Nie mam zamiaru siedzieć jak mysz pod miotłą! Ja i Illan będziemy walczyć. Nieważne, czy nam się uda, czy nie! Lepiej umrzeć, stojąc, niż żyć na kolanach!

Zabrzmiało to śmiesznie i naiwnie, ale szczerze. Westchnąłem. Wyglądało na to, że jej nie przekonam. I w tym momencie usłyszałem:

– I po co tak, dziewczyno...?

Powtórzyłem błąd Nastii i Michaiła – drzwi wejściowe pozostały otwarte, z czego skwapliwie skorzystał nieproszony gość.

Mężczyzna mógł mieć czterdzieści lat. Wyglądał niepozornie – ciężki, w okularach o grubych szklach, z wyraźną łysiną. W rękach ścisnął mokry kapelusz. Jak często widuje się na ulicach mężczyzn w kapeluszu? Zwykły szary garnitur był mokry od deszczu, ubłocone buty i źle zawiązany krawat dopełniały obrazu. Tak wyglądają nauczyciele z gatunku starych kawalerów,

mieszkający z mamą i monotonna gładzący uczniom o znaczeniu postaci Bazarowa* i Oblomowa**.

Ale ten mężczyzna nie był nauczycielem. Był funkcyjnym.

– Kim pan jest? – Nastia zerwała się z taboretu. – Co to ma być, dzień otwartych drzwi?

Ja też wstałem, zajmując pozycję między dziewczyną i „nauczycielem”.

– To funkcyjny policjant – oznajmiłem. – Nasz, moskiewski.

Policjant skinął głową.

– Ma pan absolutną rację, Kiryle. Przepraszam, że tak bez zaproszenia. Taka praca, sam pan rozumie. Nazywam się Andriej. Bardzo mi miło pana poznać.

– Proszę kiedyś zajrzeć – powiedziałem. – Mam wieżę na Aleksiejewskiej, otwarte całą dobę.

– Niestety, nie dam rady. To za daleko ode mnie, oderwałbym się od funkcji. W zasadzie działałem na południowym zachodzie, ale poprosili mnie o pomoc. – Andriej uśmiechnął się przepraszająco. – Szczerze mówiąc, ta sytuacja jest dla mnie szalenie nieprzyjemna... nawet wstrętna...

Popatrzyłem na Nastię. Aha... Już jej wargi drżą. Jednak się boimy!

– Co chce pan zrobić? – zapytałem.

– Mam rozwiązać sprawę dziewczyny. – Rozłożył przepraszająco ręce.

– Feliks obiecał, że ona może u mnie zostać – powiedziałem szybko. – Zna pan Feliksa?

– Nie, ale to nieistotne. Pański Feliks ma rację, oczywiście. Proszę zrozumieć, nie mam nic przeciwko temu, żeby taka ładna młoda dziewczyna żyła... z panem. Wysłano mnie, żebym z nią porozmawiał, poprosił, żeby była rozsądniejsza. Niestety, słyszałem już jej wypowiedź. Bardzo poetycką – o myszy pod miotłą i życiu na kolanach.

– Wie pan co? Może spróbowalibyśmy to naprawić? – Uśmiechnąłem się serdecznie. – Wyjdzie pan za drzwi, wejdzie znowu i wtedy ja zadam Nastii to pytanie jeszcze raz.

Mężczyzna zastanowił się i z entuzjazmem powiedział:

* Bazarow – bohater powieści Iwana Turgieniewa Ojcowie i dzieci (przyp. tłum.).

** Oblomow – bohater powieści Iwana Gonczarowa Oblomow (przyp. tłum.).

– Dlaczego nie? Widzi pan, moje zadanie wcale mi się nie podoba... Przecież z wykształcenia jestem historykiem, można powiedzieć, szczerem archiwalnym. Siedzę w zakurzonej sypialni, przeglądam stare dokumenty... to dla mnie ogromna przyjemność. Musi pan wiedzieć, że zrobiłem masę ciekawych odkryć! Niestety, nie mogę niczego opublikować – w czasopiśmie o mnie zapominają, listy nie dochodzą, pliki i mejle znikają – wie pan, nasze typowe problemy. To nic, dla mnie najwyższą nagrodą jest sam proces poszukiwań naukowych. A praca policjanta jest dla ludzi o zupełnie innym charakterze. No dobrze, zaraz wracam!

I wyszedł.

Popatrzyłem na Nastię.

– Jakiś błazen – szepnęła.

– To funkcyjny policjant – odparłem. – Rozmaże nas cienką warstwą po suficie, rozumiesz?

Rozległo się pukanie do drzwi. Policjant wszedł jeszcze raz i zaczął przecierać okulary rękawem marynarki.

– Nastiu! – powiedziałem głośno. – Olejmy tych zarozumiałych snobów z Ziemi-jeden! Zostaw tę dziecięcą zabawę w konspiratorów i przenieś się do mnie. Mam morze. I porządną restaurację w pobliżu.

Andriej uśmiechnął się i mrużąc oczy, pokiwał głową. Potem włożył okulary i popatrzył wyczekująco na Nastię.

– Już ci odpowiedziałam – powiedziała cicho Nastia. – Nie. Nie zamierzam pogodzić się z okupacją.

– No proszę – rzekł z goryczą Andriej i włożył na głowę mokry kapelusz. – Dlaczego młodość jest zawsze taka głupia i nieokiełznana? Dlaczego zawsze dostaje mi się całe to błoto, cała ta ohydna pogoda, ta ohydna robota?

Podszedł do Nastii, nieśpiesznie, wycierając ręce o poły marynarki, jakby nagle spociły mu się dłonie. Zresztą cały był jakiś taki mokry, lepki. Może od deszczu, a może od potu?

– Niech pan zaczeka! Andriej, niech pan się zatrzyma! Przecież jest pan dorosłym mężczyzną! Ona mówi głupstwa! Zaraz zabiorę ją do siebie. Jak pomieszka u mnie to ochłonie, opamięta się!

– Nie mogę – odparł ze smutkiem. – Taka już moja funkcja. Niech mi pan nie przeszkadza, Kiry...

Kopnąłem go w brzuch z wysokoku – ciosem, którego używają jedynie bohaterowie wschodnich filmów.

Andriej poleciał do tyłu, na drzwi. Zachwiał się, ale utrzymał równowagę. A ja już stałem w pozycji bojowej. Ciekawe, czy ma jakąś nazwę? Może Japończycy albo Chińczycy jakoś ją nazywają – „pijany żuraw”, „srający niedźwiedź” albo „funkcyjny-głupol”.

– Nie masz racji! – powiedział Andriej z urazą. – Co ty robisz? Przecież jesteście sami swoi! Funkcyjni! Powinniśmy sobie pomagać!

– Paszoł won – odparłem. – Wynocha. Ja jej nie...

Nie dokończyłem. Przez następne dziesięć sekund wirowaliśmy między kolumnami, obsypując się ciosami. Oberwałem kilka razy w pierś – odniosłem wrażenie, że policjant próbuje mi złamać żebra nad sercem. Nie pozostałem dłużny – okulary Andrieja przemieniły się w kruszywo sterczących z jego twarzy szkieł; palce jego prawej ręki wyginały się pod nienaturalnymi kątami.

Zdaje się, że obaj nie czuliśmy bólu.

W pewnej chwili stwierdziłem, że stoimy naprzeciwko wielkiego francuskiego okna, mocno trzymając się za ręce i usiłując uderzyć przeciwnikiem o szybę, i nic nam z tego nie wychodzi.

– Idiotyczna sytuacja, kolego! – zawołał Andriej, mrugając. Z jego prawej powieki sterczał odłamek szkła. Przeszedł mnie dreszcz na myśl, że przy każdym ruchu powieki szkło szoruje rogówkę. – Jestem zbyt daleko od swojej funkcji i to mnie osłabia... To remis, pat!

– Odejdź! – zaproponowałem. – Odejdź i zostaw nas!

– Nie mogę! Musisz mnie zrozumieć!

– Nic nie muszę!

– Czyli będziemy walczyć dopóty, dopóki nie pojawi się ktoś trzeci. Tak?

– Tak – oznajmiła stojąca za jego plecami Nastia i z całej siły walnęła go w głowę mosiężnym kociołkiem.

O, taki kociołek to nie to samo, co teflonowe „byle co” z patentowanym, wielowarstwowym dnem. To tajna broń Azjatów, przyjaciel bojowy Tatarów

i Mongołów, wierny towarzysz turysty i miejskiego amatora smacznej wyzerki. Kociołek nie potrzebuje warstw wątpliwego pochodzenia, nie żąda płynów do mycia, rozpuszczających tłuszczy nawet w zimnej wodzie, nie wymaga druciaków i szczotek. Kopeć bywałego kociołka wypełnia wszystkie jego pory i tworzy lśniąca czarna powierzchnię, zachowującą aromaty niegdysiejszych pilawów, pieczonego mięsa, szurpy i tych wszystkich dań, które kociołek widywał. W starym, dobrym kociołku najprostsza potrawa przemienia się w danie z baśni tysiąca i jednej nocy, a sam kociołek staje się z biegiem czasu coraz cięższy, nosząc na swojej antracytowej powierzchni ślady historii.

Ten kociołek miał swoją historię i był pełen pilawu. I sądząc po tym, jak ładnie się rozsypał się w powietrzu ryż, ciemnoczerwony od oleju sezamowego, złociste kawałeczki marchewki, aromatyczne główki czosnku i kawałeczki baraniny – ten pilaw był całkiem niezły. Co tam niezły – był najprawdziwszy!

Andriej przewrócił oczami, oklapł i siadł nieprzytomny na podłodze.

Ja i Nastia popatrzyliśmy na siebie.

– Znam pewnego Murzyna – oznajmiłem – który lubi wymachiwać kuflami z piwem. Powinniście spotkać się na ringu.

– Pomogłam?

– Jeszcze jak! – odparłem zgryźliwie. – Poczynając od chwili, gdy oświadczyłaś, że nie pogodzisz się z okupacją.

– Nie chcę kłamać.

Odwróciła się, postawiła kociołek na barze. Leciutko trąciłem nogą Andrieja. Historyk leżał spokojnie.

Podszedłem do baru i wsadziłem rękę do kociołka, przesuwając na jeden brzeg resztki ryżu i marchewki. Nabrałem i parząc palce gorącym olejem, wpakowałem garść pilawu do ust. Zachłystując się aromatem i śliną wypełniającą całe usta, wykrztusiłem:

– Ale dobre! – Zerkając z żalem na leżące na podłodze resztki pilawu, zapytałem: – Gdzie się nauczyłaś robić taki pilaw?

– Mój tata dorastał w uzbeckim kiszłaku. Nauczyli go staruszkowie z białymi brodami.

– A walczenia kociołkiem? Czy to uzbecka sztuka walki?

– Kobięca.

Zerknąłem na zegarek.

– Daję ci trzy minuty na spakowanie rzeczy i spadamy stąd.

– A jak nie zechcę?

– To pójdę sam – odparłem szczerze. – To, że pokonaliśmy policjanta, to cud. Przypadek.

Nie spierała się. Otworzyła drzwi szafy, wyjęła niedużą torbę, zaczęła wrzucać do niej jakieś szmatki. Na chwilę oderwała się od tego zajęcia, żeby mi rzucić kłębek sznurka.

– Łap!

– Po co?

Nastia zawahała się.

– A co, chcesz go zabić?

Spojrzałem na nieszczęsnego historyka. Szczerze mówiąc, nie byłem na niego zły. Dwie minuty temu bez wahania złamałbym mu kark, gdybym miał taką możliwość, ale teraz...

Przykląknęłam i związałam Andriejowi ręce za plecami, a potem tym samym sznurkiem związałam mu nogi. Nylonowy sznurek nie jest najlepszy do takich celów, ale starałam się robić mocne węzły.

– Jestem gotowa – oznajmiła Nastia. – Oj, nie...

Bez wahania zrzuciła szlafrok i zaczęła wkładać dżinsy. Prychnąłem i demonstracyjnie spojrzałem na zegarek.

– Masz jeszcze dwadzieścia sekund.

– Normalny mężczyzna poprosiłby, żebym się nie śpieszyła – odcięła się Nastia.

– Jestem normalny. Ale chcę żyć.

* * *

Pogoda zepsuła się ostatecznie. Lał zimny deszcz, dał silny wiatr, a przy tym w chmurach jakimś cudem powstał prześwit, w którym pojawił się wielki pyzaty księżyc. Ulice świeciły pustkami; w oddali, przed wejściem do metra

nie było ludzi, nawet żywego ducha. Kierowcy zupełnie zapominali o uprzejmości i pędzili po kałużach, nie zwalniając.

– Łap okazję – poleciłem Nastii. – Mów: „Do Aleksiejewskiej”. Nie żałuj pieniędzy.

– A co, nie przyjechałeś samochodem? – zdumiała się. Usiłowała otworzyć parasol, ale silne porywy wiatru wywracały go na drugą stronę.

– Ja w ogóle nie umiem prowadzić! A ty co, też nie masz samochodu?

– Po mnie Misza przysyłał samochód z kierowcą!

– Pięknie żyć nikomu nie zabronisz – mruknąłem i rozejrzałem się. Na razie cicho. Nie widać nowych policjantów.

Zatrzymał się stary żiguli. Kierowca nie pytał, dokąd jedziemy i ile zapłacimy, burknął tylko: „Wsiadajcie” i od razu ruszył. Usiadłem na przednim siedzeniu, zerknąłem na niego czujnie. A nuż...

Nie, chyba jednak człowiek. Zwykły, niemłody, zmęczony i trochę nerwowy.

– Że też was nie zmyło – powiedział kierowca. – Leje jak z cebra! Nad ranem pewnie spadnie śnieg, popatrzcie, jakie niebo czerwone. A panią można wyźymać. Za lekko się pani ubrała.

– Zgadza się – odparła dziarsko Nastia. – Tak wyszło, musieliśmy uciekać od znajomych.

– A co się stało?

– Jeden głupek się upił i zaczął się do mnie kleić – oznajmiła Nastia. – Pietia ledwie go uspokoił... Ale jak tu się bawić po czymś takim...

I znów ta zabawa w konspiratorów. Zamruczałem coś bojowo, jak przystało na bohaterskiego Pietię.

– Toteż widzę, że na pańskim policzku siniak jak złoto – stwierdził kierowca, zerkając na mnie.

Potarłem kość policzkową.

– Nie, po lewej. Nie czuje pan? Siniak jak malowanie. Z bokserem się pan bił, czy co?

– Uśmieje się pan, z historykiem.

Kierowca rzeczywiście się zaśmiał.

– Historia to straszna siła. Ale pięść to nie ich broń, oni zwykle piórem walczą. Niech pan przyłoży kawałek surowego mięsa, ściągnie, pomoże.

– Jak pocałuję to jeszcze lepiej pomoże – oznajmiła Nastia.

Wymieniliśmy spojrzenia przez lusterko wsteczne. Nastia uśmiechała się filuternie.

W stosunkach damsko-męskich do dziś pozostało coś pierwotnego. Wystarczy pobić się o kobietę.

– Dokąd jedziemy? – zapytał w końcu kierowca.

– Do domu – odparłem. – Do Aleksiejewskiej.

23.

Jeśli wierzyć Borgesowi, to wszystkie tematy literackie, a więc wszystkie wydarzenia na świecie można sprowadzić do czterech podstawowych: wyprawa po skarb, oblężenie lub obrona twierdzy, powrót do domu i samobójstwo boga. Z tym, że o samobójstwie boga często się zapomina, a pozostałe trzy wątki sprowadza się do opowieści o miłości, Indianach lub o Nowym Roku. Nie przypuszczam jednak, żeby Borges się z tym spierał. Przecież miłość to właściwie wyprawa po skarb, wojowniczy Indianie i walka o twierdzę są nierozzerwalnie związane, a co może się równać ze świętem Nowego Roku? Tylko powrót do domu. Co się zaś tyczy samobójstwa Boga, to współcześni bożkowie nie są skłonni do takich gestów.

W dobrej opowieści wszystkie trzy tematy idą jeden po drugim. Odyseusz wyrusza po skarby, oblega Troję i płynie do domu. Iwan carewicz jedzie po jabłka, okrada zamek Kościeja i wraca do ojca. Wilk po kolei oblega trzy domki prosiaczków, a potem ucieka, gdzie pieprz rośnie.

Moja wyprawa po skarby wyraźnie zaczynała prowadzić do obrony twierdzy. Tylko że ja nie miałem szans wrócić do domu.

* * *

Obok wieży nikt na nas nie czekał. Weszliśmy do środka. Sprawdziłem wszystkie drzwi, potem wszedłem na pierwsze piętro i wyjrzałem przez okna.

Cicho. Pusto.

– Wszystko w porządku? – spytała Nastia.

– Dzięki twoim staraniom – mruknąłem. – No i co? Jesteśmy u mnie. A przecież od razu proponowałem, żeby tu przyjść! Tylko teraz wisi na mnie bójka z policjantem!

– Na nas.

Machnąłem ręką. Wyjąłem telefon, wybrałem numer Kotii. Długo nie odbierał – nic dziwnego, zbliżała się północ.

– Tak? – burknął niezadowolony Kotia.

– Mówi Kirył. Nastia jest u mnie.

– Jaka Nastia? Ta, która list?...

– Tak. Przyszedł po nią policjant funkcyjny. Zabrałem ją i przywiozłem do siebie.

– Pobijeś policjanta? – zachwycił się Kotia. – Ale super!

– No, megaczad. W każdej chwili mogą po mnie przyjść.

– E tam, nie przypuszczam... Nie sędzę, żeby w takiej sytuacji działali bez zastanowienia.

– Mogą przyjść również do ciebie.

– A co ja mam z tym wspólnego?

– Udzieliłeś schronienia Illan. A ona na pewno interesuje ich nie mniej niż Nastia.

Kotia sapnął i spytał:

– To co proponujesz? Wyjechać?

– Najlepiej. Albo przyjedźcie do mnie. W wieży chyba zdołam was ochronić, nawet przed policjantem. Zapytaj Illan, ona się na tym zna.

– Zaraz...

Przez jakiś czas w słuchawce panowała cisza. Czekałem, ramieniem przyciskając telefon do ucha, i patrzyłem na Nastię. Stała przy oknie wychodzącym na Arkan. Chyba wyczuła moje spojrzenie, bo się odwróciła.

– To właśnie jest Ziemia-jeden?

– Tak.

– Ładnie tu... Widać wieżę telewizyjną, tam daleko.

– Ostankino. Dokładnie taka sama jak nasza. Widocznie uznali ją za udaną budowlę.

– Po co im to wszystko? – spytała niespodziewanie Nastia. – Skoro u nich wszystko jest takie fantastyczne, skoro są tacy potężni... Przecież mogliby żyć normalnie. Przyjaźnić się z nami, a nie eksploatować nas.

Jakie z niej jeszcze dziecko.

– Nastiu... Żyć normalnie to właśnie znaczy eksploatować, niestety.

– Nie powinno tak być!

– Ale jest.

– Powinniśmy ich pokonać!

Roześmiałem się.

– Pokonać? To właśnie oznacza eksploatację innych ludzi. Posyłanie ich na śmierć. Zniweczenie planów tych z Ziemi-jeden. Pokonamy ich i zanim się obejrzymy, zajmiemy ich miejsca i jakaś dziewczyna z Ziemi-jeden będzie mówić: „Czemu nie pozwalają nam normalnie żyć, przecież tak być nie powinno!”.

– Czyli co? – spytała cicho Nastia. – Rację ma zawsze silniejszy?

Na szczęście głos Kotii znowu pojawił się w telefonie, uwalniając mnie od odpowiedzi.

– Kirył? Illan mówi, że nie powinniśmy się do ciebie pchać. Już lepiej wyjedziemy z Moskwy. Zna takie rejony, gdzie nie ma funkcyjnych, gdzie nie sięgną policjanci. Może pojedziecie z nami?

– Jak? – spytałem z rozdrażnieniem. – Zapomniałeś, że jestem przykuty do wieży?

– Wybacz – stropił się Kotia. – W takim razie my się zbieramy. Spróbuję potem do ciebie zadzwonić!

– Dobra.

No proszę. I już. Nie, ja wiem, oczywiście mają rację, lepiej, żeby się na razie ukryli... A ja? Nie, walczył nie będę na pewno. Spróbuję jakoś załagodzić całą sprawę, w końcu nikogo nie zabiliśmy.

– Nie przyjadą? – spytała Nastia.

– Nie – westchnąłem. – Illan uważa, że powinni się ukryć w regionie, w którym nie ma funkcyjnych. Ona zna takie miejsca. Mogłabyś z nimi pojechać.

– Kusząca propozycja – powiedziała ironicznie i zamilkła. – Wprawdzie twój przyjaciel to nie mój ideał mężczyzny, ale coś w nim jest... A co ty zrobisz?

– Spróbuję się dogadać. Pójść na układ. Jestem pożyteczny dla funkcyjnych, i mam niezłe miejsce.

– W takim razie zostanę z tobą – oznajmiła twardo Nastia.

– I znów oświadczysz, że chcesz z nimi walczyć? Może zauważyłaś, że oni tego nie lubią?

– Obiecuję, że już nie będę. Ale nie myśl sobie, to będzie kłamstwo!

Ręce mi opadły. Kłamstwo! Ha! Niech spróbuje skłamać policjantowi funkcyjnemu.

Nastia tymczasem podeszła do następnego okna i niespodziewanie zawołała:

– Kiry! Zobacz, jak pięknie!

Rzeczywiście było pięknie. Księżyc w pełni, podobny do tego widzianego z naszej Ziemi, tu wydawał się znacznie większy. Lśniący milionami ogników gładź morza. Wiatru prawie nie było. Morze oddychało spokojnie, kołysząc na falach migotliwe ognie.

– Plankton się świeci – palnąłem. Wyrwało mi się niespodziewanie i zupełnie nie na miejscu.

– Plankton? Jakie to ciekawe! – Nastia nadal patrzyła w okno. – Dziewczyna mówi: „Jaki piękny księżyc!”, a ty zaczynasz z nią rozmawiać o składzie chemicznym regolitu i albedo powierzchni księżyca?

– Pierwszy raz widzę dziewczynę, która zna słowo regolit – odparłem uczciwie. – Nie, nigdy wcześniej nie prowadziłem takiej rozmowy.

– Znałam jednego chłopaka, matematyka. – Nastia skinęła głową. – Jechał pociągiem i zakochał się w konduktorze, która dyskutowała z nim o funkcjach. Matematycznych oczywiście. Omal nie wysiedli razem z pociągu i nie wzięli ślubu.

– A co im stanęło na przeszkodzie?

– Nie pamiętam. Chyba nie za bardzo orientowała się w rachunku tensorowym...

Ostrożnie objąłem Nastię... pochyliłem się, wtuliłem twarz w jej włosy. Powoli odwróciła głowę i pocałowaliśmy się. Przytuliła się do mnie, popatrzyła mi w oczy. Byliśmy jednego wzrostu. Pomyślałem, że wszystkie moje poprzednie dziewczyny były pół głowy niższe.

– Jeśli teraz wyjdziemy... tam... – skinęła głową w okno – to wszystko będzie tak, jak w amerykańskim filmie.

– Uwielbiam amerykańskie filmy – odparłem. I niemal w to uwierzyłem.

Ale na plażę poszliśmy nie od razu. Do łóżka było znacznie bliżej.

* * *

– Kiry!ł, gniewasz się na mnie?

– Nie...

Leżałem na kołdrze rzuconej na piasek i patrzyłem w przejrzyste nocne niebo. Powietrze było czyste, jakby całą atmosferę ze Skansenu wywiało w kosmos. Pogładziłem Nastię po policzku, odnalazłem palcami wargi, jakbym zapamiętywał rysy jej twarzy jak niewidomy.

– Za co miałbym się na ciebie gniewać, głuptasie?

– Skłóciłam cię... z twoimi. Przepraszam. Nakręciłam się. Misza zachował się jak ostatni tchórz, a ty też zacząłeś być ostrożny.

Uniosła się na łokciu, popatrzyła na mnie – w świetle księżyca jej skóra stała się srebrzyście matowa – i nagle klepnęła się w wargi.

– Coś ty?

– Głupia jestem! Po co o nim mówię? Wiem, że mężczyźni tego nie lubią.

– Ho, ho, co za uświadomienie! Mów, wszystko mi jedno.

– Nie, nie, więcej nie będę. Nawet nie chcę o nim słyszeć, a co dopiero mówić. Naprawdę ci się podobam?

– Tak.

– Illan mówiła, że funkcyjni rzadko utrzymują stosunki z ludźmi. Dłuższe stosunki... Pamiętasz, jak w *Zwyczajnym cudzie* czarodziej mówił, że jego żona zestarzeje się i umrze, a on nadal będzie żył?

– Skąd ty jesteś taka mądra? Może też jesteś funkcyjną? Funkcyjna bibliotekarz?

– Nie odmówiłabym. – Nastia przesunęła dłonią po moim brzuchu. – To pewnie ciekawe.

– Będę miał na górze bibliotekę – powiedziałem. – To znaczy już mam, tylko pustą. Jeśli teraz dogadamy się z funkcyjnymi... Zresztą, co ja mówię! Na pewno się dogadamy. Można będzie zrobić taką bibliotekę, że ho, ho! I poprosimy, żeby zrobili cię funkcyjnym.

– A to możliwe?

– No przecież jakoś to robią. – Wyciągnąłem rękę, dotknąłem jej piersi. – Nie, nie chcę, żebyś była bibliotekarką. Zepsujesz sobie wzrok i będziesz nosić okulary z grubymi szklami. I będziesz cały czas chodzić z nosem w książce.

– Będę zdejmować okulary i chodzić z nosem w tobie. O, tak...

Opadła na mnie miękko, pocałowała mnie w szyję, w brzuch, zaczęła zsuwać się coraz niżej...

– Nastiu, nawet funkcyjni czasem się męczą – powiedziałem tragicznym szeptem.

– Zaraz zobaczymy...

– To nieuczciwe. – Chwilę później dodałem: – Nie, to jeszcze bardziej nieuczciwe!

Nastia zaśmiała się cicho. Przez minutę patrzyłem na jej sylwetkę na tle nieba, otuloną światłem księżycy i morskim wiatrem, to wznoszącą się, to opuszczającą nade mną. Gdy usłyszałem, jak przyśpieszył jej oddech, pochwyliłem jej dłonie, ścisnąłem... Nastia jęknęła cicho, przytuliła się do mnie, jej ciałem wstrząsały łagodne fale, ale nie zatrzymała się, i chwilę później to ja jęknąłem, czując pradawną, najsilniejszą z rozkoszy.

– Podrywasz mojego ducha bojowego – powiedziałem później. – Czekają mnie trudne rozmowy, a ja będę się błogo uśmiechać i odpowiadać bez ładu i składu...

– Jakoś się skupisz.

– Aha.

Usiadłem, czując nagły niepokój. Pusta plaża, księżyc na czystym niebie, zamierające odblaski na falach, ładna dziewczyna obok – czego można chcieć więcej? Chyba tylko pewności jutra.

– Wykapiemy się?

– Chodźmy.

Wstała i pobiegliśmy razem w stronę fal – dokładnie tak samo jak w tanich filmach.

– Bierz pod uwagę, że jeszcze nie wiem, czy cię Kocham! – zawołała Nastia, wskakując do wody. – Nie wiem!

– Ja też nie wiem! – odkrzyknąłem.

To była prawda. I właśnie dlatego, że nie baliśmy się o tym mówić, to były ostatnie chwile tej prawdy.

* * *

Przyszli do nas rano.

Obudziło mnie dobiegające z dołu pukanie do drzwi. Pukanie niezbyt głośne, niegroźne i nienatretne, za to uporczywe. Puk, puk. Przerwa. Puk. Znow przerwa. Puk, puk.

We wszystkie okna świeciło słońce.

Puk, puk.

Bez względu na to, kim był ów człowiek za drzwiami, wyglądało na to, że się nie śpieszył. Że miał dużo, bardzo dużo czasu, cały czas świata i bardzo dużo cierpliwości – więcej niż zwykły człowiek.

Nastia również się obudziła i usiadła na łóżku. Popatrzyła na mnie strwożona.

– Ubierz się – poleciłem. – Kotia miał rację, nasz time out dobiegł końca.

– Zaatakują?

– Nie, coś ty. Na pewno wymyślili jakąś propozycję. – Poglądziłem ją po ramieniu. – Może jakieś warunki, jakieś zadania dla mnie i dla ciebie. Oczywiście będziemy się targować. Obiecamy nie przeszkadzać i nie robić wstrętów. Tylko proszę cię, bądź szczerą! Oni wyczują kłamstwo!

Puk. Puk, puk.

Stukano do moskiewskich drzwi – tylko one dawały ten żelazny pogłos. Szkoda. Wolałbym stukanie z Kingimu i wizytę Chaja.

– Będę bardzo przekonująca. – Nastia wstała i zaczęła się ubierać. Białe spodnie. Biała bluzka z krótkimi rękawami. Letnie ubranie, dziwnie wyglądające w jesiennej Moskwie. – Wiesz, trochę się boję.

– To nic. – Mrugnąłem do niej. – W kiepskich amerykańskich filmach ci dobrzy zawsze wygrywają.

– To my jesteśmy ci dobrzy?

– Trudno o lepszych – odparłem, wkładając džinsy.

– Kirył...

– Tak?

Nastia pokręciła głową.

– Nie, nic. Potem ci powiem.

* * *

Ulica była jeszcze pusta, tak jak mogą być puste moskiewskie ulice o szóstej rano, gdy spadnie pierwszy śnieg. W małych miastach ludzie wstają i kładą się wcześniej. Tylko w Moskwie, zasypiającej grubo po północy, możliwa jest taka pustka porannych zimowych ulic.

Natalia Iwanowa stała przed drzwiami. Wytarte džinsy, bluzka w wielkie czerwone kwiaty na czarnym tle, stare adidas. Co jest, czyżby naprawdę pracowała na bazarku Czerkizowskim? Prószył śnieg, włosy Natalii przykryła przelotna zimowa siwizna.

– Mogę wejść?

– A jeśli odmówię?

– To tylko wszystko jeszcze bardziej skomplikujesz – odparła poważnie Natalia.

– No to wejdź.

Natalia szła za mną – nie chciałem odwracać się do niej plecami, ale jeszcze bardziej nie chciałem okazywać strachu. Weszliśmy na pierwsze piętro; Natalia rozejrzała się i spytała:

– A gdzie twoja przyjaciółka?

– Robi śniadanie. – Podsunałem jej krzesło. – Siadaj, nie przyszedł prosić na wesele.

– Dziękuję. – Usiadła, pochyliła się nad stołem, oparła podbródek na dłoniach. Przez jakiś czas przyglądała mi się, potem uśmiechnęła się i mrugnęła. – No i co, podopieczny? Nawywijałeś?

– Nawywijałem – odparłem pokornie.

– To nic. Coś wymyślimy. – Spoważniała. I od razu z wyrzutem powiedziała: – Co za diabeł w ciebie wstąpił? Skąd ta pycha? Otworzyłeś drzwi do Arkanu po raz drugi w całej historii naszego świata. Brawo! Powiedzmy sobie szczerze – pod względem energetycznym to bardzo skomplikowany proces. To tak, jakby płynąć pod prąd. Ale poradziłeś sobie. Powitali cię? Powitali. Zrobili ci wspaniałą, wielkoduszną propozycję: zostać równym. Stać się jednym z nas.

– Z was?

– Nie ma sensu teraz kłamać, skoro już sam wszystko zrozumiałeś. Tak, jestem z Arkanu. Moja praca to wdrażanie funkcyjnych.

– Po co to robicie? Rozumiem, że eksperymentujecie, ale po co my jesteśmy wam potrzebni? Do towarzystwa? Służba złożona z aborygenów? Dlaczego właśnie ja? Czemu nie ambitny polityk Dima albo biznesmen Misza?

– Nie zrozumiałeś? – zapytała Natalia ze szczerym zdumieniem. – No wiesz, Kirył... Nie, nie będę teraz nic wyjaśniać. Najpierw musimy zakończyć sprawę z tobą.

– No to już – mruknąłem. – Co, znowu walniecie bombą?

– Mamy również inne metody – odparła Natalia. Nie groziła, jedynie informowała. – A tamta bomba... Musieliśmy sprawdzić, czy wasza technologia może wyrządzić krzywdę naszej. Kirył, i co ja mam z tobą zrobić?

– Rozumiem, że możesz ze mną zrobić, co zechcesz?

– Tak. Porzuć swoje plany targowania się. Jak postanowię, tak będzie. Podziękuj, że cię lubię.

– Dziękuję – powiedziałem ponuro.

– Nie będziesz wchodził do Arkanu. W każdym razie przez najbliższe dziesięć lat. – Natalia się uśmiechnęła. – Żeby cię nie kusilo, zabetonujemy okno i drzwi.

Na twarzy miałem smutek, ale w mojej piersiach powoli topniał lodowaty kłęb strachu. Więc jednak miałem rację. Funkcyjni nie mają zamiaru mnie niszczyć! Jestem im potrzebny! Albo po prostu mnie lubią.

– W charakterze nagany pozostaniesz w areszcie domowym przez... no, powiedzmy przez rok. Taak... Jedzenie będą ci dostarczać, ale wychodzić z wieży... – Natalia uśmiechnęła się samymi kącikami ust, niby fałszywie, ale jednak sympatycznie. – Ech! Co tam! Zostawię ci wyjście do Skansenu, bo inaczej zupełnie tu zbutwiejesz. Zgadzasz się?

– Tak.

– I przeprosisz Andrieja Piotrowicza. – Natalia pogroziła mi palcem. – No jak tak można? Wykorzystać to, że oddalił się od swojej funkcji, walczyć z nim, zranić! Bardzo nieładnie! Poza tym, to podrywa autorytet wszystkich policjantów!

– Przeproszę – powiedziałem. – Naprawdę jest mi głupio. To taki... inteligentny człowiek. Z przyjemnością go przeproszę.

Na górze huknęły naczynia. Popatrzyłem na schody? Natalia zrobiła to samo i westchnęła.

– A teraz najtrudniejsze...

– Ona zostanie ze mną – powiedziałem szybko.

– Kirył, wszystko ma swoje granice. Nasza pobłażliwość również. Niepotrzebnie zabrałeś dziewczynę z Nirwany, to było dla niej idealne miejsce. Można by ją było ściągnąć z powrotem za jakiś miesiąc czy dwa, akurat nabrałaby rozumu.

– To przecież moja wina, nie jej.

– Uczestniczyła w idiotycznych akcjach terrorystycznych, to raz. – Natalia zaczęła demonstracyjnie zaginać palce. – Ukrywała zbiegłego przestępcę, to dwa. Złamała obietnicę nierozgłaszania i nieprzeszkadzania, którą składa każdy człowiek, dowiadujący się o funkcyjnych, to trzy. I jeszcze bezczelnie oznajmiła, że będzie kontynuować swoją działalność. To już cztery. A do tego wszystkiego zaatakowała funkcyjnego. Funkcyjnego policjanta, będącego w trakcie pełnienia obowiązków służbowych! To pięć! – Natalia uderzyła pięścią w stół.

– To się więcej nie powtórzy – powiedziałem. – Żadnego terroryzmu, żadnego ukrywania. Wykaże skrucę i przeprosi Andrieja Pietrowicza.

– Kirył, nie jesteśmy w przedszkolu. – Natalia pokręciła głową. – „Przepraszam, więcej nie będę” i znowu to samo. Nie, Kirył. Sprawa Nastii już została ustalona.

Poczułem, że zaczynam się wpieniać. Położyłem rękę na jej dłoni, przycisnąłem do stołu.

– Nastia nigdzie stąd nie pójdzie – warknąłem. – Basta. Koniec i kropka.

Natalia ściągnęła brwi, jej twarz stała się jeszcze brzydsza.

– Tak myślałam, że z tym będzie największy problem. No i po co ci była utrzymanka biznesmena? Bab ci mało? Wybierz sobie, jaką chcesz! Doświadczone suki, przyzwoite żony i matki, naiwne nastolatki. Wyjrzyj przez okno, całe stada tyłkami kręca!

– Już wybrałem.

– Ta sprawa już została załatwiona, Kiryle. – Natalia położyła nacisk na słowie, „już”.

– Nastia! – krzyknąłem, zrywając się z krzesła. – Nastia!

Bez odpowiedzi.

– Ale pójde ci na rękę – mówiła dalej Natalia, jakby nie dostrzegając mojego zachowania. – I ona nigdzie stąd nie odejdzie.

Podbiegłem do schodów, wbiegłem na drugie piętro. Drzwi do kuchni były otwarte.

Nastia leżała na podłodze przy kuchence. Na patelni przypalała się jajecznica. Brzegiem świadomości zarejestrowałem, że jest zrobiona tak, jak dla dzieci, w postaci wesołej buzi z oczami-żółtkami i paskiem bekonu zamiast ust. Metalowa łopatka, którą Nastia chciała przenieść jajecznicę na talerz, leżała w drugim kącie kuchni.

Gdy pochyliłem się nad Nastią, w jej oczach nadal było życie. Życie i strach są zawsze razem, nierozdzielne... Wydawało mi się, że mnie poznała. I chyba się ucieszyła. Ale chwilę później w jej oczach pojawiła się śmierć i strach zniknął.

Potrząsałem głową.

Nie!

No, jak to tak? To mój dom. Moja twierdza. Nawet u przygłupiej Róży Białej debilna służba doszła do siebie w ciągu kilku minut. Jestem celnikiem. Prawie żołnierzem. Wyzdrowiałem, chociaż cały brzuch miałem zmielony na farsz. A tutaj nawet ran nie widać!

– Nastiu! – krzyknąłem. – Nie umieraj!

Potrząsałem ją za ramiona, doskonale rozumiejąc, że ona umarła. Trzymała się przez minutę, chociaż serce już stanęło. Jak to było? Najpierw upadła i upuściła łopatkę, która brzęknęła nad moją głową. Dlaczego nie krzyknęła? Nie mogła? Nie chciała? Nie krzyknęła, ale żyła jeszcze przez pół minuty, czekając, aż przyjdę.

– Żyj! – rozkazałem. – Żyj!

Położyłem ręce na jej piersi. Wyobraziłem sobie, jak z moich palców płyną niewidocznie prądy, uruchamiając serce. Jak uderza ładunek, niczym błękitna błyskawica.

Powinno się udać!

Powinno?

Ale się nie udało.

Serce stanęło i ona umarła. Żadnej mistyki.

– Nie żyje – oznajmiła Natalia, stając w drzwiach i przyglądając mi się w zadumie.

– Ożyw ją! – krzyknąłem.

– Nie.

– Nie możesz? Czy nie chcesz?

– Nie chcę – przyznała Natalia. – Mówiłam ci: są rzeczy, których nie wybaczymy. Atak na policjanta jest jedną z nich. Uspokój się, wszystko już się skończyło.

– Jestem spokojny – powiedziałem, patrząc na Nastię.

– To dobrze. Ta dziewczyna miała trzech mężczyzn, a przecież nie skończyła jeszcze dziewiętnastu lat. Po co ci taka? Przecież nie jesteś głupi, nie powiesz mi chyba, że to była miłość? Był tylko seks! Specjalnie wam nie przeszkadzałam w nocy, pozwoliłam ci się rozerwać.

– I po co tak? Po chamsku?

– Żebyś zrozumiał, że potrafimy być chamscy. – Zmrużyła oczy. – Ta dziewczyna nie jest nam potrzebna, ale ciebie chcielibyśmy zatrzymać. Jeśli przelkniesz to, co się stało, zostaniesz z nami. Jeśli nie, dołączysz do niej.

– Więc to tak?

– Właśnie tak.

Przesunąłem dłonią po twarzy Nastii, zamknąłem jej oczy. Poprawiłem bluzkę, która wysunęła się ze spodni. Wstałem.

– Nie rozumiem, po co to chlapnęła – poskarżyłem się Natalii. – O tym, że lepiej umrzeć, stojąc. Przecież policjant chciał dać nam szansę. Nie kłamał?

– Nie. Pozwoliliby jej żyć.

– Jaka to głupota... – westchnąłem. – Wszystkie te wielkie słowa i piękne pozy. „Nie przejdą”. „A jednak się kręci”. „Ojczyzna albo śmierć”. „Umrzeć za przekonania”. To wszystko nie jest warte funta kłaków, gdy przychodzi prawdziwa śmierć. To wszystko jest dla dzieci. I dla dorosłych, którzy nimi manipulują.

Natalia skinęła głową.

– Ale przecież jednak się kręci – mówiłem dalej. – Prawda? Ona się kreci, oni nie przejdą, a ojczyzna pozostaje ojczyzną. I nawet jeśli śmierć staje się śmiercią i nikt nie jest gotów umrzeć, to czasem łatwiej umrzeć niż zdradzić. Jesteś brzydka, złą kobietą, której nikt nigdy nie kochał tak po prostu. Nawet do naszego świata przyszedłeś nie dlatego, że kochasz swój, a dlatego że chcesz władzy.

Natalia klasnęła w dłonie, jak nauczycielka, której ulubiony uczeń błyskotliwie rozwiązał równanie całkowite, za to zapomniał, ile to jest dwa razy dwa. Na jej twarzy pojawił się smutek.

– Jesteś łajdaczką – oznajmiłem. – Wszyscy jesteście łajdakami. I nie chodzi o to, że sterujecie nami potajemnie, że kręcicie naszymi światami jak chcecie. I tak ktoś by nami rządził, ktoś by manipulował. Nie w tym rzecz, że zabieracie nam wolność, a dajecie złotą klatkę. Wolności nie mierzy się w kilometrach kwadratowych. Nie chodzi nawet o to, że odbieracie nam bliskich i krewnych. My i tak ich pamiętamy, a to najważniejsze. Jesteście łajdakami dlatego, że zabieracie nas tym, którzy nas kochają. Nie zostawiacie im nawet pamięci. Ale i tego było ci mało, prawda? Ludzie to dla was tylko

figury, które można przestawiać na szachownicy jak się chce. Jednego pionka zmieniamy w hetmana, a innego zbijamy i usuwamy z szachownicy.

Zamilkłem.

Zamilkłem, bo wszystko zrozumiałem. Zrozumiałem to co najważniejsze.

Zrozumiałem, dlaczego przemieniono mnie w funkcyjnego.

I zapytałem:

– Kim powinienem być zostać?

24.

Wyobraź sobie, że masz wielką klatkę, w której mieszkają małe ludziki doświadczalne. Ciężko to sobie wyobrazić? No dobrze, w takim razie wyobraź sobie dużą klatkę, w której mieszkają małe myszki doświadczalne.

Klatek wokół jest dużo i w każdej umieszczono parę myszy. Wprawdzie w jednej klatce samiec okazał się sterylny, w drugiej zepsuło się automatyczne poidło i myszki się utopiły, do trzeciej wpadł wielki dziki szczur i zakąsił mieszkańcami klatki, w czwartej spadła lampa kwarcowa, a z piątej myszy uciekły na wolność i rozbiegły się, ale mimo to spora liczba klatek pozostała zamieszkana. Gdy chcesz poprawić warunki życia myszek w swojej klatce, zerkasz na sąsiednie – co tam słychać? W tej myszki tworzą jedną wielką rodzinę? Zabawne. Popatrzmy, może i nasze warto by nauczyć kolektywizmu? A tamte rozbiegły się po kątach. No cóż, zobaczymy, może tak będzie im lepiej?

Niespecjalnie przejmujesz się losem myszy w innych klatkach. Wprawdzie nie jesteś sadystą i nie masz nic przeciwko tym małym puszystym zwierzątkom, ale najważniejsza jest dla ciebie tylko jedna jedyna klatka – ta, którą założyłeś jako ostatnią. Do żyjących w niej zwierzątek naprawdę się przywiązałeś.

W pozostałych możesz robić doświadczenia.

W tej klatce, w której myszki chowają się po kątach, kilku osobników zaprzyjaźniło się i próbuje stworzyć duże stadko. O, nie! Nie można na to pozwolić! Ta grupa kontrolna powinna być rozdzielona! Oczywiście mógłbyś zabić rozzuchwalone myszy czy spuścić je do sedesu, ale nie jesteś okrutny. Dlatego tworzysz w różnych kątach klatki wygodne domki, wkładasz tam

dużo sera i umieszczasz w tych domkach myszy naruszające czystość eksperymentu – na krótkiej smyczy. Możesz nawet zawiązać myszkom kolorowe kokardki i karmić je witaminami – swego rodzaju rekompensata za brak wolności. Najprawdopodobniej myszy przyzwyczają się, a nawet będą zadowolone.

W drugiej klatce można dodać do wody jakiegoś preparatu chemicznego. Może myszy będą bardziej szczęśliwe od porcji środka rozweselającego? Niestety, nie, zdechły. Szkoda.

W trzeciej, w której myszy nauczone biegać w kółko według wskazówek zegara, izolujesz te, które uparcie biegają w przeciwną stronę. I znowu: małe domki, smycz i szczególnie smaczna karma.

Z czasem troszczenie się o kontrolne klatki możesz przerzucić na same myszy – na te, które mogły zakłócić eksperyment i zostały umieszczone na krótkiej smyczy. Właśnie one głośnym piskiem zwrócą twoją uwagę, gdy zacznie się coś dziać. Dotkliwie pogryzą swoich pobratymców, którzy spróbują pójść ich drogą. „Gdy ja biegałem w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, to dostałem domek i porcję sera. A może stanie się tak, że gdy ktoś jeszcze zmieni kierunek biegu, to jemu oddadzą moją porcję?”.

Powoli cały proces się normuje. Zwierzątka w twojej ulubionej klatce czują się doskonale. Uniknęły epidemii dżumy, która wystąpiła w klatce numer osiem, gdzie przestałeś sprzątać, nie zdechły od szkorbutu, jak mieszkańcy klatki dwadzieścia pięć, w charakterze eksperymentu przestawionej na inną karmę, nie wybiły się nawzajem bronią jądrową. A nie, przepraszam, jaką bronią, przecież mówimy o myszach!

I wszystko jest w porządku.

Teraz jesteś już pewien, że wcześniej czy później uda ci się wyhodować populację wspaniałych, szczęśliwych myszek.

Przynajmniej w jednej wybranej klatce.

* * *

– Kim miałem zostać? – zapytałem Natalię.

– Aha – powiedziała. – Jednak dotarło. Nie wiem, Kiryle. To poza moimi kompetencjami. Ja jestem akuszerką ginekologiem, pamiętasz?

– Akuszerka ginekolog nie tylko przyjmuje porody.

– Owszem, czasem jeszcze przeprowadza aborcje. Ale dlaczego komuś trzeba pomóc się urodzić, a komuś wprost przeciwnie, tego mi nie mówią. Sama żałuję. – Rozejrzała się i westchnęła. – W twojej wieży było bardzo sympatycznie. Od razu widać, że z ciebie porządny człowiek. Szkoda. Wielka Szkoda, Kiryle!

Uniosła rękę i przesunęła nią wzdłuż ściany.

Po tynku zaczęła sunąć cienka, wąska szczelina. Potem coś pękło w środku ściany i ze szczeliny posypał się rudy, ceglany pył, jakby zadomowił się tam stalowy kornik.

Poczułem ukłucie po prawej stronie pod żebrami. Krótkie i ostre. Ból zapłonął i zgasł.

Natalia zmrużyła oczy i machnęła ręką, jakby dyrygując niewidoczną orkiestrą.

Wieżą wstrząsnęło, jakby ziemia się pod nią wybrzuszała, nie wytrzymując nacisku pięciu światów. Wydawało się, że każda cegła w ścianach podryguje, próbując utrzymać się na swoim miejscu.

Straciłem oddech i upadłem na podłogę. Z trudem ukląknęm, opierając się rękami o podłogę. Czyste żółte deski ciemniały w oczach, pokrywając się siecią zadrapań, wykrzywając się i wybrzusząc.

– No widzisz, Kiryle – powiedziała Natalia. – Nie zawsze da się umrzeć stojąc.

Niszczyła moją wieżę! Nade mną nie miała władzy, ale to nie było ważne. Mogła zniszczyć moją funkcję. A gdy zginie moja funkcja, zginę i ja.

Próbowałem wstać. Udało mi się, budynek jeszcze się trzymał, a to znaczy, że ciągle byłem funkcyjnym. Nawet zrobiłem w stronę Natalii kilka niepewnych kroków. Dosięgnąć ją... uderzyć... wczepić się w gardło...

Kobieta zaśmiała się i cięła ręką powietrze. Za jej plecami wybuchły kręcone schody – zapłonęła drewniana poręcz, pękły i z hukiem posypały się mosiężne tralki, a centralny słup wykrzywił się, jakby stopiony żarem.

Ból przeszył mi plecy ognistą żerdzią, palącymi strumyczkami rozplątał się po żebrach. Zakręciłem się, próbując uciec przed tym ogniem, i padłem na wznak, prosto do nóg Natalii.

Pochyliła się nade mną, zajrzała mi w oczy.

– No i jak, Kiryle? Trzymasz się?

Najstraszniejsze, że w jej głosie nie było okrucieństwa, złości, sadystycznego podniecenia czy pogardy. Przeciwnie, było współczucie i ciekawość. Wstrzykując truciznę niepodejrzewającej niczego myszce, laborant może szczerze kochać zwierzęta.

Muszę się uspokoić. Przepędzić z duszy lepki strach. Ten, kto spanikował, już przegrał.

Ona jest silniejsza. Umie przemieniać ludzi w funkcyjnych i pozbawiać ich funkcji. Ale siła to nie wszystko. Garstka młodzików z Illan na czele umiała przecież związać Różę Białą, ponieważ staruszka z natury nie jest bojownikiem. A ja zdołałem pokonać policjanta, ponieważ byłem bliżej centrum swojej siły – wieży.

A teraz jestem w samej wieży. Rozpadającej się, ale ciągle stojącej. Tutaj ozdrowiałem po śmiertelnej ranie. Czy to może mi pomóc? Nie. Co jeszcze? Każdej nocy wieża przeistaczała się, dopasowując się do moich gustów. Gdy chciałem, w wieży pękły rury. Czy to może mi pomóc?

Tak.

Jeśli wieża posłucha.

Nie wiem, jakie siły sprawiają, że wieża się przekształca. I chyba ona bardzo nie lubi robić tego przy świadkach. Ale teraz umiera.

– Zaatakowałaś... celnika – wykrztusiłem. – Ty też łamiesz... prawa funkcyjnych... Mogę się... bronić...

Zdaje się, że moje słowa rozbawiły Natalię.

– Proszę bardzo. Broń się.

Klasnęła w dłonie – w oknach ze smutnym brzękiem pękły szyby. Podniosła rękę, jakby chwytając coś niewidocznego, i pociągnęła.

Z sufitu posypały się białe odpryski farby. Nad moją głową w płytach sufitu pojawił się szew.

Pociemniało mi w oczach, jakby ktoś ścisnął moją czaszkę stalową obręczą.

I w tej samej chwili kołysząca się na kablu żarówka zapłonęła oślepiającym światłem, szklana kolba rozpadła się w drobny mak i kabel zaczął sunąć w dół. Zrozumiałem, co się dzieje, dopiero wtedy, gdy wąsiki (między którymi białym dymkiem dopalała się wolframowa spirala) niczym zęby żmii wbiły się w szyję Natalii Iwanowej.

Akuszerka krzyknęła, wyginając się. Kabel ciągle się opuszczał, pierścieniami zaciskając się na jej gardle. Potem szarpnął w górę i Natalię oderwało od podłogi.

Wstałem. Trzęsło mnie, ale najgorszy ból minął.

Twarz Natalii spurpurowiała. Rozpaczliwym wysiłkiem zdołała wcisnąć dłonie w pętlę i nieco rozsunać śmiercionośny uścisk. Prądu, który przeszywał jej ciało, chyba w ogóle nie zauważała.

– O, to dopiero arkan – powiedziałem, patrząc na nią. – No proszę, jak ładnie!

– Przestań! – zawołała Natalia.

Rozbawiło mnie to. Po tym, jak zabiła Nastię, po tym, jak z zimną krwią wykańczała mnie, ja miałbym ją teraz puścić?

– Powiedz „proszę”.

– Proszę!

– Powiedz „więcej nie będę”.

Oczy Natalii rozbłysły, kabel podciągał ją coraz wyżej.

– Idioto! Jeśli zginę... Wszystkie wasze funkcje są wtórne w stosunku do mnie! Wieża i tak zostanie zniszczona! Setki funkcyjnych staną się ludźmi!

– Doskonale! Sądziłaś, że mnie to zmartwi?

– Pozwolimy ci pozostać funkcyjnym! – zawołała.

– Zdechnij, łajzo – powiedziałem. – Zdechnij, a znów staniemy się ludźmi.

– Nikt... wam... nie pozwoli – wycharczała Natalia. – Kurator... naprawi...

I wyszarpnęła dłonie z pętli.

Sufit nad nią rozszedł się wzdłuż szwu, rozwarł niczym chciwe betonowe usta, podrygujące, łapczywe. Rury sterczały niczym krzywe zardzewiałe kły. Kabel wciągał akuszerkę prosto pod cios gotowych do zsunienia się płyt.

Natalia uniosła ręce i cięła nimi powietrze, a potem rozchyliła je, jakby coś rozrywając. I zmiotła niewidoczny dla mnie cel.

Wieża jęknęła. Ze ścian posypały się cegły, podłoga wydeła się i zafalowała. Słońce nad Skansenem pociemniało i okno wychodzące na Ziemię-siedemnaście zasnuła szara zasłona.

W tej samej chwili poczułem, że coś potężnego patrzy na mnie, umierając, patrzy ze smutkiem i z czułością. Tak ogląda swoje dziecięce fotografie staruszek, w którego duszy nie ma już miejsca na współczucie i gorycz. Po moim ciele przeszło ukłucie, coś się napięło i pękło, niczym za mocno naciągnięta struna.

Moja funkcja umierała i zrywała ze mną łączność.

Na kilka ciągnących się w nieskończoność sekund wszystkie moje zmysły wyostrzyły się do granic możliwości. Usłyszałem chrzęst kręgów szyjnych Natalii i buczenie pociągu podmiejskiego „Siewierianin”, ruszającego z peronu. Zobaczyłem, że na czole umierającej akuszerki pojawia się pot, zobaczyłem, jak błyszczą optyka teleobiektywów spoglądających na moją wieżę z wieży Ostankino, stojącej w nieskończenie dalekim Arkanie. Pochwyciłem gorzki zapach przypalającej się na kuchence jajecznicy i zapach nieświeżego mięsa, z którego przy metrce Aleksiejewska robili szaurmę. Poczulem słony smak krwi na wargach i kwaśny zapach ładunku elektrycznego, przesywającego ciało Natalii. Poczulem, jak pylistymi śnieżynkami spadają na moje włosy kawałki farby z sufitu i jak tłuką o ziemię buty żołnierzy przy Wiecznym Ogniu.

Było też coś jeszcze. Coś niesamowitego, nieprzeznaczonego dla zwykłego człowieka. Coś przypominającego wspomnienia, ale z innym znakiem. Mieszanka barw, dźwięków, zapachów, smaków, wrażeń.

...Niech mi pan powie, Dmitrij, jak jest u was przyjęte... rozgarniam rękami szarą zasłonę, macam na oślepie, jakbym płynął w galarecie... ciężki metaliczny krok, dźwięczące kroki... nieznośna gorycz na wargach... straszliwy ciężar, nie sposób go utrzymać...

Świat stał się nieznośne jaskrawy i maleńki. A potem ścisnął się w jeden punkt – we mnie. Ciało zrobiło się strasznie ciężkie, zachwiałem się.

Trudno ponownie stać się człowiekiem. Prawie tak trudno jak za pierwszym razem. Odrywając się od przytulnego, bezpiecznego wnętrza macicy, nieważkiego lewitowania w ciemnej i ciepłej wilgoci – wciągnąć w płuca pierwszy raz gorzki zapach, w pełnej mierze poczuć przyciąganie ziemskie i krzyknąć z urazy i zdziwienia.

Wszystkie moje siły funkcyjnego, wszystkie moje umiejętności i zdolności zniknęły.

Wieża się zakołysała. Ostatnim szarpnięciem przewód elektryczny wciągnął Natalię w dziurę pośrodku sufitu i betonowe płyty się zjechały.

Rozległ się chrzęst – ohydny, wilgotny.

Nogi w tanich tureckich džinsach zadygotały ostatni raz, spodnie szybko nasiąkały, stawały się ciemne, czerwone.

Wieża zaczęła się walić.

Wyskoczyłem przez ostatnie okno, które nie było zasnutę szarą mgłą międzyświatów. Bez zastanowienia wyciągnąłem ręce przed siebie, jakbym szykował się do skoku z trampoliny na basenie. Za moimi plecami sypały się cegły, waliły płyty, syczała bijąca z rur woda, chrzęściły pękające deski.

Skoczyłem.

Zaśnieżona, twarda jak kamień ziemia pomknęła w moją stronę. Zamknąłem oczy.

* * *

Dół miał głębokość półtora metra. Z wierzchu przyprószony śniegiem, zasypany nie zwykłymi śmieciami, lecz starymi liśćmi, mokrą trawą, ściętymi gałązkami. Co to było? Kompostownik miejscowego dozorca? Dlaczego nie zauważyłem go wcześniej? Jakim cudem znalazł się akurat pod tym oknem, przez które wyskoczyłem?

Cuda się nie zdarzają!

Byłem trochę poobijany, rękę podrapała ostra gałąź, za kołnierz wsypały się śmieci. Miałem na sobie koszulę i letnie spodnie, byłem zmarznięty, przemoczony, ale żyłem. Żyłem, na przekór wszystkiemu.

Nastia umarła.

A Natalia Iwanowa, akuszerka funkcyjna, zdechła.

Za drugim razem mimo wszystko udało mi się ją zabić.

Ślizgając się na śniegu, wydostałem się z dołu. Popatrzyłem na niego podejrzliwie i pobiegłem do wieży.

Wieża nadal stała w pewnej odległości od torów i wyglądała zupełnie tak samo – jak porzucona wieża wodociągowa. Tylko daty nad drzwiami („1978”) teraz już nie było. A przecież to rok mojego urodzenia. Że też wcześniej na to nie wpadłem!

I żadnych śladów zniszczenia. Okienko na wysokości trzech metrów od ziemi rozbite. Nic dziwnego, w porzuconych budynkach okna zwykle są powybijane.

Pociągnąłem zardzewiałe drzwi, otworzyły się, skrzypiąc. W środku było ciemno, dostrzegłem jedynie wąski promień światła z okna i przyćmione światło z uchylonych drzwi. Rzecz jasna, nie było żadnych pięter. Wysoka przestrzeń, przywalona przerdzewiałym dnem cysterny. Na podłodze kawałki cegieł, szkła, zwykłych śmieci. Tylko najgorszy żul zgodziłby się tu mieszkać.

Nastia leżała tuż przy drzwiach.

Usiadłem obok niej, przycisnąłem ucho do piersi, poszukałem pulsu.

Cudów nie ma.

Może gdyby była funkcyjną? Jeśli naprawdę po śmierci Natalii wszyscy, których przemieniła w funkcyjnych, stali się ludźmi... Nie, to i tak by nic nie dało. Życie to życie, a śmierć to śmierć. Funkcyjny może się z nią bawić w ciuciubabkę, zwłaszcza gdy ciemność jest gęsta, a pokój przestronny. Ale kiedy już cię złapała i poklepała po ramieniu kościstą dłonią, nie ma drogi powrotnej.

– Wybacz – powiedziałem. – Powinnaś była zostać w Nirwanie. Wybacz, Nastiu.

Oczywiście nie odpowiedziała. I nie miałem się co pocieszać, że najprawdopodobniej by mi wybaczyła.

Okazałem się głupcem. Nieco ostrożniejszym i bardziej przewidującym od Nastii, ale głupcem. Zachowywałem się jak... Jak? Jak funkcyjny. Działalem w tych ramach, które mi wyznaczono.

Nie powinienem był latać ze świata do świata. Nie należało dumnie odrzucać aliansów i zarozumiale rzucać się do walki. Dopóty, dopóki nie stało się to, co nieodwracalne, dopóki nie zginęła Nastia, dopóki nie chcieli mnie rzucić na kolana, miałem możliwość lawirowania. Nie skorzystałem z niej.

Gdyby na moim miejscu znalazł się polityk, na pewno lepiej by to rozegrał. Poprowadziłby długą grę... i pod koniec partii zorientował się, że od samego początku była to gra na wybitkę.

Nie, nie ma co rozdzierać szat. Przegrywasz w tej samej chwili, w której przyjmujesz ich zasady gry. To tak, jak w kasynie. Nieważne, czy stawiasz na cyfrę czy na kolor, na zero czy na parzyste lub nieparzyste, i tak jedynym wygranym jest kasyno. Gdy przyjmujesz ich reguły gry, stajesz się jednym z nich. W tym właśnie tkwi sęk. Jak w pewnej starej powieści, którą czytałem w dzieciństwie: gdy nauczysz się tajnego języka wroga, zaczynasz myśleć w tym języku. Myśleć jak wróg. Albo jak w jeszcze starszej legendzie: zabijasz smoka i stajesz się smokiem. Każdy, kto byłby wystarczająco sprytny, żeby przechytryć funkcyjnych z Ziemi-jeden, stałby się taki sam jak oni. Przecież marzeniem polityka Dimy było zrobienie tego, co właśnie robią z nami mieszkańcy Arkanu – stworzenie poligonu doświadczalnego. Rzecz jasna, z jak najszlachetniejszych pobudek.

Nie masz żadnych szans na zwycięstwo, jeśli wychodzisz do walki jako człowiek. A gdy zostajesz funkcyjnym, zwycięstwo przestaje ci być potrzebne.

Należałoby znaleźć trzecią drogę, ale jej nie ma.

Pogładziłem Nastię po zimnym policzku. Powinienem wezwać pogotowie. Ale jeszcze nie teraz. Najpierw muszę stąd odejść. Nie chcę się pchać w ręce milicji teraz, gdy znów jestem zwykłym człowiekiem. Długo musiałbym udowadniać, że przypadkiem wstąpiłem do porzuconej budowli, w której przypadkiem znalazłem ciało dziewczyny. Dziewczyny, z którą spałem poprzedniej nocy.

Ale nie chciałem zostawiać jej tak, na potłuczonych ceglach i kawałkach butelek. Noskiem buta oczyściłem niewielki placyk, ostrożnie podniosłem Nastię i przenieśliem na oczyszczony kawałek. Ułożyłem jej ręce wzdłuż ciała.

Prawa ręka była otwarta, lewa zaciśnięta w pięść. Po chwili wahania rozchyliłem jej palce.

Błyszczące metalowe kółeczko. Nie złote czy srebrne, chyba niklowana stal. Gdybym był celnikiem, natychmiast podałbym skład chemiczny, wartość i rodzaj cła.

Obrączka...

Podniosłem, obróciłem w palcach. I nagle poczułem, że to bardzo ważne, żebym zrozumiał, skąd ono się tu wzięło. Nastia stała przy kuchence... Chciała podnieść jajecznicę z patelni... No tak, przecież to kółeczko z rączki metalowej łopatki! Tam na wszystkich sztućcach były takie kółeczka.

Ale dlaczego to kółeczko, będące częścią wieży, ocalało?

Dlatego że ścisnęła je ręka martwej dziewczyny? Ludzka ręka, nienależąca do świata funkcyjnych?

Przymierzyłem – kółeczko idealnie pasowało na środkowy palec, zupełnie jakbym kupił je u jubilera.

Niech i tak będzie.

Jeszcze raz popatrzyłem na martwą twarz i wstałem.

I wtedy usłyszałem kroki za drzwiami.

– Kirył? Co się stało? Ale numer! – Kotia stał w drzwiach, patrząc na zaśmiecone wnętrze wieży. – Jak po ataku machnowców... Walczyłeś? Zaatakowali cię z Arkanu?

– Skąd się tu wzięłeś? – zapytałem. – Przecież mieliście wyjechać.

– Serce mi podpowiedziało. – Kotia rozłożył ręce. – Czuję, że coś jest niedobrze, to zostawiłem damę w Szeremietiewie i pognałem do ciebie.

Wtedy jego oczy przyzwyczyły się do ciemności i Kotia zamilkł.

– Nastia umarła – powiedziałem. – Widzisz...

– Dlaczego?

– Natalia ją zabiła. Ta akuszerka funkcyjna.

– Bardzo mi przykro – wymamrotał Kotia. – Naprawdę strasznie mi przykro. A gdzie ona jest?

Wzruszyłem ramionami.

– Kiedy ją widziałem ostatni raz, od pasa w górę miała grubość kartki papieru. Myślę, że teraz jest już nigdzie. Czegoś takiego nie wytrzyma nawet funkcyjny.

– Zabiłeś ją? – zapytał z niedowierzaniem Kotia.

– Tak. Ona zabiła Nastię i zaczęła burzyć wieżę. Udało mi się załatwić Natalię, lecz wieża zginęła.

– I teraz znów jesteś zwykłym człowiekiem. – To nie było pytanie, lecz stwierdzenie faktu.

– Tak.

– Ale jak udało ci się ją zabić?

– To moja tajemnica – odparłem. – Chodźmy stąd. Nastii już nie pomożemy.

Wyszliśmy z wieży, zamknąłem drzwi, podniosłem z ziemi garść puszystego śniegu i przetarłem klamkę. Nie należało zostawiać odcisków palców.

Kotia zajrzał mi w oczy.

– Kirył, no ale powiedz, jak? Przecież to akuszerka! Illan mówiła, że akuszerki mogą zabić każdego, kogo uczyniły funkcyjnym. Twoja wieża jest zburzona, ty stałeś się człowiekiem, a mimo to zdołałeś zabić Natalię? Nie wierzę!

Zrobiło mi się smutno. Bardzo smutno. I jeszcze strasznie zimno w mokrych spodniach i koszuli z krótkim rękawem na tej zaśnieżonej ulicy.

– Powiem ci na ucho – powiedziałem, rozglądając się. Kotia posłusznie odwrócił głowę. Nachyliłem się do jego ucha i wyszeptałem: – Rzecz w tym, że każdy funkcyjny ma bardzo czułe komórki w końcówkach uszu. Jak się funkcyjnego huknie w ucho, to on umiera!

Kotia parsknął i wyprostował się. Spojrzał mi w oczy.

– Kirył, nie pleć...

– Nie wiem tylko jednego... – mówiłem dalej szeptem, wcale się nie przejmując, czy Kotia mnie słyszy, czy nie. – Czy to podziela na kuratora? Co?

– Nie wiem – odparł Kotia i zdjął okulary.

– Sprawdźmy na tobie? – zapytałem.

25.

A jednak Borges nie miał racji.

Oprócz trzech wielkich tematów istnieje jeszcze przynajmniej jeden, zasługujący na nie mniejszą uwagę.

To zdrada przyjaciela i zdrada ukochanej.

Gdyby Helena nie uciekła z Parysem, nigdy nie wybuchłaby wojna, greccy królowie nie wyruszyliby po sławę (oraz bogactwa) i nie oblegali Troi, Odyseusz nie błędziłby w drodze do domu. Gdyby Bill Bones nie oszukał swoich współników i nie uciekł z mapą, Jim Hopkins w towarzystwie Trelawneya i doktora Liveseya nie wyruszyłby na poszukiwanie wyspy skarbów, piraci nie szturmowałiby fortu, a nieszczęsny Ben Gunn nie wróciłby do domu.

Chociaż z drugiej strony, bez zdrady Heleny nie poznalibyśmy wierności Penelopy.

Miłość i przyjaźń są tym, w imię czego trzeba znosić zdradę i zaprzaństwo.

A jednak zawsze tako samo ciężko jest być zdradzonym.

Kotia westchnął i spuścił wzrok. Wzruszył ramionami. W końcu powiedział:

– Możesz spróbować... Skąd się dowiedziałeś, że jestem kuratorem?

– Natalia mi powiedziała.

– Nie mogła ci powiedzieć. – Kotia pokręcił głową. – Natalia nie wiedziała, że jestem kuratorem. W ogóle nie podejrzewała, że jestem funkcyjnym.

– Zgadza się. Ona tylko wspomniała o istnieniu kogoś takiego jak kurator. Że jesteś nim ty, domyśliłem się sam. Niestety, jak się okazuje, zbyt późno. – Nie wytrzymałem i podniosłem głos. – Nie zdarza się tak, żeby w plikach

zachowywały się wzmianki o funkcyjnych! Nie zdarza się! Ten policjant, były historyk, skarżył się, że jego listy nigdzie nie dochodzą, że pliki znikają. Skoro faktycznie chodzi o to, żeby wyrwać człowieka z jego życia, żeby przeszkodzić mu w dokonaniu czegoś ważnego, to nie zachowują się żadne dane! Nie ma żadnych śladów! Znikają zdjęcia, szkolne zeszyty, dziecięce rysunki. I co, nagle taki wyjątek dla twojego komputera? Ha! Nie rozśmieszaj mnie, Konstanty!

Kotia pokiwał głową.

– Zawsze to samo. Chcieliśmy jak najlepiej. I tak było mi ciężko robić z ciebie funkcyjnego. W dodatku za pośrednictwem tej idiotki! Wredna, złośliwa nieudacznica! Ja sam nie lubię tych z Arkanu, jeśli to cię uspokoi.

– To znaczy, że ty nie jesteś stamtąd?

– Nie, Kirył! To wszystko nie jest takie proste! A co, myślałeś, że wysyłają z Arkanu desant akuszerów z naczelnikiem i zaczynają przerabiać świat?

– No... coś koło tego. – Zaszczekałem zębami i Kotia wreszcie to zauważył. Westchnął, zdjął kurtkę, podał mi, zostając w ciepłym swetrze.

– Ubierz się.

– Nie, dzięki. – Pokręciłem głową.

– Przynajmniej narzuć na ramiona! Przecież jesteś teraz zwykłym człowiekiem, przeziębisz się!

Nie upierałem się, było mi zbyt zimno. Włożyłem kurtkę, z trudem zapiąłem.

– To wszystko wygląda trochę inaczej – mówił dalej Kotia. – Siła, którą dostaje funkcyjny, nie pochodzi od niego... nie tylko od niego samego. Ta siła należy również do świata, w którym dany funkcyjny żyje. Nie mogą po prostu przyjść do nas z Arkanu i zacząć przemieniać ludzi w funkcyjnych. Najpierw muszą znaleźć kuratora, tego, który nauczy cię wszystkiego sam, z ich pomocą oczywiście. On ma kontrolować całą sytuację, podejmować decyzje i wziąć odpowiedzialność za to, co się dzieje.

– Więc jesteś nasz? – spytałem tępo.

– Jak najbardziej! – Kotia się zaśmiał.

– Ile masz lat?

– No... więcej niż wyglądam. – Machnął ręką. – Ale uważam, że młodość jest w duszy. Mam rację?

– Kotia... – Z trudem znajdowałem słowa. – Ale jak? Po co? Dlaczego tym im na to pozwalasz? Za co oni nas tak?

– Jak „tak”? – oburzył się Kotia. – Myślisz, że ci głupcy mają tam raj na Ziemi? Ha! Wyhamowali technologię, idioci. Z każdego świata po nitce i chcieli sobie kaftan uszyć. Wiesz, że tam w całej Afryce trwa wojna? Dlaczego? Dlatego że nie było niewolnictwa! Widzisz, jak to wszystko się ze sobą łączy i zazębia? Cały kontynent okrażyli, próbują teraz pogodzić te wszystkie Wielkie Etiopie, Słoneczne Sudany, Szczęśliwe Zulusje, i nic im z tego nie wychodzi! Za to wszędzie uchodźcy. Nie można uczyć się na cudzych błędach, Kiryle!

– Ale oni się uczą!

– Tak im się tylko wydaje. A ja uważam, i nadal będę uważać, że bez postępu nauki i techniki cywilizacja wpada w stagnację i obumiera. Dlatego dla naszej Ziemi wybrałem przyśpieszoną drogę rozwoju naukowo-technicznego. Tak, ja wybrałem! Proponowano mi również inne warianty.

– Wojny – powiedziałem. – U nas też wszędzie są wojny. Katastrofy...

– Nieuniknione konsekwencje postępu – uciął Kotia. – Zawsze się coś poświęca. Albo epidemie wybijają całe kraje, albo ludzie wyrzynają się nawzajem. Tak, dokonałem wyboru w imieniu całej Ziemi. Ale tylko dlatego, że nie było godnej alternatywy!

Gniew ze mnie uszedł, jak powietrze z przekłutego balonika. Może trochę dlatego, że Kotia był jak zwykle czarujący. A może dlatego, że mówił z takim przekonaniem.

– Nie każę ci wierzyć mi na słowo – mówił Kotia ze zmęczeniem. – Z tymi z Arkanu dogadam się, nie będą bruździć. W ostateczności sam otworzę przejście. Potrafię!

– I co?

– Pojedziemy tam – wyjaśnił Kotia. – Popatrzysz, czy dobrze im się tam żyje. I zdecydujesz, czy trzeba szukać innego losu dla naszej Ziemi.

Zrobił krok w moją stronę. Pociągnął mnie za rękaw.

– Czep się... – burknąłem.

– Coś się tak nabzdyczył, Kiryń? Nie mogłem się przed tobą odsłonić! Ja też mam jakieś zobowiązania i zasady. Chcesz, to mi daj w ucho, w ten czuły punkt! Nawet nie będę się bronił!

– Zabili Nastię.

– Skąd mogłem wiedzieć?! – zawołał Kotia. – No, skąd?! Osobiście urwałbym Natalii głowę za coś takiego, gdybyś ty jej nie zabił! Wszystko zmierzało do tego, że dojdziecie do porozumienia. Natalia miała wyznaczyć wam coś w rodzaju aresztu domowego, to wszystko! Wiedziałem! O, wiedziałem, że nie wolno ufać seksualnie niezaspokojonym babom! Naprawdę Szkoda mi Nastii, Kiryń! Ale nawet ja nie umiem wskrzeszać umarłych.

– Naprawdę ci jej szkoda? – zapytałem.

– Tak. Bardzo. To prawda, nie jestem aniołem i takie rzeczy widziałem, że posiwałbyś i po nocach krzyczał przez sen. – Jego oczy stały się zimne i okrutne. – Ale gdy ginie piękna młoda dziewczyna, zawsze to przeżywam.

– Mizantrop z ciebie, Kotia – powiedziałem. – Chociaż kurator.

– Jak przeżyjesz dwie wojny światowe i kupę rewolucji to też taki będziesz. Chodź, Kiryń! Teraz to już nawet ja zmarłem. No, co się krygujesz jak ośmioklasistka przed ginekologiem!

– Obsceniczny mizantrop.

– Po tysiącu przyjaciółek ty też...

– Nie jestem tobą. Nie jestem nawet funkcyjnym, takie wyczyny nie są mi sądzone.

– Daj spokój! – Kotia ciągnął mnie za sobą. – Chodź. Pomyślimy, znajdziemy ci ciekawszą pracę. Co ty na to, żeby być akuszerem, co? Żadnej smyczy! Tylko trzeba pracować w innym świecie, taka jest zasada. Ale przecież Kingim ci się podoba, nie? A Orysałtyn? Znasz takie niesamowite miasto? To u nich zamiast Moskwy. Często tam bywam.

W głowie mi się kręciło od wydarzeń ostatniej godziny. Chciałem się upić. Albo położyć i zasnąć. A najlepiej upić się i zasnąć.

Zdziwiłem się, gdy Kotia zaprowadził mnie do stojącego na ulicy nissana. Samochód niezbyt luksusowy, ale do tej pory sądziłem, że Kotia w ogóle nie prowadzi. Z jego krótkowzrocznością?

– Po co nosisz okulary? – zapytałem, siadając na przednim siedzeniu.

Kotia włączył silnik, włączył ogrzewanie. Potarł ręce, pochuchał; chyba faktycznie zmarzł.

– Okulary? – Popatrzył na mnie drwiąco. – W okularach bardziej podobam się kobietom. Okulary nadają mi niewinny i naiwny wygląd.

Nie odpowiedziałem.

Kotia wyjechał z pobocza na drogę. Od razu było widać, że prowadzi jak wirtuoz. Zresztą, pewnie wszystko robi po mistrzowsku. W końcu to kurator.

– Wiesz, to nawet lepiej – powiedział w zadumie. – Pewnie, że szkoda Nastii. Ale za to nie muszę już dłużej udawać. I ze smyczy się zerwałeś. To co, chcesz być akuszerem? Wierz mi, to bardzo ciekawe zajęcie! No i na takim stanowisku powinien być człowiek z duszą, z nerwem, a nie taka Iwanowa. Kirył, posłuchaj, umrę z ciekawości! Powiedz wreszcie, jak ją zabiłeś?

– Nie do końca ja. Wieża. – Westchnąłem, przypominając sobie, co czułem, gdy zrywał się mój niewidoczny związek z funkcją. – To było jak scena z horroru. Sufit się rozstąpił, wokół szyi Natalii owinał się ognisty kabel i wciągnął ją do środka. A potem płyty się zsunęły, zatrzasnęły jak szczęki.

– Nie kłamiesz? – zapytał Kotia.

– Nie. Tak właśnie było.

Kotia skręcił gwałtownie. Właśnie wyjeżdżaliśmy z tunelu, ale on nie wjechał na prospekt, lecz na pustą o tej porze ulicę, biegnącą do Ostankino. Zjechał na pobocze do jakichś garaży i hangarów.

– To źle, Kirył. To bardzo źle. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo.

– Dlaczego? Ona żyje?

Kotia pokręcił głową.

– Znasz dowcip o Świętym Mikołaju i małym chłopcu? – zapytał.

– Który?

– Gdy chłopiec zobaczył Mikołaja i woła: „Więc naprawdę istniejesz!”. A Święty Mikołaj z westchnieniem odpowiada: „Tak, naprawdę istnieje. I teraz będę musiał cię zabić”.

Silnik mruczał, ogrzewanie owiewało nas ciepłym powietrzem. Gdzieś w oddali stukały koła pociągu podmiejskiego. Po moście jechał sznur samochodów; miasto budziło się powoli, dla miasta zaczynał się nowy dzień.

Kotia popatrzył na mnie ze smutkiem i surowością.

– Dlaczego, Kotia? – zapytałem.

– Dla ciebie to już nieważne – odparł z goryczą.

Wyciągnął rękę i zacisnął ją na moim gardle. Tylko jedną prawą rękę, ale ucisk był taki, jakby chwycił mnie obcęgami kowalskimi. W oczach mi pociemniało, świat zawirował w pożegnalnym walcu.

– Tak mi przykro... – dobiegł z watowej pustki głos Kotii.

Ostatnim wysiłkiem, w którym nie było już śladu rozsądku, a tylko bezradność, na oślep uderzyłem Kotię prawą ręką, w głowę albo w szyję. Kotia zrobił niedbały gest, jakby opędzał się od muchy; zrozumiałem, że ten ruch powinien mi złamać wszystkie kości ręki...

Nie złamał.

To był twardy blok, ale ja go przebiłem. I moja niezgrabnie zaciśnięta pięść uderzyła Kotię w podbródek.

Wyglądało to tak, jakby przez samochód przeleciała żeliwna baba, która zamiast w ścianę burzonego domu walnęła Konstantego Czagina w twarz. Jego rękę dosłownie zdmuchnęło z mojej szyi. W wachlarzu krwawych bryzgów Kotia wyleciał z samochodu razem z drzwiami. Szyba rozleciała się i zgniecione drzwi, niczym metalowa kryza, okalały teraz jego szyję. Po drodze Kotia zaczepił nogą o kierownicę i wyszarpnął ją razem z kolumną. Kierownica odleciała na dziesięć metrów. W locie włączyła się poduszka powietrzna i kierownica wylądowała na nadmuchiwym worku niczym międzyplanetarna sonda.

Kotia leżał i kręcił głową, a z drzwi sypały się kawałeczki szkła. Wyglądało to tak, jakby niedźwiedź polarny otrząsał się z wody.

Nic nie rozumiejąc, wyszedłem z samochodu. We wnętrzu zmasakrowanego nissana pisnęła sygnalizacja i szybko umilkła, jakby doszła do wniosku, że i tak nie jest w stanie zmienić sytuacji.

– Skłamałeś! – krzyknął Kotia. Głos miał schrypnięty, chyba gardło ucierpiało, gdy głowa pociągnęła za sobą całe ciało. Zwykłemu człowiekowi po prostu urwałoby głowę.

– Obraż się na mnie za to.

– Jak ty...? Dlaczego? – Kotia wstał, chwiejąc się. Z przestrachem wysunął przed siebie rękę. – Zaczekaj, porozmawiajmy!

Szedłem do niego. Jeszcze nie rozumiałem, dlaczego udał mi się tamten cios, godny policjanta funkcyjnego. I tym bardziej nie wiedziałem, czy zdołam powtórzyć tę sztuczkę.

Ale nie mogłem się już zatrzymać. Nie mogłem pokazać, że miałem w kartach jednego jedyne asa, a cała reszta to blotki.

– Przecież byliśmy przyjaciółmi... – zaczął Kotia i urwał. Chyba zrozumiał, że rozmowa nam teraz nie wyjdzie.

I wtedy płynnym gestem, jakby dyrygując orkiestrą, nakreślił w powietrzu falistą linię. Właśnie nakreślił – powietrze za jego palcami płonęło, układając się w litery.

Kotia, nadal z drzwiczkami samochodu na szyi, zrobił krok do przodu, prosto w płonący napis i zniknął.

Ogień przygasł i rozwiął się w powietrzu w pachnący siarką biały dym.

Przykucnąłem, oparłem dłonie o brudne kolana. Potarłem szyję. Byłem tak bardzo zmęczony...

Niklowane kółeczko nadal połyskiwało na moim palcu.

– Dziękuję, Nastiu – powiedziałem, nie wiadomo po co. To było patetyczne i niepotrzebne, ale musiałem to powiedzieć.

Strasznie chciało mi się palić. Moje papierosy zginęły razem z wieżą. Wstałem, pogrzebałem w skrytce nissana. I rzeczywiście znalazłem tam papierosy – zwykłe LM-y, które zawsze palił Kotia, i nieznane mi treasure w ładnej kwadratowej paczce srebrnego koloru. Pewnie drogie. Bez zbędnej skromności otworzyłem srebrzystą paczkę i zapaliłem.

Niczego sobie. Jeśli nie kosztują więcej niż pięćdziesiąt rubli, zacznę je kupować.

I wtedy w mojej kieszeni zadzwoniła komórka.

Kilka sygnałów przepuściłem, zaciągając się aromatycznym dymem, potem wyjąłem aparat i nie patrząc na wyświetlacz, powiedziałem:

– Halo...

– Kirył, gdzie ty się podziewasz?

Serce mi się ścisnęło.

– Tata? – zapytałem, nie wierząc własnym uszom.

– No, na pewno nie mama! Matka jest urażona, że nie dzwonicz. Biedne kwiatki przywiędły. Kiedy je ostatnio podlewałś?

– Słucham?

– Kiedy ostatni raz podlewałś kwiaty?

– Pięć... dni temu?...

– Kirył, czy ty tam palisz? – zapytał podejrzliwie ojciec.

– Tak.

– Nigdy nie przypuszczałem, że to powiem, ale... mam nadzieję, że tytoń...

– powiedział sucho ojciec. – Gdzie ty się włóczysz?

– A tak... to tu, to tam... ostatnio głównie na Aleksiejewskiej. W Kimgimie, w Skansenie... Do Arkanu raz zajrzałem...

– Myślałem, że już wyrosłeś z nocnych klubów – westchnął ojciec. – To co? Matka tu szykuje różne frykasy, a ja wstawiłem turecką rakiję do lodówki. Jak przyjedziesz, to ci naleję kieliszek.

– Przyjadę – odparłem zdecydowanie. – Teraz od razu przyjadę. Bardzo na was czekałem. Bardzo was kocham. Tylko po drodze skoczę na Dworzec Ryżski. Jak myślisz, można tam kupić bilety do Charkowa?

– Można – odrzekł ojciec, zaskoczony moją niespodziewaną wylewnością. – A co chcesz robić w Charkowie?

– No... takie tam... sprawy... – odparłem mętnie i popatrzyłem na swoje nogi w lekkich butach. – Chociaż... no dobra, potem pojedę. A macie jeszcze mój klucz od mieszkania?

– A co, miał się w proch rozsypać?

– No, faktycznie – przyznałem. W słuchawce ostrzegawczo pisnęło, zgasilem papierosa na ścianie i powiedziałem: – Tato, telefon mi pada. Jadę.

Niełatwo było złapać okazję. Nikt nie chciał się zatrzymać przed mostem, w dodatku widząc jakiegoś niechlujnego chłopaka w letnim ubraniu

i wyraźnie cudzej kurtce. W końcu jednak obok mnie zahamowała rozwalona „szóstka”. Typowe moskiewskie szahid-taxi.

– Do Pierowa... – powiedziałem, otwierając drzwi.

– A! Siadaj, siadaj! – Kierowca uśmiechnął się do mnie szeroko. Przypomniałem sobie, że właśnie z nim tydzień temu kręciliśmy się po mieście, gdy szukałem dowodów mojego istnienia.

– Dziękuję. – Usiadłem i zamyśliłem się. Ten „ekwiwalent”, który dostałem od Natalii, również został w innym świecie. – Słuchaj, jest taka sprawa...

– Nie masz forsy?

– Mhm. Ale jak dojedziemy, wezmę od rodziców.

– Nie trzeba od rodziców. To nie w porządku, żeby dorosły człowiek brał pieniądze od rodziców – odparł Kaukaz. – Oddasz jak będziesz miał.

– Jak oddam?

– Dwa razy razem jechaliśmy, to i trzeci pojedziemy.

Odchyliłem się na wgniecione siedzenie i tępo, bezwolnie patrzyłem, jak kierowca bezczelnie przejeżdża z najbardziej skrajnego pasa, skręca i wjeżdża bezpośrednio na wewnętrzny. A potem wsunęłam ręce do kieszeni kurtki Kotii.

W lewej znalazłem portfel. Otworzyłem go bezceremonialnie i powiedziałem do kierowcy:

– Falszywy alarm. Jednak mam pieniądze.

Jeśli nawet kierowca zaczął coś podejrzewać, to nic nie powiedział.

W drugiej kieszeni znalazłem komórkę.

Z zainteresowaniem obejrzałem listę kontaktów – niektóre nazwiska znałem, innych nie. Zatrzymałem się na nazwisku Mielnikow i po chwili wahania wybrałem numer.

– Tak, słucham? – powiedział pisarz fantasta tonem zajętego, solidnego człowieka: uprzejmie, acz z lekkim zniecierpliwieniem.

– Dzień dobry, Dymitrze Siergiejewiczu – powiedziałem. – Mówi Kirył Maksimow, przyjaciel Kot... Konstantego Czagina. Pamięta pan, byliśmy u pana tydzień temu? Dzwonię z jego telefonu.

– Ee... tak, pamiętam! – Głos utracił oficjalność. – Jest pan tym młodym człowiekiem, który opowiadał tę historię... i jak tam pańskie sprawy? Poznają pana?

– Dobrze pan wtedy zrozumiał, że to fabuła powieści fantastycznej, którą chcę napisać – powiedziałem szybko. – Przepraszam, że ukazałem to jak prawdziwą historię. Od razu zrozumiałem, że mnie pan rozgryzł.

– No, młody człowieku, gdyby wymyślił pan tyle historii, co ja. – Pisarz się zaśmiał. – No cóż, niech pan pisze. Ciekaw jestem, jak pan z tego wybrnie. A proszę mi powiedzieć, ten dowód osobisty...?

– Chemikalia – powiedziałem. – Pasjonowałem się chemią w szkole.

– Aha – odparł Mielnikow z głębokim zadowoleniem. – To też dobrze zrozumiałem! Ma pan nauczkę, nie należy uważać pisarzy fantastów za skłonnych do mistyki!

– Jeśli można, jedno krótkie pytanie... Proszę mi powiedzieć, jak zazwyczaj fantaści nazywają świat równoległy Ziemi?

– Co pan ma na myśli?

– Załóżmy, że odkryto planetę prawie taką samą jak Ziemia. Jak by ją nazwali? Ziemia-dwa?

– Bardzo możliwe – zgodził się Mielnikow. – Na przykład, znany pisarz, amerykański klasyk...

– A jeśli znajdą od razu dziesięć planet podobnych do Ziemi?

Mielnikow zamilkł i spytał podejrzliwie:

– Znalezli? No i co?

– Nazwą je Ziemia-dwa, Ziemia-trzy i tak dalej?

– Sądzę, że w takim przypadku zaczęto by od jedynek – odparł Mielnikow bez wahania. – Nazwa Ziemia-dwa podkreśla unikatowość naszej planety. Jeśli jednak ciąg liczb jest długi, to oryginalność naszej Ziemi najlepiej podkreśliłby brak numeru.

– Bardzo dziękuję – powiedziałem. – Tak właśnie pomyślałem. Dziękuję! Rozłączyłem się i spojrzałem na kierowcę.

– Coś nie tak? – zapytał.

– Zawsze coś jest nie tak.

– Zgadza się. Ja na przykład mam łyse opony, a droga jak szkło! Co sobie mer wyobraża? Wielkie miasto, stolica, samochodów dużo, a pieniędzy mało.

Siedziałem z zamkniętymi oczami i słuchałem tej skargi.

– Ludzie wymyślili już wszystko na świecie i jaki z tego pożytek? Tam walczą, tu się kłóca... Świat jeden, a podzielić się nim nie możemy. A szczęścia jak nie było, tak nie ma.

– To nic – odpowiedziałem. – Proszę mi wierzyć, jeszcze wszystko przed nami.

Samochód trząsał się i chybotał, od czasu do czasu rzucało nim na boki. Muszę pojechać do rodziców. Kupić bilety. Odnaleźć Keszju. Skoro nastał czas złych cudów, muszę znaleźć w sobie odwagę, by pozostać dobry. Poglądziłem kciukiem zimne metalowe kółeczko i powtórzyłem:

– Jeszcze wszystko przed nami.

2004 – 2005